



Wkrótce
serial z Garym
Oldmanem!

ZOBACZ



PRAWDZIWE TYGRYSY

MICK
HERRON

*Prawdziwe tygrysy odświeżyły gatunek
thrillera szpiegowskiego. „Sunday Express”*

MICK
HERRON

**PRAWDZIWE
TYGRYSY**

przekład

ROBERT KĘDZIERSKI
ANNA KROCHMAL

 **Insignis**

Tytuł oryginału
Real Tigers

© Mick Herron, 2016

First published in 2016 by John Murray (Publishers)
An Hachette UK Company

John Murray (Publishers), Carmelite House,
50 Victoria Embankment, London EC4Y 0DZ
johnmurray.co.uk

Przekład

Robert Kędzierski, Anna Krochmal

Redakcja

Dominika Rychel, Marcin Piątek

Korekta

Pracownia 12A

Skład

Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN pełnej wersji 978-83-66873-95-7



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 2519

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)

[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Prawdziwe tygrysy.

1

Część pierwsza: Fałszywi przyjaciele

2

3

4

5

6

7

Część druga: Prawdziwi wrogowie

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

Dla Eleanor

PRAWDZIWE TYGRYSY

Jak w większości wypadków zaważonych spraw zaczęło się od niewłaściwego stroju.

Poranek w środku tygodnia na skraju City; ciemny, wilgotny, mglisty, przed piątą. W pobliskich wieżowcach – niektóre sięgały powyżej dwudziestu pięter – w pojedynczych oknach paliły się światła, tworząc przypadkowe wzory na siatce ze szkła i stali, i niektóre z tych światel oznaczały, że jacyś bankierzy, którzy i tak zrywają się o świcie, teraz siedzą już przy swych biurkach, by szybciej rozeznąć się w sytuacji na rynkach, lecz większość rozjaśnionych okien świadczyła o tym, że w City pracują inni ludzie, ci, którzy noszą kombinezony i których obowiązki przed świtem obejmują odkurzanie, froterowanie i opróżnianie koszy na śmieci. Paul Lowell sympatyzował z tymi drugimi. Albo sprzątało się bałagan po innych, albo nie – tak wyglądał system klasowy, właśnie tak.

Zerknął na drogę w dole. Osiemnaście metrów to całkiem spory dystans, jeśli spoglądało się z góry. Kucając, poczuł, że właściwe mięśnie się napinają, a tania tkanina nieprzyjemnie naciąga się na udach. Jego kostium był za ciasny. Lowellowi materiał zdawał się na tyle rozciągliwy, że to nie będzie miało znaczenia, okazało się jednak, że kostium ogranicza ruchy i nie obdarza żadną dodatkową mocą.

A może po prostu Lowell zaczął tyć.

Znajdował się na platformie – co pewnie nie było właściwym terminem architektonicznym – nad łukiem, przez który przebiegała London Wall, dwupasmowa arteria rozciągająca się od St. Martin's Le Grand do

Moorgate. Nad nim piętrzył się kolejny wieżowiec, jeden z dwóch ustawionych pod kątem do siebie; mieściły się w nim jeden z większych banków inwestycyjnych oraz popularna sieć pizzerii. Sto metrów dalej, na porośniętym trawą wzniesieniu, obok drogi, której użył nazwy, przebiegał fragment rzymskiego muru niegdyś otaczającego City; wciąż tu stał, choć jego budowniczowie dawno już wyzionęli ducha. Teraz Lowellowi przyszło do głowy, że to symbol. Niektóre rzeczy trwają, istnieją dalej mimo zmian i warto podjąć walkę w celu zachowania tego, co z nich zostało. W skrócie: taki właśnie był powód, dla którego się tu znajdował.

Zdjął plecak, postawił go między kolanami, rozsunął zamek błyskawiczny i wypakował zawartość. Za jakąś godzinę zacznie się ruch w stronę City i do różnych punktów na wschód; znaczna część ruchu będzie się odbywać pod łukiem, na którym siedział Lowell. Wszyscy jadący w tych samochodach, taksówkach, autobusach i na rowerach staną się mimowolnymi świadkami. A po nich w nieunikniony sposób zjawią się ekipy dziennikarzy i kamery, które zaniósł narodowi przesłanie Lowella.

Chciał tylko, by jego głos został usłyszany. Po latach odmawiania mu jego praw był gotów walczyć i podobnie jak inni przed nim wybrać konkretny sposób, w jaki to zrobi. Tak właśnie rodziły się tradycje. Nawet przez chwilę nie sądził, że cokolwiek, co dziś osiągnie, doprowadzi do jakiejś zmiany, ale zobaczą to inni, znajdujący się w takim samym położeniu, i czegoś się nauczą – i być może zaczną działać. Pewnego dnia coś się zmieni.

Zauważył ruch i się odwrócił. Zobaczył postać podciągającą się na drugim końcu platformy; ten ktoś musiał wspiąć się po budynku z ulicy, tak jak Lowell zrobił to dziesięć minut wcześniej. Minęła chwila, nim dotarło doń, co widzi, a wtedy ogarnęła go fala podekscytowania, jakby znów miał dwanaście lat. Bo właśnie coś takiego chce zobaczyć każdy dwunastolatek,

pomyślał, patrząc, jak nowo przybyły zbliża się do niego. To z takich rzeczy składają się marzenia młodych chłopaków.

Batman, wysoki, barczysty i zdeterminowany, kroczył w jego stronę przez wilgotne smugi mgły.

– Hej! – zawołał Lowell. – Niezły strój!

Spojrzał w dół na własny kostium. Strój Spider-Mana był niezbyt stosowny do jego wieku, ale przecież nikt nie będzie rozdawał punktów za styl; celem było trafienie do wieczornych wiadomości, a kostiumy superbohaterów przyciągały uwagę mediów. Zdziałało to wcześniej i znów zadziało. Był więc Niesamowitym Spider-Manem, zaś towarzysz, z którym spotykał się właśnie po raz pierwszy i z którym wszystko ustalał anonimowo na forum w internecie, był Batmanem. Mieli stanowić dynamiczny duet zaledwie na jeden poranek, a media miały trąbić o nich przez resztę tygodnia. Z jedną ręką na rolce płótna, którą wypakował z plecaka, Lowell podźwignął się i wyciągnął drugą dłoń, bo to również stanowiło część prastarej narracji: mężczyźni, którzy spotykają się i witają, połączeni wspólną sprawą.

Ignorując wyciągniętą rękę Spider-Mana, Batman przywalił mu w twarz.

Lowell poleciał do tyłu i świat wymknął się spod kontroli: światła w oknach biurowców zatańczyły mu przed oczami, upadek na wilgotny murek wypchnął mu całe powietrze z płuc. Jego umysł przestawił się już jednak na inny tryb i Lowell odtoczył się na bok, jak najdalej od krawędzi; tymczasem Batman mocno opuścił stopę, niemal trafiając Spider-Mana w łokieć. Lowell musiał się podźwignąć, bo jeszcze nikt nie wygrał walki w pozycji leżącej, i to na tym skupiał się przez kolejne dwie sekundy, zamiast zastanawiać się, dlaczego Batman zamierza go skopać. Skupienie niemal się opłaciło, bo Lowellowi udało się podnieść na kolana, nim znów

oberwał w głowę. Maską Spider-Mana przesiąkła krwią. Spróbował coś powiedzieć, ale był zdolny jedynie do niezrozumiałego charczenia.

A potem pociągnięto go w kierunku skraju platformy.

Wrzasnął, bo było dla niego jasne, co się zaraz stanie. Batman włókł go za ramiona i Lowell nie był w stanie się wyrwać – ręce tego faceta były jak ze stali. Wierzgnął nogą i trafił w rolkę płótna, która potoczyła się na skraj platformy, nieco się przy tym rozwijając. Zamachnął się ręką, próbując uderzyć Batmana w krocze, walnął jednak w twarde, muskularne udo. A potem zawisł w przestrzeni i jedynym, co go utrzymywało, był chwyt odzianego w pelerynę superbohatera.

Przez chwilę trwali tak spleceni niemal w uścisku: Batman, sztywny i wyprostowany, oraz zwisający Spider-Man – jakby pozowali do ilustracji na okładkę.

– Na litość boską... – szepnął Spider-Man.

Batman go puścił.

Rolka płótna uderzyła o ulicę przed Paulem Lowellem. Tyle że nie była już rolką; rozwinięta na asfalcie, zmieniła się we fragment dywanu zamiast w baner, tak jak to Lowell zaplanował. Wymalowany odręcznie trzydziestocentymetrowymi literami slogan SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA OJCÓW rozmazał się, gdy nasiąkł wilgocią oraz częściowo krwią Lowella, pozostał jednak czytelnym obrazem, który satysfakcjonująco przyciągał uwagę mediów i przed końcem dnia miał pojawić się w licznych transmisjach.

Ale Paul Lowell żadnej z nich nie zobaczył.

A jeśli chodzi o Batmana – ten dawno już zniknął.

CZĘŚĆ PIERWSZA

**Fałszywi
przyjaciele**

2

W piekielnie gorący wieczór w gminie Finsbury otwierają się drzwi i na podwórze wychodzi kobieta. Nie na ulicę od frontu – to jest Slough House, a frontowe drzwi Slough House słyną z tego, że nigdy się nie otwierają ani nie zamykają – lecz na podwórze, na które dociera niewiele naturalnego światła i którego mury są w związku z tym pokryte kołderką pleśni. Panuje tu smród zaniedbania i przy odrobinie wysiłku można rozpoznać jego elementy: resztki jedzenia i tłuszcz po posiłkach na wynos, zatechłe niedopałki papierosów, dawno zaschnięte kałuże oraz to, co unosi się ze studzienki, która gulgocze w kącie, i lepiej nie sprawdzać, co to takiego. Nie zapadł jeszcze zmrok – trwa błękitna godzina – ale podwórze okrył już cień nocy. Kobieta się nie zatrzymuje. Nie ma tam nic do zobaczenia.

Zakładając jednak, że jest obserwowana – zakładając, że lekki powiew przemykający obok niej, gdy zamyka drzwi, nie byłby wytęsknionym wietrzykiem z rodzaju tych, których sierpień najwyraźniej się wyrzekł, lecz wędrującym duchem szukającym miejsca spoczynku – ta chwila, zanim drzwi solidnie się zamkną, mogłaby być tą, gdy na moment pojawia się okazja. Duch wkrada się do środka szybko jak promień słońca, a ponieważ duchy, zwłaszcza te wędrujące, całkiem nieźle sobie radzą, to, co nastąpiłoby później, wydarza się w mgnieniu oka; błyskawiczne oględziny na wpół zapomnianej i całkowicie ignorowanej dobudówki – czegoś, co niegdyś nazwano „administracyjnym lochem” służb wywiadowczych.

Nasz duch płynie w powietrzu nad schodami, jako że nie ma innego wyboru, i wznosząc się, dostrzega kontury na ścianach klatki schodowej;

brązowy łuszczący się nalot niczym zarysy niedokończonego kontynentu, i wskazuje wysokość, do której sięgnęła wilgoć; faliste gryzmoły, które w półmroku można by niemal uznać za ślady liźnięcia płomieni. Dziwaczna koncepcja, za którą stoi jednak upał i ogólne przygnębienie duszące ten budynek, jakby ktoś – lub coś – wywierał zgubny wpływ na tych, którzy są w nim zniewoleni.

Na pierwszym piętrze dwoje drzwi do pomieszczeń biurowych. Nasz duch wybiera na chybił trafił jedno z nich i znajduje się teraz w zapuszczonym, obskurnym biurze; są tu dwa biurka ze stojącymi na nich komputerami, a światełka zgaszonych monitorów bezgłośnie mrugają w ciemności. Śladów po rozlanych napojach nie wycierano tu od tak dawna, że wyewoluowały w plamy, zaś plamy ignorowano tak długo, że wkomponowały się w schemat kolorystyczny. Wszystko tutaj jest żółte lub szare i albo zepsute, albo naprawiane. Drukarka wepchnięta w zbyt małą przestrzeń ma nierówne pęknięcie na pokrywie, a papierowy klosz zasłaniający jedną z żarówek pod sufitem – bo druga w ogóle nie ma klosza – wisi rozerwany pod dziwnym kątem. Brudny kubek bez ucha na jednym z biurek. Brudna wyszczerbiona szklanka – na drugim. Ślad po ustach na jej brzegu to gotycki pocałunek; szyderczy uśmiech na brudzie.

A więc nie jest to miejsce dla wędrownego ducha; nasza zjawa niesłyszalnie pociąga nosem, a potem znika i pojawia się ponownie w drugim biurze na tym piętrze, a następnie w dwóch pomieszczeniach na kolejnym i na korytarzu jeszcze kolejnego, żeby uzyskać obraz budynku jako całości, a ten – jak się okazuje – nie jest zbyt korzystny. W pomieszczeniach, które wydają się puste, w rzeczywistości aż się od czegoś roi; aż pienia się w nich frustracja i spora dawka żółci; kłębi się agonia wymuszonej inercji. Tylko jedno spośród nich – to z najlepszym komputerem – wydaje się stosunkowo nietknięte udręką wiecznej nudy

i wyłącznie jedno z pozostałych – mniejsze z tych dwóch, które znajdują się na najwyższym piętrze – wykazuje jakiegokolwiek oznaki pracowitości i kompetencji. W pozostałych aż wibruje od ciągłego powtarzania nieistotnych czynności; pracy, którą znaleziono tylko po to, by zająć czymś bezczynne ręce, i która pozornie polega na przetwarzaniu całych stosów informacji, surowych danych, ledwie dających się odróżnić od chaotycznie rozsypanych alfabetów z niewielkim dodatkiem przypadkowych liczb. Zupełnie jakby obowiązki administracyjne jakiegoś demona zapisu danych zostały przekazane i zlecone pracującym tu ludziom; przekształcone w przyziemne czynności, które mają wykonywać bez końca i bez ustanku, bo w przeciwnym razie ludzie ci zostaną ciśnięci w jeszcze głębszy mrok – a więc tak czy siak są przeklęci. Jedynym powodem, dla którego nad drzwiami nie wisi tabliczka nawołująca wszystkich do porzucenia wszelkiej nadziei, jest fakt, że jak wie każdy pracownik biurowy – to nie nadzieja cię zabija.

Zabija cię świadomość, że zabija cię nadzieja.

„Te pomieszczenia”, powiedział sobie nasz wędrowny duch; lecz pozostaje jeszcze jedno, którego wciąż nie odwiedził – większe spośród tych dwóch znajdujących się na najwyższym piętrze, spowite w mroku, choć w rzeczywistości nie puste. Gdyby nasz duch miał uszy, nie musiałby przykładać jednego do drzwi, by to stwierdzić, bo dobiegające stamtąd hałasy bynajmniej nie są nieśmiałe: są głośne i dudniące i mogłyby pochodzić od jakiegoś zwierzęcia gospodarskiego. Nasz duch lekko drży, niemal idealnie naśladowując przejętego człowieka, i zanim hałas – po trochu chrapanie, po trochu beknięcia, a po trochu warczenie – wybrzmi do końca, duch przemieszcza się w dół przez cały Slough House; mija okropne biura na drugim i pierwszym piętrze, a potem pokonuje ostatni odcinek schodów – i to jest wszystko, co ma do zaoferowania ten budynek na

parterze, jako że jest wciśnięty między chińską restaurację a wielobranżowy kiosk – i znów pojawia się na dusznym i porośniętym grzybem podwórzu dokładnie w chwili, gdy czas ponownie zaczyna płynąć, unicestwiając naszego wędrownego ducha, podobnie jak samochodowa wycieraczka zmiata owada, tak że pozostaje po nim tylko ciche „puk”, tak niedostrzegalne i uprzejme w swej naturze, że kobieta nawet tego nie zauważa. Zamiast tego ta kobieta pociąga drzwi – by upewnić się, że są zamknięte, choć jest prawie pewna, że już raz to sprawdzała – a następnie z taką samą pracowitością i kompetencją, jakimi obdarza swoje biuro na najwyższym piętrze, przechodzi z podwórza na uliczkę i dalej, na Aldersgate Street, gdzie skręca w lewo i już po pięciu metrach prawie podskakuje, słysząc dźwięk: nie „puk”, nie „bang”, nawet nie przypominające wybuch beknięcie w rodzaju tego, w jakim specjalizuje się Jackson Lamb, lecz jej własne imię wypowiedziane głosem z innego życia: „Cath...”

– ...erine?

Ktoś idzie, pomyślała. Przyjaciel czy wróg?

Zupełnie jakby takie rozróżnienia miały znaczenie.

– Catherine Standish?

I tym razem zadrżała, poznając ten głos, i na chwilę w myślach zmrużyła oczy, choć tak naprawdę w jej twarzy nic się nie poruszyło. Usiłowała zlokalizować wspomnienie majaczące za matowym szkłem, a potem obraz się wyklarował i szkło, przez które spoglądała, okazało się dnem szklaneczki, teraz pustej, ale wciąż mokrej na dnie.

– Sean Donovan – rzekła.

– Pamiętasz.

– Tak. Oczywiście, że pamiętam.

Ponieważ był człowiekiem, którego niełatwo się zapomina, wysokim, barczystym, z nosem, który raz czy dwa razy został złamany – parzystą liczbę razy, jak kiedyś żartował, bo inaczej wydawałby się jeszcze bardziej krzywy; i nawet jeśli jego włosy, teraz poznaczone stalowymi pasemkami, były dłuższe, niż zapamiętała, wciąż nosił krótką i wysoko podgoloną fryzurę. Jeśli chodzi o jego oczy, to pozostały niebieskie, bo jak mogłoby być inaczej, ale nawet w gasnącym świetle zmierzchu widziała, że dziś wieczorem jest to burzliwy błękit mroczniejszych chwil, a nie odcień wrześnieowego nieba. I był wysoki i barczysty, co już odnotowała, pewnie dwa razy większy od niej; i stojąc tak w poświacie błękitnej godziny, musieli wyglądać jak para: on, całą swą postawą wyrażający bycie wojownikiem, i ona, w sukience zapiętej pod samą szyję, z rękawami obszytymi koronką i w butach ze sprzączkami.

Ponieważ trzeba się było jakoś do tego odnieść, powiedziała:

– Nie zdawałam sobie sprawy, że...

– Wyszedłem?

Kiwnęła głową.

– Rok temu. Trzyście miesięcy.

Tego głosu też nie dało się zapomnieć, tego lekkiego irlandzkiego akcentu również. Nigdy nie była w Irlandii, ale czasem, gdy go słuchała, jej głowę wypełniały łagodne obrazy pełne zieleni.

Była wtedy pijaczką, co oczywiście w tym pomagało.

– Mógłbym ci dokładnie powiedzieć, ile minęło dni – dodał.

– Musiało być ciężko.

– Och, nie masz pojęcia – odparł. – Dosłownie nie masz pojęcia.

Na to nie znalazła odpowiedzi.

Stali nieruchomo, a dla szpiega to nigdy nie jest dobre. Wiedziała to nawet Catherine Standish, która nigdy nie pracowała w terenie.

Wyczytał to z jej postawy.

– Szłaś w tamtą stronę? – Wskazał w kierunku skrzyżowania z Old Street.

– Tak.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, przejdę się z tobą.

I tak właśnie zrobił, zupełnie jakby to było tym, czym się zdawało – przypadkowym spotkaniem w letni wieczór, gdy światło zaczyna gasnąć na krawędziach; jeden stary przyjaciel (jeśli tak można było ich określić) wpada na drugiego i chce trochę przedłużyć tę chwilę. W innej epoce, pomyślała Catherine, a może nawet na jakichś obrzeżach tej epoki, idąc, wziąłby ją pod ramię, co byłoby miłe i trochę cliwe, ale przede wszystkim byłoby kłamstwem. Ponieważ Catherine Standish – choć nigdy nie pracowała w terenie – wiedziała również to: przypadkowe spotkania zdarzają się w pewnych miejscach i pewnym ludziom, nigdy jednak nie przytrafiają się tutaj i nigdy nie przytrafiają się szpiegom.

W barze w pobliżu Slough House Roderick Ho snuł marzenia o romantycznych podbojach.

Ostatnio robił to dość często. I nie bez powodu. Prawda była taka, że po prostu wszyscy uważali, że on i Louisa Guy już dawno powinni być parą. To, co łączyło ją z Minem Harperem, należało już do przeszłości, a jeśli internet czegokolwiek Rodericka nauczył, to że kobiety mają swoje potrzeby. Internet nauczył go także, że nie istnieje tak absurdalnie oczywiste oszustwo, żeby nie znalazł się ktoś, kto się na nie nabierze, i że jeśli chce się wywołać gównoburzę na jakimś forum, wystarczy napisać coś nieco kontrowersyjnego o zamachach z 11 września, Michaelu Jacksonie albo o kotach. O tak: to internet uczynił Ho człowiekiem, którym był dziś. Roddy był samodzielnie myślącym obywatelem

dwudziestopierwszowiecznej Wielkiej Brytanii i uważał się za całkiem oblatanego.

Suka dojrzała, tak to odczytywał.

Suka była gotowa.

Wystarczyło tylko po nią sięgnąć.

Choć w tej grze w dziewięćdziesięciu procentach chodziło jednak o teorię, miał problem z pozostałymi dziesięcioma procentami. Widywał Louise prawie codziennie i zaczął pojawiać się w kuchni za każdym razem, kiedy robiła kawę, ale ona wciąż nie potrafiła odczytać wysyłanych przez niego sygnałów. Skomentował nawet – a było to ponad tydzień temu – że skoro oboje mają takie zapotrzebowanie na kofeinę, byłoby sensowniej, gdyby robiła kawę dla dwojga. Spłynęło to jednak po niej jak woda po kaczce i wciąż zanosila dzbanek kawy tylko do swojego biura. Śmiechu warte, jak kiepsko chwytala godowe rytuały, tymczasem jednak znalazł się w kropce: nie miał pojęcia, jak zniżyć się do jej poziomu.

Ho nawet nie lubił kawy. Aż do tego był się gotów posunąć.

Istniały pewne strategie, na które się natknął, o których gdzieś słyszał. Bądź miły, uważny, słuchaj. Jezu, czy ci ludzie wciąż mieszkają w drewnianych chatkach?! Całe to gównno zabierało mnóstwo czasu, a Louisa przecież nie stawała się młodsza. Jeśli chodzi o samego Ho, to szczerze mówiąc, też miał swoje potrzeby i choć w dużej mierze zaspokajał je w internecie, zaczynał odczuwać lekkie napięcie. Louisa Guy była bezbronną kobietą. Istnieli mężczyźni, którzy chętnie by to wykorzystali. Nie zdziwiłby się na przykład, gdyby spróbował to zrobić River Cartwright. I choć Cartwright był idiotą, ktoś może wiedzieć, co zrobi bezbronna kobieta, zwłaszcza taka, która nie umie odczytywać sygnałów.

Ho doszedł więc do wniosku, że przydałaby mu się praktyczna pomoc. I to dlatego siedział teraz w barze z Marcusem Longridge'em i Shirley

Dander, którzy pracowali w pokoju obok.

– Gadałeś ostatnio z Louisą? – spytał.

Marcus Longridge chrząknął.

Ta dwójka to były dwa najnowsze kulawe konie, co by wyjaśniało, dlaczego tak niewiele mówili. W Slough House nie istniała żadna sztywna hierarchia, było jednak jasne, że jeśli nie liczyć Lamba na samej górze, najważniejszy był Roddy Ho – w końcu o wszystkim decydował tu mózg, a nie mięśnie. A więc tych dwoje musiało uważać go za naturalnego zwierzchnika i dlatego byli trochę przytłoczeni. Ho czułby się tak samo na ich miejscu. Upił łyk bezalkoholowego piwa i spróbował jeszcze raz:

– Na przykład w kuchni albo gdzieś?

Marcus znowu chrząknął.

Ho wiedział, że Marcus jest po czterdziestce, ale to nie oznaczało, że można go całkowicie wykluczyć. Był wysoki, czarnoskóry, żonaty i na pewno zabił co najmniej jedną osobę, lecz żadna z tych rzeczy nie przeszkadzała Ho myśleć, że Marcus pewnie patrzy na niego jak na młodszą wersję siebie. Bez wątpienia istniała jakaś praktyczna wiedza, którą Marcus chętnie by mu przekazał, i to dlatego Ho go wybrał, by spędzić z nim męski wieczór. Kilka piwek, trochę się pośmieją, a potem przed sobą otworzą. Jednak dotarcie do tego etapu szło jak po grudzie, bo po drugiej jego stronie siedziała nieustępliwa Shirley Dander. Nie miał pojęcia, dlaczego przylazła tu z nimi, ale obu im przeszkadzała.

Na stole przed nią leżała paczka chipsów, otwarta, jakby położyła ją na kocu podczas pikniku, ale kiedy chciał się poczęstować, dała mu po łapie.

– Kup sobie własne. – Teraz wpychała sobie do ust jakieś piętnaście procent chipsów z opakowania, szybko przeżuła, po czym spytała: – O czym?

Ho posłał jej spojrzenie, które oznaczało: „To męska rozmowa”.

– Co się stało? – zapytała. – Zakrztusiłeś się lemoniadą?

– To nie jest lemoniada.

– No jasne. – Popiła chipsy własnym, zdecydowanie niebezkoholowym piwem, po czym wróciła do tematu. – O czym miał gadać z Louisą?

– No wiesz, tak po prostu. O czymkolwiek.

– Chyba jaja sobie robisz – stwierdziła Shirley.

Marcus zapatrzył się w swój kufel. Pił guinnessa i Ho zastanawiał się przez kilka minut, czy nie skomentować, że napoje jego i Marcusa są w tym samym kolorze – taki dowcip sytuacyjny. Postanowił się jednak wstrzymać, aż nadejdzie właściwy moment. A to mogło stać się wkrótce, jeśli tylko Shirley się zamknie.

Nie zrobiła tego.

– Jaja chyba sobie robisz.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł.

– O Louisę. Wydaje ci się, że masz jakiejkolwiek szanse u Louisy?

– A kto mówił coś o jakichś...

– Ha! No pięknie. Naprawdę myślisz, że masz szansę u Louisy?

– O Boże, niech mnie ktoś zastrzeli – mruknął Marcus, najwyraźniej nie zwracając się do żadnego z towarzyszy.

Nie po raz pierwszy Roderick Ho zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił strategicznego błędu w życiu towarzyskim.

– Nie pracujesz już w Park – powiedział Sean Donovan.

To nie było pytanie, więc Catherine nie odpowiedziała. Zamiast tego odparła:

– Cieszę się, że wyszedłeś, Sean. Mam nadzieję, że życie nie będzie już dla ciebie takie przykre.

– Było, minęło. Te mosty już za sobą spaliłem.

Powiedział to jednak jak ktoś, kto spędził dużo czasu na mostach, patrząc, jak nurt unosi zwłoki jego wrogów.

Zbliżali się do skrzyżowania, na którym czekały samochody, głównie taksówki. Przez okna pubu naprzeciwko widziała kołyszące się głowy roześmianych, pogrążonych w rozmowach ludzi. To nie była speluna dla pijaków, tylko lokal dla tych, którzy po prostu od czasu do czasu lubią sobie gdzieś wyskoczyć. Była bardzo świadoma obecności Seana Donovana, jego prężnego żołnierskiego ciała. Grubo po pięćdziesiątce wciąż przyciągał spojrzenia. Pewnie ćwiczył za kratkami. Robił w celi pompki i brzuszki, wszystkie te męczące ćwiczenia, dzięki którym mięśnie pozostawały silne.

Obok przetoczyło się kilka autobusów. Odczekała, aż hałas przycichnie, i powiedziała:

- Muszę już iść, Sean.
- Nie dasz się skusić na drinka?
- Już tego nie robię.

Zagwizdał cicho.

- No to pewnie masz za sobą niezłe przejścia...
- Radzę sobie.

Ale radziła sobie i nie radziła. Najczęściej radziła. Jednak były też trudne okresy, wieczory na początku lata – albo późne zimowe noce – gdy czuła się już pijana, jakby niepostrzeżenie się wymknęła i obudziła uwikłana w swoje dawne nawyki, znowu to robiąc. Pijąc. A wtedy wszystko by się posypało i być może już nigdy by nie przestała.

W wypiciu kolejnego drinka nie chodziło o powrót do nałogu. Chodziło o stanie się kimś, kim już nigdy nie zamierzała być.

- W takim razie może kawa?
- Nie mogę.
- Jezu, Catherine... Ile lat minęło? A byliśmy... sobie bliscy.

Nie chciała o tym myśleć.

– Sean, wciąż pracuję w służbach. Nie mogą mnie z tobą zobaczyć. To dla mnie za duże ryzyko.

Natychmiast pożałowała tych słów.

– Ryzyko, tak? Nie chcesz się pobrudzić i takie tam?

– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Ale prawda jest taka, że po prostu nie mogę z tobą być. Spędzać z tobą czas. Nie z powodu... twoich problemów. Tylko z powodu tego, kim jestem. Czym jestem.

– „Twoich problemów”. – Zaśmiał się i pokręcił głową. – Mówisz jak moja świętej pamięci matka. „Twoich problemów”. Powiedziałyby coś takiego do kobiety, która dopiero co została wdową, albo do grymaszącego dziecka. Nie lubiła się bawić w subtelności.

Znów ten zwrot. Bawić się w subtelności.

– Cieszę się, widząc, że dobrze się trzymasz, Sean.

– Ty też wyglądasz świetnie, Catherine.

Każde z nich wolało poczekać, aż to drugie potwierdzi, że w sumie dobrze się trzyma, i to być może najwięcej mówiło o ich sytuacji.

– W takim razie żegnaj.

Miała akurat zielone światło, więc mogła od razu przejść przez ulicę. Po drugiej stronie się nie obejrzała, ale i tak wiedziała, że za nią spogląda, i choć z tej odległości nie dostrzegłaby koloru jego oczu, te wciąż miałyby ten odcień burzliwego błękitu, jaki przybierały w mroczniejszych chwilach.

– Chyba przydałoby ci się towarzystwo.

Louisa nie odpowiedziała.

Niezrażony tym mężczyzna przysiadł na stołku obok niej. Spojrzenie w lustro powiedziało jej, że był całkiem znośny – po trzydziestce, i było mu z tym do twarzy, podobnie jak było mu do twarzy w szytym na miarę ciemnografitowym garniturze, z krawatem w misterny niebiesko-złocisty

wzorek, na tyle poluzowanym, by podkreślić, jak swobodnie się czuje. Nosił okulary w cienkiej czarnej oprawce i Louisa postawiłaby swoją następną wódkę z limonką na to, że mężczyzna na nosie ma zerówki. Szykowny nerd. Nie chciało jej się jednak odwracać, by to sprawdzić.

– Siedzisz tu już od trzydziestu siedmiu minut i ani razu nie zerknęłaś w stronę drzwi.

Przerwał, by miała szansę docenić, jakie to słodkie, że tak dokładnie mierzył czas, i jak uważnym był obserwatorem. Siedziała tu od trzydziestu siedmiu minut i na nikogo nie czekała. Na pewno liczył jej drinki i wiedział, że piła w tym momencie trzeciego.

A teraz zaśmiał się cicho.

– Czyli jesteś z tych małomównych. Niewiele ich w tej okolicy.

W tej okolicy, czyli na południe od Tamizy, choć nie na tyle daleko na południe, by uwolnić się od typów w garniturach szytych na miarę i w eleganckich krawatach. Była kilka przystanków autobusowych od swojej kawalerki, która – odkąd zaczęły się upały i nad ulicami zawisła ciężka woń asfaltu i spieczonego kurzu – wydawała się mniejsza niż kiedykolwiek dotąd, jakby skurczyła się od gorąca. Wszystko wewnątrz jak gdyby pulsowało. Gdy tylko tam docierała, natychmiast nachodziła ją myśl, że wolałaby być gdzie indziej.

– Ale wiesz co? Piękna kobieta, taka tajemnicza i małomówna, dla faceta takiego jak ja jest jak zaproszenie. Daje mi szansę, żeby zabłysnąć. A więc jeśli tylko będziesz miała ochotę dołączyć, przysiądź się do mnie. Albo uśmiechnij się i kiwnij głową. Wystarczy mi samo podziwianie widoku.

A więc Louisa wzięła prysznic i się przebrała; teraz miała na sobie dzinsową koszulę z podwiniętymi rękawami, obcisłe czarne dzinsy i złote sandały. Niedawno zrobiła sobie jasne pasemka i pomalowała paznokcie

u stóp krwiście czerwonym lakierem. Nie całkiem się mylił. Miała tę pewność, że nie jest piękną kobietą, ale była też przekonana, że na taką wygląda.

Poza tym był gorący sierpniowy wieczór, a na ladzie stały schłodzone drinki. Każdy człowiek mógł wyglądać pięknie, gdy pozwalał na to kontekst.

Uniosła szklankę i kostki lodu wyszeptały melodyjną obietnicę.

– No więc pracuję w dziale rozwiązań. Klienci to głównie firmy zajmujące się importem i eksportem. I dziś rano na moim biurku wylądowała prawdziwa bomba, dwa i pół miliona wyczesanych tabletek z Manili, tylko że ktoś namieszał w papierach...

Gadał dalej. Nie zaproponował, że postawi jej drinka – pewnie zaplanował to sobie tak, że dokończy własnego chwilę przed nią, a potem gestem przywoła barmankę, „wódka z limonką i mnóstwem lodu”, a później będzie opowiadał dalej, tak by nie zwrócić jej uwagi na mały cud, jakiego właśnie dokonał.

Albo coś w tym stylu – zawsze tak to wyglądało.

Louisa przesunęła palcem po brzegu szklanki, a potem wsunęła kosmyk włosów za ucho. Mężczyzna mówił dalej i nie odwracając się, wiedziała, że jego koledzy siedzą przy stoliku obok drzwi, wypatrując oznak sukcesu lub porażki, i są gotowi nieźle się uśmieć, niezależnie od wyniku jego starań. Pewnie oni też pracowali w „dziale rozwiązań”. Najwyraźniej było to określenie, które można było dość mocno nagiąć w każdą stronę, pod warunkiem że nie przeszkadzał ci zakres problemów, z jakimi to się wiązało.

Jej własne problemy – to, jak minął jej ten dzień, podobnie jak wszystkie inne dni pracy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy – obejmowały porównywanie dwóch zestawów danych spisowych z 2001 i 2011 roku.

Dotyczyły miasta Leeds, jej grupę docelową stanowiły osoby w wieku od 18 do 24 lat. Szukała ludzi, którzy zniknęli z radaru albo pojawili się znikąd.

Pamiętała, jak zapytała:

– Jakaś konkretna grupa językowa?

– Profilowanie etniczne jest niewłaściwe z moralnego punktu widzenia – upomniał ją Lamb. – Wydawało mi się, że wszyscy o tym wiedzą. Ale tak, masz się skupić na ciapatych.

Ludzie, którzy zniknęli, i inni, którzy się zmaterializowali. Oczywiście były ich setki, większość z nich miała ku temu bardzo solidne powody, a reszta potencjalnie bardzo solidne, choć dotarcie do tych powodów było bardzo uciążliwe. Nie mogła zbliżyć się do samych celów, musiała więc kroczyć określną drogą: ubezpieczenie społeczne, licencjonowanie pojazdów, usługi komunalne, dane publicznej służby zdrowia, korzystanie z internetu – cokolwiek, co pozostawiało ślad w papierach albo świadczyło o istnieniu śladu. I bla, bla, bla – było to nie tyle szukanie igły w stogu siana, ile przekładanie go źdźbło po źdźbło z sortowaniem każdego z nich według długości i szerokości, tak żeby wszystkie wskazywały w tę samą stronę... Żałowała, że nie pracuje w dziale rozwiązań. Projekt, którym się obecnie zajmowała, wydawał się służyć głównie tworzeniu niepotrzebnych problemów.

I o to właśnie chodziło. Pod koniec dnia pracy nikt nie opuszczał Slough House z poczuciem, że przyczynił się do bezpieczeństwa narodowego. Wychodzili, czując się tak, jakby ich mózgi wrzucono do sokowirówki. Louisie czasem się śniło, że jest uwięziona w książce telefonicznej. Trafiła do kulawych koni, bo zawałiła sprawę – spieprzyła obserwację celu, wskutek czego sporo broni trafiło na ulicę – ale z pewnością została już wystarczająco za to ukarana. Tyle tylko że żadna

kara nie była wystarczająca. Louisa mogła ustalić własne warunki, sama wydać na siebie wyrok i odejść, kiedy tylko zechce. Tego właśnie od niej oczekiwano: że się podda i odejdzie. I podobnie jak w przypadku reszty z nich, była to ostatnia rzecz, którą zamierzała kiedykolwiek zrobić. Min powiedział... nie, nie myśleć o Minie. W każdym razie nie musiała z nimi o tym rozmawiać, by wiedzieć, że wszyscy czują to samo. Z wyjątkiem Rodericka Ho, który był zbyt wielkim dupkiem, by zdawać sobie sprawę, że to kara, co – biorąc pod uwagę, że karano go za bycie dupkiem – wydawało się na miejscu.

A tymczasem czuła się tak, jakby jej mózg przepuszczono przez sokowirówkę.

Mężczyzna wciąż gadał, może nawet zbliżał się do kulminacyjnego punktu swojej historyjki i Louisa była całkowicie pewna, że na pewno nie chce tej historyjki usłyszeć – bez względu na to, czego ona dotyczy. Nie odwracając się do mężczyzny, położyła mu rękę na nadgarstku. To było tak, jakby użyła pilota – jego opowieść urwała się w pół zdania.

– Wypiję jeszcze takie dwa – powiedziała. – Jeśli wciąż tu będziesz, kiedy skończę, pójdę do ciebie. Ale tymczasem zamknij się, dobra? Ani słowa. Inaczej nici z umowy.

Okazał się bystrzejszy, niż mogło się wydawać. Bez słowa pomachał do barmanki, pokazał na szklankę Louisy i uniósł dwa palce.

Louisa przestała zwracać na niego uwagę i zabrała się za drinka.

Niech mnie ktoś zastrzeli, pomyślał znów Marcus, tym razem po cichu.

Shirley bardzo rozbawiła myśl, że Ho uważa, iż ma szansę u Louisy.

– Genialne, naprawdę. Mamy jakąś tablicę ogłoszeń? Bardzo by nam się przydała. – Zrobiła z palców krzyżyk. – Hashtag: samiec z urojeniami.

Bar znajdował się po drugiej stronie Barbican Centre i Ho myślał, że Marcus go zaproponował, bo to jego ulubione miejsce, gdzie spotyka się

z przyjaciółmi, ale w rzeczywistości Marcus nigdy wcześniej tu nie był i to właśnie z tego powodu wybrał ten lokal. Był to dokładnie ten rodzaj miejsca, w którym z całą pewnością nigdy nie spotka żadnego ze swych przyjaciół – byłby się gotów o to założyć – więc szanse na to, że wpadnie tu na któregoś z nich, gdy będzie w towarzystwie Rodericka Ho, wydawały się minimalne.

Chociaż to właśnie przez zakładanie się tutaj trafił, więc dalsze obstawianie nie byłoby najmądrzejszym posunięciem.

W wielkim telewizorze wiszącym na ścianie leciały wiadomości. Informacje na pasku przewijały się zbyt szybko, by za nimi nadążyć, ale zdjęcia nie sposób było nie rozpoznać: niebieski garnitur, żółty krawat, artystycznie rozwichrzona szopa na głowie i afektowany, szeroki uśmiech, w którym tylko jakiś kretyn lub wyborca nie rozpoznałby myślenia o własnym interesie w stopniu, jaki zraziłby nawet rekina. Świeżo upieczony minister spraw wewnętrznych, czyli nowy szef Marcusa, Shirley i Ho. Nie żeby Peter Judd przejął się tymi powiązaniem – chcąc przykuć jego uwagę, trzeba by mieć koneksje w rodzinie królewskiej, własny program telewizyjny lub powiększane piersi („ponoć”). Wypełniając lukę między medialną kurwą a polityczną bestią, dawno już dokonał skoku z dymającego gwiazdy na dymającą wszystkich gwiazdę, budząc sympatię opinii publicznej swoją błazenadą i pnąc się po politycznej drabinie zgodnie z hollywoodzkim powiedzonkiem, że wrogów najlepiej jest trzymać blisko. To był jeden ze sposobów, w jaki można było sobie z nim poradzić, ale w kręgach rządowych uznano, że nie mógłby stanowić większego zagrożenia dla premiera, gdyby zasiadał w opozycji. Bo gdyby zanosilo się na to, że to oni mają wygrać wybory, dawno by już z nimi trzymał.

Zapożyczając cudzą ocenę: „kawał paskudnego typu”.

Wymyślając własną:

– Pajacowaty białas – mruknął pod nosem Marcus.

– Mowa nienawiści – ostrzegła Shirley.

– Oczywiście, że to mowa nienawiści. Jak ja go, kurwa, nie znoszę.

Shirley zerknęła na telewizor, wzruszyła ramionami i odparła:

– Myślałam, że wierzysz w swoją partię.

– Ja tak. On nie.

Ho spoglądał to na jedno, to na drugie, jakby zupełnie się pogubił.

Shirley znów skupiła na nim uwagę.

– No dobra, to kiedy to się zaczęło? Kiedy wpadłeś na ten porąbany pomysł, że możesz mieć szansę u Louisy?

– Umiem odczytywać sygnały – odparł Ho.

– Nie potrafiłbyś odczytać „Witaj!” na wycieraczce. Naprawdę myślisz, że możesz wiedzieć, co myślą kobiety?

Ho wzruszył ramionami.

– Suka dojrzała – powiedział. – Suka jest gotowa.

Shirley przywaliła mu w pysk. Spadły mu okulary.

– W takim razie teraz ja stawiam – stwierdził Marcus.

Przyjaciel czy wróg?

Nie dało się uniknąć tego wniosku – każdy z tamtego okresu w jej życiu był wrogiem.

Catherine mieszkała w St. John’s Wood, ale nie miała zamiaru tam jeszcze wracać. Pozostawienie mylnego tropu przyszło jej naturalnie – alkoholicy uczą się udawać. Poszła więc na północ, kierując się mniej więcej w stronę Angel; kobieta zmierzająca do celu, ale bez jakiegoś szczególnego pośpiechu. Wszyscy, których mijała, byli jakieś trzydzieści lat od niej młodszy i każdy nosił mniej więcej tyle ubrań co ona na samych rękach. Niektórzy zerkali na nią zdumieni pierwszym czy drugim z tych faktów, ale tym się nie przejmowała. Pytanie „przyjaciel lub wróg?” nie

obejmowało wszystkich ewentualności. Ci nieznajomi nie byli ani jednym, ani drugim, a głowę Catherine zaprzętały inne sprawy.

Sean Donovan był wrogiem, ponieważ każdy z tamtego okresu w jej życiu był wrogiem, ale był też przyzwoitym człowiekiem albo tak przynajmniej sugerowały jej wspomnienia. Jest żołnierzem, i choć pod pewnym względem to błąd użytego czasu – Sean Donovan był kiedyś żołnierzem; Sean Donovan haniebnie i w oczywisty sposób przestał nim być – to wciąż najprecyzyjniejszy opis, jaki przychodził Catherine do głowy. Wystarczało tylko spojrzeć na Donovana. Przekroczył pięćdziesiątkę i właściwie powinni mu salutować na placach apelowych, a grube ryby z Whitehall winny zasięgać jego opinii. Nietrudno było wyobrazić go sobie przed kamerami, jak uzasadnia ostatnią operację wojskową. Jednak gdy ostatnim razem pojawił się przed kamerami, wyprowadzano go w kajdankach z budynku sądu wojskowego – skazanego na pięć lat za nieumyślne spowodowanie śmierci wskutek niebezpiecznej jazdy samochodem.

Dla Catherine był to nie tyle szok, co informacja z rodzaju tych, o których czyta się w gazetach. Wtedy była już trzeźwa i część procesu trzeźwienia polegała na unikaniu towarzystwa ludzi, z którymi zadawała się, kiedy piła. Oznaczało to mężczyzn, a jednym z nich był Sean Donovan; nie był wśród nich szczególnie ważny czy ważniejszy niż jakikolwiek inny facet z tamtego okresu, ale przecież lista była długa.

Catherine przeszła na drugą stronę ulicy. Zakręciło się jej od tego trochę w głowie; nie od samej tej czynności, ale od wyrwania się ze wspomnień, by się skupić na jej wykonywaniu. Spoglądanie w przeszłość wymagało od niej sporego wysiłku. Nie należało do przyjemności. Z jakiegoś powodu w jej głowie pojawił się obraz Jacksona Lamba siedzącego samotnie w swoim ponurym gabinecie – ale równie szybko znikł. Gdy już

bezpiecznie znalazła się po drugiej stronie, zaryzykowała spojrzenie przez ramię. Sean Donovan za nią nie szedł. Właściwie niczego takiego się po nim nie spodziewała. A przynajmniej nie oczekiwała, że byłaby w stanie go zauważyć, gdyby jednak to zrobił.

Był częścią jej przeszłości, ale prócz tej wiedzy nie istniało wiele punktów zaczepienia. Nie miała żadnych wspomnień o tym, jak się kochali, o ile w ogóle można by to tak nazwać. W tamtych dniach po dwóch drinkach jej najbliższa przyszłość stawała się pustą tablicą, a wszystko, co na niej nabazgrano, zamazywało się parę chwil po tym, jak się pojawiło. Mógłby pisać dla niej sonety albo wyśpiewywać arie, a jej i tak byłoby wszystko jedno. Wiedziała jednak, że niczego takiego nie robił; że to był kumpelski seks, tak jak zawsze, bo w tamtym czasie każdy by się do tego nadał, byle miała kogoś, do kogo mogła przywrzeć, gdy zapadała się w ciemność. Nie wymagała wierszy ani oper. Wystarczała jej butelka.

I choć prawdą było, że wielu z tamtych mężczyzn zapomniała i że ledwie zdawała sobie sprawę z ich obecności, kiedy byli w niej, Sean Donovan był przynajmniej kilka razy przy niej, kiedy budziła się rano. Sam lubił wypić i z uprzejmości udawał, że są siebie warci. „Rany, moja głowa! Ale zabalowaliśmy!” Ale tam, gdzie jej urywał się film, on zaczynał się dobrze bawić. Chętnie w tym uczestniczyła, bo w tamtych czasach zawsze była chętna. Czy gdyby było inaczej, zastanawiała się teraz Catherine, czy gdyby wtedy nie piła, mieliby jakieś szanse? Nie dało się już odpowiedzieć na to pytanie.

Zbliżała się do stacji metra. Pojedzie stamtąd do domu. Najpierw jednak Catherine wyjęła komórkę i wybrała numer. Po drugiej stronie od razu włączyła się poczta głosowa. Nie zostawiła wiadomości.

Odłożyła telefon z powrotem do torebki i ruszyła dalej ulicą.

Sto metrów za nią stała czarna furgonetka, jej silnik pracował.

Shirley patrzyła, jak Roderick Ho niezdarnie szuka okularów, i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, uderzając go z otwartej ręki. Jasne, coś takiego dawało przewagę i ogólnie zaskakiwało spoliczkowanego, ale gdyby się wysiliła, żeby zacisnąć pięść, mogłaby złamać temu sukinsynowi nos. Po tym, jak poinformowałaby go pisemnie o swoich zamiarach, gdyby miała na to ochotę. W przypadku Ho „zawczasu ostrzeżony” nie oznaczałoby „na czas uzbrojony”. Oznaczałoby, że i tak oberwałby w nos, tylko że najpierw jeszcze by się tym zmartwił.

Lekko niepokojący w całym tym zajściu był jednak fakt, że jakoś jej to nie uspokoiło.

Zazwyczaj fizyczna przemoc powodowała upuszczenie pary i uwolnienie endorfin, więc potem czuło się ten słodki haj, coś pomiędzy bólem a pieśczętą – tak właściwie powinna teraz z szerokim uśmiechem na twarzy obserwować, jak Ho niezgrabnie szuka okularów, na tyle pogodzona ze światem, by nawet mu w tym pomóc, choć ten niewdzięczny mały gnojek pewnie by jej za to nie podziękował. Zamiast tego wciąż czuła się na maksa nakręcona, i to do tego stopnia, że chętnie przywaliłaby mu po raz drugi. Co oczywiście wchodziło w grę, ale wtedy reszta tego wieczoru przebiegałaby już w zbyt napiętej atmosferze.

Marcusa nie było przy barze; musiał pójść do toalety, chyba że wymknął się bocznym wyjściem. Na pewno go kusilo, żeby to zrobić, ale w swojej obecnej sytuacji by się nie ośmielił.

Dziś rano powiedział do niej:

– Wiesz, co robi ten mały gnojek?

Mogło to dotyczyć wielu różnych małych gnojzków, ale na szczycie tej listy zawsze znajdował się Roderick Ho.

– Śledzi cię w internecie?

– Eee tam. Oprócz tego.

– Wrobił cię?

– Jeszcze nie. Ale odgraża się, że to zrobi.

– Sukinsyn.

– Poczekaj, aż usłyszysz wszystko. Zgadnij, jaką mi podał cenę za milczenie.

Teraz Shirley przyszła do głowy refleksja, że może lepiej było się nie śmiać, kiedy jej o tym powiedział.

– Wieczór w pubie? Tylko tyle?

– Wolałbym już dać mu kasę.

– Och, po prostu fantastycznie. Rób notatki. Chcę wiedzieć wszystko na ten temat.

– To akurat żaden problem. Idziesz ze mną.

– Możesz sobie pomarzyć.

– Bo jeśli będę tam tylko ja i Ho, któż może wiedzieć, do czego doprowadzi ta rozmowa? Kiedy już pogadamy o sporcie i polityce, możemy zacząć gadać o naszych koleżankach z pracy. No wiesz, o tych, które wymykają się wcześniej, kiedy wydaje im się, że nikt nie widzi, i zostawiają w zlewie brudne kubki.

– Pasjonujące.

– I które wciągają kokę.

Shirley upuściła długopis.

– Nie odważyłbyś się.

– Nie będę miał okazji. W końcu ty też tam będziesz.

– To jest szantaż.

– Cóż mogę na to powiedzieć. Uczyłem się od mistrza.

A więc teraz była tutaj, byli tu oboje i znosili towarzystwo maniaka komputerowego w osobie Rodericka Ho. Nic dziwnego, że czuła się...

Ale nie chciała użyć słowa „spięta”.

W zeszłym tygodniu Shirley była u dentysty i przeglądając jakiś magazyn w poczekalni, natrafiła na jeden z tych quizów – „Jak bardzo jesteś spięta?” – i zaczęła w głowie odhaczać odpowiedzi. „Czy denerwują cię ludzie wpychający się bez kolejki, nawet kiedy ci się nie śpieszy?” Cóż, oczywiście, bo to chyba kwestia zasad, prawda? Ale pozostałe pytania wymyślono chyba tak, żeby ją rozzłościć. „Dowiadujesz się, że twój partner spotkał się ze swoim byłym/byłą na drinka, żeby »powspominać stare, dobre czasy«”. Nie musiała czytać reszty. To miało niby pokazywać, jaki ktoś jest „spięty”? Według Shirley ten test oceniał raczej, ile się ma zdrowego rozsądku... Cisnęła czasopismem w drzwi, czym trochę przestraszyła asystentkę stomatologiczną, która wysunęła zza nich głowę. Karma wróciła do Shirley, gdy pięć minut później asystentka nadgorliwie używała irygatora stomatologicznego.

No i tak, poza tym lubiła od czasu do czasu wciągnąć sobie kreskę, ale kto tego nie lubi? Nikt jej nie wmówi, że Marcus nigdy się nie sztachnął – wcześniej był przecież w taktycznej grupie bojowej, a tam wyważali kopniakami drzwi i gdy już posmakowało się haju od adrenaliny, miało się ochotę na inne wspomagacze, prawda? Mówił, że nigdy tego nie robił, ale co miał mówić? Poza tym Shirley nie była przecież nałogowcem. Robiła to tylko w weekendy, wyłącznie od czwartku do wtorku.

Usłyszała ciche plaśnięcie, gdy Roderick Ho usiadł. Jego prawy policzek był wściekle czerwony, okulary przekrzywione.

– Za co to?

Westchnęła ciężko.

– Ktoś musiał to zrobić – powiedziała trochę do samej siebie, żałując, że nie jest teraz gdzie indziej.

Choć mimo wszystko może nie tam, gdzie znajdował się właśnie River Cartwright.

River był w szpitalnym pokoju, stał przy oknie, którego nie było sensu próbować otwierać. Farba skleiała je wiele lat temu, w czasach, gdy fundusze publicznej służby zdrowia przeznaczano jeszcze czasem na malowanie. Zresztą nawet gdyby udało się je otworzyć, powietrze, które wpęłzyłoby do środka, byłoby gęste jak zupa i tak nieprzyjemne, że uwięźłoby w gardle i trzeba by się było rozglądać za szklanką wody. Popukał w szybę i spojrzał w dół na zadaszony pasaż. Hałas dobiegający z ulicy przez krótką chwilę stanowił kontrapunkt dla dźwięków jednego z urządzeń stojących przy łóżku, na którym leżała zanikająca powoli postać, niewywierająca większego wpływu na swoje otoczenie niż przez ostatnich ileś tam miesięcy.

– Pewnie się zastanawiasz, co ostatnio porabiałem – powiedział River. – No wiesz, w czasie, kiedy ty postanowiłeś sobie odpocząć.

Na stoliku przy łóżku stał wentylator, ale ledwie poruszający się kawałek wstążki przywiązany do jego obudowy pokazywał, jak słabo działał. River kilka razy próbował go naprawiać, co sprowadzało się do włączania i wyłączania. Gdy już wyczerpał swoje umiejętności majsterkowicza, zadowolił się pchnięciem krzesła dla gości trochę bliżej strefy przeciągu i ciężko klapnął.

– Cóż, to fascynujące.

Kształt na łóżku nie odpowiedział, ale nie było w tym nic zaskakującego. Przy trzech wcześniejszych okazjach, gdy River tu siedział, czasem w milczeniu, a czasem prowadząc jednostronną rozmowę, nic nie wskazywało na to, by leżący tu człowiek zdawał sobie sprawę z obecności River'a. Właściwie obecność samego pacjenta pozostawała kwestią otwartą. River się zastanawiał, czym zajmuje się umysł, kiedy ciało leży tutaj; czy wędruje po korytarzach przerwanego życia, czy może pograża się w jakimś

stworzonym przez siebie koszmarze? W świecie Salvadora Dalí zamieszkiwanym przez szakale o dwóch pyskach i wielogłowe węże.

– To było przed twoimi czasami, i moimi też, ale w osiemdziesiątym pierwszym odbył się strajk służby cywilnej. Ciągnął się miesiącami. Wyobrażasz sobie, ile się wtedy nagromadziło papierkowej roboty? Wszystko trzeba było zrobić w trzech egzemplarzach, a przez dwadzieścia parę tygodni nikt się tym nie zajmował... Kiedy strajkują strażacy, sprowadza się wojsko. A kogo sprowadzasz, kiedy strajkują urzędaszy?

River też był urzędaszem. Kto by wykonywał jego pracę, gdyby sam tego nie robił? W głowie Rivera nagle pojawiła się niechciana wizja jego własnego ducha, który snuje się po Slough House i przekłada z miejsca na miejsce niezrealizowane zadania.

– W każdym razie widzisz, do czego to zmierza? Sam do tego dojdiesz, jeśli chwilę pomyślisz i jeśli choć trochę wiesz, jak działa umysł Jacksona Lamba. Bo Lamb najbardziej lubi wymyślać zadania, które nie tylko są nudne i bezcelowe, nie tylko wymagają wielu miesięcy ślęczenia nad listami nazwisk i dat w poszukiwaniu jakichś anomalii, o których nie możesz wiedzieć, czy tam w ogóle są, bo nie wiesz, na czym miałyby polegać... To nie wszystko. Te zadania nie tylko są wymyślone tak, żeby zanudzić cię na śmierć i zabijać twoją duszę piksel po pikselu... Wiesz, co w tym jest najgorsze? Naprawdę najgorsze? – Nie spodziewał się odpowiedzi. I się jej nie doczekał. – Najgorsza jest ta nieskończenie mała, ale mimo to realna szansa, że może Lamb coś ma. Że jeśli zrobisz to jak należy, zajrzysz pod każdy kamień, być może uda ci się znaleźć coś, co wcale nie chce zostać znalezione. A właśnie czegoś takiego powinniśmy szukać, prawda? My, z... wywiadu.

Z wywiadu, do którego River dołączył w młodym wieku, podążając śladami dziadka. David Cartwright był w swoim czasie legendą MI5. River

był żartem. Po tym, jak podczas szkolenia zatrzymał w godzinach szczytu ruch na King's Cross i w efekcie skazano go na wygnanie do Slough House. Fakt, że został wrobiony, stanowił prawdziwą puentę tego żartu, ale bardzo niewielu ją słyszało, a Rivera niespecjalnie ona śmieszyła.

– Chodzi o biuro paszportowe – rzekł w końcu. – O cały ten gigantyczny stos zaległych wniosków o paszport, których setki wydano właściwie bez żadnej kontroli, kiedy urzędnicy wróciły do pracy. A więc może był gdzieś ktoś, kto dostrzegł okazję, co? Może to była taka wielka wyprzedaż na rynku fałszywych tożsamości. A jaka może być lepsza fałszywa tożsamość niż autentyczny brytyjski paszport? Odnawiany od tego czasu tyle razy, że jest absolutnie bez zarzutu.

Aparatura piszczała i szumiała, mrugała i pikała, ale kształt na łóżku się nie poruszył ani nic nie powiedział.

– Czasem sobie myślę, że wolałbym być tam gdzie ty – rzucił River.

Ale prawie na pewno nie mówił tego szczerze.

Catherine nie widziała furgonetki. Zobaczyła natomiast żołnierza przy wejściu do metra.

Nie miał na sobie munduru – wówczas nie poświęciłaby mu nawet spojrzenia, w Londynie zawsze byli jacyś rekruci. Miał w sobie jednak czujność, która wiąże się z okupowaniem wrogiego terenu, jakiś nieufny spokój, i teraz, tego wieczoru, widziała już dwóch i jakiegokolwiek wątpliwości co do przypadkowych spotkań się ulotniły. Trzymał zrolowaną gazetę, żeby zająć czymś ręce, i nie tyle czuwał, co chłonał wszystko wokół; katalogował ruch, szukając anomalii. Albo nie anomalii, poprawiała się. Szukając jej.

I właśnie ją zobaczył; nawet jeśli jej nie zobaczył do tej pory, to zauważył ją teraz, bo gwałtownie zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni. Kiepska technika, ale nigdy nie pracowała w terenie – najpoważniejszą

operacją, jaką przeżyła, był zabieg usunięcia migdałków, i czy to paranoja? Kiedy stare kiepskie czasy powracały, kiedy znów czuła pragnienie, by się napić, mogło się zdarzyć wszystko...

Nie spojrzała za siebie; zamiast tego skupiła się na chodniku przed sobą. Obok przejechała czarna furgonetka i Catherine musiała zejść na bok, by przepuścić grupę nastolatków, ale pozostawała w ruchu. Niedaleko był przystanek i jeśli będzie miała szczęście, dotrze tam akurat, gdy nadjedzie autobus. A w autobusie, jeśli jakiś nadjedzie, znów zadzwoni do Lamba. Jeśli jakiś nadjedzie.

Ulice bynajmniej nie były opustoszałe. Ludzie w biurowych strojach, inni w T-shirtach i szortach; sklepy wciąż pozostawały otwarte, ale w oknach banków i totalizatorów sportowych było już ciemno. Drzwi pubów i barów stały otworem, zablokowane, a gorące powietrze buchało z nich wraz z gwarem głosów i donośną muzyką. Kanał był niedaleko, a w takie letnie wieczory młodzi ludzie dryfowali w tamtą stronę, popijali wino na ławeczkach albo rozkładali koce na trawie, by sennie się na nich wylegiwać i wysyłać SMS-y. Wystarczyłoby, że Catherine podniosłaby głos, że wezwałaby pomoc...

I co by jej to dało? Wykluczenie. Jakaś kobieta rozkleiła się podczas upałów – lepiej kogoś takiego unikać.

Zaryzykowała spojrzenie przez ramię. Autobusu nie było. I nikt za nią nie szedł. Żołnierza, o ile faktycznie nim był, nigdzie nie dostrzegła, Seana Donovana też nie.

Na przystanku się zatrzymała. Następny autobus zabierze ją tam, skąd przyszła; wysiądzie naprzeciwko Slough House, przewijając ten wieczór z powrotem do punktu, gdy wyszła z bocznej uliczki. Nic z tego wszystkiego się nie wydarzy, a rano spojrzy na to jak na drobne zawirowanie; tego rodzaju wybór na drodze, z jakimi uczą się radzić sobie

dochodzący do siebie alkoholicy. Dalej na skrzyżowaniu zmieniły się światła i strumień samochodów ruszył w jej stronę – liczyła na autobus, ale największym z nich okazała się czarna furgonetka, ta sama, która dopiero co przejechała w przeciwną stronę. Serce Catherine забиło szybciej. Opuściła przystanek. Jeden żołnierz, dwóch żołnierzy; powracająca czarna furgonetka. Niektóre rzeczy były echem pijackiej przeszłości. Inne nie.

Czemu, u licha, miałyby być czymś celem?

Pytanie na inną chwilę. Bo teraz musiała zniknąć.

Zanim nadjeżdżające pojazdy się z nią zrównały, przemknęła na drugą stronę ulicy.

W drodze do baru Marcus zahaczył o ubikację, szukając ulgi w kilku spędzonych w samotności chwilach. Znalazł wolną kabinę i zajął ją, by zastanowić się nad tym, co się stało z jego życiem. Ostatnio – a już na pewno od czasu zesłania go do Slough House, a dokładniej przez minione dwa miesiące – życie było jak woda spływająca w klozecie. Nic dziwnego, że tutaj czuł się spokojniejszy.

Kiedy jeszcze wszystko było tak, jak powinno być, jeden z instruktorów walki wyjaśnił mu pewną zasadę: kluczem jest kontrola. Kontroluj otoczenie, kontroluj przeciwnika. A przede wszystkim kontroluj samego siebie. Marcus pojął to, gdy pierwszy raz to usłyszał – a przynajmniej tak mu się wydawało – wkrótce jednak się przekonał, że to była wersja pisana dużym drukiem: kontrola nie oznaczała tylko, że nie zgubisz pokrywki, oznaczała, że trzeba tę pokrywkę przybić gwoździami. Oznaczała, że zmieniasz się w jeden z tych żołnierskich przyborów, które składają się aż do chwili, gdy zmieniają się w samą rękojeść, bez żadnego ostrza, i można je otworzyć tylko wtedy, gdy są potrzebne.

Problem ze szkoleniem polegał jednak na tym – i Marcus nie był pierwszym, który to zauważył – że w trakcie nabywało się wiele

umiejętności, których później się nie używało. Wiele rzeczy, które wpakowano mu do głowy – na przykład jak zniknąć w lesie na czterdzieści osiem godzin – do niczego mu się od tamtego czasu nie przydało. Wyważył kopniakami kilkoro drzwi i nie tak dawno temu wpakował w innego człowieka kilka kul dość ciasno obok siebie, ale ogólnie rzecz biorąc, kariera nie stawiała mu wysokich wymagań. A teraz Slough House, ta powolna zagłada wszystkich ambicji, jakie kiedykolwiek miał... Kontrola była jedynym, co pozwalało mu nie zwariować. Codziennie przybijał pokrywkę gwoździami i robił, co mu kazano, jakby na dłuższą metę mogło mu to zapewnić jakąś nagrodę. I to mimo tego, co na samym początku powiedziała mu Catherine Standish – że każdy kulawy koń wie, że nie ma powrotu, z wyjątkiem tej małej części każdego kulawego konia, która myśli sobie: „Być może ja będę wyjątkiem...”.

I oczywiście kontrola nierozzerwalnie wiązała się z hazardem – owo oddawanie kontroli dawało mu kopa. Bez względu na to, jak bardzo się oszukiwał, że udaje mu się to wszystko wyważyć, że oddaje tylko kontrolę nad otoczeniem, ale przez cały czas panuje nad sobą – że wytycza sobie granice, ustanawia limity – prawda była taka, że za każdym razem, gdy wchodził do kasyna, wkraczał w nieznanne. I jeszcze do niedawna to nie miało znaczenia, bo jeszcze do niedawna nie miał w zwyczaju przegrywać.

Wciągnęły go automaty, te cholerne ruletki automatyczne, które pojawiły się w salonach gier jakby z dnia na dzień. Z jednorękkimi bandytami nigdy nie miał problemu – sama ich nazwa była wskazówką. Od początku było wiadomo, że puszczą cię z torbami. Ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ruletka automatyczna była bardziej kusząca, bardziej uwodzicielska... Zaczynało się od kilku monet i zdumiewające, jak bardzo można było się zbliżyć do wygranej, tak naprawdę nie wygrywając, więc wrzucałeś jeszcze kilka i wtedy wygrywałeś. Wygrana wyrównywała

rachunki. Gdy się wygrało, wracało się do punktu wyjścia, tyle tylko że miało się trochę mniej kasy... Zdarzało mu się grywać w pokera z zawodowcami z Vegas i odchodził od stolika bez wstydu; wygrywał, stawiając na ślepo na konie, które były chodzącą karmą dla psów, no i proszę, teraz oskubała go pieprzona maszyna, którą karmił dwudziestkami, jakby była jego pierworodnym dzieckiem. Kiedyś szczycił się tym, że jest najgorszym koszmarem kasyna: hazardzistą, który gra według zegara. To znaczy: „wychodzę o dziesiątej, obojętne, czy jestem do tyłu czy do przodu”. Ostatnio za każdym razem, gdy zerkał na zegarek, miał wrażenie, że wskazówki przeskoczyły o trzydzieści minut do przodu, i za każdym razem, kiedy tak się działo, dzień jego wypłaty coraz bardziej się oddalał.

Dobrał się do oszczędności. W metrze przyłapał się na tym, że ogląda reklamy pożyczek, takich z rocznym oprocentowaniem na ponad cztery tysiące procent. Cassie go zabije, o ile sam się najpierw nie zastrzeli.

A najgorsze było to nadganie w godzinach pracy, logowanie się do kasyn online, żeby odbić sobie straty, które poniósł podczas przerwy na lunch – przyłapał go pieprzony Roderick Ho, odpowiedź Slough House na wynalezienie tachometru. I to dlatego dziś wieczorem był kumplem Ho do picia, a za jedyne wsparcie miał ćpunkę Shirley Dander. Tak, kibel był dla niego właściwym miejscem, ale nie mógł siedzieć tu wiecznie. Podźwignął się i ruszył z powrotem do baru.

Gdy znów dołączył do kolegów, Shirley pytała właśnie Ho, czy jego gęba jest w ogóle połączona z mózgiem.

– „Suka”? Masz szczęście, że tylko dałam ci klapsa.

Ho z ulgą odwrócił się do Marcusa.

– Uwierzysz w to, psie?

– Nazwałś mnie właśnie „psem”?

Shirley uniosła rękę, by z przyjemnością popatrzeć, jak Ho się wzdryga.

– Uważaj, kurwa, jak się wyrażasz – ostrzegła.

– Nazwał mnie „psem”?

– Tak mi się wydaje.

Marcus zdjął okulary z nosa Ho i rzucił je na podłogę.

– Jestem psem? To ty jesteś psem. Aport!

Kiedy Ho znów po omacku ich szukał, Marcus zwrócił się do Shirley:

– Nie wiedziałem, że ty i Louisa jesteście blisko.

– Nie jesteśmy. Ale nie poleciłabym Ho nawet kozie.

– Kobięca solidarność.

– Właśnie.

Stuknęli się kuflami.

Gdy Ho znów usiadł, przytrzymał okulary dwoma palcami.

– A to za co było?

Marcus pokręcił głową.

– Nie mogę uwierzyć, że nazwałeś mnie „psem”.

Ho zerknął ukradkiem na Shirley i powiedział:

– Zapomniałeś o warunkach naszej... uch... umowy?

Marcus wypuścił powietrze przez nos. Prawie parsknął.

– Dobra – odparł. – Powiem ci, jak będzie. Renegocjujemy warunki, co? Oto moje. Jeśli piśniesz komukolwiek chociaż słówko o tych kasynach internetowych, połamię ci wszystkie kości, ty cholerny cykorze.

– Nie jestem cykorem.

– Skup się na połamanych kościach. Zrozumiano?

– Nie jestem cykorem.

– Ale będziesz miał połamane kości.

– Będę miał połamane kości. Ale nie jestem cykorem.

– Stawiasz akcenty w dziwnych miejscach. I wiesz, na czym polega twój problem? – Marcus zaczynał się rozkręcać, rozwijał wątek. – Nigdy nic nie robisz. Siedzisz tylko w biurze i surfujesz na tych twoich maszynach jak... jak... jak jakiś pierdolony chochlik. Dzień po dniu przeżuwasz tylko bezużyteczne informacje, żeby zadowolić cholernego Jacksona Lamba.

– To tak jak ty.

– Tak, ale ja tego nienawidzę.

– Ale dalej to robisz.

Shirley pokręciła głową.

– Jesteś cieniem, Ho – wyjaśnił Marcus. – Jesteś i zawsze będziesz. Kobieta taka jak Louisa nigdy na ciebie nie spojrzy, żadna inna zresztą też, chyba że najpierw obejrzy sobie twoją kartę kredytową. Ja nie mam takiego problemu. Wiesz dlaczego? Bo zanim utknąłem w tym gównie, robiłem inne gówno. Prawdziwe. A ty przez całe życie tkwisz w tym gównie i jeszcze to lubisz.

– Co właściwie próbujesz mi powiedzieć? – spytał Ho.

– Boże, daj mi siłę... Zrób coś, to ci chcę powiedzieć. Chcesz pozostawić jakiś ślad, chcesz imponować ludziom, to coś zrób. Nieważne co, byle to nie było ślęczenie przed monitorem i przeżuwanie... danych.

Gdyby ten ostatni rzeczownik nie odnosił się do informacji, lecz do płynów ustrojowych, Marcus i tak nie zdołałby go wypowiedzieć z większym niesmakiem.

Wstał.

– Spadam. Połamane kości, pamiętasz? Jeśli nie wyniosłeś z tej rozmowy nic więcej, zapamiętaj chociaż tyle. Połamane kości.

– Nie pijemy jeszcze jednej kolejki?

Shirley znów ułożyła palce w krzyżyk.

– Hashtag: brak zrozumienia.

– Skończ z tym – powiedział Marcus. Spojrzał na swoje niedokończone piwo, wzruszył ramionami i skierował się do drzwi.

Shirley wyciągnęła rękę, ostrożnie zdjęła Ho okulary, złożyła je i wrzuciła do guinnessa pozostawionego przez Marcusa.

– Masz – zakończyła.

Ho otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

Po drugiej stronie ulicy trwały prace budowlane, tak jak chyba wszędzie: wyburzono biurowiec, pewnego dnia miał tu powstać nowy, a tymczasem pustą przestrzeń otoczono ogrodzeniem z desek, na wypadek gdyby ktoś się połapał, że nie wszędzie musi stać jakiś budynek. Catherine szybkim krokiem przeszła obok, stukając o chodnik butami ze sprzączkami. Zbliżający się z naprzeciwka mężczyzna posłał jej zatroskane spojrzenie, trudno powiedzieć, czy dlatego, że tak szybko szła, czy z powodu jej stroju.

Prawie nie знаła tej okolicy, ale wiedziała, że jeśli skręci w prawo, wkrótce znajdzie się na głównej drodze prowadzącej na King's Cross; gdyby poszła w drugą stronę, znalazłaby się w jednym z tych miejsc będących londyńską specjalnością, gdzie niewielkie enklawy historii pozostawiono właściwie bez zmian. Tam akurat były to georgiańskie place, wiele z nich w nienaruszonym stanie; w kilku brakowało zabudowy z jednej strony wskutek wojen lub wyburzeń. Wzdłuż krawężników stały zaparkowane samochody. Uderzyła ją myśl – wydawała się jak spostrzeżenie jakiejś innej osoby – jak spokojnie może wyglądać Londyn, gdy patrzy się na niego pod właściwym kątem i we właściwym oświetleniu.

Na głównej drodze głośne krzyki mogły wywołać zamęt, a zamęt sprzyjał wrogowi. Tutaj, z dala od szybkiego pulsu ruchu ulicznego, mogłaby zapukać do jakichś drzwi i poprosić o schronienie... Zaryzykowała spojrzenie za siebie. Ani śladu czarnej furgonetki, która z powodu linii ciągłej musiałaby przejechać jeszcze kawałek, zanim

mogłaby skrócić. Ale sto metrów za nią ktoś jest albo był – w chwili, gdy się odwracała, postać rozplynęła się w wieczornym skwarze. Może to tylko podświadomość usiłowała ją zwodzić.

A może to był mężczyzna, który schował się za zaparkowanym samochodem.

Możliwe, że to wszystko przywidziało jej się przez ten upał. Że to paranoja, towarzyska trzeźwego alkoholika, rozkwitająca w skwarny wieczór. Czuła jednak, że to dzieje się naprawdę. Najpierw Sean, potem ten drugi żołnierz; furgonetka, która zawróciła, jakby zamierzali ją zgarnąć. W Catherine wzbierała panika, choć tylko zawodowiec by to dostrzegł. Wyglądała na rozkojarzoną, nic więcej. W Slough House to mógł być wystarczający powód, żeby zacząć wznosić barykady, ale tu, na ulicy, nikt tego nie zauważał.

Była przekonana, że jest śledzona i że tamten mężczyzna zniknął za samochodem.

I była przekonana, że czarna furgonetka znów się pojawi i że z jakiegoś nieznanego powodu właśnie ona, Catherine, jest celem – że Sean Donovan oznakował ją dla ekipy śledzących, która się zbierała i wkrótce uderzy.

Catherine przyśpieszyła kroku, znalazła telefon, znów zadzwoniła do Lamba i ponownie od razu włączyła się poczta głosowa. Przerwała połączenie i znów zaczęła się zastanawiać, czy nie zapukać do jakichś drzwi; ale co potem? Zdawała sobie sprawę, że Shirley Dander nazywa ją Szaloną Guwernantką. Niebezpieczne zagranie czepiać się wyglądu innych, gdy samemu ma się niecały metr sześćdziesiąt wzrostu i fryzurę na rekruta, ale mimo wszystko – styl ubierania się, który lubiła Catherine, pozwalała ludziom postrzegać ją jako ekscentryczkę. Wpuściłbyś taką kobietę do swojego domu? Poza tym pukanie do drzwi oznaczałoby, że musiałyby się zatrzymać, a czuła się najbezpieczniej, pozostając w ruchu. Lamb

pozostałby w ruchu, pomyślała. Nie ten Lamb, którym jest dzisiaj, ale Lamb, którym był kiedyś tam, gdy wiódł życie, które zmieniło go w Lamba, jakim jest dzisiaj.

Szybkim krokiem przeszła przez plac i ruszyła wzdłuż kolejnych szeregowców. Zaczęły się włączać uliczne latarnie i upał też nie był już tak dotkliwy, promieniował z chodników, zamiast łać się żarem z nieba. Noc nie przyniesie ulgi. Mimo wszystko Catherine liczyła, że nim zapadnie ciemność, będzie już w domu, za zamkniętymi drzwiami, zastanawiając się, jakież to chwilowe szaleństwo dopadło ją na prażonych słońcem ulicach.

W tej linii domów było może jakieś trzydzieści szeregowców i kończyła się kolejnym placem. Na następnym skrzyżowaniu Catherine skieruje się w stronę głównej ulicy: wsiądzie do autobusu, skorzysta z sieci komunikacji, która łączyła Londyn wtedy, kiedy sama go nie blokowała. Znów spojrzenie za siebie. Nikogo. Ten kształt, który opadł za samochód, to był jakiś spadający cień, nic więcej. Dwie czarne furgonetki spokojnie mieściły się w granicach normalności. Obok niej przejechał samochód szukający miejsca do zaparkowania i skręcił za róg. Gdy tylko zniknął z zasięgu wzroku, w uliczkę wjechała czarna furgonetka. Catherine się zachwiała, a Sean Donovan chwycił ją w ramiona jak bohater z bajki; jednym ruchem wziął ją na ręce i zasłonił jej usta. Czarna furgonetka zwolniła, jej tylne drzwi się otworzyły i Donovan wsiadł do niej, trzymając Catherine na rękach. Drzwi się zamknęły i furgonetka odjechała.

Trwało to najwyżej siedem sekund.

Ulice wciąż cicho tliły się w świetle wieczoru, a niebieska godzina przeszła w mrok.

Wciąż panował piekielny upał, gdy Jackson Lamb wyszedł ze Slough House na tylne podwórze i szukając w kieszeni zapalniczki, natrafił na komórkę. Zobaczył, że ma dwa nieodebrane połączenia – od Standish.

Nieodebrane połączenia. Pewnie chciała się poskarżyć, że nie dotarła dostawa materiałów biurowych albo że drukarka nie działa. Standish uparcie zwracała się z takimi kwestiami do niego, bez względu na to, ile razy wyjaśniał politykę wydziału w tym zakresie, a mianowicie, że ma to gdzieś. Z tłącym się papierosem w ręce począpał uliczką, pozostawiając za sobą kłęby dymu niczym obraz wędrownego ducha...

Dym unosił się tylko przez chwilę, lecz zanim się rozwiął, na moment nabrzmiał, jakby przepełniony wrażeniami wywartymi przez ludzi pracujących w tym budynku, przytłoczonych żalobą i długami z hazardu, uzależnieniem od narkotyków i egocentryzmem; odreagowujących ośpieniem, sprzeczkami w pubach, szukaniem zapomnienia w łóżkach nieznajomych. Pozostali stawali się otyli, leniwi i zadowalali się tym, jak jest; przyglądał im się kolejno, jakby gdzieś wśród nich kryła się odpowiedź na pytanie zadane niedawno dość daleko od tego miejsca: „Któremu z kolegów powierzyłbyś swoje życie?”.

A potem powietrze się poruszyło i dym zniknął.

Kiedyś musiał to być dziecięcy pokój gnieźdzący się spokojnie pod okapem, bo pod białym sufitem Catherine dostrzegła niewyraźne kształty dawnego wzoru z gwiazdek i półksiężyców, dekoracji mających zafascynować użytkownika kołyski. Musiało to być jednak w odległej przeszłości, sądząc po gipsowym pyłe, który w zaspach pudru zalegał przy listwie podłogowej. Podłoga też była goła – nie zapewniała żadnej ochrony niemowlęcym stópkom – ale przy pojedynczym łóżku położono cienki dywanik, a kłódka po zewnętrznej stronie drzwi była solidna, solidniejsza, niż wymagałoby tego nawet najbardziej skore do psot dziecko. Nie był to już dziecięcy pokój, ale nie było to też najlepiej zabezpieczone więzienie.

Jechali przez co najmniej godzinę; z początku powoli przez nigdy niepustoszące londyńskie ulice, potem szybciej, gdy już wydostali się ze stolicy. Trochę ponad godzinę, pomyślała, ale odebrali jej zegarek, a Catherine zabrakło koncentracji, żeby powoli odliczać... Poza tym straciła przytomność, gdy wrzucano ją do furgonetki. Po części wynikało to z tego, jak chwycił ją Sean Donovan, który ucisnął jej... czyżby tętnicę szyjną? A po części z szoku, upału i choć brzmiało to jak jakieś szaleństwo – z chwilowego rozluźnienia związanego ze świadomością, że najgorsze już się stało i nie musi odczuwać strachu przed jego nadejściem. Zakręciło jej się w głowie i pociemniało przed oczami. Nie liczyła więc, ile razy skręcali. Nie zapamiętywała charakterystycznych dźwięków. Jeśli gdzieś po drodze dzwoniły kościelne dzwony, to ich nie słyszała. Jeśli furgonetka mijala wodospad, nie zwróciła na to uwagi.

Oprócz Donovana było jeszcze dwóch innych. Jeden oczywiście prowadził. Był sam Sean, który zgarnął ją z ulicy jak worek śmieci wystawionych do zabrania przez śmieciarkę, i trzeci mężczyzna, tamten żołnierz, którego widziała przy wejściu do metra. Przyszło jej do głowy, że zauważyła go nie w wyniku popełnionego przez niego błędu – miała go zauważyć i zawrócić. Bo na co przydałaby im się furgonetka w metrze?

Teraz, jak każdy inny więzień, najpierw sprawdziła okno. Było osadzone we wnęce utworzonej przez skośny dach, podzielone szczelinami na romby i zamknięte prostym zamkiem. Z łatwością mogłaby się przez nie przecisnąć, jednak w zewnętrznym parapecie tkwiły żelazne kraty i gdy nimi szarpnęła, doszła do wniosku, że donikąd się nie wybierają. Nie żeby była stworzona do zsuwania się po ścianie domu. Nie było to najlepiej zabezpieczone więzienie, ale też nie musiało takie być – w końcu była kobietą w średnim wieku, która nigdy nie pracowała w terenie, dochodzącą do siebie alkoholiczką i asystentką pijaka, który jeszcze nie dotarł do tego etapu. Do czego jej potrzebowali? I kim byli, wliczając w to Seana Donovana?

Catherine nie była w stanie przecisnąć się przez okna, poprzestała więc na tym, że pozostawiła je otwarte, co sprawiło, że powietrze w pomieszczeniu było teraz trochę inne. Nie dałoby się tego jednak nazwać powiewem. Z oddali dobiegał cichy szum ruchu ulicznego, ale z miejsca, w którym się znajdowała, nie była w stanie dojrzeć drogi. Miała wrażenie, że to autostrada, choć nie pozwalało to zbyt zawęzić możliwości. Mniej więcej godzinę jazdy od centrum Londynu, gdzieś przy autostradzie... Wolno stojący dom, zapewne na wsi, bo było zbyt ciemno, by brać pod uwagę coś innego.

W furgonetce założyli jej opaskę na oczy i knebel i skrupowali ręce, ale żadnej z tych rzeczy nie zrobili brutalnie – równie dobrze to mógł być

element erotycznej zabawy, zapowiedź imprezy. I to tyle, jeśli chodzi o resztę podróży. Zastanawiała się, czy się nie szarpać, ale po co? Lepiej zachować siły na to, co miało wydarzyć się później, cokolwiek to będzie.

Kiedy zjechali z autostrady, nawierzchnia szybko się pogorszyła: zjazd, boczna droga, słyszała, jak krzaki ocierają się o boki furgonetki. Potem zgrzyt żwiru i nagłe wyboje nierównego terenu. Furgonetką szarpnęło i się zatrzymała. Nie manewrowała, żeby wjechać na miejsce parkingowe. Rozwiązali Catherine, ale nie zdjęli jej opaski. Pomogli jej wysiąść, czyjeś silne ramię – nie Donovan – objęło ją w pasie i podtrzymało, dopóki nie stanęła na nogach. Potem wiejskie powietrze, łagodniejsze niż miejskie, pełne zieleni i zapachów, i weszli do domu z drewnianą podłogą, na której podzwaniały sprzączki na jej butach, wywołując słabe echo.

– Teraz schody.

Znów nie Donovan.

Tak, schody, a potem jeszcze więcej schodów; w sumie trzy piętra. A później znalazła się tutaj, w tym pomieszczeniu, które kiedyś było pokojem dziecięcym, i zdjęli jej opaskę.

– Twoja nowa kwatery.

To był ten drugi żołnierz, ten z metra: ulepiony z tej samej gliny co Donovan. Zanim zdążyła mu się bardziej szczegółowo przyjrzeć, wyszedł. Usłyszała, jak zakłada kłódkę, a potem schodzi na dół.

I tak znalazła się tutaj. Zabrali jej torebkę: pieniądze, chusteczki, szminkę, czytnik Kindle, bilet miesięczny i inne rzeczy; oczywiście łącznie z telefonem. I zegarek. Nie obszukali jej jednak, co łatwo mogłoby ich zgubić, gdyby miała w zwyczaju nosić przy sobie ukrytą broń albo coś, z czego można by ją zrobić. I wciąż nie miała pojęcia, czego od niej chcieli... Poczła leciutki przeciąg od otwartego okna. Na horyzoncie piętrzyły się wzgórza, bezgwiazdna forma zasłaniająca niebo. Kilka świateł

w oddali, zapewne inne domy; wyraźniejszy blask elektryczności, najprawdopodobniej stacja benzynowa przy pobliskiej autostradzie. Wszystko widoczne jak na dłoni. Niemal amatorska akcja, jeśli nie liczyć udziału Seana Donovana. Jego nikt nie nazwałby amatorem.

Spoglądając na swoje najbliższe otoczenie, widziała inne zabudowania, na wpół zarysowane w świetle padającym z okien na dole. Wyglądały jak budynki gospodarskie; stodoły? Utwierdziło ją to w przekonaniu, że to dom na wsi. W mroku było coś jeszcze; pojazd o rozmiarach i w kształcie londyńskiego autobusu; jeden ze starych routemasterów, które albo wycofano z użytku, albo planowano ponownie wprowadzić, w zależności od tego, jaka była polityka transportowa danego poranka. Kolejny dziwaczny akcent dorzucony do całości. Co tu jest grane?

Nie sądziła, by to było coś osobistego. Donovan nie zmontowałby ekipy, żeby porwać swoją byłą dziewczynę. W sumie to nawet nie dziewczynę; jedną z kobiet, z którymi się przespał. W takim razie powód był inny... Wiedział, że nie pracowała już w Regent's Park, bo sam to powiedział na Aldersgate Street. Ile wiedział o Slough House? Myślał, że to ważne miejsce? Jeśli tak, to bardzo się rozczaruje.

Po przeciwnej stronie pokoju znajdowały się drugie drzwi i teraz Catherine nacisnęła klamkę, spodziewając się, że będą zamknięte na klucz, ale te z łatwością się otworzyły. Łazienka: muszla klozetowa, umywalka, wanna. Na ścianie nie było szafki, pozostały jednak ślady po wkrętach i mniej odbarwiony fragment kremowobiałej farby – znak, że kiedyś tu wisiała. Cóż, pomyślała Catherine, daj dziewczynie lustro, to zrobi sobie nóż. Jej porywaczom przyszły zapewne do głowy podobne myśli na temat potencjalnej broni z szamponu, tubki z pastą do zębów, sprayu do włosów i tak dalej, bo jedynym przyborem toaletowym z wyjątkiem samotnej rolki papieru toaletowego była niewielka kostka mydła, wciąż w oryginalnym

opakowaniu. Wystarczyłoby wetknąć w nią spinkę do włosów, pomyślała Catherine, i jednorazowy sztylecik gotowy, ale nie miała spinki do włosów i przypuszczała, że nawet gdyby ją miała, to wystarczyłby ktoś niewiele większy od zucha, żeby jej taką broń odebrać.

Było tu kolejne okno, świetlik, ale też okratowane, a poza tym poza zasięgiem.

Wróciła do pokoju. Przyszła jej do głowy myśl, że może powinna się trochę przespać – zwłaszcza że miała do wyboru niewiele innych aktywności oprócz przechadzania się tam i z powrotem z narastającym uczuciem strachu – postanowiła jednak tego nie robić. Sen uczyniłby ją bezbronną. Na razie panowała przynajmniej nad sobą. Posiedzi i poczeka. Prędzej czy później informacje zaczną napływać. A tymczasem dalej będzie sobą: trzeźwą, niepokonaną i na tyle dobrze zorganizowaną, na ile pozwalała jej na to sytuacja.

Minęło około pół godziny, nim ktoś się zjawił. Wcześniej Catherine wyłączyła światło, by lepiej się zapoznać z widokiem za oknem, ale po ciemku nie przyszły jej do głowy żadne świetne pomysły. Pamiętała, że Sean Donovan był oficerem łącznikowym, kiedy go poznała; przyszedł na spotkanie z Charlesem Partnerem, jej dawnym szefem, jak też ówczesnym szefem MI5, oraz z różnymi grubymi rybami, niektórymi Z Głębi Korytarza, jak miejscowi nazywali Westminster, i innymi Zza Rzeki, gdzie ponoć mieściła się siedziba wywiadu. Jako jedyny z zebranych spojrzął jej w oczy, gdy rozdawała tamtego ranka dossier. A potem już to się jakoś potoczyło. W tamtych czasach zwykle tak bywało.

Teraz, słysząc odgłos otwieranej kłódki, założyła, że to będzie on, nie znała jednak mężczyzny, który wszedł; nie był to ani Donovan, ani ten drugi żołnierz, tylko jakiś trzeci: młodszy, mocno zbudowany. Miał na sobie biały niegdyś T-shirt, na ramionach wiły mu się atramentowe wzory,

które wyglądały też spod kołnierza i wpełzały na ogolony kark. Trzymał coś w ręce, a właściwie dwa cosie. Jednym były kajdanki, które założyli jej w furgonetce. Drugim komórka – wyglądała na należącą do niej.

– Załóż to. – Podał jej kajdanki.

– Dlaczego tu jestem?

– Po prostu załóż kajdanki, paniusiu. I to. – Wyjął z tylnej kieszeni knebel.

– To mój telefon?

– Tak.

Zauważyła, że jego samogłoski brzmiały płasko – północny akcent. Nie była specjalistką od regionalnych akcentów, ale doszła do wniosku, że pochodził raczej z północnego zachodu niż ze wschodu. Zauważyła też, że w reakcji na to jej wymowa się wyostrzyła i teraz bardziej przypominała tę z BBC. Być może efekt przebywania z Lambem. On robił ludziom takie numery.

– Jak się nazywasz? – spytała.

– Serio?

– Nie zaszkodzi spróbować.

– Po prostu załóż te kajdanki, dobra?

– Cóż, skoro to taka tradycja – stwierdziła Catherine.

Podsunęła mu nadgarstki, potem pochylił się nad nią, żeby zawiązać jej knebel. Kiedy to robił, poczuła jego zapach – pot, niedostatecznie zamaskowany dezodorantem, który pachniał niewiele lepiej. Kiedy skończył, odsunął się o krok i wycelował w nią jej iPhone'a. Stała bez ruchu, kiedy robił jej zdjęcie, a potem gdy oglądał efekt, kiwając głową. Boże, co on sobie wyobrażał?

Może wychwycił coś z tej myśli w jej pustym spojrzeniu, bo gdy zdejmował jej knebel, powiedział:

– Tylko sprawdzałem.

– Dziękuję, Davidzie Baileyu.

– Że co?

– Nieważne. – Ale teraz był Baileyem i to ją zadowalało. Fakty, nawet takie, które się samemu wymyśla, dają kontrolę nad tym, co się dzieje.

Rozkuł ją i wyszedł, po czym zamknął za sobą drzwi na kłódkę. Zastanawiała się, która godzina, doszła do wniosku, że po północy, a wtedy zaczęła myśleć, czy zamierzają ją nakarmić. Nie była głodna, ale ktoś musiałby tu przyjść, żeby przynieść jej jedzenie, i może powiedziałby coś więcej... Od myślenia o tym, że nie jest głodna, zachciało jej się pić, więc wróciła do łazienki i napiła się wody z kranu, nabierając jej w dłonie. Gdzie normalnie byłaby o tej porze? W domu; najprawdopodobniej by spała. Nie zawsze dobrze sypiała. Były takie noce, gdy do późna słuchała cichej muzyki. Kiedyś alkohol zacierał ostre krawędzie nawet najgorszych dni. Teraz musiała polegać na innych sposobach, a dni nigdy się do końca nie wygładzały.

Musiała przysnąć albo zawisnąć na granicy snu, bo hałas otwieranych drzwi ją wystraszył; ocknęła się z dziko bijącym sercem. Usiadła tak szybko, że zaszumiało jej w głowie.

Tym razem to był Donovan.

Z początku się nie odzywał, tylko rozglądał się po pokoju, jakby zapłaciła kaucję za mieszkanie, a on szukał powodów, żeby jej nie zwrócić. Gdy to robił, przyglądała mu się, szukając oznak poczucia winy. Uznała, że je dostrzega. Cokolwiek tu się działo, nie czuł się najlepiej przynajmniej z tym.

Kiedy wreszcie na nią spojrział, jego oczy wciąż miały odcień tego burzliwego błękitu mroczniejszych chwil.

– Bailey niewiele powiedział – stwierdziła.

– Bailey?

– Taki mój dowcip.

– Cieszę się, że poznajesz nowych przyjaciół. Myślałem, że z tym skończyłaś.

– O to w tym chodzi? Przez wszystkie te lata dyszałeś z namiętności, Sean?

– Tak myślisz?

– Jeszcze nie wiem, co myśleć. Co się z tobą stało?

Roześmiał się, albo prawie się roześmiał. W każdym razie wydał dźwięk, w którym słychać było cień rozbawienia.

– Oboje się stoczyliśmy, nie uważasz?

– Och, jakoś sobie radzę. Ale ty? Kiepsko wyglądasz.

Zerknął na siebie.

– Nie chodzi mi o twoje ubranie. Chodzi mi o ciebie, Sean. Nie jesteś mężczyzną, którego znałam. Jakbyś zażył powoli działającą truciznę.

– Powoli działającą truciznę.

Wzruszyła ramionami w typowy dla siebie sposób; pokazała puste dłonie na znak, że nie ma absolutnie nic do ukrycia.

– Dama z ciebie, co? Teraz, kiedy już nie zaglądasz do kieliszka.

W tej chwili poruszał się swobodniej, jakby naoliwiono mu stawy. Samo to by wystarczyło, żeby domyśliła się, że pił, nawet gdyby nie poczuła zapachu. Wyobraziła go sobie na dole w jednym z pomieszczeń, których nie widziała. Sympatycznie obskurny pokój z widokiem na podwórze z budynkami gospodarczymi i piętrowym autobusem. Pewnie był tam kredens, barek z napojami – jak żywcem wyjęty z lat pięćdziesiątych. Pewnie Sean polał sobie z karafki z rżniętego szkła, wypił jednym haustem, później polał raz jeszcze, żeby powoli sączyć i delectować się drinkiem w bardziej kontemplacyjnym nastroju. Prawdopodobnie sądził, że to nie

przytępia jego zmysłów, bo każdy tak sądzi. Podobnie jak nałogowi palacze, którzy nie czują zapachu dymu na swoich ubraniach, pijacy zawsze myślą, że picie na nich nie wpływa.

Mimowolnie zacisnęła pięści. Wczuwanie się w pijackie rozmyślenia tak na nią działało.

Rozluźniła dłonie i strzepnęła spódnicę, jakby były na niej okruszki. W jej ruchach było coś bardzo precyzyjnego i najwyraźniej to go zirytowało.

– Dopięta na ostatni guzik, co? Kto by to pomyślał w naszych dawnych czasach.

– Jestem alkoholiczką, Sean – odparła spokojnie. – Robiłam dużo różnych rzeczy. Teraz bym ich nie zrobiła.

– Teraz jesteś na to za dobra.

– Nie chodzi o bycie dobrą.

– Ale byłaś dobra. Na plecach czy na kolanach, zawsze byłaś dobra.

Czekał na jej reakcję, ale nie odpowiedziała. Po prostu przyglądała mu się niewzruszona, będąc osobą, którą była teraz, a nie tą z przeszłości, i dając mu do zrozumienia, że się nie wstydzi ani nie czuje obrzydzenia do samej siebie. Tylko determinację, żeby już nigdy nie być tamtą kobietą.

Odezwała się dopiero wówczas, gdy odwrócił wzrok.

– Czego chcesz, Sean? Jeśli liczysz na okup, bardzo się rozczarujesz. Ale tak czy inaczej, co sprowadza cię na górę? Chcesz pogadać o pogodzie?

Z jakiegoś powodu to go rozbawiło. Odparł jednak:

– Chcę się dowiedzieć, komu ufasz.

– Nie jestem w nastroju na tę rozmowę.

– To nie rozmowa. Tylko pytanie. Któremu z kolegów powierzyłabyś swoje życie?

– Swoje życie – powtórzyła beznamiętnie.

Nie odpowiedział.

– Kiedyś ufałam tobie. To się liczy?

– To ma być ktoś ze Slough House – odparł. – Potrzebne mi nazwisko.

Longridge? Cartwright? Guy?

Czyli nie chodziło o nią. Chodziło o Slough House.

Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, pewnie chodziło o Jacksona Lamba.

– Catherine?

Podawała mu nazwisko.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi na kłódkę. Potem przez dłuższy czas siedziała w tej samej pozycji: wyprostowana, ściskając rękami kolana. Znowu Szalona Guwernantka, i to nie tylko szalona, ale zamknięta na strychu. Shirley Dander by się z tego uśmieła, zakładając, że dostrzegłaby podobieństwo.

Po jakimś czasie Catherine położyła się na łóżku i kilka chwil później zasnęła.

Ileś tam mil dalej, w którymś tam kierunku, w porannym upale smażył się Slough House. O dziewiątej na miejscu byli wszyscy oprócz Catherine i Lamba i rzadko spotykana nieobecność tej pierwszej co poniektórych zdziwiła. Zwłaszcza Rivera – gdy stał przy czajniku i zalewał kawę rozpuszczalną, zapytał Louise, która zaparzała sobie dzbanek mielonej, czy coś o tym wie.

Nie odpowiedziała.

– Louisa?

– Co?

– Widziałaś Catherine?

Pokręciła głową.

Co ją to obchodziło. Od śmierci Mina była chodzącą bombą zegarową – nie wdawała się w rozmowy, a przy uważniejszej obserwacji można było usłyszeć, jak tyka.

River zabrał kubek do swojego biura i zamyślił się nad kolejnym dniem studiowania prastarych wniosków paszportowych, które zeskanowano i powklejano do bazy danych tak rozklekotanej, że gdyby była statkiem, można by obserwować, jak opuszczają ją szczury. Sięgnął po długopis i postukał się nim w zęby. Tak mu minie osiem i pół godziny, minus to, co uda się wyrwać na lunch. I tak pięć razy w tygodniu, przez czterdzieści osiem tygodni w roku... Jeśli porządnie się zepnie, może uda mu się doprowadzić to zadanie do końca przed czterdziestką. O tak: wystarczy, że będzie się streszczał, a przed tymi okrągłymi urodzinami będzie miał to z głowy.

Albo może lepiej zatłuc się dziurkaczem na śmierć, bijąc się nim po głowie.

Sięgnął po dziurkacz i zaczął go naciskać, jakby to go miało odstresować. Podszedł do okna, na którym – ze względu na przechodniów mogących się zastanawiać, czym takim zajmują się ci biedni frajerzy, którzy tutaj pracują – widniał złoty napis: „W.W. Henderson. Kancelaria notarialno-prawna”. I faktycznie zajmowano się tu czasami rzeczami związanymi z prawem. Dziurkacz stukał w jego ręce. Usłyszał, że drzwi na dole otwierają się, a potem zamykają i pomyślał: Catherine, a później: nie. Ona wchodzi po schodach jak duch. Lamb też tak potrafił, kiedy miał ochotę, ale dziś rano zrobił to w swoim zwyczajnym stylu: z wdziękiem hipopotama pchającego taczkę. Przeczłapał obok pokoju Rivera do swojego gabinetu na górze. Zwykle stanowiło to preludium do występu jednoosobowego zespołu: uwertury do dnia pracy obejmującej pierdzenie, przekleństwa i szuranie meblami. River wrócił do biurka; kiedy był

odwrócony do niego plecami, sterta wniosków paszportowych urosła. Donikąd się nie wybierała, a co za tym idzie, on również. Ledwie jednak zdążył sięgnąć po arkusz leżący na samej górze, dotarło do niego, że nie słyszy dźwięków symfonii z piętra wyżej; słyszał natomiast ten rodzaj ciszy, jaka zapada, nim powalone drzewo uderzy o ziemię... Wstał. Kiedy zaczęło się łomotanie w sufit, był już w drzwiach.

Lamb przyjrzał się złośliwym okiem swojej ekipie – niektórzy powiedzieliby „zespołowi”, on wolał określenie „ludzikom” – mrużąc drugie oko, by uchronić je przed dymem z papierosa. Żaluzje jak zwykle były opuszczone, ale światłu udało się jakoś przebić i obecnie malowało pasy na ścianie oraz na głowach i ramionach wspomnianych ludzików, którzy zbili się w grupkę niczym podejrzani na starym filmie.

W ręce, w której trzymał papierosa, Lamb dzierżył również duńskie ciastko i machnął nim w ich stronę.

– Wiecie, kiedy was tak razem widzę, przypomina mi się, po co codziennie rano chodzę do pracy. – Złociste okruszki i niebieskoszary dym poleciały w przeciwne strony. – Bo w domu mam inwazję karaluchów.

– Ciekawe dlaczego – mruknął pod nosem River.

– Nieuprzejmie jest mrużyć pod nosem. O ile jest coś, czego nie toleruję, to brak manier. – Lamb ugryzł kawałek ciastka i ciągnął z pełnymi ustami: – Jezu, jakbym znalazł się w filmie o zombie. Ogarnijcie się trochę. Gdzie Standish?

– Nie widziałem jej – odezwał się Ho.

– Nie pytałem, czy ją widziałeś. Pytałem, gdzie jest. Zwykle zjawia się tu przede mną.

– Ale nie zawsze.

– Dzięki. Kiedy następnym razem zapomnę, co znaczy „zwykle”, będę wiedział, kogo zapytać.

– W toalecie? – podsunęła Shirley.

– To by było najdłuższe sranie świata – burknął Lamb. – I mówię to jako ekspert.

– Nikt z nas w to nie wątpi.

– Może coś się stało u niej w domu? – rzucił Marcus.

– Na przykład co? Poprzestawiały jej się książki na regale i już nie są w porządku alfabetycznym?

– Zawsze istnieje możliwość, że ma jakieś życie, o którym pan nie wie – zauważył River.

– Że niby tak jak ty? A co tam u twojego starego kumpla Spidera?

Miał na myśli Spidera Webba, według oficjalnego raportu „rannego w trakcie pełnienia służby” – „chyba raczej rannego w trakcie bycia głupim ciulem” (wersja Lamba) – i wciąż podłączonego do aparatury podtrzymującej życie; było mało prawdopodobne, by kiedykolwiek doszedł do siebie lub choćby odzyskał przytomność. River kilka razy go odwiedził, ale to, skąd Jackson Lamb o tym wiedział, było jedną z tych rzeczy, które czyniły Lamba Lambem – nie miałeś pojęcia, jak mu się to udaje, ale wolałbyś, żeby tego nie robił.

Zdając sobie sprawę, że Lamb oczekuje odpowiedzi, River odparł:

– Jest podłączony chyba do siedmiu różnych urządzeń. Nikt się nie spodziewa, by miał się wkrótce ocknąć.

– A próbowali go odłączyć i podłączyć drugi raz?

– Zapytam.

– A tak w ogóle, ktoś zaglądał do sracza? – spytał Lamb, obnażając żółte zęby.

– Nie ma jej tam.

– Pewnie miała wizytę u lekarza – odezwała się Louisa. – Albo coś w tym stylu.

– Wczoraj nic jej nie dolegało.

– Czasami ludzie muszą iść do lekarza. Nawet jak po nich nie widać, że są ranni.

– To tajne służby, a nie pieprzone Woman's Hour – rozzłościł się Lamb. – A poza tym powinna była to zgłosić.

– Może to będzie na grafiku – podsunął Ho.

– To jest jakiś grafik?

– Na ścianie w jej pokoju.

Lamb gapił się na niego.

– Widać na nim, kiedy kogoś nie będzie...

– Tak, geniuszu, domyśliłem się tego. Zastanawiam się, co tu jeszcze robisz. Idź i to sprawdź.

Ho wyszedł.

– Po co się tak przejmujemy? – spytał River. – Może jej pociąg się spóźnił. Ciągłe się spóźniają.

– Jasne, bo ostatnio się spóźniła... No właśnie, kiedy?

Ale mówiąc to, Lamb nie patrzył na nich. Zerknął w stronę swojej komórki leżącej na biurku przed nim.

Próbowała się z nim skontaktować, pomyślał River. A Lamb zignorował to, że do niego dzwoniła.

Mój Boże. On czuje się winny?

Lamb utopił niedopałek papierosa w kubku z resztą wczorajszej herbaty.

– A poza tym to do niej niepodobne tak zniknąć – oświadczył.

– „Zniknąć” to dość mocne słowo – zauważyła Shirley.

– Serio? A jak byś to nazwała?

– ...że jej nie ma?

– A co by było, gdybyśmy wszyscy tak zrobili? Co by było, gdyby nagle mnie nie było?

Shirley wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

– To by było jak Hamlet bez księcia – podsunął River.

– Dokładnie – stwierdził Lamb. – Albo Czekaając na Godota bez Godota.

Tego wątku nikt nie podjął.

Wrócił Ho.

– No i? – spytał Lamb.

– W grafiku nic nie ma.

– I to ci zajęło pięć minut? Pierwszy lepszy kretyn zrobiłby to dwa razy szybciej.

– Tak, ale to dlatego...

Wszyscy czekali.

Ho oklapł.

– Napisz to na pocztówce i mi wyślij – rzucił Lamb. – Nie ma pośpiechu. – Rozejrzał się wściekle po pokoju. – Jeszcze jakieś genialne pomysły?

Telefon w kieszeni Rivera zaczął wibrować i River wysłał do nieba dziękczynną modlitwę, że wyłączył wcześniej sygnał dźwiękowy.

– Może zostawiła karteczkę na czyimś biurku – powiedział.

– Kiedy?

– Mogła przyjść pierwsza i wyjść w pośpiechu. Pójdę sprawdzić.

Wymknął się z pokoju.

– Ktoś zauważył karteczkę na swoim biurku? – zapytał pozostałych Lamb.

– Pewnie byśmy o tym wspomnieli – zauważył Marcus.

Lamb skrzywił usta.

– Dzięki, człowieku czynu. Dobrze wiedzieć, że nie wyszedłeś z wprawy.

– Możemy już iść zając się własną robotą? – spytała Louisa.

– Strasznie ci się do tego pali. Odkryłaś w sobie zamiłowanie do przekładania papierów z kupy na kupę?

– Cóż, to jest nudne i bezsensowne. Ale przynajmniej możemy robić to w ciszy.

– O rany! Zaczynam myśleć, że powinniśmy się wybrać na jakiś wyjazd integracyjny. Ale może lepiej się wstrzymać i poczekać, aż twoja kwoka znów usiądzie na jajach? Co to było?

Nikt nic nie słyszał.

– To tylne drzwi. Standish!

Ryknął to tak głośno i niespodziewanie, że Shirley poczuła, jak odrobinę popuszcza w majtki. Ale z dołu nikt nie odpowiedział, a Catherine Standish się nie zjawiała.

– Gdzie się podział Cartwright? – spytał podejrzliwie Lamb.

– Poszedł do toalety? – podsunęła Shirley.

– Dziś rano to twoja odpowiedź na wszystko. Chciałabyś nam o czymś powiedzieć?

– Pójdę poszukać.

– Zostań tu, do cholery! Jeśli zaginie kolejny członek personelu, stracę cierpliwość! – znów ryknął, a potem zawołał Rivera, ale River też się nie pokazał.

W ciszy, która nastąpiła, Louisie wydawało się, że słyszy, jak dzwonią szyby.

– Jezu na huśtawce – westchnął w końcu Lamb. – Nie żebym się nie cieszył, jak znikacie, ale ponoć mamy być działającym wydziałem.

Marcus parsknął, ale może to przez katar sienny.

– No dobra – stwierdził Lamb. – Dość tego. Ty – wskazał na Louise – idź znaleźć Standish. Jeśli leży z twarzą w kałuży rzygów, chcę dostać

zdjęcia. A wy dwoje – zwrócił się do Marcusa i Shirley – dowiedzcie się, gdzie się podział Cartwright, i ściągnijcie go tu z powrotem.

– Siłą?

– Zastrzelcie go, jeśli będziecie musieli. Macie moją oficjalną zgodę.

Został tylko Roderick Ho.

– Pójdę z Louisą – powiedział.

– Nigdzie nie pójdziesz. Sama będzie umiała to spierdolić. Z twoją pomocą tylko dłużej to potrwa.

Pozostali już schodzili po schodach, ale Ho przystanął przy drzwiach i się obejrzał.

– Co?

– To dlatego, że pierwszy lepszy kretyń nie sprawdziłby tak dokładnie jak ja – oświadczył Ho.

– Dobra, zaoszczędziłeś na znaczku. Lepiej się z tym czujesz? – Ho kiwnął głową. – Świetnie – rzucił Lamb. – A teraz wypierdalaj.

Wiadomość została wysłana z telefonu Catherine i River otworzył ją, schodząc po schodach, wciąż gratulując sobie w duchu udanej ucieczki. Spodziewał się krótkiego usprawiedliwienia nieobecności: spóźnienie metra, nagła choroba, inwazja obcych. Odczytał jednak krótkie powiadomienie:

„Kładka dla pieszych. Teraz”.

Nie brzmiało to jak coś, co mogłaby napisać Catherine Standish, którą znał.

Z SMS-em przyszedł załącznik i River przystanął na półpiętrze, gdy plik opornie się otworzył – przez pół sekundy docierało do niego, na co patrzy: kobieta, w kajdankach, zakneblowana, jak reklama jakiejś amatorskiej strony porno, tyle że była w pełni ubrana i... o Jezu, to Catherine...

Czemu, u diabła, ktoś miałby porwać Catherine?

Kładka dla pieszych.

Teraz.

Mogło chodzić tylko o jedną kładkę; jakieś dziesięć jardów dalej, nad ulicą między stacją metra a Barbican. I zanim to sprawdzi, powinien uruchomić dzwonki alarmowe: może i Catherine była kulawym koniem, ale była też agentką MI5, a Regent's Park każdego ze swych ludzi, jeżeli coś mu zagraża... Jeśli chodzi o Lamba, ten dałby Riverowi ostro popalić, gdyby ten zrobił kolejny krok, o niczym nie powiadamiając własnego szefa. To było coś, co należało przemyśleć, więc River przemyślał to, chowając telefon, i pokonał resztę schodów, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Na zewnątrz już było duszno, upał znacznie bardziej dawał się we znaki na porośniętym grzybem podwórzu na tyłach. Wbiegł w uliczkę, wypadł na ulicę i zobaczył na kładce mężczyznę spoglądającego w dół na przejeżdżające pojazdy, jakby cały ten ruch go bawił... Zbyt daleko, by wyraźnie widzieć twarz, ale takie River odniósł wrażenie, biegnąc ulicą, przez wejście na stację metra i po schodach na kładkę.

Mężczyzna czekał na niego z ręką opartą o balustradę i okazało się, że River miał rację: rzeczywiście wyglądał na lekko rozbawionego. Koło pięćdziesiątki, szczupły, w garniturze koloru porannej mgły; ciemne, przyprószone siwizną włosy. Żółty krawat mógł pochodzić z jakiegoś klubu; uśmiech wyższości podłapał zapewne w Eton albo w podobnym miejscu. I na obu małych palcach miał sygnety, co potwierdziło najgłębsze uprzedzenia Rivera.

Widząc zbliżającego się Rivera, mężczyzna cofnął rękę od balustrady. Wyciągnął ją, jakby spodziewał się, że uścisną sobie dłonie.

Zamiast tego River złapał go za kraty marynarki.

– Gdzie Catherine?

– Absolutnie nic jej nie grozi.

– Nie o to cię pytałem. – River przyciągnął go bliżej. – Odpowiadaj i uważaj na słowa. Mów powoli.

– Absolutnie. Nic. Jej. Nie. Grozi.

Kpił sobie z niego. Każda samogłoska brzmiała przesadnie.

River potrząsnął nim jak patykiem.

– Na zdjęciu była w kajdankach. Z kneblem w ustach.

– Żeby przykuć twoją uwagę. I jesteś tu, prawda?

– Na kładce nad ruchliwą ulicą, tak. Chcesz przelecieć przez tę balustradę?

Szerszy uśmieszek.

– Chyba nie zamierzasz mi powiedzieć, że nie wiesz, jak to działa, prawda? Pani Standish jest bezpieczna i nadal tak będzie, pod warunkiem że wykonam rozmowę telefoniczną w ciągu najbliższych trzydziestu sekund. Więc na twoim miejscu raczej bym się cofnął.

Nad ramieniem szarego garnituru River zobaczył na ulicy w dole jakąś parę. Zatrzymali się i jedno z nich wskazało w ich stronę.

Poluzował chwyt.

– Tak lepiej. O wiele kulturalniej.

– Nie przeginaj.

Mężczyzna wyjął telefon i szybko zamienił z kimś kilka słów. Następnie schował komórkę i stwierdził:

– Czyli jesteś River Cartwright. Niecodzienne nazwisko.

– Oznacza kogoś, kto robi wozy.

– Pani Standish powiedziała, że ci ufa. Tak się składa, że powierzyła ci życie.

– Gdzie ona jest?

Parodia smutnego potrząśnięcia głową.

– Przejdźmy lepiej do tego, jak możesz ją odzyskać, w porządku?

Za dobrze się tym wszystkim bawi, pomyślał River. Jakby to, czego chciał, miało drugorzędne znaczenia wobec sposobu, w jaki to uzyska.

– Czego chcesz?

– Informacji.

– O czym?

– Nie musisz tego wiedzieć. Wystarczy, że je po prostu wykradniesz.

– Albo?

– Naprawdę chcesz, żebym wdawał się w szczegóły? Cóż, w porządku...

Przerwał i River bez odwracania się zrozumiał, że ktoś stoi za jego plecami. Okazało się, że to ta para, która minutę wcześniej na nich wskazywała. Przeszli obok, starając się ukryć swoją ciekawość; może byli po prostu dobrymi obywatelami, którzy chcieli się upewnić, że nie są świadkami napaści; a może to najzwyczajniej miejscowi, którzy właśnie na to liczyli. Gdy dotarli na stronę Barbican, obejrżeli się, ale tylko raz, a potem sobie poszli.

– Ludzie, którzy ją przetrzymują... kiepsko nad sobą panują.

– Kiepsko nad sobą panują – powtórzył River.

– Właśnie. Kiepsko. Powiedzmy, że do utraty tego panowania brakuje im osiemdziesiąt minut. Gdyby interesowała cię dokładna liczba.

River wyciągnął rękę i wygładził klapy marynarki mężczyzny.

– Zapamiętaj to sobie na później – powiedział. – Że to wszystko wydawało ci się zabawne.

– Nie mogę się doczekać. A tymczasem musisz coś załatwić. I... – Zerknął na zegarek – Masz siedemdziesiąt dziewięć minut, zanim ci mężczyźni, o których wspomniałem, zaczną tracić nad sobą kontrolę. Zmarnujesz kolejne minuty na grożenie mi?

– Czego chcesz? – spytał River.

Mężczyzna mu powiedział.

Dwie minuty po tym, jak River pędem zbiegł z kładki, Marcus Longridge i Shirley Dander wyszli z uliczki na Aldersgate Street. Marcus spojrział w jedną stronę, a Shirley popatrzyła w drugą. Piesi, którzy przed chwilą wyszli z metra, przetaczali się na światłach przez przejście, inni stali zbici w grupkę przy wejściu do siłowni na rogu. W obie strony przejeżdżały autobusy, a jakiś rowerzysta śpieszył się – sądząc po tym, w jakim stopniu ignorował inne pojazdy – żeby zostać dawcą organów. Kobieta w kombinezonie popychała w ich stronę kontener ze śmieciami, a mężczyzna w szarym garniturze obserwował to wszystko z kładki dla pieszych prowadzącej do Barbican. Nigdzie jednak nie było widać Rivera Cartwrighta.

– Widzisz go? – spytał Marcus.

– Nie – odparła Shirley. – A ty?

– Nie. – Umilkł, dając Riverowi ostatnią szansę, by się pokazać, po czym rzucił: – Co powiesz na lody?

– Dobra, niech będzie – odrzekła Shirley.

Ruszyli w stronę Smithfield, gdzie trudniej będzie się na nich natknąć.

Mężczyzna na kładce zniknął z pola widzenia.

Catherine trzymała zapasowe klucze w pudełku po zapałkach przyklejonym od spodu do biurka. Louisa natknęła się na nie na wczesnym etapie swojej kariery w Slough House; teraz wzięła je ze sobą i pojechała taksówką do St. John's Wood. Temperatura przekroczyła już dwadzieścia stopni i ostre słońce odbijało się oślepiającym blaskiem od szklanych i metalowych powierzchni: to wystarczało, by nabrać ochoty na siedzenie w ciemnym pomieszczeniu, nawet jeśli w sumie nie chciało się tego robić. Jeszcze nigdy nie była w mieszkaniu Catherine. Przez chwilę zastanawiała się, co to mówi o niej, o całej ekipie ze Slough House i o cienkich jak kartka przyjaźniach, na których nabazgrano ich codzienne życie. Ale głównie skupiła się na tym, żeby nie myśleć; żeby po prostu przemieszczać się przez Londyn w swojej bańce; na tym, że nie jest przy swoim biurku i nie próbuje zapełnić miejsca pozostawionego przez Mina.

Mieszkanie znajdowało się w budynku w stylu art déco. Louisa zapłaciła taksówkarzowi i schowała paragon do kieszeni. Zaokrąglone krawędzie budynku i metalowe ramy okien nadawały mu wygląd jak z filmów science fiction – kiedyś sądzono, że tak będzie wyglądać przyszłość. W lśniącym, wyłożonym kafelkami lobby sandałki Louisy stukały o posadzkę, ale to były jedyne oczywiste dźwięki. Cały budynek wydawał się nienaturalnie cichy, jakby Catherine nie była jego jedynym zaginionym mieszkańcem. Louisa życzyłaby takiego losu własnym sąsiadom. W jej okolicy nienaturalna cisza się nie zdarzała.

Catherine mieszkała na najwyższym piętrze. Louisa nacisnęła dzwonek i odczekała całą minutę, nim otworzyła drzwi kluczem, wołając przy tym Catherine po imieniu. Nie doczekała się odpowiedzi. Rozejrzała się szybko po mieszkaniu, upewniając się, że jest puste. Łóżko było pościelone, ale to jej nie zaskoczyło – Catherine potrafiła samą swoją obecnością sprawić, że każde miejsce wydawało się porządniejsze niż w rzeczywistości. Nie zdarzało jej się pozostawiać po sobie bałaganu. W salonie był telefon stacjonarny, lecz obok nie leżał żaden notes; na ścianie w kuchni wisiał kalendarz, ale na ten miesiąc nie zaznaczono w nim nic prócz wizyty u fryzjera za dwa tygodnie. Lista zakupów na lodówce nic nie wносиła; sterta czterech książek na szafce przy łóżku wskazywała, że Catherine namiętnie czyta; Louisa nic nie dowiedziała się z karteczek używanych jako zakładki. Otoczenie nie było sterylne – wskazywało, że ktoś tu mieszka – lecz nie zawierało żadnych wskazówek odnośnie do tego, co się mogło stać z tutejszym lokatorem. Pełna szafa przypominała stojak z kostiumami z dramatu historycznego Merchant Ivory Productions, a w szafce w przedpokoju leżała pusta walizka. Nigdzie ani śladu rzeczy, które Catherine powinna nosić przy sobie: torebki, telefonu, okularów przeciwsłonecznych, biletu miesięcznego. Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że Catherine spędziła normalny poranek: wstała i jak zwykle wyszła do pracy, a cokolwiek nie pozwoliło jej tam dotrzeć, wydarzyło się po drodze. Jednak gdy Louisa zajrzała do zmywarki, stwierdziła, że jest pełna suchych naczyń, które zdążyły ostygnąć do normalnej temperatury, i że brakuje naczyń po śniadaniu przygotowanych do następnego zmywania. Czajnik był w dotyku zimny jak kamień. Albo Catherine wyszła bez śniadania, albo tu nie nocowała.

– Jednonocny wyskok – mruknęła Louisa, ale bez przekonania.

Sama oczywiście zrobiła to ubiegłej nocy. Dotarła do domu o siódmej; to wystarczyło, by wziąć prysznic i przebrać się do pracy. W ciągu ubiegłego roku ona i Min, nieraz spędzając wieczór w barze, komentowali podrywki wokół – coraz bardziej desperackie, im pora była późniejsza – i gratulowali sobie nawzajem, że nie muszą brać udziału w tej grze, ale Louisa uważała, by nigdy nie traktować tego jako „na dobre”, bo los był wściekłym psem, którego nie należało drażnić. Ale i bez kuszenia losu z „na dobre” nic nie wyszło. Zamiast tego przyszło „na złe” i wyglądało na to, że tak już zostanie.

Dość tego. Sprawdziła łazienkę. Suche powietrze, żadnych wilgotnych ręczników. Catherine nie była tu od co najmniej dwudziestu czterech godzin.

Louisa wróciła do salonu, starając się nie porównywać tego mieszkania ze swoją kawalerką, która była maleńka, zabałaganiona i wymagała jakichś zdecydowanych działań, może na przykład podpalenia. Wszystko tutaj było jeśli nie ułożone w liniach prostych, to przynajmniej na właściwych miejscach i te miejsca zostały starannie wybrane. To takie typowe dla Catherine. Nic z tego wszystkiego nie zaskoczyłoby żadnego z kulawych koni, może z wyjątkiem Ho, któremu nie przyszłoby do głowy, by mieć na ten temat jakiegokolwiek zdanie. To nie był jednak pełen obraz. W tym miejscu mieszkała taka Catherine, jaką znali. To wszystko. I dlatego nie było wina schowanego w szafce; żadnych alkoholi w lodówce ani awaryjnej sherry na kredensie. Ani nawet kieliszków. Louisie często kończyły się kieliszki, ale to dlatego, że szkło się łatwo tłucze, a nie dlatego, że unikała problemu. Tutaj było to umyślne, jakby przypadkowe użycie sugestywnego naczynia – choćby po to, by wypić z niego coś tak niewinnego jak sok – mogło przechylić szalę i pchnąć alkoholika w stronę najbliższego baru.

Przyszła jej więc do głowy oczywista myśl – Catherine wróciła do nałogu. Louisa wiedziała, że Catherine była alkoholiczką nie z jakiegokolwiek rozmowy z nią, lecz z wypowiedzi Lamba, który często do tego nawiązywał. A wszyscy wiedzieli, że z alkoholizmem nie jest tak jak z gripą. Nie można się z niego otrząsnąć i żyć dalej; trzeba było go stłumić i liczyć na to, że nie wybuchnie na nowo. Co oznaczało, że mogło się zdarzyć wszystko; Catherine mogła wracać do domu, gdy jakieś drobne zajście, niedostrzegalne dla nikogo prócz niej, przestawiło w niej przełącznik, kierując ją ku zapomnieniu. Louisa wcale by się nie zdziwiła, gdyby stało się to przez Lamba, który zawsze trzymał alkohol w swoim gabinecie. To mogło wzbudzić w Catherine pragnienie nie do ugaszenia, a wtedy mapa całego Londynu byłaby pełna knajp.

Ten obraz jednak do niej nie przemawiał. Catherine pijana; Catherine, której urwał się film pod żywoplotem albo pod jakimś obcym facetem – to było jak puenta nieudanego dowcipu. Ponieważ przez całą tę sztywną rzetelność Catherine – kanciastą ergonomię jej biura, nieskazitelność sukienki; to, że tak rzadko przeklinała – przez te wszystkie rzeczy fakt, że kiedyś była alkoholiczką, wcale nie wydawał się zabawny. To były jej mechanizmy obronne, by już nigdy się nią nie stać. Podobnie jak to mieszkanie, w którym wszystko miało swoje miejsce i każde z tych miejsc było wypełnione. Nawet osobiste elementy jej publicznego życia były czymś w rodzaju przykrywki, bo koniec końców wszyscy byli agentami, wszyscy szpiedzy byli agentami, nawet ci, którzy nigdy nie wyściubili nosa ze swoich tajnych biur – od śledzących w anorakach, którzy monitorują połączenia telefoniczne z Centrali Łączności Rządowej, aż po analityków wywiadu z za rzeki; od niebieskookich chłopaków i dziewczyn z Regent's Park aż po nich samych, kulawe konie stopniowo niknące pod stertami żółtego papieru – wszyscy byli agentami, wszyscy, aż po ostatniego z nich,

bo wszyscy wiedzieli, jak to jest spędzać dziewięćdziesiąt procent życia pod przykrywką. To właśnie dlatego dołączyli do tajnych służb: z powodu tego niejasnego wrażenia, że cały pieprzony świat jest wrogiem. Ufać można było jedynie tym, z którymi się pracowało, a im też nie można było ufać, bo nie ma bardziej fałszywego przyjaciela niż inny szpieg. Ktoś taki zawsze wbije ci nóż w plecy, podłoży ci nogę albo po prostu umrze.

Louisa jeszcze nie wiedziała, którą z tych rzeczy zrobiła Catherine, ale na pewno nie poszła w tango. Domyślała się, że Lamb też tak sądzi, ale i tak wyjęła telefon, by dać mu znać. Nie istniało coś takiego jak zbyt wiele informacji.

Siedemdziesiąt dziewięć minut...

Mężczyźni nie zajęło dużo czasu wyjaśnienie, czego chciał. Sprawiał wrażenie kogoś, kto przywykł do wydawania poleceń: cóż, to kwestia pochodzenia, uznał River – w tym kraju wciąż było takich pełno, a zwłaszcza w Londynie; chodzące, gadające garnitury, nadęte poczuciem ważności. I każdy z nich prosił się o porządnego kopniaka w dupę...

Gdy River biegł, takie właśnie myśli tłukły mu się po głowie.

Bond zeskoczyłby z kładki na przejeżdżający autobus albo zrzuciłby kogoś kopniakiem z motocykla i porwałby jego maszynę. Bourne surfowałby po ulicach, przeskakując po dachach samochodów, albo przeszedłby w tryb parkouru, odbijając się od ścian i koszy na śmieci, zawsze wiedząc, w którą uliczkę skręcić, by skrócić sobie drogę...

River zerknął szybko na rząd miejskich rowerów, pokręcił głową i zbiegł na stację metra.

Niedaleko od Regent's Park pod świeżo wyremontowaną pływalnią miejską kryje się kilka podziemnych poziomów nieznanymi opinii publicznej. W tym miejscu agenci tajnych służb – szpiegdy i prowadzący, a także

personel pracujący przy biurkach, gdy wymagają tego coroczne testy – przechodzą różne formy szkolenia w walce wręcz, po części aby (jeśli zajdą takie okoliczności) poprawić ich szanse na przetrwanie ataku uzbrojonego przeciwnika, ale głównie po to, by mogli okaleczyć niczego niespodziewającą się ofiarę, o ile nadarzy się ku temu okazja. Długopisy, kubki na kawę, okulary, drobne – wszystko to może zostać użyte, by spowodować trwałe uszczerbek na zdrowiu u potencjalnego wroga.

Jak zrobić to samo podwładnemu – tę umiejętność podłapuje się w trakcie pracy.

Na spotkaniu w Regent's Park było ich sześcioro, pięcioro Drugich Biurek oraz Dame Ingrid Tearney, lecz na dobrą sprawę czworo z nich mogło być meblami, jak sugerowało nieformalne określenie ich stanowisk. A to dlatego, że – jak podczas większości innych spotkań w tym składzie – wszystko sprowadzało się do Tearney i Taverner; do Dame Ingrid, która od niemal dziesięciu lat stała u sterów MI5 i zamierzała nadal to robić aż do chwili, gdy urzędzą jej uroczysty pogrzeb albo zrobią z niej królową, oraz do Diany Taverner – Lady Di – która była Drugim Biurkiem (Dział Operacji) i rządziła centralą w Regent's Park, co dawało jej władzę nad życiem i śmiercią agentów w terenie, ale równocześnie oznaczało, że musiała przytrzymać drzwi Dame Ingrid.

Nie było tajemnicą, jak bardzo pragnęła zostać szefową MI5. Była jednak o dwanaście lat młodsza od Tearney i jej szanse topniały z każdym mijającym dniem.

Spotkanie dotyczyło zasobów. Ostatnio każde spotkanie, bez względu na to, co obejmował porządek dnia, dotyczyło zasobów – wyboista droga drastycznych środków oszczędności wstrząsnęła służbami tak jak każdą inną dziedziną życia – ale to konkretne spotkanie dotyczyło zasobów w sensie dosłownym: tego, że w przewidywalnej przyszłości ma być ich

mniej, choć ostatnimi czasy i tak było ich już mniej. Według Ministerstwa Skarbu, którego nikt nie uznałby za uosobienie cnoty oszczędności, cięcia miały służyć wzrostowi wydajności, a ściślej – należało je po prostu przeprowadzić, więc tajne służby musiały się nauczyć z tym żyć. Zwłaszcza że po ostatnich przetasowaniach w rządzie MI5 nie miało już obrońcy W Głębi Korytarza.

A to dlatego, że ich nowy szef, nowy minister spraw wewnętrznych, był najgłośniejszym krytykiem Regent's Park. Powszechnie uważano, że fakt, iż kilkadziesiąt lat temu podanie Petera Judda o przyjęcie go do MI5 zostało odrzucone, znacząco wpłynął na rozwinięcie tej głębokiej antypatii, lecz wynik jego oceny psychologicznej pozostawał tak niekorzystny – właściwie to napisano ją wielkimi literami, używając czerwonego długopisu – że nawet teraz starzy wyjadacze zgadzali się co do tego, że był jak broń obosieczna i trudno powiedzieć, jaka decyzja byłaby gorsza. Minusy polegały na tym, że obecnie płacili cenę za wkurzenie narcystycznego socjopaty z rodzinną fortuną, z żądzą władzy i skłonnością do żywienia urazy, plus był jednak taki, że – sądząc po tym, czego na przestrzeni wielu lat dokonał w dyplomacji – gdyby Judda przyjęto do MI5, niemal na pewno sprawiłby, że zimna wojna przeszłaby w gorącą fazę. Jednak niepowodzenia w dyplomacji często są bardzo wysoko oceniane przez opinię publiczną, zaś gwiazdy uparcie Juddowi sprzyjały. MI5 musiało go znosić, przynajmniej na razie.

Poza tym każda obosieczna broń ma rękojeść. I tę właśnie rękojeść chwyciła teraz Tearney, zamierzając tak użyć tej broni, by jak najwięcej dla siebie zyskać.

– Wiem, że to nie jest to, co chcielibyście usłyszeć – powiedziała – ale przysły dane o przewidywanych poziomach wydatków na następne dwa kwartały. Mam dobrą wiadomość i złą wiadomość. Dobra jest taka, że zła

nie jest aż tak zła, jak mogłaby być. – Odczekała, aż smutny uśmiech obiegnie stół niczym meksykańska fala, rozbijając się jedynie o rafę Diany Taverner. I dobrze. Dame Ingrid wiedziała, jak rozgrywać zebranych, a odizolowanie tego, który sprawiał najwięcej kłopotów, zawsze było dobrym posunięciem.

Ingrid zdjęła okulary, które nosiła na łańcuszku na szyi, i pozwoliła, by opadły na jej biust. Dziś miała perukę, która wyglądała jak blond aureola – dla tych, którzy obserwowali Dame Ingrid, był to pewny znak poważnych zamiarów; puszystość peruki miała złagodzić ciosy, jakich należało oczekiwać.

– Przez resztę roku finansowego nie będzie rekrutacji na poziomie pracowników biurowych. Po jesiennym sprawozdaniu finansowym może się nawet okazać, że będziemy musieli zwolnić tych, których zatrudniliśmy w ciągu ostatnich dwóch lat... Wiem, wiem i przykro mi z tego powodu. – I faktycznie wyglądała, jakby było jej przykro, był to jednak jeden z naturalnych talentów Ingrid Tearney; braki w urodzie nadrabiała pozorną empatią. – Ale takie są realia, z którymi musimy się zmierzyć, i protesty żadnemu z nas nie pomogą.

Oczywiście Taverner zignorowała to jako pierwsza.

– Potrzebuję kogoś do pomocy w biurze.

– Ale tak świetnie radzisz sobie sama, Diano.

– Marnuję połowę czasu, uganiając się za materiałami biurowymi, Ingrid.

– Na pewno przesadzasz.

Była pewna, że to nieprawda. Asystent Taverner jakiś czas temu został przeniesiony za rzekę i od dziesięciu miesięcy musiała pełnić obie funkcje: jak to ujęła w służbowej notatce, wykonywała obowiązki własnego asystenta. Biorąc pod uwagę skłonność asystentów Taverner do wypalania

się w ciągu góra osiemnastu miesięcy, byli tacy, którzy przewidywali, że wkrótce sama popadnie w schizofrenię – Dame Ingrid nie liczyła jednak na zbyt wiele. Jeśli Diana Taverner kiedykolwiek doprowadzi do samozniszczenia, znajdzie sposób, by zrobić to tak, żeby na tym skorzystać.

– Diano – powiedziała – wszyscy wiemy, że brak pomocy w tym roku utrudnia ci życie, ale dział finansowy uważa, że lepsze będą poświęcenia na poziomie biurowym niż w terenie. Na pewno to rozumiesz.

Bo gdyby tego nie rozumiała, byłoby to równoznaczne z oświadczeniem, że woli ryzykować bezpieczeństwo obywateli niż sama robić sobie kawę.

– A poza tym jest to sprawa, którą i tak zamierzałam poruszyć. Trudno było nie dostrzec, jak wspaniale sobie radzisz solo. Dział finansowy bardzo pochlebnie się wyrażał o twoim rozwiązaniu... uch... naszych problemów logistycznych z Przechowywaniem Tajnych Dokumentów.

Stosowanie wielkich liter przez Dame Ingrid było cechą, którą wszyscy zdążyli już poznać. Oznaczało to, że wkrótce nastąpią przypisy.

– Dla tych z was, którzy nie wiedzą, o co chodzi – podjęła – opracowane przez Dianę rozwiązanie związane z naszym Nadmiernym Przepływem Dokumentów zostało wdrożone pod koniec pierwszego kwartału, i o ile się nie mylę, twój sektor zakończył już ten proces... Diano?

Taverner ledwie dostrzegalnie skinęła głową; doceniła w ten sposób nie tyle zawołaną pochwałę, co zręczność, z jaką Dame Ingrid ją wyraziła. „Dobrze rozegrane”. Już wyczuwała mordercze pchnięcie, które z pewnością zaraz nastąpi.

Chwilowo jednak opóźniło je inne Drugie Biurko.

– Chodzi o zmianę miejsca przechowywania archiwów operacyjnych, prawda?

– Zgadza się, George – potwierdziła słodkim głosem Ingrid Tearney. – Jak to dobrze, że jesteś taki uważny. I jak wszyscy dobrze wiemy, tam, gdzie idzie Dział Operacji, my podążamy za nim jak dzieci za Szczurołapem z Hameln. Wystosujemy notatkę służbową, ale mówiąc w skrócie, możemy się spodziewać, że nasze góry papierów wkrótce znacznie się skurczą. Jeśli coś się sprawdziło w Dziale Operacji, to sprawdzi się wszędzie. Operacje zawsze były największym problemem. Te nieudane wytwarzają mnóstwo papierów.

– Ale nie tyle co nasze sukcesy – wycedziła Taverner przez prawie zaciśnięte zęby.

– Ależ oczywiście, moja droga. Nic innego nie chciałam sugerować.

– Oczywiście.

Przechowywanie Tajnych Dokumentów – posługując się wielkimi literami za Dame Ingrid – stanowiło problem już od dawna. Oczywiście kluczowa była tajność, ale dość prozaiczny problem z tym, gdzie to wszystko przechować, narastał wykładniczo. Cyfryzacja nie okazała się panaceum: jednym z problemów było szyfrowanie i Ingrid Tearney głęboko ufała, że Regent's Park potrafi sprawić, by wszystkie posiadane przez nich informacje stały się niezrozumiałe – bądź co bądź był to przecież dział Służby Cywilnej. Jednak obawy o to, że dane zostaną – posługując się modnym słowem – ujednoznacznione, były mniej istotne; znacznie poważniejszym zagrożeniem był cybernetyczny odpowiednik brudnej bomby, wirtualny atak, który zamieniłby dane wydziału w bezwartościowy spam.

Tak naprawdę może to wcale nie byłoby takie złe. Jeśli chodzi o pewne udokumentowane działania z czasów, gdy była już u sterów, Tearney ucieszyłaby się, gdyby zmieniły się w rozpixselowaną papkę, jednak komisja kierowana ręką ministra upierała się, by wszystkie takie dane były

nadal przechowywane – na mocy ustawy o wolności informacji. A więc od czasu paskudnego cyberataku dwa lata temu wrażliwe dane przechowywano poza siecią połączoną z internetem, w fizycznie izolowanych systemach albo w formie wydruków. Stąd też problemy ze składowaniem. Wszystko, co uznano za nienadające się do wprowadzenia do bazy danych, albo trafiało do archiwów w Molly Doran, obejmujących głównie osobiste dossier, albo stanowiło problem poszczególnych działów. Jeśli chodzi o Dział Operacji, to rozrósł się jak słonica Topsy. Pomijając przebiegły przytyk Dame Ingrid, operacje zawsze generowały papier: im bardziej coś było tajne, tym staranniej należało kryć dupę, na wypadek gdyby wyciekło. A nic nie kryło wydziałowej dupy tak dobrze jak wielkie sterty papieru.

Wyglądało na to, że choć raz – dla odmiany – Ingrid Tearney i Diana Taverner były zgodne. Potrzebny był obiekt do Przechowywania Tajnych Dokumentów, położony poza Regent's Park i spełniający trzy główne kryteria: powierzchni, bezpieczeństwa oraz potencjału dających się uprawdopodobnić zniszczeń. Innymi słowy, jakieś miejsce, o którym będzie można bezpiecznie powiedzieć, że akta zostały tam zalane wodą, uległy zniszczeniu w pożarze, zjadły je szczury lub przeżarła pleśń.

I gwoli sprawiedliwości, pomyślała Tearney – głęboko wierzyła w tę zasadę, kiedy jej to odpowiadało – Diana Taverner spisała się na medal. Tłumaczyło to uśmiech, jaki posłała jej teraz Tearney – uśmiech sowy, która zaraz rozszarpie na strzępy mysz.

– Można by niemal powiedzieć, że sama jesteś swoim najgorszym wrogiem – stwierdziła. – Tak sprawnie radziłaś sobie z tymi zadaniami, że głupotą byłoby przyznać ci zastępcę, na którego mogłabyś to zepchnąć.

Diana Taverner skinęła głową, zmieniając ocenę z „dobrze rozegrane” na „niezły strzał”. Pozostali zaczęli szeleścić papierami i odchrząkiwać;

potrafili poznać, kiedy ktoś jest robiony w balona. Szanse Diany Taverner na uzyskanie asystenta topniały w czasie rzeczywistym, a Ingrid Tearney wbijała ją w ziemię.

Wreszcie Taverner powiedziała:

– Zawsze to miło, kiedy ktoś doceni twoje starania.

– Jesteś chlubą centrali, Diano. Naprawdę uważam, że gdyby nie twój wkład, tajne służby by sobie nie poradziły. Gdyby nie wczesna pora, zaproponowałabym toast na twoją cześć. Niestety naprawdę musimy się streszczać, przejdźmy więc do kolejnych spraw.

– Czyli nie ma szans? – spytała Diana. – Żadnego wsparcia?

Dame Ingrid zmieniła się w uosobienie troski.

– Wsparcia? Chyba nie czujesz się zestresowana, moja droga? Bo jeśli tak, to oczywiście będziemy musieli coś z tym zrobić.

– Nie czuję się zestresowana, Ingrid.

– Jesteś tego pewna? Bo wiesz, Diano, mamy dostępny bardzo dobry pakiet medyczny. I absolutnie nie wiąże się to z żadną stygmatyzacją. Powiedz tylko słowo. Przyślemy ci kogoś do centrali, i do diabła z budżetem! Liczy się tylko to, żebyś była zdolna do walki i w pełni panowała nad swoimi jakże godnymi uznania zdolnościami.

Zapadła cisza.

Diana Taverner nie należała do osób, które wymachują białą flagą, wiedziała jednak, kiedy przeprowadzić taktyczny odwrót.

– Radzę sobie – zapewniła. – Naprawdę.

– W takim razie kontynuujmy, dobrze? – podsumowała Dame Ingrid i zebranie potoczyło się dalej.

River czytał kiedyś statystyki na temat tego, ile czasu przeciętny londyńczyk spędza w oczekiwaniu na środki transportu publicznego, podróżując nimi lub tkwiąc w korkach w trakcie takich podróży; miał

absurdalnie dobrą pamięć do liczb, ale umyślnie ją tłumiał. Były takie dni, kiedy człowiek czuje, że się starzeje i zmierza donikąd... Dwie minuty na peronie, zanim przyjedzie pociąg, potem sześć minut w wagonie, i zostaje ile? Siedemdziesiąt minut? Miał w głowie obraz Catherine: siedziała w kajdankach na łóżku, z kneblem w ustach. Siedemdziesiąt minut, zanim jej porywacze zaczną tracić nad sobą kontrolę... Zaciskał pięści między kolanami. Miał ochotę w coś przywalić, najlepiej przyłożyć temu sukinsynowi na kładce. Ale to będzie musiało poczekać. Pociągiem szarpnęło i powłókł się kilka metrów do przodu, potem znów się zatrzymał. River zaklął pod nosem, albo prawie pod nosem. Jakoś nie pomogło.

„To będzie test na twoją pomysłowość” – powiedział tamten facet.

Miało się ochotę mu przywalić już za sam ton, tak jak wtedy, gdy słuchało się ministrów pławiących się w odziedziczonych luksusach, gdy pouczali innych, że nie wszystko im się należy.

Kolejne szarpnięcie, i tym razem pociąg ruszył.

Ale dotarcie do celu było jedną kwestią; w jaki sposób miał wypełnić czekające go tam zadanie – to już zupełnie inna sprawa. Było to jedyne miejsce, w którym jego służbowy identyfikator na nic się nie przyda: River miałby większe szanse, gdyby wyciągnął broń... To, że przez chwilę naprawdę się nad tym zastanawiał, najlepiej świadczyło o stanie jego umysłu. Jednak najbliższa broń, o jakiej wiedział, znajdowała się w sejfie jego dziadka, wiele kilometrów dalej.

Otworzył pięści i rozprostował palce. Do głowy przyszły mu słowa, które wypowiedział ubiegłego wieczoru, opis własnej pracy, jakim zaszczycił Jamesa Webba – że miała nie tylko zanudzić go na śmierć, ale zabić jego duszę piksel po pikselu.

No cóż, dzisiejszy dzień układał się nieco inaczej.

I Riverowi nie udało się do końca stłumić tej małej eksplozji przyjemności, jaką dawała mu ta myśl, choć nie odsunął jeszcze od siebie obrazu Catherine i choć nie miał najmniejszych szans na wypełnienie zadania, które mu przydzielono.

„Któremu z kolegów powierzyłabyś swoje życie?”

Krótką odpowiedź brzmiałaby: „Żadnemu”, ale Catherine uznała, że to nie wystarczy.

Chociaż, pomijając więź rodzica z dzieckiem, ile osób potrafiłoby bez żadnej wątpliwości odpowiedzieć na takie pytanie? Może istniały tak bliskie sobie małżeństwa, choć podejrzewała, że było ich niewiele, a na pewno znacznie mniej, niż wydawało się wielu parom małżeńskim. Może istniały takie przyjaźnie. Ale koledzy z pracy?

W początkach jej kariery szefem Catherine był Charles Partner. Partner był kimś w rodzaju skały; nie takiej, o którą człowiek chciałby się roztrzaskać, ale takiej, o której dobrze było wiedzieć, że zawsze tam będzie. Tyle tylko że oczywiście go tam nie było, bo pewnego dnia przyszła do jego mieszkania i znalazła w wannie jego zwłoki. To było już po tym, jak przestała pić. Po powrocie do Regent's Park prawie każdy inny by ją odrzucił – jak Pierwsze Biurko może mieć asystentkę, która wychodzi z nałogu? – ale on po prostu pozwolił wrócić jej na dawne miejsce i temat już się nigdy nie pojawił. Catherine przypuszczała, że był to największy akt zaufania, jaki spotkał ją w całym życiu. A może Partner tak to zaaranżował, żeby to ona znalazła jego zwłoki? Trudno powiedzieć.

A teraz zamiast Partnera miała Jacksona Lamba. Lamb pracował kiedyś w terenie, a Partner był jego prowadzącym, i jeśli wierzyć bajkom, to musiało być naprawdę okropne. Tam, gdzie Partner był zorganizowany jak menedżer banku – menedżer starego typu, z czasów, gdy im jeszcze ufano – Lamb był zakręcony jak pierd w durszlaku. Taki był w każdym razie Lamb,

który powrócił z wojen po wszystkich tych latach skakania z jednej strony muru na drugą. „On jest jedyny w swoim rodzaju”, powiedział jej Partner. I ku uldze wszystkich, rzeczywiście tak było. Ale być może Lamb, którego znał Charles Partner, był innym człowiekiem, który nie ukrył się jeszcze we wnętrzu stworzonego przez siebie potwora.

Na swój sposób, pomyślała, Lamb chronił ją tak samo jak kiedyś Partner. Śmierć Charlesa powinna była oznaczać koniec jej kariery, ale gdy po przetasowaniach, jakie wtedy nastąpiły, Jacksona Lamba zesłano do Slough House, zabrał ją ze sobą. I wiedziała, że to prawda, że Lamb nigdy nie zostawiłby na łodzi swojego agenta – w końcu sam pracował kiedyś w terenie i najprawdopodobniej sam został zostawiony na łodzi. A więc może powinna była wskazać Lamba jako kolegę z pracy, któremu powierzyłaby własne życie, tyle tylko że poza tym istniało niewiele rzeczy, które gotowa byłaby mu powierzyć. Nie miała ochoty nawet myśleć o tym, z jaką katastrofą mogłoby się to wiązać.

Ale może River. On by to jakoś ogarnął. O cokolwiek go poproszę, zrobi wszystko, co w jego mocy.

Może się okazać, że będzie musiał bardzo się postarać.

River wysiadł z pociągu i ruszył, przeskakując po trzy stopnie naraz i ignorując wołanie: „Uważaj, jak idziesz, kolego!”. Nagle znalazł się w ostrym świetle na ulicy i stanął jak wryty; hałas przejeżdżających pojazdów, sporo pieszych, oślepiający blask letniego poranka. Było tu równie gorąco i duszno jak w metrze, a upałowi towarzyszyły zapachy asfaltu i gumy. W jego głowie głośno tykał zegar wskazujący czterdzieści osiem minut...

Przeszedł przez ulicę na czerwonym świetle i prawie skosił go rowerzysta – to również, podobnie jak zatrzymujące się metro i drżenie kolan, wydało mu się znajome, jakby wyścig z czasem był codziennym

doświadczeniem, a właściwie conocnym. Tak, pomyślał, ruszając biegiem, zostawiając za sobą główną ulicę i zmierzając w stronę bardziej zielonych terenów, to było to. Właśnie takie rzeczy mu się śniły. Każdy wie, jakie to uczucie usiłować dotrzeć do jakiegoś miejsca, które oddala się, im bardziej się starasz, tak że serce prawie pęka ci z frustracji, choć w przypadku Rivera było to bardziej wspomnienie niż tłumiony lęk; to było coś, co już przeżył, kilka lat temu, gdy z jego winy został wstrzymany ruch na King's Cross. Ćwiczenie, które zawalił, błędnie zidentyfikowany „terrorysta”, dwadzieścia minut slapstickowej komedii w porannych godzinach szczytu...

Właśnie tak zostawało się kulawym koniem.

Tyle tylko że ktoś mu dopomógł.

Wielkie dzięki, Spiderze Webbie.

Chodnik się poszerzył. Po jego lewej stronie za żelaznym ogrodzeniem znajdował się park i gałęzie w górze rzucały na wszystko poruszające się plamy cienia. W zaparkowanym przy chodniku samochodzie siedziała jakaś para; wyglądali, jakby się kłócili. River miał wrażenie, że zaraz rozsądzi mu płuca. Czterdzieści cztery minuty. Przystanął, żeby uspokoić oddech; nie było sensu docierać do celu, przypominając mokrą szmatę. Musiał wyglądać, jakby znalazł się u siebie, i tak właśnie by było, gdyby nie King's Cross i ten pieprzony Spider Webb...

Czasem kariera wybucha jak wulkan. Gdzieś pod popiołami jego kariery kryły się rozżarzone węgle tego, co mogło być, ale tylko sam River i być może jego dziadek wciąż żywili nadzieję, że może uda się je rozpalić na nowo. River wierzył w to tylko czasami, ale nie dziś.

Tylko że dziś było dziś. Przeczesał ręką ciemnoblonde włosy i podszedł do frontowego wejścia Regent's Park.

Zebranie dobiegło końca i Drugie Biurka się rozeszły – wszystkie, z wyjątkiem Diany Taverner, którą Dame Ingrid zatrzymała, gdy ta już była w drzwiach.

– Diano? Masz chwilę?

Diana czekała, podczas gdy Tearney się nie śpieszyło: szukała okularów, które wciąż wisały na łańcuszku na jej szyi, zbierała swoje papiery, przerywała te czynności bez żadnego wyraźnego powodu, jakby nagle przyszedł jej do głowy genialny pomysł, który należało natychmiast przemyśleć w absolutnym bezruchu. A wszystko to – Diana w to nie wątpiła – dla przyjemności, jaką Tearney sprawiało jej oczekiwanie.

To było okropne. Wiedziała, że ma przewagę niemal pod każdym względem. Wygląd: Tearney nie mogła się z nią równać. Wzrost: to samo. Ingrid Tearney była jak hobbicka kobieta, której zabrakło chromosomu Y, by być mikolem. Starła się, jak mogła – było ją na to stać – ale żadne designerskie marki świata nie ukryją nutrii na wybiegu. Przysadziste ciało, krótkie nogi i trzy peruki, które nosiła na zmianę: siwa, blond i ciemnowłosa, by zamaskować, że już jako nastolatka zaczęłałysieć. Choć eksperci ukształtowali je tak, by wyglądały na miękkie i puszyste, i tak przypominały coś, co można by pożyczyć, gdyby potrzebowało się kasku rowerowego. Pieniądze, w porządku, tu Tearney miała przewagę, ale jej wykształcenie było takie sobie (London School of Economics, podczas gdy Diana skończyła Caius i przez rok studiowała w Yale), a wychowała się w Staffordshire albo w jednym z tych hrabstw, które istniały tylko dlatego, że w przeciwnym razie na mapie byłyby dziury. Pod wszystkimi tymi względami Diana Taverner biła Tearney na głowę i jeśli istniałby jakiś sposób doprowadzenia do uczciwej walki, do której Diana była zdolna w chwilach desperacji, wynik byłby oczywisty.

Ale Tearney miała inne mocne strony. Była bystra, wiedziała, jak rządzić i jak wodzić za nos komisje. Brakujący seksapil nadrabiała zaś dziarskim stylem „babcia wie lepiej”, dzięki któremu niezmiennie potrafiła zastraszyć uczniów po prywatnych szkołach, którzy wciąż kryli się w pozostałych Drugich Biurkach, nie wspominając nawet o wszelakiej maści politykierach Z Głębi Korytarza. Poza tym miała wrodzony instynkt do wbijania szpil, poniżania i frustrowania swoich podwładnych. Tak jak teraz: Diana czekała w drzwiach, aż wielka pani pozbiera swoje rzeczy, co zrobi dopiero wtedy, gdy Diana zacznie mieć tiki.

– No i już – stwierdziła Dame Ingrid. – Przepraszam, że musiałaś czekać. Przejdziesz się ze mną?

Ruszyły korytarzem.

– Te zebrania potrafią być potwornie nudne – stwierdziła Tearney. – Doceniam, że poświęcasz swój czas, żeby brać w nich udział.

Obecność była obowiązkowa. MI5 było korporacją jak każda inna.

– Powinnam wracać do centrali – odparła Diana. – Czy to nam dużo zajmie?

– Po prostu chciałam usłyszeć od ciebie potwierdzenie, że transfer archiwów został pomyślnie ukończony.

– Tak, w zeszłym miesiącu.

– I mówimy o aktach aż do poziomu Wergiliusza. Zgadza się?

– Zgodnie z wytycznymi.

System stopni tajności zmieniał się co dwa lata, ale Wergiliusz był obecnie drugim najwyższym stopniem tajności. Ponieważ MI5 było, jakie było, oznaczało to, że wielu wrażliwym danym nadano stopień Wergiliusz, ponieważ ci, którzy najczęściej załatwiali sobie dostęp do danych wywiadowczych – komisje nadzoru, ministrowie, producenci telewizyjni – z reguły skupiali się na najwyższym stopniu tajności Scott, zakładając, że to

właśnie tam przechowywane są najbardziej hardcorowe sekrety. Dostępniejszy poziom Wergiliusz z reguły pomijano. Nie oznaczało to jednak, że Ingrid Tearney chciałaby, żeby te dane były przechowywane gdzieś na zewnątrz.

– Ingrid, wydawało mi się, że już o tym wszystkim wiesz.

– Dopinam tylko wszystko na ostatni guzik, moja droga. Zapewniam cię, że w cotygodniowym biuletynie działu kadr będą ciepło o tobie wspominać.

– Jestem bardzo wdzięczna. To już wszystko?

– Jak wiesz, brzemień przywództwa polega między innymi na tym – ciągnęła Tearney – że nie wiesz, co się mówi na niższych piętrach. Trudno się wczuć w nastroje, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Diana założyła, że Tearney nie pyta jej o znaczenie tego wyrażenia, więc nic nie odpowiedziała.

– A dobrze byłoby wiedzieć, na czym dokładnie stoimy.

– Cóż, jesteśmy przepracowani, niedoceniani i brakuje nam personelu. Ogólne nastroje mniej więcej to odzwierciedlają.

Dame Ingrid się roześmiała. Kto by się spodziewał takiego dźwięcznego śmiechu po guźcu, pomyślała niechętnie Diana.

– Jeśli chodzi o przekazywanie mi niewygodnych prawd, to zawsze można na ciebie liczyć, Diano. To między innymi dlatego jesteś taka cenna jako Drugie Biurko.

– Mamy jakiś problem, Ingrid?

– Nasz nowy pan i władca pobrzękuje szabelką. Wspominał o potrzebie świeżego startu, o... wydaje mi się, że użył słowa „reset”. Aż się pali, by się czymś wykazać.

– Wszyscy nowi ministrowie tak mówią.

– Ale ten nie żartuje. Najwyraźniej zbyt wiele trupów wypadło z szaf. Zupełnie jakby można było skutecznie prowadzić tajne służby, nie przekraczając od czasu do czasu jakichś granic.

Był to kulturalny sposób opisanie wielu różnych wypadków, w tym hurtowej, nielegalnej inwigilacji poczynań całego narodu w sieci, nie wspominając o poddaniu wspomnianego narodu obcemu mocarstwu.

Diana mruknęła coś wymijająco.

– Nie jesteśmy naturalnymi sojuszniczkami, prawda? Ty i ja?

– Jestem całkowicie oddana tajnym służbom – zapewniła Diana. – Zawsze byłam. Wiesz o tym.

– I w tej chwili zastanawiasz się, jak najlepiej sprawić, by odpowiedni ludzie się o tym dowiedzieli, na wypadek gdyby Peterowi Juddowi udało się mnie usunąć ze stanowiska.

Zaprzeczanie byłoby równoznaczne z przyznaniem się.

– Czemu myślisz, że on zamierza to zrobić? – spytała zamiast tego Diana.

– Bo to jest najbardziej oczywisty sposób, by pokazać muskuły, a będzie chciał trochę poćwiczyć, zanim przyśni mu się stanowisko premiera. A może myślałaś, że minister spraw wewnętrznych to szczyt jego ambicji?

Nikt oprócz trzylatków nie myślał, że minister spraw wewnętrznych to szczyt ambicji Petera Judda.

– Pomyślałam więc, że najlepiej ci będzie powiedzieć, że jakikolwiek atak, który PJ przypuści na MI5, nie skończy się na ucięciu głowy. Wiem z pewnego źródła, że nie marzy mu się Drugie Biurko. Że chce wbudować w strukturę dowodzenia pośredni poziom, żeby zapewnić sobie większy nadzór polityczny. Rozumiesz, to by byli ludzie mianowani przez ministra. I niemal na pewno spoza służb. – Zerknęła w bok. – Tak jak mówiłam, nie

jesteśmy naturalnymi sojusznikami. Ale istnieje powiedzenie, które to dobrze podsumowuje.

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, dodała w myślach Diana, i rzekła:

– A ja pozostaję w pełni oddana służbom. Tak jak mówiłam. Już nieraz przeżyliśmy wtrącanie się ministrów w nasze sprawy, Ingrid. Judd na własnym podwórku może sprawiać wrażenie bestii, ale jeśli będzie się chciał dostać do Regent's Park, może się naciąć.

W tym momencie odezwał się jej pager.

– Dziękuję, Dianko – powiedziała Ingrid. – Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać.

Wydaje się jej, że zawarłyśmy sojusz, pomyślała Diana, gdy szefowa MI5 kiwnęła jej głową na pożegnanie i odeszła w głąb korytarza.

Diana sięgnęła po swój pager, rozpoznała numer MI5 i z komórki zadzwoniła do recepcji.

– Proszę pani? Mamy gościa, agenta z zewnątrz. Twierdzi, że pani się go spodziewa. Ale w harmonogramie nie ma nic takiego.

– Nikogo się nie spodziewam. Kto to taki?

– Niejaki River Cartwright. – Strażniczka wyrecytowała służbowy numer Cartwrighta.

– Wpuśćcie go – poleciła Diana. – Będę na schodach.

Trzydzieści dziewięć minut...

Przebywając w Regent's Park, River zawsze czuł się, jakby był pusty w środku; przypominało to wrażenie, gdy po rozwodzie wchodzi się do domu, w którym mieszkało się z małżonkiem. No cóż, pomyślał „zawsze”. Były takie czasy na początku jego kariery – gdy wciąż była jeszcze „kariera” – kiedy to słowo mogło być właściwe; to było, zanim stał się persona non grata, co po łacinie oznacza kulawego konia. Od tamtego czasu był tutaj... ile... dwa razy? W tym raz wezwany przez Spidera Webba. Spider chciał mu w ten sposób dodatkowo dopiec. Dać mu do zrozumienia, że równie dobrze River mógłby być na Syberii. Cóż, w tej chwili to Spider równie dobrze mógł być na Syberii: te nieskończone białe przestrzenie pozbawione jakiegokolwiek życia. Czy tak przeżywa się to w śpiączce? River miał nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

W recepcji pokazał swój identyfikator MI5 i powiedział, że przyszedł się spotkać z Dianą Taverner. Postawił wszystko na jedną kartę; liczył na to, że Taverner to kupi, choćby po to, by się dowiedzieć, co sobie wyobraża, zjawiając się w centrali – mogła go wpuścić tylko po to, by kazać spuścić mu łanie.

Kiedy strażniczka dzwoniła na jej pager, rozejrzał się.

Trzydzieści osiem minut.

Jak zwykle uderzyła go dwoista natura tego budynku; ozdobniki w stylu Oxfordu i Cambridge, ukłon w stronę najlepszych tradycji MI5 – i jego historii kulturalnych bandziorów – podczas gdy nowoczesne aspekty ukryte

były pod ziemią, gdzie nie groziła im brudna bomba i wścibskie spojrzenia. Na korytarzu jednego z górnych pięter wisiał portret jego dziadka. River nigdy tak wysoko nie był. Trafiały tam tylko grube ryby.

Strażniczka domagała się, by skupił na niej uwagę.

– Tak?

– Pani Taverner spotka się z panem przy schodach.

Praktyczne rozwiązanie, na wypadek gdyby zechciała kazać go z nich zrzucić, wywnioskował.

Kobieta podała mu identyfikator z napisem GOŚĆ i wskazała kierunek, w którym powinien się udać.

Zdecydowali się na włoską knajpkę w pobliżu Smithfield i siedzieli na piętrze, jedząc lody z metalowych miseczek: Marcus truskawkowe i pistacjowe, a Shirley brzoskwiniowe ze stracciatellą. Przez jakiś czas słychać było tylko pobrzękiwanie łyżeczek o metal. Kiedy oboje skończyli, Shirley wskazała na miseczkę Marcusa i z głośnym cmoknięciem wyjęła łyżeczkę z ust.

– Głupie połączenie. Truskawka nie pasuje do pistacji.

– Mnie pasuje.

– No to masz uszkodzone kubki smakowe. Do truskawki pasuje czekolada albo wanilia. Pistacja to nawet nie jest prawdziwy smak. Wynaleźli go dopiero w 1997 albo jakoś tak.

– Rzuciła cię, co?

– Jak to rzuciła? Co to w ogóle za pytanie? Gadamy o lodach.

– Jasne.

– I nie. Nic z tych rzeczy.

– Jasne.

– A nawet gdyby, to i tak nie twoja sprawa.

– Jasne.

– A poza tym, skąd możesz wiedzieć?

– Jezu, nie wiem – odparł Marcus. – Może dlatego, że jesteś taka zabawna.

– Spadaj.

– Co się stało? Poznała kogoś?

– Spadaj. Czemu zakładasz, że jestem lesbijką?

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś?

– Chcę powiedzieć: skąd miałbyś to wiedzieć? Przynoszę do pracy moje prywatne życie?

– Shirley, siedząc z tobą w tym samym biurze, czuję się ostatnio, jakbym miał swoją osobistą chmurę burzową, więc tak, w sumie to przynosisz prywatne życie do pracy. A to mi daje prawo do posłuchania o twoich brudach. Poznała kogoś innego?

– I znowu „ona”...

Marcus odłożył łyżeczkę na serwetkę i zlizął resztę lodów truskawkowych z wargi.

– To jest trochę jak w książkach – odparł. – W thrillerach, w kryminałach, wiesz. Dużo czytasz?

– Co to ma do rzeczy?

– Kiedy w thrillerach pisze się „morderca to...”, „morderca tamto...” i nigdy się nie wspomina, czy to on, czy ona, zawsze okazuje się, że to kobieta. A ty się tak zachowujesz z twoją dziewczyną. Nigdy nie mówisz, czy to on, czy ona. Czyli to ona.

Shirley uśmiechnęła się krzywo.

– Może chcę ci tylko namieszać w głowie.

– Może i tak. Ale nie. To co się stało? Poznała kogoś innego?

– Nie chcę o tym gadać.

– W porządku. Ale to znaczy, że będziesz musiała przestać zgrywać wkurzoną ofiarę. Umowa stoi?

– Twardziel z ciebie, wiesz o tym?

– Tak. Kiedyś na tym polegała moja praca.

– Ale już nie polega – odparła Shirley. – Teraz jesteś biurwą jak my. Pora się do tego przyzwyczaić.

– Tak mi powiedzieli parę miesięcy temu – stwierdził Marcus, znów sięgając po łyżeczkę. – Przynajmniej miałem okazję kogoś zastrzelić, nie?

– Wątpię, żeby ci się drugi raz poszczęściło.

– Na wypadek gdyby jednak – odparł Marcus – wiesz, czego nie chcę? Nie chcę partnerki, która się wkurza i jęczy za moimi plecami. Przez takie gówny trudno trafić do celu.

Shirley też wzięła do ręki łyżeczkę, ale jej miska była pusta. Marcus obserwował ją, jak puka łyżeczką o miskę, wytwarzając przy tym wysokie dźwięki rozbrzmiewające w całym pomieszczeniu, i nie po raz pierwszy uderzyło go, jak niesamowicie potrafiła się skoncentrować. Z tą fryzurą na rekruta i szerokimi barkami jakiś kretyn mógłby uznać, że jest „w męskim typie”, ale w jej cerze, w głębokim spojrzeniu brązowych oczu nie było absolutnie nic męskiego. Mimo to pochylona nad ruinami swoich lodów niemal pogrążyła się w obojnactwie. Tak czy inaczej, miała prawy sierpowy, który potrafił zwalić z nóg.

Podniosła na niego wzrok.

– To tym jesteście? Partnerami?

– Z braku lepszej oferty – odparł.

– W takim razie chcę jeszcze jedne lody, partnerze. Karmelowe i miętowe.

– Serio?

Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie.

Marcus poszedł po kolejne porcje.

– Cartwright.

Taverner, tak jak obiecała, czekała na schodach, które zaliczały się do ozdobników – na tyle szerokie, że można by na nich tańczyć – i na tym konkretnym piętrze z wąskim oknem, które musiało być wysokie na jakieś dwa i pół metra. Padały przez nie ukośne promienie słońca, w których tańczyły drobinki kurzu. Nadawały włosom Lady Diany kasztanowy odcień, co na chwilę rozkojarzyło Rivera. Przez moment miał pustkę w głowie. Jak powinien się do niej zwracać?

– Madame – podsunęły jego usta.

Mignął mu jej zegarek, gdy na niego zerknęła, i to mu przypomniało: trzydzieści sześć minut.

– Nie powinno cię tu być – powiedziała. – Pamiętasz?

– Tak, ale...

– I nie wyglądasz najlepiej.

– Jest upał, madame – odparł.

W budynku było jednak chłodniej; klimatyzacja i marmurowe posadzki.

– ...no i?

River i Diana Taverner mieli wspólną historię. Może nie taką, jaką większość ludzi ma na myśli, gdy mówią o wspólnej historii, ale w sumie... niedaleko: zdrada, dwulicowość i nóż wbity w plecy – bardziej jak w małżeństwie niż w przygodzie kochanków. I większość z tego na dystans, więc nieczęsto się widywali. Tu i teraz, na tym piętrze, z koszulą przyklejoną do pleców, River przypomniał sobie, jak bardzo jej obecność potrafi rozkojarzyć. Nie chodziło tylko o to, że była atrakcyjna; było coś w tym, jak w widoczny sposób rozważała każdą sytuację, tak manewrując, by osiągnąć maksymalne dla siebie korzyści.

– Chodzi o Jamesa – powiedział. – Jamesa Webba.

– Ach.

– Byłem... u niego.

Spider był kiedyś protegowanym Taverner, choć swoją – jak sam bez wątpienia by ją nazwał – lojalność dzielił dość równo między nią a Dame Ingrid. W chwili gdy został postrzelony przez rosyjskiego zbira, trudno było powiedzieć, po czyjej był stronie, ale ponieważ od tamtego czasu głównie leżał na plecach, na dłuższą metę pewnie nie miało to już znaczenia.

– Wciąż się przyjaźniliście? – spytała. – Nie miałam pojęcia.

– Byliśmy razem na szkoleniu.

– Nie o to pytałam.

– Nie, pod koniec nie byliśmy przyjaciółmi – odpowiedział River – ale był taki czas, kiedy pozostawaliśmy blisko. Poza tym nikogo nie ma. To znaczy rodziny.

Nie miał pojęcia, czy Spider miał rodzinę czy nie, więc improwizował. I liczył na to, że Taverner też nie zna sytuacji rodzinnej Spidera.

– Nie wiedziałam – odparła. – I... w jakim jest teraz stanie? Coś się zmieniło?

– Nie bardzo.

Przez chwilę dostrzegł w jej oczach coś, co mogło być szczerą troską. A potem w duchu uderzył się w czoło – czemu nie? Pracowała z nim. I oto River wykorzystywał stan swojego dawnego przyjaciela, by dostać się do miejsca, z którego wygnał go Spider... Przyszło mu do głowy, że Webb mógłby dostrzec w tym ironię losu. Że ta drobna zdrada była bardziej jak hołd niż zemsta.

Rozmyślenia zostaw sobie na później.

Trzydzieści pięć minut.

– Właściwie to zupełnie nic. I realnie nie ma szans, żeby coś się zmieniło.

Taverner odwróciła wzrok.

– Śledziłam raporty – rzuciła wymijająco.

– W takim razie wie pani. Jest w stanie wegetatywnym, mózg nie wykazuje prawie żadnej aktywności. Czasami jakaś iskierka... ale... A jego narządy nie działają samodzielnie. Wystarczyłoby go odłączyć od aparatury, a umarłby w czasie, w jakim serce przestaje bić.

– Do czego zmierzasz?

– Rozmawialiśmy o tym kiedyś. Na jednym z tych szkoleń wytrzymałościowych w Black Mountains.

Krótko kiwnęła głową.

– W skrócie... – zaczął River.

– Dobry pomysł.

– ...mówił, że gdyby kiedyś podłączyli go do gniazdka i gdyby tylko to trzymało go przy życiu, chciałby, żeby go odłączyć. Tak mi powiedział.

– W takim razie te informacje są w jego aktach.

– Wątpię, żeby kiedykolwiek złożył oficjalną deklarację. Ile miał wtedy lat? Dwadzieścia cztery? Nie planował tego. Ale to było coś, nad czym się zastanawiał.

– Gdyby zastanowił się trochę lepiej, może by zauważył, że to nie ma nic wspólnego z planowaniem. – Trzydzieści cztery minuty. – O co konkretnie mnie prosisz?

– Chciałem po prostu z kimś o tym porozmawiać. Jak długo będzie tam leżał, zanim ktoś podejmie decyzję?

– Mówisz o tym, żeby pozwolić mu umrzeć – stwierdziła.

– Nie wiem, jaka jest alternatywa.

Ale przyszło mu do głowy, co mógłby powiedzieć Lamb: „Powinni go przekwalifikować. Nadałby się na próg zwalniający”.

– Słuchaj, nie mam teraz na to czasu – oznajmiła. – Jesteś pewien, że nie ma żadnej rodziny? Jakichś kuzynów?

– Nie wydaje mi się.

– W każdym razie to nie decyzja, którą możemy podjąć na cholernych schodach. – Gniewnie wbiła w niego wzrok, ale zaraz jej spojrzenie złagodniało. – Ale zajmę się tym. Masz rację. Jeśli nie ma nikogo innego, kto mógłby podjąć decyzję, będzie to musiał zrobić Regent’s Park. Chociaż mogłoby się wydawać, że personel medyczny...

– Pewnie boją się odpowiedzialności.

– Boże. Nie oni jedni. – Znow spojrzała na zegarek. – To wszystko?

– ...tak.

– Nie chcesz mi wyjaśnić, dlaczego powinieneś wrócić do centrali? Dlaczego w Slough House twój talent się marnuje?

– Nie w tej chwili.

– Dobrze. – Milczała przez chwilę. – Dam ci znać. To znaczy o Webbie. O Jamesie. Cokolwiek postanowimy.

– Dziękuję.

– Ale nie rób tego więcej. Nie zjawiaj się bez zapowiedzi. Bo skończysz na dole.

Tym razem jej twarz nie złagodniała.

Trzydzieści dwie minuty.

– Pora na ciebie.

– Dziękuję.

River ruszył w dół po schodach. Był pewien, że obserwowała każdy jego krok. Jednak gdy dotarł na dół i się obejrzał, już jej nie było.

Trzydzieści jeden minut.

Przyszła pora na trudniejszą część.

Mężczyzna z kładki dla pieszych był teraz gdzie indziej; w Postman's Park, którego zadbany ogródek był dla pracujących w tej okolicy popularnym miejscem na lunch. Głównie dlatego, że mieścił się tutaj Pomnik Ludzi, Którzy Poświęcili Swe Życie Za Innych. Tablice na murze upamiętniały tych, którzy zginęli, próbując – co czasem okazywało się bezowocne – ratować innych. Jedna z nich honorowała Leigha Pitta, który „uratował tonącego chłopca z kanału... ale niestety nie był w stanie uratować siebie”. Inna – Mary Rogers, która „poświęciła życie, oddając swoje koło ratunkowe, gdy statek tonął”. Thomas Griffin doznał śmiertelnych poparzeń podczas wybuchu kotła w rafinerii cukru w Battersea, gdy wrócił szukać swego kolegi, natomiast George'owi Elliottowi i Robertowi Underhillowi „udało się zejść do studzienki, by uratować towarzyszy, ale zatruli się gazem”... Sylvester Monteith – Sly dla znajomych i dla tych, którzy po prostu podejrzewali, jaki jest naprawdę – popijał mrożoną herbatę z plastikowego kubka i zastanawiał się, dlaczego poświęcenie życia dla kogoś innego uważano za coś tak honorowego. Przypuszczał, że każda epoka musi mieć swoich bohaterów. Jeśli o niego chodzi, to wkroczył w wiek męski w latach osiemdziesiątych i jego reakcją na każdy z tych wypadków byłoby pragmatyczne wycofanie się. Potem byłby wśród pierwszych, którzy ubolewaliby nad zawodnym sprzętem, i dopytywałby o możliwość znacznie lepszych zamienników po cenie, którą za rozsądną uznać można by jedynie, przyjmując punkt widzenia przyszłych górników, pracowników rafinerii cukru, pasażerów statków oraz lekkomyślnych przechodniów. Wszystko byłoby bezpieczniejsze, ktoś by się na tym wzbogacił i świat dalej by się kręcił. Tak to już jest.

Tymczasem, aby upewnić się, że świat nadal się kręci, Monteith spojrzął na zegarek. Minęło jakieś dwadzieścia minut od chwili, gdy wysłał

Rivera Cartwrighta na misję, która była takim samym aktem samopoświęcenia jak te upamiętnione na murze w Postman's Park. To była jedna z tych rzeczy, o której człowiekowi nie mówią, kiedy zgłasza się do tajnych służb, pomyślał Monteith. Że istnieje ogromna przepaść między tymi, którzy odpalają armatę, a tymi, którzy się na nią rzucają. Odpalenie armaty było ścieżką do długiego i szczęśliwego życia. Ta, którą odpalił dla Cartwrighta, raczej go nie zabije, ale na pewno w porównaniu z nią wygnanie w Slough House będzie mu się kojarzyć z długimi wakacjami.

Nawet szybkie konie kończą w rzeźni. Fakt, że kulawe konie trafiają do niej pierwsze, był jedną z drobnych ironii losu.

Dopił herbatę i sięgnął po komórkę.

Sean Donovan odebrał po pierwszym sygnale. Brzmiało to tak, jakby prowadził.

– Jesteś w drodze?

– Tak – potwierdził Donovan.

Monteith przerwał na chwilę, by popodziwiać przebiegającą obok kobietę: jej wilgotne włosy, obcisły podkoszulek, głowę kołyszącą się w rytmie pulsującym przez słuchawki w uszach.

– Jak tam nasz gość?

– A jak myślisz? Nic jej nie jest. Jest trochę zdenerwowana i bardzo wkurzona.

– Cóż, nie będzie już musiała długo tego znosić – stwierdził Monteith. – A tymczasem nie zaszkodzi trochę jej nastraszyć.

Donovan milczał przez chwilę, a potem spytał:

– To tego chcesz?

– Tak. – Kobieta już pobiegła, ale pozostało uczucie, które w nim wzbudziła: pragnienie, by usłyszeć kobiecy pisk. To, że Monteith go nie

usłyszy, nie miało znaczenia. Istotne było, że to on o tym decydował. –
O której będziesz?

– Za pół godziny.

– Nie spóźnij się – powiedział Monteith i zakończył połączenie.

Zabrał swój pusty kubek, wrzucił go do kosza i przystanął, by jeszcze raz spojrzeć na tablice na ścianie; na fragmenty historii, które opowiadały – za każdym razem akcentując zakończenie, bo na początku ani w środku nie było nic, o czym ktokolwiek chciałby usłyszeć. Pokręcił głową. Potem opuścił niewielki park i przywołał taksówkę.

River z powrotem wszedł po schodach. Kobieta z recepcji zawołała za nim.

Odwrócił się.

– Zapomniałem, że potrzebuję podpisu pani Taverner. – Wykonał ruch, jakby coś bazgrał w powietrzu. – To potrwa tylko chwilę.

– Proszę zejść na dół. Zadzwoń do niej jeszcze raz.

– O, tam jest! – River wskazał na następne piętro i pomachał plakietką z napisem GOŚĆ. – Jedna minuta. – Dotarł na piętro i strażniczka straciła go z pola widzenia.

Trzydzieści minut.

Może trochę więcej, może trochę mniej.

Prawdę mówiąc, nie myślał już teraz o Catherine Standish. Operacja to operacja. Znajdował się na terenie wroga, a fakt, że była nim główna siedziba MI5, tylko zwiększał stopień trudności.

Przecisnął się przez wahadłowe drzwi. Opierał się na wspomnieniu, niedoskonałym planie budynku, który miał w głowie, ale powinny tu być jakieś windy. Odpiął identyfikator, wepchnął go do kieszeni, i zgadza się, były tu, w pustym holu, na całe szczęście. To, co by zrobił, gdyby Lady Di zaczęła, było pytaniem na inne życie.

Naciskając przycisk, wyciągnął z kieszeni komórkę. Wciąż miał na liście kontaktów recepcję z Regent's Park. Od lat nie używał tego numeru, ale wciąż go trzymał, bo...

Bo człowiek nigdy nie kasuje takich numerów, na wypadek gdyby oddano mu jego dawne życie.

Odebrano po drugim sygnale.

– Ochrona.

– Możliwe zagrożenie – powiedział, zniżając głos.

– Kto mówi?

– W samochodzie przed budynkiem jest para, dwadzieścia metrów w dół ulicy. Udają, że to kłótnia kochanków, ale mężczyzna jest uzbrojony. Powtarzam, mężczyzna jest uzbrojony. Sugeruję natychmiastową reakcję.

– Może mi pan podać pański...

– Natychmiastową reakcję – powtórzył River i zakończył połączenie.

To powinno na chwilę wszystkich zająć.

Przyjechała winda i wsiadł do niej.

Sean Donovan wjeżdżał do Londynu od zachodu. Klimatyzacja w furgonetce ledwie działała, więc od rozmowy z Monteithem jechał z otwartymi oknami i wpadający z obu stron powiew niemal chłodził wnętrze samochodu. Teraz jednak Donovan zamknął okna, żeby zadzwonić do Traynora, który zgłosił się tak jak zwykle:

– To ja.

Nie spytał Traynora, czy wszystko w porządku. Benjamin Traynor służył z nim w miejscach, w których było naprawdę gorąco; kulił się z nim za murami, które nad ich głowami rozpadały się w pył. Jeśli Traynor nie potrafił sobie poradzić z jedną kobietą w średnim wieku zamkniętą na strychu, obaj powinni zastanowić się nad swoją przyszłością. A zwłaszcza nad następnymi dwudziestoma czterema godzinami.

- Jestem w centrum – powiedział. – Wszystko zgodnie z planem.
- Niedługo ruszam. Rozmawiałeś z... szefem?
- Chciałby, żebyś ją nastraszył.
- Mam ją nastraszyć.
- Tak się wyraził. „Nie zaszkodzi trochę ją nastraszyć”.
- Cóż, on tu rządzi – stwierdził Traynor.
- Gdzie dzieciak?

Dzieciak, którego Catherine z jakiegoś powodu przezwała „Bailey”.

- Z przodu. Na wszelki wypadek.

- Jest zielony, nie?

– Czujność nie zawadzi – wyrecytował Traynor. Tyle miejsc, gdzie było naprawdę gorąco, tyle ścian, które rozpadły się w pył, a on wciąż miał oko na nowicjuszy. Oczywiście to nie on spędził pięć lat, licząc cegły w wielu małych pomieszczeniach. – To dobry dzieciak.

- Tak jak jego siostra – odparł Donovan.

- Tak. Tak jak jego siostra.

Zakończył rozmowę i znów opuścił szyby. Do kabiny wdarła się woń benzyny i spalonej gumy, ale wszystko, co nie kojarzyło się z więzieniem, pachniało wolnością. Zerknął na zegarek. Dwadzieścia minut do spotkania z Monteithem, parking przy Euston Road. Dotrze tam przed czasem.

Wiele rzeczy mogło pójść nie tak, ale nie to.

Niektóre windy zjeżdżały niżej, niż River chciał się udać. Nie ta – to była standardowa winda dla personelu – ale istniały inne, do których trzeba było mieć specjalne upoważnienia i które znikwały głęboko we wnętrzościach Londynu, oferując dostęp do bezpiecznych ośrodków zarządzania kryzysowego, a nawet do ściśle tajnego podziemnego systemu transportu, o którym krążyły tylko plotki; River podchodził do nich sceptycznie aż do chwili, gdy dowiedział się, że oficjalnie je zdementowano. Istnienie innych

miejsc, gdzie przeprowadzano przesłuchania, którym później można było zaprzeczyć, uważał za coś oczywistego. Tak wyglądają fundamenty, na których buduje się bezpieczeństwo.

Zmierzał jednak na poziom, gdzie znajdowały się archiwa.

W czasach, gdy pracował w Regent's Park, rzadko miał okazję je odwiedzać, ale wiedział z rozmów ze swoim dziadkiem S.D., że od dawna groziło im przepełnienie. Zawierały w końcu setki metrów, a nawet mil informacji zapisanych na papierze: raportów i notatek, akt personalnych, transkrypcji i protokołów o różnych stopniach wrażliwości. River udał zdziwienie, że gros archiwów w Regent's Park to fizyczne, papierowe dokumenty, ale zrobił to tylko dlatego, żeby S.D. mógł wsiąść na swojego ulubionego konika.

– Och – powiedział dziadek czule zwany Starym Draniem. – Musieli zrewidować wiele wczesnych protokołów składowania, kiedy dotarło do nich, że komputery są jak skarbcce w bankach. Miłe i bezpieczne, tak jak domy, do chwili, gdy ktoś nie wysadzi drzwi i nie wyniesie łupów.

Kiedy ostatnio o tym rozmawiali, był późny wieczór: deszcz bębnił w szyby, a do ich szklaneczek z niemal taką samą regularnością spływała brandy.

– Bo komputery gadają ze sobą, River. Właśnie do tego są. Twoje pokolenie nie potrafi ugotować sobie jajka, nie zaglądając do internetu, potrzebujecie ich do wszystkiego, ale zwykle zapominacie o ich głównej funkcji, o tym, że przechowują informacje, ale tylko po to, by je ujawniać.

Naturalnie River o tym wiedział. Miał świadomość, że to dlatego Królowe Bazy Danych pracują w fizycznie izolowanej sieci, a ich porty USB są zaklejone, by nie można było wsunąć pendrive'a. Żeby wejść do internetu, Królowe musiały przesiadać się z jednego rzędu komputerów do drugiego – dowcipnie nazywano to internet i internot. Teraz najbardziej

obawiano się nie zagrożeń nuklearnych, lecz elektronicznego kłusownictwa. Tajne służby lubiły kraść, ale nie znosiły być okradane.

Wystarczyłoby dać urodzonemu złodziejowi, takiemu jak Roderick Ho, pięć minut połączenia z internetem, pomyślał River, a byłby w stanie wyciągnąć historię weryfikacji premiera, gdyby tylko była w sieci.

I właśnie dlatego historii weryfikacji premiera nie przechowywano online, lecz w archiwach personalnych Regent's Park na poziomie, na który teraz zmierzał.

To był bez wątpienia dwupoziomowy autobus. Starego typu routemaster, z platformą, na którą można było wskoczyć, kiedy odjeżdżał, jeśli komuś nie przeszkadzało, że kierowca nań nawrzeszczy. Górny poziom był odkryty i zabezpieczony grubym płótnem. Zaparkowany był przodem w stronę domu i Catherine widziała okienko z wyświetlanym przystankiem końcowym, w którym widniał napis „Wskakuj na pokład!”. W polu widzenia nie było żadnych innych pojazdów. Miała rację co do budynków gospodarczych: trzy mniejsze funkcjonalne zabudowania, bez okien, ze skośnymi dachami. Garaże albo magazyny. Żaden nie wyglądał, jakby był obecnie używany. Sprawiało to wrażenie, jakby jej porywacze przypadkiem natrafili na jakąś pustą posesję i postanowili skorzystać z okazji. Tyle tylko że natrafianie na coś przypadkiem nie mieściło się w światopoglądzie Seana Donovana. Każda misja, w której brał udział, była podwójnie sprawdzana; każdy szczegół dokładnie weryfikowany pod kątem nieprzewidywalnego, potencjalnej obluzowanej śrubki.

Nagle przyszła jej do głowy pełna goryczy myśl. Obluzowana śrubka – a więc tylko tym dla niego byłam.

A czym jestem teraz?

Nie spała od kilku godzin; prawie nie zmrużyła oka. Miała za duży mętlik w głowie, a to pytanie było najważniejsze ze wszystkich: czym

jestem teraz? Postacią z przeszłości Donovaną porwaną do jego teraźniejszości – ale dlaczego? Nie mogła udawać, że coś dla niego znaczyła; to musiało dotyczyć tego, co robiła. A nie robiła nic ważnego; miało to jedynie luźny związek z tajnymi służbami. Przekładała papiery Jacksona Lamba i przetwarzała nudne jak flaki z olejem liczby analizowane przez kulawe konie w coś, co przypominało raporty, które potem wysyłała do Regent's Park, żeby tam mogli je oficjalnie zignorować. Jeśli coś, co ostatnio robili w Slough House, mogło budzić tego rodzaju ekscytację, zupełnie jej ten fakt umknął... Kilka godzin temu, gdy leżała na wąskim łóżku i myślała o tym wszystkim, usłyszała, że ktoś zamyka frontowe drzwi, i kiedy podbiegła do okna, zdążyła dojrzeć, jak Donovan wsiada do furgonetki, którą ją tu przywieźli. Odjechał ścieżką, skręcił w wąską dróżkę i zniknął z pola widzenia.

Cokolwiek się działo, teraz już nie dało się tego zatrzymać.

Światła na korytarzu trzy poziomy poniżej tego, na którym rozmawiał z Dianą Taverner, miały niebieskawy odcień, jakby naśladowały efekt zmierzchu na zewnątrz. Gdy wysiadał z windy, lekko go to zdezorientowało: nie tylko światło, ale też lśniąca białe ściany i białe kafelki na podłodze. Pod powierzchnią wszystko się zmieniało. Nigdzie nie było widać boazerii ani marmurowych powierzchni.

Drzwi windy zamknęły się za jego plecami, maszyna zasumiała.

Dwadzieścia osiem minut.

Jak dotąd żadnych alarmów. River zostawił swoją przepustkę w windzie, na wypadek gdyby był w niej chip lokalizujący. Miał nadzieję, że para uzbrojonych terrorystów odwróciła uwagę ochrony, ale nie potrwa to długo, nim ochrona ich zastrzeli i wróci do pracy. Miał dwadzieścia osiem, może dwadzieścia siedem minut na zdobycie pliku, którego chciał

tamten mężczyzna w garniturze, nim jego bandziory stracą panowanie nad sobą i wyżyją się na Catherine.

– ...mam się włamać do Regent's Park, serio?

– Wyglądam, jakbym żartował?

Chodziło o to, że niemal tak wyglądał. To przez ten wyniosły uśmiech, uśmieszek wyższych sfer.

– To proste. Nie musisz nawet go wykradać. Wystarczą zdjęcia.

– Nie pozwolą mi tam po prostu wejść – stwierdził głupio River.

– Gdyby tak było, nie musielibyśmy porywać twojej koleżanki.

W otwartych drzwiach w głębi korytarza pojawiła się jakaś postać.

Była dość krągła, z rozczochranymi włosami, a jej twarz wyglądała jak gruba biała maska pudru; dziecinna próba przebrania się za klauna, pomyślał w pierwszej chwili River. Nie było jednak nic dziecinnego w jej oczach, stalowoszarych, tak jak jej włosy; jej wózek inwalidzki w niczym nie przypominał zabawki – był w wiśniowym kolorze, o grubych kołach i wyglądał jak coś, co jest w stanie sforsować każdą przeszkodę: zamknięte drzwi, okopy wroga albo Rivera Cartwrighta.

To była Molly Doran, o której wiele słyszał, również dobrego.

Podjechała w jego stronę z głową przekrzywioną na bok. Słaby odgłos dzwona dochodzący od zamkniętego szybu za jego plecami oznaczał, że winda zatrzymała się na innym poziomie, ale równie dobrze mógł oznaczać, że ta kobieta zaczęła mówić: nie byłby zaskoczony, gdyby wydała z siebie serię piśnięć i zgrzytów. Nie miało to nic wspólnego z wózkiem inwalidzkim (a przynajmniej tak sobie wmawiał), za to bardzo wiele z tą lalkowatą twarzą, porcelanową maską.

Gdy jednak przemówiła, w jej głosie dał się słyszeć standardowy, rzeczowy akcent z BBC, jaki można usłyszeć w przedpołudniowych programach.

– Jesteś jednym ze szczeniaków Jacksona, tak?

– Ja... Tak. Zgadza się.

– Czego chce tym razem?

Nie czekając na odpowiedź, zawróciła do drzwi, z których się wyłoniła. Cartwright ruszył za nią i przeszedł do długiego pomieszczenia przypominającego magazyn biblioteczny – albo wyobrażenia Rivera o magazynie bibliotecznym: rzędy szafek na szynach umożliwiających zsuniecie ich razem, kiedy nie są używane, każda z nich wypchana po brzegi tekturowymi teczkami. Gdzieś w tym wszystkim była teczka, którą kazano mu ukraść. Nie, prościej. Miał tylko sfotografować jej zawartość.

Molly Doran wsunęła się zręcznie do klitki zaprojektowanej tak, by mieścił się w niej jej wózek. Jej nogi kończyły się na wysokości kolan. River wiele o niej słyszał, ale żadna z opowieści nie zawierała bezsprzecznej prawdy na temat tego, w jaki sposób straciła nogi. Wszystkie relacje potwierdzały natomiast, że była to strata – kiedyś je miała.

– Może nie dosłyszałeś – powiedziała. – Czego chce tym razem?

– Pewną teczkę – odpowiedział River.

– Teczkę. A więc na pewno masz odpowiedni formularz.

– Cóż, zna pani Jacksona.

– Z pewnością go znałam. – Miała w sobie coś ptasiego, choć zwykle ludzie porównujący kobietę do ptaka mają na myśli zupełnie coś innego. Może kojarzyła się z pingwinem; niskim, grubym ptakiem, przycupniętym, z łbem przekrzywionym na jedną stronę. Gdy unosiła do góry głowę, jej nos przypominał dziób. – Mówiłeś, że jak się nazywasz?

– Cartwright.

– Tak mi się wydawało... Przypominasz go. Twojego dziadka.

River czuł, że staje się coraz cięższy, jakby mijający czas nabierał masy i przytłaczał go swoimi konsekwencjami.

– To coś w twoich oczach. Głównie w ich kształcie. Jak on się miewa?

– Dziarski jak zawsze.

– Dziarski. – Jeśli opisuje się jakimś słowem staruszków, to właśnie tym. O kobietach mówi się, że są zadziorne, a o starych ludziach, że są dziarscy. Chyba że w rzeczywistości tacy nie są. – To jaką teczkę chciał Jackson?

River zaczął recytować numer, który podał mu mężczyzna na kładce, ale przerwała mu.

– Pytam, co to za sprawa, mój drogi. Dlaczego interesuje naszego pana Lamba?

– Nie wiem.

– Nie zdradza ci za wiele, co?

– Zna pani Jacksona – powtórzył.

– Przypuszczam, że lepiej niż ty. – Otaksowała go wzrokiem. – Jak się tu dostałeś?

– Jak się dostałem?

– Tak. A może od dzisiejszego ranka zaczęli wpuszczać każdego?

– Byłem umówiony.

– Nie ze mną. Gdzie twój identyfikator?

– Miałem spotkanie z Lady Di.

– Rany, jacy jesteśmy wspaniali. Nie wiedziałam, że zniża się do rozmów z wygnanymi. A może nazwisko dziadka otwiera ci wszystkie drzwi?

– Nigdy na to nie liczyłem – odparł River.

– Oczywiście. W przeciwnym razie nie byłbyś kulawym koniem.

River nie zagłębił się w ten temat. Mijały kolejne sekundy. Przyszło mu do głowy, żeby wyjąć komórkę i pokazać tej kobiecie zdjęcie Catherine. Musiałby tylko poprosić ją o pomoc.

A chwilę później ochrona zaczęłaby wywierać drzwi kopniakami.

– Jak on się miewa? – spytała nagle.

Nie musiał pytać. Wiedział, że zmieniła temat.

– Lamb? Tak jak zawsze – odrzekł.

Roześmiała się. Nie był to wesoły śmiech.

– W to wątpię – stwierdziła.

– Może mi pani wierzyć – zapewnił River. – Nie widać żadnej poprawy.

Zostało mu najwyżej dwadzieścia minut. I musiał w tym czasie nie tylko namierzyć teczkę i sfotografować jej zawartość, ale też dostać się w jakieś miejsce, skąd mógłby wysłać zdjęcia, a to oznaczało opuszczenie Regent's Park. Wszędzie w tych murach próba wysłania na zewnątrz załącznika uruchomiłaby alarm.

Parę w samochodzie na pewno już do tej pory sprawdzono. Zauważono, że on sam nie zjawiał się ponownie. Wątpił, żeby zamknęli budynek – był przecież tylko kulawym koniem, z łatwością mógł się zgubić – ale wysłał ludzi, żeby go szukali, i to wkrótce. Musiał wykonać jakiś ruch. Ale Molly Doran wciąż mówiła.

– Jackson Lamb tak długo mieszkał pod mostem, że sam zmienił się w półtrolla. Ale szkoda, że go nie poznałeś wieki temu.

– Tak – zgodził się River. – Założę się, że łamał kobietom serca.

Roześmiała się.

– Nigdy nie był piękny jak z obrazka. Ale miał coś w sobie. Jesteś za młody i za ładny, żeby to rozumieć. Ale potrafił skraść dziewczynie serce. Albo inne części ciała.

– Jeśli chodzi o tę teczkę...

– Na którą nie masz kwitka.

– Nawet kiedy był młody i potrafił skraść dziewczynie serce, pamięta pani, żeby kiedykolwiek wypełniał formularze? – spytał River.

– Gładko wybrnąłeś. Podoba mi się to. – Molly bez ostrzeżenia potoczyła się do przodu i jej wózek znów znalazł się w przejściu między szafkami. – Podejrzewam, że masz to po dziadku.

– Chodzi o to – zaczął River, pochylając się tak, żeby jego usta znalazły się przy jej uchu – że właściwie nie powinno mnie tu być.

– Zdumiewasz mnie.

– Ale ponieważ i tak miałem spotkanie z Lady Di i wiedziałem, że Jackson musi zobaczyć tę teczkę...

– ...pomyślałeś, że mógłbyś upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Otóż to.

– Może od Lamba też coś podłapałeś – stwierdziła Molly. – Jackson nigdy się nie patyczkował. Nie wtedy, gdy mógł przebić sobie drogę taranem.

– Mówiłem pani, że jest taki jak zawsze.

– Co to za teczkę chciałeś?

Powtórzył numer. Zawsze miał dobrą pamięć do liczb; pamiętał też dobrze tamtego mężczyznę na kładce. Miał nadzieję, że się jeszcze spotkają.

– A to ciekawe – stwierdziła Molly Doran.

– Jak to?

– W Slough House zajmujecie się tylko zamkniętymi sprawami i ślepyimi zaułkami, prawda? Nic superaktualnego, nic, czym można by się poparzyć. Tak zawsze słyszałam.

– Analizujemy liczby – przyznał River. – I kręcimy się w kółko. Gdyby pojawiło się coś ciekawego, pewnie przekazalibyśmy to do Regent's Park.

– Pewnie?

– Jeszcze nie było takiej okazji.

Piętnaście minut. Albo czternaście. Albo dwanaście. Studiował twarz Molly Doran, podając jej numer, ale nawet najdrobniejszym ruchem oka nie dała mu wskazówki, w którym miejscu może znajdować się teczka. A bez wskazówki mógł kręcić się tu godzinami i nawet się do teczki nie zbliżyć. Ostatnim systemem, jaki wprowadziłyby Molly Doran, byłby taki, w którym numery same podpowiadają, gdzie szukać dokumentów.

– I co teraz? – spytała. – Bo ta teczka to zdecydowanie bardzo aktualna sprawa. Zwłaszcza że dotyczy premiera i w ogóle.

Ton jej głosu się nie zmienił.

Ktoś szedł korytarzem, obcasy stukały jak ciężkie buty na bruku. Gdy się zatrzymał, River poczuł, że jego serce robi to samo. Coś zamruczało, zaszumiało – był to dźwięk otwierających się drzwi windy. Ten ktoś wszedł do kabiny, znów dał się słyszeć szum i pomruk.

Przez cały ten czas jej spojrzenie rozkładało go na części, jakby był z klocków lego.

– Mogę powiedzieć pani prawdę? – spytał.

– Naprawdę nie wiem – odparła Molly. – Ale interesująco będzie się dowiedzieć.

– Jackson jest w tym swoim swawolnym nastroju.

– Miewał takie – przyznała.

– Właśnie.

– Mniej więcej tak często, jak ja uprawiam jogging.

– Chodzi o zakład.

– To brzmi bardziej wiarygodnie.

– Założył się ze mną, że nie uda mi się dowiedzieć, jaką ksywę miał premier w szkolnych czasach.

– Wikipedia nie pomogła?

– Można by tak pomyśleć, prawda? Przypuszczam, że kazał komuś to wykasować.

– Czyli chciałbyś tylko szybko rzucić okiem na tę teczkę.

– Zgadza się.

– Może powinnam się odwrócić, kiedy będziesz to robić? Tak szybciutko?

– ...jeśli tak pani sobie życzy.

– Cóż, jeślibym nie patrzyła, nie byłabym w to zamieszana, prawda? Dzięki temu nie byłabym twoją współpracowniczką, gdy będziesz łamał ustawę o tajemnicy państwowej. A naprawdę nie mogę trafić na pięć lat do Holloway. Czytałam, że więzienne jedzenie nie służy zdrowiu.

River nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że mają towarzystwo. Gdy poczuł, jak ktoś od tyłu chwyta go za ręce i zaciska na nich plastikowe opaski, był świadom głównie spojrzenia Molly Doran, w którym dojrzał trochę politowania, a trochę zaciekawienia, jakby jego zachowanie wykraczało poza wszystko, co była w stanie pojąć. I patrzyła tak na niego kobieta, która dobrze знаła Jacksona Lamba. Muszę mieć naprawdę poważne kłopoty, pomyślał.

Nie odezwała się, gdy umiarkowanie uprzejmie wyprowadzano go z pomieszczenia.

Gdy Catherine usłyszała, że ktoś otwiera kłódkę, usiadła na łóżku i opuściła nogi na podłogę. Czy nie tak reagują więźniowie na brzęk swojego łańcucha?

Myślała, że to znów będzie Bailey – ten młody mężczyzna, który zrobił jej zdjęcie – ale przyszedł ten drugi żołnierz. Ten, którego obecność przy wejściu do metra w Angel skłoniła ją, by zawrócić na ulicę. Podobnie jak w przypadku Seana Donovana, wszedł do pokoju jak ktoś, kto przez całe życie był żołnierzem – jednym spojrzeniem omiół całe pomieszczenie. Od

jego ostatniej wizyty tutaj nic nie mogło się zmienić, ale to nie było powodem, żeby ryzykować. Następnie jego wzrok spoczął na Catherine.

Czekała.

– Przykro mi, że tak wyszło – zaczął.

Ale nie wyglądał, jakby było mu przykro.

Był taki czas, gdy wchodzenie po schodach Slough House sprawiało, że Louisa codziennie czuła się tak, jakby był środek zimy. Teraz nosiła ze sobą własną pogodę. Przechodzenie przez podwórze czy otwieranie drzwi, które zawsze się zacinały, nie miało na nią wpływu. I tak była już w takim nastroju, niezależnie od tego, gdzie się znajdowała.

Na pierwszym piętrze przystanąła przy pokoju Ho. Siedział przy swoim biurku obstawiony czterema płaskimi monitorami, jakby chciał się opalić. Kiwał głową do jakiegoś rytmu i dobrze wyściełane słuchawki, przy których jego głowa wydawała się śmiesznie mała, sugerowały, że słuchał muzyki, ale równie dobrze mogły to być binarne rytmy jakiegoś kodu, który przywoływał obrazy na jego monitorach. Nieraz wchodziła do tego pokoju, a on nawet tego nie zauważał, choć tak urządził swoje stanowisko pracy, żeby mieć widok na drzwi – kiedy był w strefie, o ile maniacy komputerowi wciąż tak mówili, to jakby przeniósł się na Księżyc. Choć Roderick Ho był dupkiem, była to tylko jego najbardziej oczywista cecha, nie ta najważniejsza. Najważniejsze, że umiał się poruszać w cyberprzestrzeni. Zapewne była to jedyna rzecz, która utrzymywała go przy życiu. Gdyby od czasu do czasu się nie przydawał, Marcus albo Shirley pewnie już by go stłukli na krwawą miazgę.

Ale dziś nie był na Księżycu, bo patrzył na nią, gdy wchodziła do jego pokoju. Ściągnął nawet słuchawki. Jeśli chodzi o etykietę, plasowało go to w kategorii Jane Austen: Louisa widywała, jak unosił rękę, jakby chciał zatrzymać ruch na ulicy, gdy podejrzewał, że ktoś chce coś powiedzieć,

kiedy on zajęty był czymś ciekawszym, na przykład otwieraniem puszek z colą albo wydychaniem powietrza.

– Cześć – powiedział Ho.

To było dziwne.

– Dobrze się czujesz?

– Jasne – odparł. – Czemu pytasz?

– Bez powodu. Możesz namierzyć telefon Catherine?

– Nie.

– Pomyślałam, że umiałbyś to zrobić. GPS. Cokolwiek.

– Nie, kiedy ma wyjętą baterię. A ma.

– Już próbowałeś? Sam na to wpadłeś?

Wzruszył ramionami.

Za jej plecami stanęli Marcus i Shirley.

– Czyli jej nie znalazłeś – stwierdził Marcus.

– Cartwrighta też nie zlokalizowaliśmy – dodała Shirley.

– Widzę – stwierdziła Louisa. – O, tu ci jeszcze trochę zostało.

Dotknęła jej górnej wargi – Shirley przesunęła po niej ręką, ścierając odrobinę lodów. Spojrzała ze złością na Marcusa.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– I zepsuć całą zabawę?

Ho obserwował to wszystko, jakby działo się za kratkami.

– A co z telefonem Rivera? – spytała go Louisa.

Znów wzruszył ramionami, tym razem z nadąsaną miną.

– Musiałbym mieć jego numer.

Louisa przeczytała mu go ze swojej komórki.

– Masz numery wszystkich? – spytał Ho.

– Nie.

Shirley trąciła łokciem Marcusa.

Palce Ho zaczęły tańczyć salsę na klawiaturze.

Louisa podeszła do okna. Taki sam widok jak od niej, tyle że tu było niżej. Pomyślała: nie tego się spodziewałam, kiedy wstępowałam do MI5. Codziennie ten sam widok z drobnymi wariacjami.

Przez jakiś czas w zeszłym roku wydawało się to mniej ważne, ale podobnie jak ze wszystkim innym, ten okres okazał się jedynie krótką chwilą wytchnienia. Najokrutniejsza sztuczka życia polegała na wpuszczeniu światła tylko na tyle, by człowiek zobaczył, jak wszystko wygląda, a potem na odcięciu go bez żadnego ostrzeżenia. Od tamtej pory wpadała na meble.

W jej mieszkaniu w tynku za lodówką ukryty był nieoszlifowany diament, łup z napadu, który pomogła udaremnić. Nie miała pojęcia, ile jest wart, ale miało to dla niej niewielkie znaczenie.

Min, ty głupi sukinsynu, dlaczego musiałeś zginąć?

A potem odsunęła od siebie tę myśl, bo nie mogło z niej wyniknąć nic dobrego dla nikogo.

Ho skończył stukać w klawiaturę.

– Telefon Cartwrighta jest zablokowany – oświadczył.

– Jak to zablokowany?

– Ma włączoną komórkę, ale jest w jakimś miejscu, które szyfruje sygnał.

– Na przykład gdzieś, gdzie są grube mury?

– Nie – odparł Marcus. – Na przykład gdzieś, gdzie można zmanipulować dane z GPS.

– O kurczę – powiedziała Shirley, która pracowała w Łączności, zanim trafiła do Slough House. – Ciekawe, gdzie to może być.

Pokój, w którym go zamknięto, znajdował się pod ziemią. Było w nim tylko jedno okno i można było przez nie coś zobaczyć, jedynie patrząc z drugiej

strony. W miejscu, gdzie stał River, okno działało jak lustro. Miało jakiś metr kwadratowy i pokazywało mu nijakość pomieszczenia oraz jego własny dziwny spokój. Serce w jego piersi biło jak mały dobosz: rytm bez melodii.

Minuty, które wcześniej odliczał, dawno upłynęły i wyznaczony mu termin przeszedł już do historii. „Ludzie, którzy ją przetrzymują, kiepsko panują nad sobą... Wkrótce zaczną tracić nad sobą kontrolę”. Patrzył, jak w lustrze jego dłonie zaciskają się w pięści. Dziś rano podjął niejedną kiepską decyzję. Właściwie to powinien był zostać na tamtej kładce i rzucić z niej tego faceta. Cokolwiek stało się z Catherine, stałoby się i tak, ale przynajmniej starłby cwaniaczkowi ten uśmiezek z twarzy.

I czemu tego nie zrobiłem? – zadawał sobie pytanie.

Usiadłby, ale nie było na czym. Pokój był zupełnie pusty. Niemal sześcian. Drzwi bez klamki. Nie było widać żadnych instalacji oświetleniowych, ale z sufitu padał niebieskawy blask, który nadawał jego odbiciu dziwny odcień. Obcy – tyle tylko że jego miejsce było tutaj. Znalazł się tu na własne życzenie; równie dobrze pół godziny wcześniej mógł wyciągnąć nadgarstki w stronę Lady Di, żeby go skuła. „Zamknij mnie”, powinien był powiedzieć. „Przyszedłem tu coś ukraść i nie mam żadnych szans”.

Istniały protokoły, i nawet kulawy koń je znał. Kulawe konie przechodziły w końcu takie samo szkolenie jak cała reszta. Zagrożenie dla innych agentów, realne fizyczne zagrożenie, wymagało natychmiastowej oficjalnej reakcji. W przypadku Rivera łańcuch dowodzenia biegł na górę po schodach na biurko Jacksona Lamba. A ten, mimo wszystkich jego wad – a lista nie była krótka – był gotów przejść przez ogień dla agenta znajdującego się w niebezpieczeństwie. Albo zmusić kogoś, żeby przeszedł

przez ogień. Ignorując to, River przekroczył wyraźną linię, a gdy blefując, dostał się do Regent's Park, jeszcze bardziej wszystko pogorszył.

A więc brali cię, szkolili, przygotowywali do życia, w którym miałeś ryzykować, jeśli sytuacja będzie tego wymagać, a potem zamykali cię w biurze z widokiem na przystanek autobusowy i zmuszali, żebyś kierował swoją energią, zaangażowanie i chęć służenia na nigdy niekończącą się harówkę. Oczywiście, że przekroczył granicę. Dojrzał do tego, i ktokolwiek popchnął go ku dzisiejszej przygodzie, od początku o tym wiedział. Czy ten ktoś wiedział też, że River nawali?

Oparł się o ścianę, splótł ręce za głową i zastanawiał się, co na to powie jego dziadek. Stary Drań kierował MI5 w czasach zimnej wojny, nigdy tak naprawdę nie biorąc w ręce steru – prawdziwa władza, mówił o tym nieraz Riverowi, polegała na tym, że trzymało się jedną rękę na łokciu tego, kto ją dzierżył. Gdyby nie S.D., River po fiasku na King's Cross trafiłby na bruk. Ale tym razem nawet dziadek nie mógł go chronić.

Drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia i wszedł Nick Duffy z plastikowym krzesłem.

Duffy był szefem wewnętrznej policji MI5; tak zwanych psów. Pełnił raczej wykonawczą niż kierowniczą funkcję, a psy trzymano na dość długiej smyczy, więc zasadniczo Duffy mógł ugryźć, kogo mu się podobało, i spodziewać się za to co najwyżej prztyczka w nos. Wściekle rąbnął krzesłem i z piskiem przeciągnął nim po podłodze, co sugerowało, że jest w nastroju na gryzienie. Potwierdzał to ponury uśmiech, który przywołał na twarz specjalnie dla Rivera. Oprócz krzesła nie wniósł do pokoju nic więcej; gdy siadł na nim oparciem do przodu, na dłoniach, którymi je chwycił, oczom Rivera ukazał się zrogowaciały naskórek na knykciach.

Cartwrighta najbardziej jednak zmartwiło to, że Duffy miał na sobie dres.

Dresy wkładało się wtedy, kiedy można się było pobrudzić.

W porównaniu z innymi poranek Dame Ingrid nie był zły. Ciągnięcie Diany Taverner za ogon zawsze był przyjemnym ćwiczeniem, a wybadanie jej całkiem nieźle zaciemniło obraz. Przekonanie drapieznika, że jest się bardziej bezbronnym niż w rzeczywistości, zawsze było dobrym pomysłem. Kiedy Peter Judd wykona nieuchronny ruch, by odcisnąć na MI5 piętno swojej władzy, Dame Ingrid będzie przynajmniej wiedziała, w którym miejscu na polu bitwy znajdzie Taverner. Będzie tuż za plecami Ingrid, szukając jej słabego punktu.

Kiedyś było prościej. Były tajne służby i byli wrogowie narodu. Ci ostatni co jakiś czas zmieniali tożsamość w zależności od tego, kogo wybrano, obalono lub zamordowano, ale ogólnie rzecz biorąc, granice pozostawały wyraźne. Szpiegowało się wrogów, miało na oku tych neutralnych i co jakiś czas dostawało się szansę, by pokrzyżować szyki przyjaciom, a następnie wszystkiemu przekonująco zaprzeczyć. Trochę tak jak w szkole, tyle że obowiązywało mniej zasad. Natomiast w dzisiejszych czasach geopolityką prawie się nie zajmowano, chyba że w przerwach między monitorowaniem rozmów telefonicznych obywateli a przeglądaniem wpisów ostatniego sygnalisty na Twitterze. Gdyby poproszono ją, by wymieniła największe zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego, Ingrid Tearney zaczęłaby od ministrów i kolegów. Zastanawianie się, gdzie dokładnie na tej liście znajduje się Ansar al-Islam, wydawało się niemal akademickim zagadnieniem.

Ale pracowało się z tym, co się miało. Dame Ingrid wierzyła w zajmowanie się tym, co tu i teraz – jeśli wielka gra zdegenerowała się do

statusu najnowszej aplikacji na telefon, to niech tak będzie. Dopóki istniało podium dla zwycięzcy, Ingrid wiedziała, gdzie chce się znaleźć na koniec.

Na jej biurku jak zwykle leżała sterta dokumentów do podpisu: protokół porannego spotkania, najróżniejsze raporty z najróżniejszych wydziałów. Notatka na samej górze – sugerująca, żeby zadzwoniła do ochrony – pojawiła się, gdy przez chwilę nie było jej w pokoju. Ochrona oznaczała jakąś wewnętrzną sprawę, więc cokolwiek się właśnie wydarzyło, prawdopodobnie nie stanowiło zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego. Ingrid i tak tam zadzwoniła; połączono ją z Psiarnią – bo jak inaczej miałyby się nazywać w wewnętrznym żargonie biuro psów – i usłyszała dwudziestosekundowe streszczenie o wtargnięciu agenta z zewnątrz do Regent's Park.

– I gdzie on teraz jest?

– Na dole. Pan Duffy z nim rozmawia.

Jeśli pan Duffy z kimś rozmawiał, to taka osoba często tego stanu rzeczy żałowała.

– Jest jakiś oczywisty powód... jak on się nazywa?

– Cartwright. River Cartwright.

– ...jakiś oczywisty powód obecności Cartwrighta?

– Jest ze Slough House, madame.

– To raczej kontekst. Nie jestem przekonana, czy to powód. W porządku, pozwólmy, by pan Duffy się tym zajął. Niech do mnie zadzwoni, kiedy skończy.

Cartwright, pomyślała. O ile się nie myliła, wnuk tego Cartwrighta.

Potrząsnęła głową. To pewnie nic takiego.

Ledwie zdążyła sięgnąć po pióro, a jej telefon znów zadzwonił.

– Codziennie rano budzę się i myślę: kto dzisiaj zadrze z moją karmą? – powiedział Nick Duffy. – Bo zawsze ktoś taki się znajdzie. W takiej robocie

jak moja rzadko ma się okazję wygodnie usiąść, przejrzeć prasę i wgapić się w zegar, kiedy wreszcie otworzą się puby.

Przez chwilę River sądził, że Duffy teatralnie się rozsiądzie, ale starszy mężczyzna wiedział, co robi. Odchylił tylko lekko krzesło, a potem z całej siły walnął nim o podłogę. River nawet nie mrugnął. To było przedstawienie. Jak dotąd Duffy nie powiedział nic, czego nie mówiłby już sto razy wcześniej.

– Nie, bo zawsze czyjś cycek wpadnie w wyzymaczkę i ten tu frajer musi go wyciągnąć. Zostawiłeś identyfikator w pubie? Niech Nick to załatwi. Niezbyt mądra rozmowa z jakimś nazbyt przyjacielskim typem? Zobaczmy, czy Nick to wyprostuje. Bzyknąłeś niewłaściwą laskę na dyskotecę w ambasadzie? Nie przejmuj się, Nick nastraszy jej ochroniarza. No wiesz, tego typu rzeczy. My, psy, mamy na to swoją nazwę. Nazywamy to Naprawdę Durnym Gównem.

– Jestem aresztowany? – spytał River, licząc na to, że skróci ten proces.

– Widzisz, zwykle jestem po prostu niańką, upewniam się, że wszystko jest ładnie posprzątane, że nie będzie trwałych konsekwencji czy paskudnych niespodzianek w tabloidach. Ale co my tu mamy dzisiaj? Coś specjalnego. Ktoś wszedł do Regent's Park na mojej warcie i wydaje mi się, że może wynieść Naprawdę Durne Gówno na zupełnie nowy poziom.

– Bo jeśli jestem, będę mógł zadzwonić, prawda?

– I tym kimś jest czynny agent, to ci muszę przyznać, ale z niższym certyfikatem bezpieczeństwa, niż dajemy tu dozorcóm. Bo dozorcý mogą mieć bliski kontakt z Paskudnym Gównem. – Nagle zmienił pozycję i River wiedział, że Nick zmienia biegi. – Natomiast jeśli chodzi o ciebie, panie Cartwright ze Slough House niedaleko stacji metra Barbican, to najbardziej tajną informacją, jaką znasz, jest to, czy autobus numer 56 przyjeżdża na czas, czy się spóźnia. I wolno ci się tą informacją podzielić, tylko jeśli

dostaniesz pisemną zgodę od przełożonego. Czyli po prostu od kogokolwiek, zgadza się? Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Czyli nie będę mógł zadzwonić – stwierdził River.

– Oczywiście, że nie będziesz mógł, kurwa, zadzwonić. Będziesz miał szczęście, jeśli dostaniesz opaskę na oczy.

– Przydałby mi się teraz mój telefon. Jest w nim coś, co powinieneś zobaczyć.

– To, co ja powinienem, a to, co tobie się wydaje, że powinienem, to prawdopodobnie dwie różne rzeczy, Cartwright. Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałem kolejność zdarzeń. Wchodzisz do Regent's Park bez autoryzacji. Wyciągasz panią Taverner z jakiegoś spotkania, wygadujesz brednie o panu Webbie, koledze, który może i jest niezbyt sprawny, ale w przeciwieństwie do ciebie pozostaje aktywnym agentem...

– Kiedy ostatnio go widziałem, nie był specjalnie aktywny.

Duffy milczał przez chwilę.

– Za długo zadajesz się z Jacksonem Lambem. To nie było zabawne i nie pomaga.

– Miałem powody, żeby tu przyjść – powiedział River.

– Na pewno. Ale mnie to, kurwa, nie interesuje. Znalezione cię w obszarze o ograniczonym dostępie i według Molly Doran zamierzałeś dobrać się do tajnej teczki. Bardzo tajnej teczki. Wiesz, jaka jest kara za złamanie ustawy o tajemnicy państwowej?

– Nie złamałem jej.

– Za próbę złamania. Wiesz, jaka jest kara? Nie pozwolą ci zbierać śmieci, Cartwright. To nie jest jakieś wykroczenie, za które dostaje się mandat. Jesteś agentem MI5, nieudany agentem, ale masz legitymację i figurujesz w bazie. I dlatego to, co zrobiłeś, nie jest jakimś drobnym wykroczeniem. To podchodzi pod zdradę. Co zamierzałeś zrobić z tymi

aktami? Właśnie tego powinienem się dowiedzieć. Komu zamierzałeś je sprzedać?

Lamb zdjął buty i w jego gabinecie śmierdziało skarpetami – to była czwarta najgorsza rzecz, jeśli chodzi o smród, jaką pamiętała Louisa. Nabrała powietrza, przekroczyła próg i powiedziała mu, czego właśnie dowiedziała się od Ho.

– Jest znów w Regent’s Park? – Lamb zastanawiał się nad tym przez chwilę. – Dziadek byłby z niego bardzo dumny, gdyby wciąż żył.

– Ale przecież żyje, prawda?

– Tak, ale pewnie zabije go wiadomość, że juniora aresztowali – wywnioskował rozsądnie Lamb.

– Dlaczego myślisz, że go aresztowali?

– Skoro ma zablokowany telefon, to znaczy, że jest na dole. A jeśli jest na dole, to nie dlatego, że otworzyli swoje lochy dla zwiedzających.

Louisa przypomniała sobie opowieści, które słyszała o przesłuchaniach na dolnych poziomach Regent’s Park, i zaczęła się zastanawiać, co takiego, u diabła, zrobił River, żeby tam trafić. I jak mu się udało dokonać tego tak szybko? Minęły tylko jakieś dwie godziny od chwili, gdy oboje robili sobie kawę w kuchni. Zapytał ją, gdzie jest Catherine. A Catherine wciąż nie było widać.

– To nie zbieg okoliczności – stwierdziła.

– Co? Że on i Standish oboje się zgubili? Też tak myślę.

– To co robimy?

– Ja robię to, co zawsze. A ty to samo, co robiłaś wczoraj. – Z zaskakującą zręcznością jak na kogoś tak potężnego Lamb uniósł prawą stopę i oparł ją na lewym kolanie. Zaczął ją intensywnie masować. – Projekt spis ludności, tak?

– Czyli wszyscy zachowujemy się, jakby było normalnie.

– Tak, jakbyście wy byli normalni. Nie ma to jak ambicje. – Chwył leżący na biurku ołówek i zaczął się nim drapać między palcami stopy. – Wciąż tu jesteś?

– Co się stanie z Riverem?

– Kiedy już skończą odrywać mu mięso od kości, pewnie go odeślą. Inaczej tylko by im nabrudził.

– Mówię poważnie.

– A to nie było na poważnie? Co w mojej wypowiedzi wydawało ci się zabawne?

– Zaginęło ci dwóch agentów, a ty zamierzasz tu tak sobie siedzieć i robić dziury w skarpetkach?

– Nie jesteście agentami, Guy. Jesteście tylko bandą nieudaczników, którym dopisało szczęście.

– To ma być szczęście?

Lamb skrzywił usta.

– Nie mówiłem, jaki rodzaj szczęścia.

Rzucił ołówek z powrotem na biurko. Ten potoczył się i spadł po drugiej stronie.

– Nie, nie jesteśmy agentami – powiedziała Louisa. – Ale jesteśmy twoimi ludźmi. Wiesz o tym.

– Nie daj się temu ponieść. To jest Slough House. A nie Tajniacy.

– No nie mów. Jesteśmy jak Przygody gąski Balbinki. – Zrobiła krok w głąb gabinetu. – Ale myślisz, że Catherine coś się stało, bo inaczej nie wysyłałbyś mnie do jej mieszkania. I cokolwiek wywinął River, to musi mieć z tym jakiś związek. A więc nie, nie wracam do projektu spis ludności. Nie, dopóki mi nie powiesz, co zamierzasz z tym zrobić.

W gabinecie Lamba jak zwykle panowała ciemność, żaluzje były opuszczone, na biurku paliła się słaba lampka. Stała na stercie od dawna

nieaktualnych książek telefonicznych i cienie, które rzucała, padały głównie na podłogę, pełzając po niej jak pająki. Sufit był pochyły, deski podłogowe skrzypiały, a rzeczy zawieszane na ścianach – korkowa tablica z poprzypinanymi kuponami rabatowymi, które wyblakły, pożółkły i pokryły się kurzem; zwłoki przyszpilonych ciem i grafika za pobrudzoną szybką przedstawiająca jakiś zagraniczny most nad rzeką, która niemal na pewno pochodziła ze sklepu z używanymi rzeczami – służyły podkreśleniu ogólnej przyprawiającej o gęsią skórę atmosfery. Nie chodziło mu o uzyskanie wrażenia przytulności; spojrzenie, które skierował teraz na Louise, to podkreślało.

– Chyba zapominasz, kto tutaj rządzi.

– Nie... Tylko ci przypominam, że ty.

Spodziewała się jednego z jego krzywych spojrzeń, ordynarnego dźwięku albo nawet pierdnięcia – w przeszłości pojawiły się wskazówki, że potrafił to na zawołanie, chyba że miał po prostu wyjątkowego farta. Ale zamiast tego Lamb ciężko opuścił stopę na podłogę i rozparł się na krześle, które żałośnie zaskrzypiało. Zamiast zwykłego repertuaru grymasów jego twarz niemal się wygładziła i wyrażała teraz pustkę; bierna maska, pod którą Louisa wyczuwała krążące myśli.

– Pogadam z kimś – oświadczył w końcu z entuzjazmem kogoś, kto zamierza popychać barękę albo podnieść coś ciężkiego.

Louisa kiwnęła głową. Nie ruszyła się z miejsca.

– To rozmowa telefoniczna, nie bzykanko. Nie potrzebuję kogoś, kto będzie się przyglądał, żeby się upewnić, czy robię to dobrze.

Nie był to obraz, który Louisa chciała mieć w głowie. Zostawiła go samego, ale wychodząc, nie zamknęła drzwi.

– Co zamierzałeś zrobić z tą teczką? – spytał Duffy. – I komu zamierzałeś ją sprzedać?

– Nie zamierzałem jej sprzedać.

– No jasne. Chciałeś ją zatrzymać, żeby mieć co czytać w łóżku, tak? – Duffy wstał i popchnął krzesło, które przewróciło się na podłogę. – Chciałeś walić konia, czytając o sekretach premiera?

– Naprawdę ma jakieś sekrety, przy których warto walić konia?

Duffy zatrzymał się przed szybą, udając, że to lustro. Przeczesał palcami krótko ostrzyżone włosy, jakby sprawdzał, czy ma gdzieś placki łysiny. A może dawał ręką tajne sygnały komuś po drugiej stronie.

– Wiesz, co jest naprawdę zabawne? – spytał. – Że tobie się to wydaje zabawne.

– Nie wydaje mi się zabawne.

– Bo ten dowcip będzie ci towarzyszył przez bardzo długi czas. Za parę lat może nawet przestanie cię śmieszyć. – Zrobił krok w stronę Rivera, który opierał się o ścianę i stanął dokładnie naprzeciw niego.

River poczuł zapach płynu do płukania, którego Duffy użył do dresu, musiał być świeżo po praniu.

– Mają Catherine Standish – powiedział.

– Standish.

– Dostałem zdjęcie. Przyszło na mój telefon z jej komórki. Zrobione dziś rano albo ostatniej nocy. Chcieli te akta.

– Standish – powtórzył Duffy. – Kolejna agentka specjalnej troski od was, tak?

– Mogę być przy tym, jak powiesz to Lambowi?

– Nigdzie nie możesz być bez czyjejś zgody, Cartwright. Cała twoja przyszłość to jedno wielkie „Tak, proszę pana” i „Nie, proszę pana”.

Brzmiało to okrutnie prawdopodobnie. I River się bał, bo Duffy był dobry w tym, co robił, ale z jakiegoś powodu jeszcze bardziej bał się to po sobie pokazać.

Nieokazywanie tego było wszystkim, co mu zostało.

– Mają Catherine Standish i ktoś musi ją znaleźć. Zdjęcie jest na moim telefonie. Ten, kto stoi za tą szybą, powinien teraz je zobaczyć.

– Nie chodzi o twoją kolekcję amatorskiego porno, Cartwright. Chodzi o próbę kradzieży akt z weryfikacji premiera. Naprawdę sądziłeś, że ujdzie ci to na sucho?

– Facet, z którym rozmawiałem, był po pięćdziesiątce, jakiś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Szary garnitur, żółty krawat, czarne buty. Ciemne włosy, szpakowate skronie. Anglik, biały, akcent wyższych sfer.

Duffy walnął lewą ręką w ścianę jakiś cal od ucha Rivera.

– I to on jest twoim kupcem, tak? To on polecił ci się włamać do Regent's Park?

– Nie włamałem się.

– Cóż, zaproszenia też, kurwa, nie dostałeś. Gdzie to było?

– Przy Barbican.

– I ten twój elegant co? Zajrzał do Slough House?

– Mówiłem ci, wysłał...

Duffy rąbnął drugą ręką w ścianę i pochylił się tak, że jego czoło niemal dotykało czoła Rivera.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego mam problem z uwierzeniem w tę bajeczkę, Cartwright?

– Zajrzyj do mojego telefonu.

– Bo nawet jeśli cokolwiek z tego naprawdę się wydarzyło, to wiesz, gdzie byś teraz był? Przy swoim biurku, wykonując swoją robotę. Po tym, jak zgłosiłeś wszystkie te... niezwykle wydarzenia swojemu szefowi, który przekazałby je wyżej, dokładnie tak, jak przewiduje protokół. Bo gdybyś cokolwiek zrobił inaczej, Cartwright, świadomie naraziłbyś życie innego z tych... Jak was tam nazywają?

River czuł zapach z ust Duffy'ego. Czuł ciepło potu, który wystąpił mu na czoło.

– Nie słyszę cię.

– Wiesz, jak nas nazywają.

A potem zwinął się wpół z bólu, z tego potwornego, znajomego bólu, który mężczyźni poznają wcześniej i nigdy go nie zapominają. Za jakąś minutę czy dwie będzie jeszcze gorzej. Ale chwilowo uderzenie kolaniem w jądra wymazało wszystkie myśli o przyszłości.

Duffy się odsunął, a River upadł na podłogę.

Diana Taverner odebrała po trzecim sygnale i powiedziała:

– Czego chcesz?

– No nie, doprawdy – odparł Lamb. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Zadzwoił do niej na komórkę, choć wiedział, że będzie siedziała przy biurku – wykazywała się aż takim poziomem oddania obowiązkom, co przynajmniej po części wynikało z obaw, że jeśli na zbyt długo opuściłaby swój gabinet, wprowadziłby się do niego ktoś inny.

– Właściwie to zamierzałam do ciebie zadzwonić – stwierdziła. – Dział finansów ma pytania dotyczące twojego ostatniego zestawienia wydatków. Jak to możliwe, że zgarniasz tyle na koszty podróży, skoro prawie nie wychodzisz z pokoju?

– Jak to możliwe, że dział finansów przekazał te zapytania tobie?

– Bo nadęta jaśnie pani zarządziła, żeby wszelkiego rodzaju gównu przekazywać do mnie. – Nastąpiła chwila milczenia, akurat na tyle długa, by mogła zapalić papierosa, gdyby to wykroczenie w Regent's Park nie było karane kulą w łeb. – Chce podkreślić, jaka to jestem niezastąpiona, a to znaczy, że jej się wydaje, że wymyśliła sposób, jak się mnie pozbyć.

Ponieważ Lamb nie był w Regent's Park, a w Slough House nie wolno było nikogo zastrzelić bez jego pozwolenia, zapalił papierosa.

– Słyszę, że za bardzo się tym nie przejmujesz.

– Będzie musiała wstawać wcześniej, niż jej się wydaje – stwierdziła Taverner i w ustach kogokolwiek innego zabrzmiałoby to zagadkowo, ale jej wydawało się całkiem jasne. – No więc jeśli chodzi o to zestawienie wydatków...

– Nie przeginaj, Diano. Mam zakładników, pamiętasz?

– To nie twoi zakładnicy, Jackson. To twój personel.

– Zwał, jak zwał – odparł Lamb. – W każdym razie nie mam ich tylu, ilu miałem. Mały ptaszek mi powiedział, że przetrzymujecie jednego z moich ludzi.

– Niejakiego Rivera Cartwrighta.

– Tak, ale z pretensjami nie do mnie. Jego matka była chyba hipiską.

– Dużo paliła, kiedy nosiła go w brzuchu, co? To by wyjaśniało jego dzisiejsze porąbane zachowanie. A myślałam, że to jeden z twoich bystrzejszych chłopaków.

– Umysł jak brzytwa – zgodził się z nią Lamb. – Obędę się bez niego. W każdym razie, jak już z nim skończycie, zapakujcie go i odeślijcie do mnie, dobrze? Wymyśliłem trzy różne sposoby uczynienia z jego życia piekła i aż mnie świerzbi, żeby je wprowadzić w czyn.

Że go świerzbiło, nie było żadnych wątpliwości. Ołówek leżał za daleko, więc chwycił plastikową linijkę i zaczął nią piłować między palcami prawej stopy; teraz, gdy skarpetka już się poddała, zadanie to było łatwiejsze.

– Tak, jasne. – Taverner zaśmiała się cicho, gardłowo. Ten śmiech wsławił się tym, że gdy słyszeli go starsi chłopcy z komisji, stawali na

baczność. – Możliwe, że będziesz musiał poćwiczyć swoje najnowsze... genialne pomysły na kimś innym.

– Genialne pomysły?

– Nie chodzi o jakieś pospolite wykroczenie, Lamb. Cartwright próbował wykraść lub sfotografować dokument poziomu Scott. Taki przeciek byłby poważnym powodem do zażenowania zarówno dla służb, jak i dla rządu. Nie zamierzamy dać mu prztyczka w nos i potem do ciebie odesłać. W każdym razie ja się tym nie zajmuję. Jest u psów. A kiedy oni z nim skończą, przekażą go policji.

Lamb zaciągnął się głęboko papierosem, na tyle głośno, by Taverner świetnie wiedziała, co robi.

– Poziomu Scott? – zapytał. – Wciąż się tam bawicie w Thunderbirds?

– Tak, ale z pretensjami nie do mnie. Koniec cytatu. Tearney myśli, że to astronauta. – Jej śmiech znów rozbrzmiał w gabinecie Lamba, mieszając się z chmurą dymu, którą właśnie wypuścił. – I jeśli ci się wydaje, że nie wiem, kiedy coś kombinujesz, to niestety jesteś w błędzie. Nie masz pojęcia, co wywinął twój chłoptaş, prawda?

– Cóż, mam w tym roku urodziny. Może szukał dla mnie wyjątkowego prezentu.

– Prześlę ci szczegóły e-mailem, jeśli chodzi o te wydatki. Może powinieneś się nad nimi trochę bardziej zastanowić.

– Diano?

Tym razem to nie był cichy śmiech.

– O rany! Brzmi to tak, jakbyś zamierzał o coś prosić.

– Cartwright nie jest jedynym z moich ludzi, który się zgubił – powiedział Lamb. – Jeśli dzieje się coś, o czym powinienem wiedzieć, to te szczegóły też mi lepiej przyślij e-mailem. Oszczędź mi wybierania się tam i proszenia cię o nie osobiście.

Rozłączył się i jeszcze raz wściekle potarł stopę linijką, która pękła na pół z takim odgłosem, jakby ktoś wystrzelił z broni.

Ale ponieważ to był Slough House, a Lamb był Lambem, nikt nie przybiegł sprawdzić, co się stało.

Gdy River odzyskał wzrok, zobaczył tylko podłogę. Splunął, a wtedy widział podłogę i trochę śliny, a potem obraz znów zafalował i powrócił.

A więc teraz już wiesz, powiedział cichy głosik z tyłu jego głowy, jak to jest dostać kolaniem w jaja od eksperta. Zdumiewające, jak nawet najbardziej podstawowe umiejętności w rękach artysty potrafią przybrać formę małego arcydzieła.

– Czekam – powiedział drugi głos. Ten nie istniał tylko w jego głowie, ale też dla reszty świata.

Riverowi udało się kucnąć. W tej pozycji ból być może nie zelżał, ale pozwoliło mu to myśleć, że pewnego dnia tak się stanie, i wziął głęboki wdech, obawiając się trochę, że może mu przy tym pęknąć coś ważnego. Poszukał swojego głosu i znalazł go trochę dalej niż zwykle.

– Kulawe. Konie. Nazywają nas. Kulawe. Konie. – Nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to tak, jakby mówił dziewięćdziesięcioletni uchodźca. – A wiesz. Jak nazywają. Was?

– Wszyscy wiedzą, jak nas nazywają – odparł Duffy. – Nazywają nas psami.

– No tak, to psy nazywają psami. Ciebie nazywają. Bezżytecznym. Fiutem.

– A jednak to ty leżysz na podłodze.

– Spróbuj. Tego kiedyś. Poza własnym podwórkiem – powiedział River. – Zobaczymy, kto skończy. Na podłodze.

Znów było coraz łatwiej. Jego stary talent zaczynał działać: wydobywanie słów ze swoich ust. Spojrzał w górę i stwierdził, że Duffy

stoi nad nim i na niego patrzy.

– Może to kiedyś sprawdzimy – odparł. – Ale nie w najbliższym czasie. Będiesz jeszcze przez jakiś czas zajęty.

– Standish – rzekł River. – Mają Catherine Standish.

– No cóż, tak. Nie żeby nam była do czegoś konkretnego potrzebna. A ciebie czeka cholernie trudne zadanie przekonania kogokolwiek, że jest warta akt z weryfikacji premiera. – Duffy przesunął lewym palcem wskazującym po knykciach prawej ręki. – A teraz wstawaj i spróbujmy jeszcze raz.

Rivera mdliło. Udało mu się wstać.

– Komu zamierzałeś je sprzedać? – spytał Duffy.

– Mają Catherine Standish – odrzekł River. – Sprawdź mój telefon, debilu.

Tym razem Duffy walnął go w brzuch.

– Przykro mi, że tak wyszło – zaczął żołnierz.

Nie wyglądał, jakby mu było przykro.

– Ale skończyło nam się mleko.

Postawił kubek, który trzymał w rękach, na szafce przy łóżku.

– Obsługa? – spytała Catherine.

– Cóż, raczej nie możemy ci pozwolić schodzić do kuchni, kiedy będziesz miała ochotę. Kwestia bezpieczeństwa.

– To najdziwaczniejsze porwanie, o jakim w życiu słyszałam – odparła. – Nie żebym była ekspertem. Ale serio? To twój pierwszy raz?

Żołnierz wydał usta, jakby się nad tym zastanawiał.

– Już wcześniej braliśmy jeńców. Ale okoliczności były inne.

– Czyli mnie nie zabijecie.

– Nie jesteśmy zwierzętami.

– Mogę to dostać na piśmie? – Liczyła, że usłyszy jego śmiech, a gdy się nie doczekała, spytała: – Gdzie Donovan?

– Na dole.

Nie, nie było go tam. Wcześniej wyjechał furgonetką. Ale nie zaszkodzi udawać, że mu wierzy.

– Przydałyby mi się ubrania na zmianę – powiedziała.

– Mówiłem, że nie jesteśmy zwierzętami. Nie twierdziłem, że jesteśmy Marks & Spencer.

Odwrócił się, żeby wyjść, a Catherine zaczęła szukać jakiegoś sposobu, żeby go zatrzymać. Znalazła go dokładnie w chwili, gdy zamykał drzwi.

– Dużo o niej mówi?

– O kim?

– O tej dziewczynie, która zginęła.

Milczał przez chwilę. Potem odparł.

– Nie była dziewczyną. Była kapitanem.

– Najmocniej przepraszam. Ale to nie zmienia faktu, że nie żyje, prawda? Mówi o niej w ogóle? Ja na jego miejscu bym mówiła.

Catherine usłyszała, jak jej głos wznosi się o ton wyżej – rzadko traciła nad nim kontrolę, ale była zdesperowana, żeby zatrzymać żołnierza, wyciągnąć z niego coś więcej, dowiedzieć się, dlaczego tu jest i co się teraz dzieje w innych miejscach.

– To znaczy gdybym to ja prowadziła po pijanemu i ją zabiła – dokończyła.

Jakby ze smutkiem pokręcił głową, a potem wyszedł z pokoju i zamknął drzwi na kłódkę.

Po jakimś czasie Catherine sięgnęła po herbatę.

Nick Duffy spryskał sobie twarz wodą, a potem spojrzął w lustro w łazience. Nie zobaczył w nim nic niezwykłego. Poranna robota.

Codziennie tak nie było – cóż, nie mogłoby być. Nie żyli w państwie policyjnym.

Gdy już wytarł się papierowym ręcznikiem, zerknął na Cartwrighta przez weneckie lustro. Spodziewał się, że dzieciak – no, może niezupełnie dzieciak, ale Duffy czuł, że ma prawo tak go nazywać – zaparkuje tyłek na krześle, które Duffy zostawił tam właśnie w tym konkretnym celu, by po powrocie do pokoju mu je zabrać. Mimo to Cartwright pozostał w pionie. Opierał się o ścianę i nie wyglądał na szczęśliwego – był blady jak ryba, którą boli brzuch – i jak odnotował Duffy, nie stanął tak, żeby nie było go widać przez lustro. W tym momencie uniósł nawet w jego stronę środkowy palec, jakby wiedział, że Duffy go obserwuje.

Mógł mieć fart i zgadnąć.

Duffy odsunął się i zdjął słuchawkę z widełek na ścianie. Wybrał trzycyfrowy numer wewnętrzny Diany Taverner.

– Nie zamierza zmieniać swojej wersji.

– Przypomnij mi, co to była za wersja.

Duffy podsumował: zdjęcie Standish, krótkie instrukcje. Mężczyzna na kładce, który nosił garnitur i miał akcent z wyższych sfer.

– Wygląda na to, że załazł za skórę Cartwrightowi.

– Czyli mu wierzysz? – spytała Taverner.

Duffy obejrzał wolną rękę. Nic nie wskazywało na to, że dziś rano robił coś brutalniejszego niż przyniesienie gorącej kawy.

– Myślę, że zmieniłby swoją historię, gdyby to nie była prawda – odparł.

Był przyzwyczajony do milczenia Lady Di. Zwykle oznaczało, że przyswaja informacje, określa „za” i „przeciw”. Jednak to milczenie wydawało się inne, jakby już się orientowała w tym, co się dzieje.

W pokoju obok Cartwright znów uniósł środkowy palec. Zapętlili się, uznał Duffy. Stawia się dla zasady, bo mimo wszystkiego, co go spotkało w ciągu ostatnich dwudziestu minut, nie pojął jeszcze natury ani głębi gówna, w które wdepnął.

– Wysłałeś ludzi, żeby poszukali tego faceta? – spytała Taverner. – Tego z kładki?

– W Londynie na kładce dwie godziny temu był facet – stwierdził Duffy. – Chyba powinniśmy otoczyć centrum kordonem.

– Odezwij się tak do mnie jeszcze raz – powiedziała Taverner, nie zmieniając tonu – a szybko zamienisz się miejscami z Cartwrightem. Co z tą kobietą, Standish?

– W jego komórce jest jej zdjęcie. Tak jak mówił.

– Skąd przyszło?

– Z jej telefonu.

– No jasne... Jakieś ślady?

– Nic nie słyszałem.

– Bardzo go poturbowałaś?

– Prawie wcale.

– Według twoich standardów czy tak ogólnie?

– Może i jest kulawym koniem, ale nie jest cywilem. Przeżyje.

– No tak. Lamb staje się... drażliwy, kiedy ktoś uszkadza jego ludzi.

– Myślałem, że gardzi swoimi ludźmi.

– To nie znaczy, że lubi, kiedy inni się do nich dobierają. Dobra, niech Cartwright trochę pocierpi, prędzej czy później dostaniemy jakąś wiadomość z góry.

– Z góry?

– O tak. Dame Ingrid została wezwana do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sam wiesz, jak ją to cieszy.

Cartwright znów zrobił to coś z palcem. Naturalnie nie mógł wiedzieć, że Duffy stoi po drugiej stronie, ale tego ostatniego i tak to zaczęło wkurzać.

– Jeśli chodzi o ten dowcip o odcięciu centrum kordonem... – zaczął Duffy – ja...

– Dopiero co spuściłeś komuś lanie. Poczujesz się zbyt pewny siebie. Poczujesz się niezniszczalny.

– Chyba...

– Możesz mi wierzyć: nie jesteś niezniszczalny.

Taverner się rozłączyła.

Duffy odwiesił słuchawkę i jeszcze przez chwilę stał przy weneckim lustrze. River Cartwright co jakiś czas powtarzał ten gest z palcem, ale Duffy'emu za każdym razem wydawało się to trochę mniej przekonujące. Na co takiego przeznaczano zajeżdżone konie? O tak, na karmę dla psów i klej. Za chwilę zajrzy do tego pokoju i przypomni o tym Cartwrightowi. A tymczasem zasłużył sobie na kawę.

Cicho wyszedł z pokoju, żeby dzieciak tego nie usłyszał. Myśl o tym, że będzie tam stał i raz za razem podnosił palec w stronę pustego pomieszczenia, nie wystarczyła, żeby zatrzeć wspomnienie pożegnalnego strzału Lady Di, ale też już go specjalnie nie bolała.

W ogródku Ingrid Tearney było wiele cierni – potrzeba nieustannej czujności; bez przerwy obecne zagrożenie terroryzmem; Diana Taverner – a oto pojawił się kolejny: wezwanie ministra spraw wewnętrznych. Jeszcze do niedawna takie telefony były drobną niedogodnością i wymagały od niej wizyty w gabinecie ministra i prawienia komunałów przy jednoczesnym utrzymywaniu kontaktu wzrokowego, jakby pocieszała zmartwionego szczeniaka. Jednak Peter Judd nie szukał u niej pocieszenia, tylko chciał znaleźć jej słabości. W towarzystwie twierdził, że to płomienna miłość, ale było jasne, kto z nich dostarczał benzyny, żeby wzniecić płomień.

Ingrid miała w zwyczaju jeździć do pracy metrem, ale do wszystkich innych celów używała swojego służbowego wozu. Teraz przemierzała w nim ulice więdnące od upału. Kiedy ta nietypowa pogoda się zaczęła, obsypała stolicę barwami, ale gdy upalne dni przeszły w całe tygodnie spiekoty, jaskrawe kolory wyblakły jak stara farba. Zieleń zamarła, sprawiając, że parki wydawały się brązowe i pozbawione życia. Mieszkańcy przemykali z jednego cienistego miejsca w drugie z udręczonymi minami ludzi, którzy przeżyli traumę, i witali pogłoski o deszczu jak wiadomość o wygranej na loterii. Wszędzie w internecie można było natrafić na informacje, że ta pogoda „nie jest normalna”. Tymczasem ulice zmieniły się w okrutne odbicie bezlitosnego nieba, gdzie wszystko oślepiało i sprawiało ból.

We wnętrzu samochodu krążyło jednak schłodzone powietrze i wszystkim mogłoby się zdawać, że na Ingrid Tearney nie robią wrażenia

fala upałów ani ponure myśli. Jej letnia kreacja była nowa, efekt ostatniej poprawy sytuacji finansowej, a męskie rysy Ingrid ułożyły się w maskę pozornej życzliwości. Wyglądała jak przyjazna babcia, taka, która częstuje pomarańczami – ale pod tą maską syczała para uwalniająca się z zaworów. Judd osobiście wezwał ją przez telefon, nie wysługując się tym razem swoim pomagierem, nie dał jej jednak żadnej wskazówki, czego może dotyczyć rozmowa. Niemniej ton jego głosu śmierdzał triumfem. Bez względu na to, w co miał grać, najwyraźniej dostał dobre karty.

Ale co ma być, to będzie. Dame Ingrid nie negocjowała z politykami.

Chyba że trzymali ją za gardło.

W rezydencji ministra drzwi otworzył jej przystojny młody mężczyzna, który ledwie słyszalnie seplenił. Nikt nie wątpił w heteroseksualność Judda, która była równie entuzjastyczna, co niewybredna, ale jego świta miała skłonności do gejowskich manier – Judd nie mianował ich na swoje pacynki za nic. Zawsze istniała możliwość, że to on pierwszy uznał to za świetny żart i stosownie do tego wybrał swoją świtę.

– Dame Ingrid – powiedział teraz, gdy weszła do jego gabinetu.

– Panie ministrze.

– Pozwoliłem sobie.

Zabrzmiało to jak streszczenie w punktach jego kadencji jako ministra spraw wewnętrznych, lecz w rzeczywistości odnosiło się do tacy z herbatą stojącej na pobliskim stole.

Idąc w ślady gospodarza, usiadła w fotelu. Pokój, jak zauważyła, pozostał prawie taki sam jak za kadencji jego poprzednika. Nie tylko wciąż była tu boazeria z orzecha włoskiego, regały z książkami i turecki dywan, ale Judd nie pofatygował się nawet, by wymienić obrazy: jakieś ponure martwe natury, kilka bitew morskich oraz wielki i politycznie nieaktualny globus. Jeśli uwzględnić skłonności Judda, by odciskać na wszystkim swoje

piętno, Tearney uznała to za wskazówkę, że nie zamierza długo tu pozostać. Z jego poprzednikiem też tak było, ale z diametralnie innego powodu.

– Mleka? Cukru?

Pokręciła głową.

Peter Judd nalał jej herbaty, postawił filiżankę ze spodeczkiem na stole, przy jej łokciu, i opadł na fotel naprzeciwko.

Był potężnym mężczyzną, nie grubym, ale wielkim, i choć w zeszłym roku skończył pięćdziesiątkę, zachował wygląd uczniaka i psotne maniery, które zjednały mu brytyjską opinię publiczną i uczyniły z niego podstawowy produkt w mniej ambitnych programach telewizyjnych – wywiadach przeprowadzanych na sofach przez komików z wcześniej przygotowanym scenariuszem. Dzięki wytrwałości, koneksjom i rodzinnemu majątkowi udało mu się stworzyć własną markę – „postrzeleniec z oklapłą grzywką i rowerem” – i przerosnąć o głowę resztę swojej partii, a jeśli od czasu do czasu któryś z kolegów próbował ściąć tę głowę w interesie politycznej jedności, jakoś nigdy nie udawało mu się znaleźć topora. Jego akta, będące w posiadaniu Tearney, obfitowały w spekulacje, mało w nich natomiast było faktów. W rzeczywistości wyczyszczono je z pajęczyn tak, że była pewna, iż odkurzył swoją przeszłość z poważnych grzechów równie starannie, jak układał tę szopę na swojej głowie.

A teraz przyglądał jej się w sposób sugerujący, że będzie się dobrze bawił tym, co miało nastąpić.

– No dobrze, panie ministrze – powiedziała, nie mając ochoty samej mu się podkładać. – Na czym polega pana dzisiejszy problem?

– Och, nie mam żadnych problemów, tylko teczkę pełną rozwiązań czekających na okazję.

Udała, że nie wzdycha, a przynajmniej udała, że nie chce, by zauważył, że usiłuje nie westchnąć.

– Czyli to towarzyskie spotkanie? Niezmiernie mi miło, panie ministrze, ale jestem dość zajęta.

– Tak właśnie sądziłem. Dziś rano miała pani u siebie małą awanturkę, prawda?

„Awanturka” – PJ uwielbiał to słowo. Użył go, by opisać niedawną wrzawę w tabloidach w związku z jego przyjaźnią ze striptizerką. Używał tego określenia również w odniesieniu do zamachu z 11 września i do globalnej recesji.

– Cóż to miałyby być za... ach, awanturka?

– Wtargnięcie.

Dotarło do niej, że miał na myśli Cartwrighta. Było to nieistotne i pozbawione jakichkolwiek konsekwencji, a to oznaczało, że musiało się w tym kryć coś, czego jeszcze nie była świadoma.

– Nie nazwałabym tego wtargnięciem – odparła. – Agent z zewnątrz zgubił się w budynku. W Regent's Park można stracić orientację.

– Owszem, pamiętam.

– Poza tym cały incydent został opanowany w ciągu dwudziestu minut. Kiedy wychodziłam, ten młody człowiek był... uch, łajany przez szefa naszej ochrony. – Znów upiła łyżeczek herbaty. – Jest pan pewien, że ta sprawa jest warta pana uwagi? Można by pomyśleć, że na pana biurko trafiają donioślejsze kwestie.

Niemniej pytanie, w jaki sposób dowiedział się o wybryku Cartwrighta niemal szybciej niż ona, pozostawało kwestią, której Dame Ingrid z pewnością nie uważała za mało ważną.

– Nieliczne sprawy uznaję za niegodne mej uwagi – odparł, przyjmując afektowany ton absolwenta prywatnej szkoły. – A już z pewnością nie takie,

które kwestionują integralność naszego kontrwywiadu.

– „Integralność”? Doprawdy?

Rozsiadł się wygodniej w fotelu.

– Jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno? Ale nie ma pani nic przeciwko temu, że...

Potrząsnęła głową.

Uzupełnił swoją filiżankę i powoli zamieszał cukier, nie odrywając od niej wzroku.

– Panie ministrze, o co dokładnie chodzi?

– No cóż, Dame Ingrid, to całkiem proste. Proszę mi powiedzieć, czy znany jest pani termin „tiger team”.

Ingrid opuściła filiżankę.

– O rany – powiedziała.

Monteith wysiadł z taksówki przy wielopoziomowym parkingu. Był to ponury, bezduszny budynek, właśnie ze względu na jego funkcję; jeśli kiedykolwiek jakiś architekt zaprojektuje parking, którego widok dodaje otuchy, rozwój cywilizacji dobiegnie końca. Monteith odnotował w myślach, by użyć tego spostrzeżenia w swojej następnej rozmowie z Peterem Juddem, i pochyłym podjazdem ruszył w stronę budynku. Choć od chodnika bił skwar, na dolnym poziomie rozchodziła się intensywna woń wilgotnej ziemi i grzyba. Ominął plamę oleju na popękany asfalcie i pociągnął ciężkie drzwi na klatkę schodową.

Inny zestaw zapachów, wśród nich mocz. Tutaj rozwój cywilizacji był jedną wielką męką w drodze pod górkę. Pokonywał po dwa stopnie naraz. Po pięćdziesiątce wciąż był dumny ze swojej kondycji. Prawie nie palił, a jeśli już, to tylko dobre kubańskie cygara; nigdy nie pijał porto ani likierów; czerwone wino tylko trzy razy w tygodniu (w pozostałe

wieczory – białe). Nawet jeśli trudno to nazwać planem ćwiczeń, dawało mu przewagę. Poza tym był przywódcą, nie pierwszym lepszym żołnierzkiem. Wcześniej, kiedy River Cartwright złapał go za kłapy, nie czuł lęku właśnie ze względu na tę różnicę pomiędzy nimi. Cartwright był pionkiem i o tym nie wiedział. Miejsce Monteitha było wśród królów, a to, czego dziś dokona, umocni jego pozycję.

Pionki nie biją królów. Podstawowe prawo natury.

Donovan czekał na górnym poziomie przy furgonetce. Kolejny dobry przykład, pomyślał Monteith. Sean Donovan mógłby być teraz na miejscu Monteitha, gdyby tylko zrozumiał reguły gry. Ale taki był właśnie problem z pięciem się w górę po szczeblach kariery – nie bez powodu mówiło się o klasie oficerskiej. To była kwestia środowiska, w jakim się człowiek wychowywał, czegoś takiego nie dało się po prostu wpoić.

Żadnej z tych myśli nie było słyhać w jego głosie, kiedy zawołał:

– Donovan!

Donovan nie odpowiedział.

Kolejna plama oleju do ominięcia. Tu na górze oświetlenie było lepsze; kolejne kondygnacje parkingu otwierały się na miasto, teoretycznie umożliwiając przepływ powietrza. Ale i tutaj południowy skwar przetaczał się jak ciężki walec. Za każdym razem, gdy natrafiało się na taką falę gorąca, to było jak zderzenie ze ścianą.

Oparł się pokusie, żeby rozluźnić kołnierzyk. Pozory – należało je zachowywać.

– Donovan – powtórzył, gdy był już jakiś metr od niego. – Wszystko w porządku?

– Jak na razie.

Sły Monteith uświadomił sobie, że w jego wyobrażeniu chwila ta była czymś w rodzaju przybicia piątki – zrealizowany plan; oni obaj zachwyceni

sobą i tym drugim. Jednak Sean Donovan sprawiał wrażenie jeszcze mniej wyluzowanego niż zwykle.

To nie miało znaczenia. Monteith nie potrzebował aprobaty Donovana. Czas na prawdziwe świętowanie przyjdzie później.

Bo cokolwiek by powiedzieć o Peterze Juddzie, wiedział, jak docenić dobrze wykonaną robotę.

– Tiger team – powiedziała Ingrid Tearney.

– Właśnie.

– Doskonale wiem, co to takiego – zapewniła go.

Czuła się teraz tak, jakby Judd zaciskał palce na jej gardle.

Zespoły typu tiger team składały się zasadniczo z najemników. Najmowanych nie po to, by zmieść czyichś wrogów, ale żeby przetestować siłę własnych mechanizmów obronnych. Taki zespół przeprowadzał symulowany atak: rekrutował hakerów, by przetestować systemy zabezpieczeń; wyznaczał ludzi od mokrej roboty, aby sprawdzili ekipę ochroniarzy, i tak dalej. Wcześniej w tym roku sama nadzorowała taki zlecony przez MI5 atak na jednego z głównych londyńskich dostawców usług, by zweryfikować obawy, czy infrastruktura stolicy nie jest niebezpiecznie podatna na ataki. Rezultaty były niejednoznaczne. Jak się okazało, sparaliżowanie wielkiego dostawcy energii przyszło wyjątkowo łatwo, ale po ostatnich podwyżkach cen większość wydawała się to popierać. Poza tym ludzie ogólnie uważali globalny niedobór win za poważniejsze zagrożenie dla ich dobrobytu niż terroryzm. W dość podobny sposób Dame Ingrid zaczęła sobie teraz uświadamiać, że największym zagrożeniem dla MI5 – i roli, jaką ona sama w nim odgrywała – wydaje się minister spraw wewnętrznych, a nie bardziej tradycyjni wrogowie: terroryści, inne rywalizujące agencje bezpieczeństwa czy „The Guardian”.

– Czyli to była pana sprawka – stwierdziła.

Zadowolony z siebie pokiwał głową. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym – samozadowolenie należało do ustawień fabrycznych Petera Judda – ale obserwując to z bliska, Tearney miała ochotę rzucić w niego czajniczką z herbatą.

– Mogę spytać dlaczego?

– A po co w ogóle robi się takie rzeczy? Chciałem się upewnić, że protokoły MI5 są na najwyższym poziomie. Nie ma sensu opierać się na agencji bezpieczeństwa, która nie potrafi zadbać o samą siebie, prawda?

– W takim razie z pewnością panu ulżyło, gdy zobaczył pan efekt – odparła. – Nic poważnego się nie stało.

Pogroził jej palcem. W przypadku większości ludzi można by to uznać za metaforę, ale skłonności ministra spraw wewnętrznych do pantomimy sprawiały, że nie mógł się powstrzymać.

– Jednego z pani agentów zgarnięto z ulicy. Kolejny został nakłoniony, by spróbować ukraść dane z pani obiektu.

– I mu się nie powiodło.

– Ale nie powinien był dotrzeć tak daleko. W takich wypadkach istnieją właściwe procedury, Dame Ingrid. W chwili gdy skontaktowano się z pani chłoptasem, powinien był przekazać sprawę wyżej. Nie zrobił tego. Według wszelkich standardów to poważne uchybienie. A według standardów, jakie zamierzam wprowadzić za mojej kadencji jako minister, takie niedociągnięcia wymagają działań.

Po kilku latach radzenia sobie z ministrem, który zmieniał się w galaretę na myśl o podjęciu jakichkolwiek działań, zbawienne było przypomnieć sobie, że nie wszyscy politycy najpierw kryją własną dupę, a dopiero potem podejmują decyzje. Irytowało ją tylko, że to się musiało stać na jej warcie.

– Ten... tiger team – powiedziała. – O kim konkretnie mówimy?

– Gość nazywa się Sylvester Monteith – wyjaśnił Judd takim tonem, jakby opowiadał, że jakiś człowieczek z wioski przycina mu żywoplot. – Ma jednostkę o nazwie Czarna Strzała. Śmieszne, prawda? Ale cóż, tak to już jest w tej branży.

– Czarna Strzała.

– Nie było żadnego powodu, żeby pojawiła się na waszym radarze. Do tej pory zajmowali się głównie ochroną korporacji. Trochę potrząsnąć zabezpieczeniami firmy, zobaczyć, co się obłuzuje; tego typu sprawy. I wszystko na terenie kraju. Żadnych zagranicznych przygód. – Judd, który siedział z nogą założoną na nogę, oparł teraz spodeczek i filiżankę na lewym kolanie. – Całą tę błazenadę w Afganistanie omijali szerokim łukiem, i według mnie bardzo rozsądnie zrobili. Oczywiście można na tym sporo zarobić, ale te koszty...

– Jakie to dla nas wszystkich przygnębiające – stwierdziła Tearney. – I chce mi pan powiedzieć, że wynajął pan tego człowieka?

– I to po bardzo rozsądnej cenie. Na pewno nie da się pani skusić na kolejną filiżankę herbaty?

– Na pewno. Jak przypuszczam, ten Sylvester Monteith jest pana starym znajomym.

– Woli, by zwracano się do niego Sly.

– To odpowiada na moje pytanie.

– Ingrid, oboje wiemy, jak działa Westminster. Nie bez powodu porównuje się go do wioski. Oczywiście, że zdarzyło nam się już spotkać w przeszłości.

– Tak jak mówiłam, stary znajomy.

– Nie uznaję takich określeń. Żadna odnosząca sukcesy firma czy korporacja nie może sobie pozwolić na ignorowanie sieci kontaktów. To tak się załatwia sprawy.

- Eton?
- Nie zamierzam grać w te gierki.
- Dwadzieścia sekund po tym, jak stąd wyjdę, będę znać nawet obwód jego uda.
- No cóż, tak, akurat tak się składa.
- Oxford?
- To akurat nie. – Znów podniósł filiżankę do ust. – To znaczy w sumie tak, ale, na litość boską, to był tylko college St. Anne’s.
- Większość ludzi uznałaby, że to się jednak liczy.
- Dlatego nie pozwalamy, żeby „większość ludzi” podejmowała ważne decyzje.
- Ciekawe spojrzenie na demokrację.
- Proszę nie udawać, że jest pani naiwna. Nie do twarzy pani z tym.
- Lepiej trzymajmy się tematu, dobrze? Postanowił pan bez żadnych konsultacji wynająć swojego dawnego koleśia ze szkoły, żeby nasłać...
uch... tiger team na MI5, za które jako minister pan odpowiada. Nie widzi pan tu żadnego konfliktu interesów?
- Absolutnie nie. Konsultacje mijająby się z celem. Kiedy ostatni raz się zdarzyło, że nie miała pani protokołu zebrania za zamkniętymi drzwiami, zanim mocodawcy zdążyli już wyjść? Gdybyście cokolwiek wywęszyli, wkroczylibyście na wojenną ścieżkę. – Nie była w stanie nic zarzucić jego logice. – Poza tym, jak pani mówiła – podjął – jako minister odpowiadam za MI5. Upewnienie się, czy agencja dobrze działa, jak najbardziej mieści się w moich kompetencjach. To nawet mój obowiązek.
- Jedno drobne odstępstwo od protokołu to jeszcze nie powód...
- Jedno drobne odstępstwo to aż nadto, nawet gdybym zgodził się z panią, że było drobne. Doszło jednak do nieautoryzowanego wtargnięcia

do Regent's Park, a to w oczach każdego poważne naruszenie bezpieczeństwa.

– Wtargnięcie przez agenta MI5, a nie któregoś z pańskich najemników.

– Niemniej to wciąż wtargnięcie. A ten młody człowiek, o którym mówimy, nie jest nawet pełnoprawnym agentem, prawda? Z tego, co słyszałem, wyłącznie swojemu dziadkowi zawdzięcza, że nie wyrzuciliście go, zanim ukończył szkolenie. Ponoć sparaliżował King's Cross. W godzinach szczytu. A to znaczy, że co najmniej przekroczył swoje kompetencje. Mieszanie w infrastrukturze transportu to przecież zadanie burmistrza.

Dame Ingrid podejrzewała, że już wcześniej użył tego tekstu albo że znów to zrobi przed liczniejszym gronem.

– Nie mogę się z panem zgodzić, że jego wejście do Regent's Park było nieautoryzowane. Zgody udzieliło jedno z naszych Drugich Biurek. Diana Taverner, jak sądzę.

– A potem, jak już tam wszedł, zaczął sobie spacerować. Nie dzielmy włosa na czworo, Ingrid. Przyłapano go na próbie uzyskania dostępu do tajnych informacji. Powinien siedzieć w celi. Myślę, że moglibyśmy mu zagwarantować co najmniej dziesięć lat.

– A co z wesołą bandą pańskich przyjaciół? „Zgarnęli” agenta? Porwanie też się wiąże z pewnymi konsekwencjami.

Machnął ręką, jakby odpędzał osę.

– Będę miał decyzję o odstąpieniu. Podpisaną.

– Jest pan bardzo pewny swego.

Posłał jej obojętny uśmiech.

„Postrzeleniec z oklapłą grzywką”... Przypomniała sobie jednak, że w wypadku Petera Judda jego życzliwość sięgała tak głęboko jak warstwa polimerów. Przed kamerami, gdy miał publiczność, w każdym scenariuszu,

w którym najważniejsze było zachowanie, posługiwał się swoją poufałością jak profesjonalista i czuł się równie swobodnie wśród klientów małego osiedlowego sklepiku w East End, co z zestawem dwunastu sztucców na przyjęciu w smokingach. Jednak tuż pod tą warstwą krył się temperament, który potrafiłby przepalić chrom. Wiedziała, że był to jeden z powodów, dla których gruntownie posprzątał swoją przeszłość. Nikt o takiej konstrukcji psychologicznej nie mógł mieć czystego konta.

Ale teraz, w tej chwili, to on miał przewagę i oboje o tym wiedzieli.

– A więc dobrze – stwierdziła. – Odsiadka w Wormwood Scrubs dla młodego Cartwrighta, potrójny gin z tonikiem dla sektora prywatnego. Zapewne niedługo usłyszymy, że ekipa Slya Monteitha dostała jakiś lukratywny kontrakt? Może mogliby zastąpić tych błaznów, którym prawie się udało utopić olimpiadę.

– Taka gorycz pani nie przystoi.

– Oczekuje pan mojej rezygnacji?

Uniósł wewnętrzną stronę dłoni, jakby chciał pokazać, że nie ma złych zamiarów. Zauważyła, że tylko jedną dłoń.

– Ależ uchowaj Boże!

– W takim razie czego pan chce?

W przeciwieństwie do wielu innych politycznych drani nie tracił czasu na udawanie, że nie wie, o co jej chodzi.

– Ach, jak by to nazwać? Porozumienia. Albo nie. Sojuszu.

– Jest pan moim ministrem. Odpowiadam przed panem na co dzień. Jestem pewna, że już się dobrze rozumiemy, zaś jeśli chodzi o sojusze, nikt nie powinien wątpić, że jesteśmy po tej samej stronie.

– Och, wszyscy jesteśmy po tej samej stronie. To nie znaczy jednak, że nie wybieramy, w której drużynie chcemy grać. Pani reprezentuje służbę cywilną, ja jestem politykiem. Przy dobrych wiatrach może pani oczekiwać,

że pozostanie pani na czele MI5 aż do przejścia na emeryturę. Ale tak czy siak, nie sądzę, żebym ja trwał na tym stanowisku dłużej niż rok. Jeśli odejdę na moich zasadach, to dlatego, że przeprowadzę się pod dziesiątkę. W przeciwnym razie... cóż, zdarza się, że polityczne kariery popadają w ruinę.

– I martwi się pan, że pana również to może spotkać?

– Kiedy premier dojdzie do wniosku, że ma wystarczająco silną pozycję, tak. Sprowadził mnie, żeby zapobiec wyzwaniom ze strony tylnych ław. Teraz takie wyzwanie wydawałoby się...

– Zdradą.

– Nieuprzejmością.

– I w związku z tym raczej nie zyskałoby wsparcia w partii.

Judd mrugnął na potwierdzenie.

– Chyba że zmieniłyby się dla niego okoliczności.

Judd znów mrugnął.

W gabinecie było chłodno. Gdzieś szumiał wentylator i dało się wyczuć płynący od niego chłodny powiew. Ale gdzieś głębiej Ingrid Tearney nagle poczuła narastające ciepło; ciepło zdobytej wiedzy. Judd chciał zaserwować MI5 mocnego kopniaka w zęby, to zawsze było jasne; zamierzał w ten sposób potwierdzić swoją obecną pozycję i zemścić się za to, że trzy dekady temu go odrzucono. Ale poza tym chciał – i potrzebował – jej współpracy. Tearney rozpoznała tę zdolność nakładania jednej intrygi na drugą, by w każdej sytuacji odnieść maksymalne korzyści. To było nie tyle rozgrywanie obu końców przeciwko środkowi, co zabezpieczenie środka i okładanie końcami każdego, kto się zbliży.

– Rozumiem – powiedziała.

– Tak właśnie myślałem.

– Czyli te akta, które kazano ukraść Cartwrightowi, nie zostały wybrane przypadkowo.

– Dla celów tego ćwiczenia były równie dobre jak każde inne – odparł gładko.

– Naturalnie. Mam pewne podejrzenia co do tego, jak by je pan wykorzystał, gdyby mu się udało.

– Cóż – stwierdził Judd – od początku nie było szans, prawda? Chyba że by się okazało, że zabezpieczenia w Regent's Park są w znacznie bardziej opłakanym stanie, niż sądziliśmy. – Nagle wstał i zaniósł pustą filiżankę oraz spodeczek na tacę. Odwrócony do niej plecami ciągnął dalej: – Poza tym nie muszę się posuwać aż do takich środków, by przejrzeć zawartość starych akt przechowywanych w wydziale, nad którym jako minister sprawuję kontrolę.

– Podlegającą takim samym ograniczeniom jak zawsze – zauważyła Dame Ingrid.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę. Podała mu swoją filiżankę.

– Oczywiście – odrzekł. – Po prostu chcę się upewnić, że przekazywane mi są wszelkie informacje istotne dla bezpieczeństwa państwa. To zaś w nieunikniony sposób obejmuje informacje o solidności bądź jej braku u osób piastujących najważniejsze stanowiska.

– Informacje, których następnie można by użyć, by te niewiarygodne osoby usunąć ze stanowisk.

– No cóż. Gdy już ustalimy, że ktoś nie nadaje się do pełnienia urzędu, niepodjęcie odpowiednich działań byłoby zaniedbaniem obowiązków.

Odniósł jej filiżankę na stół i starannie ułożył naczynia w taki sposób, by utworzyły jak najbardziej efektywny stosik.

Następnie wrócił na swoje miejsce i uśmiechając się sympatycznie, usiadł.

– Zdaje pan sobie sprawę, ile razy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat zwracano się do MI5, żeby wzięło pod uwagę zrobienie tego, co pan sugeruje?

Udał, że się nad tym zastanawia.

– Przypuszczam, że co najmniej raz za każdym kolejnych rządów. Ale nie wybiegajmy zanadto do przodu. Najważniejsze, że oboje wiemy, w czyjej jesteście drużynie.

– Rozumiem.

Być może to było ważne, ale łatwo składano obietnice przyszłej współpracy. Jeśli najgorszym, co się wydarzy tu i teraz, miałyby okazać się to, że będzie mogła wrócić do Regent's Park, by lizać rany, Ingrid Tearney uznałaby taki dzień za zwycięstwo. Wiedziała jednak doskonale, że po tym, jak Judd zapędził ją w kozi róg i zmusił do poddania się, posunie się o krok dalej i zademonstruje swoją władzę. Słyszała kiedyś, jak ktoś mówił, że zwycięstwo polega na tym, by twój przeciwnik już nigdy nie kładł głowy na poduszce, nie myśląc z nienawiścią o twojej twarzy. Tearney, która nigdy nie wyszła za mąż, uznawała to za lekką przesadę, ale bez problemu potrafiła sobie wyobrazić, że to jedna z zasad Judda.

Zważywszy na okoliczności, było niewielkim pocieszeniem, że niemal natychmiast przekonała się co do swojej racji.

Judd podniósł jakiś niewielki metalowy przedmiot ze stolika przy fotelu – obcinaczkę do cygar albo jakieś równie absurdalne narzędzie – i przyglądał mu się z roztargnieniem. Może i był wytrawnym politykiem, ale nawet dla żółtodzioba byłoby to czytelne.

– Ten cały Slough House – powiedział. – Zabawna nazwa. Z tego, co wiem, to obskurne biura w pobliżu stacji Barbican.

Kiwnęła głową.

– Miejsce, gdzie wysyłacie odrzut.

– Zwalnianie ludzi nie zawsze jest dobre z politycznego punktu widzenia.

– Prawda? Dla mnie jakoś nigdy nie stanowiło to problemu.

Prawdą było, że nigdy nie przejmował się procesami, czy to związanymi z zatrudnieniem, czy z kwestią ojcostwa.

– I to tam przydzielono tego całego Cartwrighta.

Uznała, że nie ma sensu odpowiadać, skoro było jasne, że znał odpowiedź.

Judd westchnął, jakby napawał się jakąś przyjemną chwilą, i odłożył metalowy przedmiot z powrotem na stolik.

– Cóż, jeśli zadaniem tego miejsca jest ponowne przeszkolenie kretyńców, to najwyraźniej nie spełnia swoich zadań – stwierdził. – Zamknijmy je.

– Slough House?

– Tak – potwierdził. – Proszę je zamknąć. Jeszcze dziś.

Jackson Lamb nie wierzył w znaki i przecucia. Kiedy odczuwał coś takiego w brzuchu, to z reguły dlatego, że wspomniany brzuch źle potraktował, choć szczerze mówiąc, ten brzuch był tak przyzwyczajony do jego stylu życia, że aby wywołać jakąś poważniejszą reakcję, Lamb prawdopodobnie musiałby się napić środka chwastobójczego. Niemniej Lambowi nie podobało się, jak rozwija się ten dzień. To, że Cartwrighta aresztowano w Regent's Park, było poważnie pojebane, nawet jak na tego cudownego chłoptasia. Lamb nie wątpił, że Lady Di mówiła poważnie, gdy poinformowała go, że mogą się z nim pożegnać. I choć Lamb ze spokojem ducha mógł myśleć o przyszłości bez Rivera Cartwrighta, to gdyby Catherine Standish się zjawiła, na pewno miałyby na ten temat wiele do powiedzenia. A Lamb nauczył się już dawno temu, że nie należy wkurzać osoby, która robi ci rano herbatę.

Gdyby się zjawiała... Pomijając przecucia i jego brzuch, zaczynały narastać fakty. Szanse na to, że Cartwright zrobi coś monstrualnie głupiego w dowolnie wybrany poranek, wynosiły jeden do jednego; szanse na to, że Catherine Standish nagle zniknie, były znacznie niższe. Te dwie rzeczy wydarzyły się w tym samym czasie, co oznaczało, że istnieje między nimi jakiś związek, i gdyby Lamb musiał obstawiać, założyłby się, że to związek przyczynowo-skutkowy. Cartwright dowiedział się czegoś o zniknięciu Standish i pognął do Regent's Park, gdzie z rozpędu zderzył się ze ścianą.

Pora, by zajął się tym ktoś starszy i mądrzejszy.

Pierdnął i usiadł na krześle Catherine.

Lamb nieczęsto wchodził do tego biura. Po całym Slough House chodził, jak mu się tylko podobało, późną nocą zaglądał do wszystkich kątów i zakamarków, ale pokój Standish zostawiał w spokoju. Jeśli było w nim coś, co naprawdę chciałyby przed nim ukryć, pewnie nie znalazłby tego, nie powodując żadnych widocznych uszkodzeń. A gdy był tak pijany, że ta perspektywa zaczynała mu się wydawać pociągająca, wdrożenie tego planu w życie już go przerastało.

Miała schludnie zorganizowane biurko, co nie było żadną niespodzianką. Przednią i środkową część zajmowała sterta raportów, które powinny być znajdować się na biurku Lamba, gdy dziś rano przyszedł do pracy; o tej porze na pewno nie byłyby już w tak idealnym stanie, bo zamiast naprawdę to cholerstwo czytać, obmacałby każdą stronę i poplamiał jakimś napojem. A przez to trzeba by je wydrukować jeszcze raz, zanim zostaną upchnięte w zabezpieczonych teczkach i wysłane do Regent's Park. Świadomość, że tam poświęci im się równie niewiele uwagi, jakoś nigdy nie przeszkadzała Standish w dbaniu o to, by wyglądały jak najbardziej profesjonalnie. To między innymi po tym Lamb poznawał, że nie uprawiała już seksu.

Sięgnął po raporty, w zamyśleniu zważył je w dłoni, jakby oceniał, ile tajnych informacji zawierają, po czym wrzucił je do kosza na śmieci.

– Priorytety – mruknął do siebie. Potem wstał i obszedł niewielki pokój.

W powietrzu unosił się słaby zapach kwiatów albo było tak jeszcze do niedawna. Nietrudno było znaleźć przyczynę – mały muślinowy woreczek zwisający z framugi okna. Lamb schwycił go między palec wskazujący i kciuk i delikatnie pociągnął, jednak nie na tyle delikatnie, by nitka, na której wisiał, nie pękła. Pozwolił mu spaść i kontynuował swój obchód. Dwie szafy na dokumenty. Stojak na płaszcze, na którym wisiała płócienna torba na zakupy oraz parasolka. Wszystko wyglądało jak przerobiona przez Disneya wersja jego gabinetu: mniejsze przekładało się na przytulniejsze, schludniejsze na czystsze. Cóż, a czystsze przekładało się na... czystsze. Standish była tu dopiero co, wczoraj wieczorem, ale jej pokój zaczynał się już zamieniać w obiekt muzealny. Lamb miał dziwne wrażenie, że za kolejne dwadzieścia cztery godziny wszystko byłoby już pokryte pajęczyną.

Weź się w garść...

Nie było sensu wywracać do góry nogami całego pomieszczenia, bo już wiedział, że nie ma tu żadnych wskazówek. Po wyjściu z pracy wczoraj wieczorem Standish dzwoniła do niego dwa razy, a to wskazywało, że cokolwiek jej się przytrafiło, stało się po tym, jak już opuściła Slough House. Mimo to i tak, dla zasady, przetrząsnął jej biurko. Znikły zapasowe klucze do jej mieszkania i przez chwilę zastanawiał się, co to może znaczyć, ale zaraz przypomniał sobie, że Louisa Gay pojechała tam wszystko sprawdzić. Poza tym nie znalazł nic interesującego, z wyjątkiem czegoś ukrytego w najniższej szufladzie. Był to przedmiot w kształcie butelki owinięty w bibułę tak starą, że zmarszczyła się, gdy jej dotknął. Wyciągnął to. Macallan. Nieotwarty. Przyglądał mu się przez chwilę, a potem z powrotem go zawinął i schował do szuflady.

Gdy podniósł wzrok, Louisa stała oparta o framugę drzwi.

– Co?

– Szukasz czegoś?

– Gdybym czegoś szukał, już bym to znalazł.

Opadł z powrotem na krzesło Standish, które ostro zaskrzypiało w proteście.

– Nie myślisz, że gdzieś się zapodziała pijana – stwierdziła Louisa.

– Nie.

– Jesteś tego pewien.

Zamiast odpowiedzieć, Lamb zaczął grzebać w kieszeniach marynarki i wyciągnął papierosa. Przymknął oczy, zapalił go i zaciągnął się ze świstem.

– Co powiedzieli w Regent's Park? O Riverze?

– Aresztowali go. Wspominali coś o próbie kradzieży akt. Jeśli chcesz, możesz iść uprzątnąć jego biurko.

– Długo to nie trwało, co? – powiedziała Louisa. – Catherine znika, a niecałe dwadzieścia cztery godziny później jest nas o jednego mniej. Daję nam czas do końca tygodnia.

– Nam?

– Slough House.

Lamb zaśmiał się cicho.

– Nie uważasz nas za zespół?

– Uważam was za... przypadkowe ofiary losu – odparł Lamb.

– A jednak tu jesteś i szukasz wskazówek. Jakie akta próbował ukraść River?

– Niewłaściwe pytanie. Powinnaś zapytać: co, u diabła, Cartwright wyprawiał, próbując ukraść jakieś akta?

– Cóż, zakładam, że zażądano ich jako okupu – odrzekła Louisa. – Ktokolwiek porwał Catherine, skontaktował się z Cartwrightem.

– Ho namierzył jej telefon?

– Wyjęła baterię. Albo ktoś inny to zrobił.

Lamb chrząknął.

– I co teraz?

– Cóż, pora lunchu dawno minęła – odparł – i jeszcze żaden frajer nie przyniósł mi żarcia na wynos.

– A więc to, co najważniejsze, masz już rozpracowane. Ale co z innymi problemami? No wiesz, z tym, że twój zespół jest w niebezpieczeństwie, i tak dalej?

– Cartwright nie jest w niebezpieczeństwie. Może go trochę przewalkują, ale niedługo wyrzucą go na śmietnik. Będzie całkowicie bezpieczny.

– Ale w więzieniu.

– No cóż. Głupi sukinsyn powinien był się nad tym zastanowić, zanim wybrał się na tę swoją wielką przygodę. To MI5, a nie przygody Niesamowitej Piątki. – Lamb strzepnął popiół z papierosa na biurko Catherine. – A można by pomyśleć, że już sam powinien do tego dojść.

– A co z Catherine?

– Pamiętasz, co przed chwilą mówiłem o ofiarach losu?

– Czyli bez względu na to, kto sobie pogrywa ze Slough House, zamierzasz tak po prostu na to pozwolić.

Krzesło groźnie zaskrzypiało, gdy Lamb odchylił się do tyłu i zwiesił ręce po bokach.

– A czego ode mnie oczekujesz? – spytał. – Przecież nie wiem, kto sobie z nami pogrywa.

– A kiedy się dowiemy? – spytała Louisa.

– Ach – westchnął Lamb. – Wtedy to już będzie zupełnie co innego.

– Slough House – powiedział Judd. – Proszę go zamknąć. Jeszcze dziś.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. Jesteśmy właścicielami budynku?

– Tak.

– To jeszcze lepiej. Teraz, gdy rynek doszedł do siebie, możemy go opchnąć. To pokryje koszty jakichś urządzeń deszyfrujących, no nie?

– A co z agentami?

– Zlikwidować.

– Serio?

– Nie. Ale ciekawe, że poczuła pani potrzebę, by o to zapytać. Nie, po prostu ich zwolnicie. To i tak banda debili, bo inaczej by ich tam nie było. Wydajcie im papiery i pożegnajcie się z nimi.

– Jackson Lamb...

– Wiem wszystko o Jacksonie Lambie. Ponoć wie, gdzie zakopano różne trupy, prawda? Cóż, wielka mi nowina. W tej branży nie zdarza się, żeby ktoś przez całą karierę nie natknął się na jakieś trupy. A jeśli będzie miał ochotę zrobić z tego aferę, dowie się, do czego służy ustawa o tajemnicy państwowej. Wormwood Scrubs jest na tyle duże, że zmieści się tam razem z Cartwrightem. A właśnie, jeśli o niego chodzi, to przekazcie go wełnianym garniturkom. Nie ma powodu, by fakt, że ma dziadka w branży, zapewniał mu jakieś fory.

I te słowa padły z ust faceta, którego dziadek płacił za niego chesne.

Tearney oczywiście wiedziała, co to wszystko oznacza. Judd miał Slough House za nic; przejmował się nim jeszcze mniej niż ona, a ona nie dbała o kulawe konie wcale. Już dawno bez chwili namysłu pozbyłaby się całego tego bajzlu, gdyby nie to, że Slough House było solą w oku Diany Taverner. Lamb pozostawał wprawdzie legendą MI5, ale istniały całe

muzea pełne dawnych legend – wystarczyło je opisać, porozwieszać na haczykach i szybko traciły swoje magiczne moce. Kulawe konie mogłyby przejść do historii przed podwieczorkiem, a ona zapomniałaby o nich jeszcze przed kolacją. Ale całkowite wymazanie Slough House na polecenie Petera Judda to zupełnie inna sprawa. I gdyby mu na to pozwoliła, wylądowałaby u niego w kieszeni.

Oczywiście kieszeń była dobrym miejscem, jeśli chciało się odkryć słabe punkty tego, kto nosił ubranie.

– Może pan uważać sprawę za załatwioną – odparła.

Donovan odwrócił się do niego tyłem i otworzył furgonetkę. Wyjął z niej coś, co przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę wydało się Monteithowi pistoletem z wydłużoną lufą. Tłumik? Ale kiedy Donovan zdjął nakrętkę i się z tego napił, Monteith zobaczył, że to butelka wody.

Potrząsnął głową. Straszny upał, za dużo się dzieje. Przejście z ostrego słońca na zewnątrz w śmierdzące benzyną wewnątrz parkingu było jak jedno lanie po drugim: najpierw ogłupiony blaskiem słońca, teraz oberwał po karku od tego smrodu. Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Londyn to coś więcej niż jedno miasto. Istniało miasto, po którym wygodnie jeździł taksówką, oferujące przestronne widoki i przemawiające miłymi akcentami zamożności i dostatku, oraz to drugie – stłoczone, brudne i barbarzyńskie, zamieszkiwane przez dziką rasę, która odarłaby cię z mięsa i przeżuła kości. Sam ten podział go nie martwił – to dlatego branża ochroniarska była opłacalna – ale nie lubił, gdy przyłapywano go po niewłaściwej stronie.

Przypomniał sobie polecenie, które niedawno wydał, i coś ścisnęło mu się w brzuchu.

– Ta kobieta. Czy wy... uch...

– Czy ją nastraszyliśmy? – spytał Donovan, zakręcając butelkę. Powiedział to obojętnym tonem, ale Monteith i tak usłyszał ocenę w jego głosie.

Najeżył się. Do diabła z rangą, pieniądze płynęły w jedną stronę, szacunek w drugą. To był biznes.

– To był taki dowcip, człowieku. Wciąż jest w tym domu?

– Tak.

– To dobrze. Chcę osobiście porozmawiać z Juddem, zanim wszyscy się wycofamy. – Rozejrzył się, po czym ciągnął dalej. – Nie ma sensu zmieniać koszulek przed ostatnim gwizdkiem.

W pobliżu nikogo nie było, a jedyny pojazd w zasięgu słuchu znajdował się poziom niżej i z każdą chwilą się oddalał. Odgłos ruchu ulicznego się nie liczył; to był po prostu naturalny stan rzeczy, jak brzęczenie przy ulu.

– Chcesz powiedzieć, że mu nie ufasz? – spytał Donovan.

– Czemu miałbym mu nie ufać?

Tylne drzwi furgonetki wciąż były otwarte. Żołnierz oparł nogę o jej podłogę i zaczął sznurować sobie but.

– Bo to kawał podstępного gnojka.

– Że co proszę?

– Ten twój kolega, Peter Judd. To kawał podstępного gnojka.

– Jest też wysokiej rangi urzędnikiem w rządzie Jej Królewskiej Mości.

A więc byłbym wdzięczny, gdybyś powstrzymał się od...

– Gdzie masz się z nim spotkać?

– Czy ty mi właśnie przerwałeś?

Donovan postawił stopę z powrotem na ziemi i nagle Monteith musiał sobie przypomnieć, że ten starszy mężczyzna jest od niego większy, sprawniejszy i w ogóle bardziej... konkretny.

Cofnął się o krok.

– Nie zapominajmy, kto ci płaci, Donovan.

– Tak, nie zapominajmy.

– Z twoją kartoteką masz szczęście, że w ogóle dostałeś robotę.

– Nie łudź się. To właśnie ze względu na moją kartotekę mnie wynajęłeś. Urosły ci od tego włosy na jajach, co, Sly? Od tego, że choć raz masz prawdziwych zawodowców, a nie plastikowe figurki.

– Jak mnie nazwałeś?

– Och, myślałem, że ci się to podoba. Kiedy ludzie mówią do ciebie Sly, myślisz, że cię lubią, co? – Donovan pochylił się w jego stronę, jakby chciał mu zdradzić jakąś tajemnicę. – Ale coś ci powiem. Nie dlatego to robię.

– Dzwonź do Traynora. Natychmiast. Kaź mu wypuścić tę kobietę i wracać do biura. I możesz uznać pracę dla mnie za zakończoną. Jesteś zwolniony.

Nawet Monteith słyszał drzenie własnego głosu, ledwie tłumioną złość. Niech tylko Donovan da mu jeszcze jeden pretekst...

Donovan się roześmiał.

– Zwolniony? A nie chciałeś przypadkiem powiedzieć: wywalony ze służby? To by bardziej pasowało do takiego małego operetkowego generałka jak ty.

– Gdyby nie ja, wciąż stałbyś w kolejce po zasilek. Niezła odmiana po placach apelowych, co? Stanie w kolejce po jałmużnę z innymi byłymi wojskowymi.

Donovan potrząsnął głową, patrząc w podłogę, ale gdy podniósł wzrok, Monteith zobaczył, że się śmieje. Przez chwilę sądził, że ostatnich kilka minut właśnie zostało wymazane, że Donovan zrobił mu żołnierski dowcip, ale to złudzenie szybko prysło. Donovan nie śmiał się razem z nim, tylko z tego, co Monteith właśnie powiedział.

– „Po jałmużnę”? Przysięgam, na Boga, walczyłem na wojnach przeciwko ludziom, do których miałem więcej szacunku.

– Mam już tego dość – stwierdził Monteith. – Dzwon do Traynora. I daj mi kluczyki do tej cholernej furgonetki.

– Gdzie się spotykasz z Juddem?

– Ta rozmowa jest skończona.

– Nie, jeszcze nie.

Zapominając o kluczykach, Sły Monteith odwrócił się, żeby odejść, i w następnej chwili świat przeleciał mu przed oczami jak jojo; zbliżał się do wyjścia i śmierdzących moczem schodów, a zaraz potem już nie. Zamiast tego został ciśnięty na podłogę furgonetki, brakowało mu tchu, jego nogi zawisły bez oparcia. Donovan trzymał go za klapy marynarki, a jego głos wwiercał mu się w uszy.

– Zapytam jeszcze raz – powiedział spokojnie Donovan. – Gdzie masz się z nim spotkać?

Nagle Monteith poczuł, że coś puszcza, właściwie to puszcza kilka rzeczy naraz, a potem jego stopy znów były na ziemi, a zawartość pęcherza zmierzała w tę samą stronę. Twarz Donovana wykrzywiła się w pogardzie. Chcąc uniknąć tego, by za tym wyrazem twarzy poszły słowa, Monteith mimowolnie wyrzucił z siebie:

– Anna Livia Plurabelle.

– Gdzie?

– Przy Park Lane. Całkiem przyzwoity lokal, robią dobre... – Wspomnienia Monteitha, a może jego wyobraźnia, się zatarły. Co dobrego tam podawali? Nagle poczuł w ustach smak jagnięciny w sosie z czarnej porzeczki, który wydawał się niemal na tyle realny, by stłumić zapach jego własnych szczyń.

Stał na parkingu przyciśnięty do furgonetki. I właśnie odkrywał, że plan, który opracował, od początku był planem kogoś innego... „Każda epoka musi mieć swoich bohaterów” – sam tak myślał jeszcze dziś rano. W czasie, gdy wciąż był jednym z tych bohaterów, o których mówił, otoczonym tablicami upamiętniającymi idiotów, którzy odrzucili wszystko.

Przynajmniej to był ich własny wybór.

– O której?

– Za pół godziny? – pytająco odrzekł Monteith.

Spodnie kleiły mu się do ciała i przez chwilę wyobrażał sobie siebie, jak zjawia się w Anna Livia – nikt nie dodawał do nazwy tego „Plurabelle” – z parującą w upalnym powietrzu plamą. Co by, u diabła, powiedział PJ? Tyle tylko że PJ nic nie powie, a przynajmniej nie powie tego jemu, bo nie było mowy, żeby Donovan wypuścił go z tego parkingu.

Poczuł rękę żołnierza na karku.

– A oto, co zrobisz – wyjaśniał Donovan. – Będziesz spokojnie leżał z tyłu furgonetki. Nie ma powodu do zmartwień.

– Nie chcę wsiadać do furgonetki.

Jego głos zabrzmiał, jakby dobiegał z oddali. Z głębi korytarza, z drugiej strony kuchni... ze spiżarni, w której chował się, kiedy był mały i sprawy nie układały się po jego myśli.

– Nieważne, czego chcesz. Zwiążę cię, ale nie zrobię ci krzywdy. Nie bardziej niż tej kobiecie.

Monteith nie myślał o tej kobiecie. Myślał o tym, że zostanie w ciemnej furgonetce; związany i zakneblowany.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie twoja sprawa.

Donovan zaciągnął go na tyły furgonetki, której drzwi wciąż były otwarte. Pachniało w niej mężczyznami, benzyną, kilometrami

przejechanymi autostradą, żarciem z przydrożnych barów. Na myśl o tym, że ma zostać tu zamknięty, Monteitha ogarnęło przerażenie.

– Zaraz zwymiotuję – powiedział.

Zgiął się wpół, gdy skurczył mu się żołądek. Donovan zaklął pod nosem, ale odrobinę poluzował chwyt, a wtedy Monteith wywinął się z marynarki.

– Na litość boską... – mruknął Donovan i ruszył za zbiegiem.

Nie trzeba było cofać się w odległą przeszłość, by przypomnieć sobie zasadę towarzyską, która mówiła: tak, lubimy napić się w porze lunchu. To znaczy – jeśli chodzi o polityków w ogóle – Peter Judd świetnie zdawał sobie sprawę, że ogólnie wciąż chlali jak porąbane żule. Jednak jeśli chodzi o polityków, czyli o pałac Westminster, to od przełomu tysiącleci zaczęli dbać o pozory – a sam Judd odegrał niemałą rolę w tej przemianie. Publiczne wyparcie się najsłynniejszych ekstrawaganckich wyskoków z czasów jego młodości właściwie ustaliło reguły dla całej partii albo przynajmniej wytyczyło linię, której jego partia nie ważyła się przekraczać. Szeregowi członkowie byli jak „pijące ptaki” do stawiania na stole – wystarczyło pchnąć jednego i tak to już szło, dopóki się tego samemu nie zatrzymało. Albo tak jak w tym przypadku, wystarczyło to zatrzymać, by tak już zostało, póki samemu znów się tego nie wprawi w ruch. Gdy reputacja Izby Gmin była już uratowana, zaś jej przedstawiciele za dnia pozostawali mniej czy bardziej trzeźwi, a on sam zyskał status architekta „Nowej Odpowiedzialności” – pomysł jakiejś gadziny z poważnej gazety – Judd z radością powrócił do picia podczas lunchu, kiedy tylko przychodziła mu na to ochota. To była jedna z zalet bycia Wielką Bestią w parlamencie pełnym skarłałych postaci.

Pigmeje, pomyślał, kręcąc w kieliszku chablis, wdychając jego zapach, a potem skinął głową na kelnerkę, by dolała mu jeszcze. W Anna Livia

bardzo starannie dobierano personel. Ta była ruda, jej włosy były opasane czarną wstążką pasującą do zawieszzonego na szyi chockera, którego końcówki opadały nad blatem, gdy dziewczyna dolewała wina. Cielisty stanik, żeby nie przebijał przez bluzkę. Takie spostrzeżenia przychodziły Juddowi naturalnie – nie był w stanie spojrzeć na kobietę, nie oceniając przy tym, jaka mogła być w łóżku, tak jak nie potrafił spojrzeć na mikrofon i nie wymyślić jakiegoś chwytliwego tekstu. Uśmiechnęła się – oczywiście go poznała – a potem odstawiła butelkę do kubelka i odeszła. Zostawi jej przyzwoity napiwek i zdobędzie jej numer. Powinien się dobrze zachowywać ze względu na harmonię w małżeństwie, ale na litość boską, co mogła znaczyć jakaś kelnerka? Zerknął na zegarek. Sły się spóźniał.

Sły był naturalnie kolejnym pigmejem.

– Kiedyś się przyłapiesz na tym, że powiesz tak publicznie – upominał go jego doradca. – A wtedy będą kłopoty.

Judd zbył tę mądrość wzruszeniem ramion. Zawsze były jakieś kłopoty, a on zawsze podnosił się z bagna, które z tego wynikało, i wyglądał przy tym na uroczego nicponia – a przynajmniej uroczego dla satysfakcjonująco dużej części populacji, dla której już zawsze miał być zabawną postacią: kimś, kto tchnął w politykę dawny czar. I komu to mogło zaszkodzić, co? Jeśli zaś chodzi o tych, którzy go nie znosili – ci nigdy nie zmienią zdania, a ponieważ był w lepszej pozycji, by ich wydymać, niż oni, by wydymać jego, nie spędzali mu specjalnie snu z powiek. Natomiast opinia publiczna... opinia publiczna była jak jedna z tych ogromnych pacyficznych meduz: gigantyczna pulsująca masa obojętności dryfująca tam, gdzie niesie ją prąd; organizm pozbawiony motywów, ambicji czy grzechu pierworodnego; organizm, który jednak w jakiś sposób wierzył w coś, co uchodziło za jego mózg, że wybiera własnych przywódców i ma coś do powiedzenia w kwestii własnego losu.

Tylko się złap na tym, że mówisz coś takiego na głos, pomyślał, unosząc kieliszek, a będziesz się mógł pożegnać z wizerunkiem uroczego nicponia.

Żadna z tych myśli nie sprawiła jednak, że Sly Monteith się pojawił, niech go szlag. Naturalnie wykorzystywał okazję; jedyną okazję w jego życiu, gdy ma dojścia u ministra spraw wewnętrznych. Gdyby zachował odrobinę politycznego rozsądku, nie próbowałby natychmiast zbić na tym kapitału, ale Monteith zawsze był miernotą wrzucającą w trakcie rozmowy wykute na pamięć refleksje. Ingrid Tearney zasugerowała, że był jego kumplem, ale to jakiś żart – Monteith oddałby lewe jajo, żeby być jego kumplem. Ale przynajmniej dziś okazał się użyteczny, jego tiger team dał Juddowi broń, której potrzebował, by pozbawić Dame Ingrid pazurów. Kumple, przyjaźnie – to niebezpieczny teren. Skąd można było wiedzieć, że nigdy nie przyjdzie taki dzień, gdy ktoś okaże się ciężarem? Jego kieliszek był pusty, a tej ładniutkiej kelnerki nigdzie nie było widać. Stłumił westchnienie i dołał sobie sam.

Na ulicy zrobił się jakiś tumult, rozległ się pisk opon, widział szybko przebiegających ludzi. W tej okolicy rzadko tak bywało. Judd upił łyk wina, delektując się myślą, że niecałą godzinę temu nagiął do swojej woli Ingrid Tearney. Cały ten absurdalny Slough House – sam w sobie był nieistotną anomalią, ale liczyło się każde zwycięstwo. Jeśli postanowi zrobić aferę z wtargnięcia do Regent's Park, do którego doszło dziś rano, i narzuci jej polityczną decyzję, która podkopie jej reputację, rządu Tearney jako szefowej MI5 gwałtownie się zakończą. Poza tym jeśli jego partia reprezentowała jakieś zasady, to należała do nich obrona prawa silnych do rozkwitu, co oznaczało, że słabym nie należało pozwalać niepotrzebnie zajmować miejsca. Slough House był tego doskonałym przykładem. Ale co takiego rozgrywało się na zewnątrz i gdzie się podziała cała obsługa?

Goście siedzący przy oknach wyciągali szyje, by dojrzeć, co się dzieje. Z boku Judda nie było dobrze widać ulicy. Wstał, odrzucając serwetkę. Słysząc było syreny, ich odległe, nakładające się na siebie zawodzenie niczym chaotyczny komentarz do wydarzeń w mieście. Poirytowanie, które Judd od jakiegoś czasu odczuwał, przeszło w coś mniej przyjemnego. Świadom, że przyciąga spojrzenia, ruszył do drzwi. Może to ważne, może nie, ale nie zaszkodzi pokazać, że jest przygotowany na nagłe zdarzenia. Ruda kelnerka stała przy drzwiach i wyglądała na zewnątrz, porzuciwszy jakiegokolwiek pozory profesjonalizmu. Kilka metrów dalej na ulicy leżało coś, co zasłaniali pochylający się nad tym ludzie.

– Co się dzieje?

– Był wypadek.

– Jaki wypadek?

Dziewczyna nie wiedziała.

Wycie syren było teraz bliżej.

To „coś” miało na sobie szary garnitur.

Ktoś mówił przez komórkę:

– Nie, przysięgam, został tu wyrzucony z furgonetki. Facet wysiadł, otworzył tylne drzwi i wywalił go jak worek śmieci...

Judd rozejrzał się na obie strony, ale nie zobaczył żadnej furgonetki.

– ...a potem odjechał, ruszył jak wariat...

Przyjechał pierwszy policyjny wóz, wyskoczyli z niego ludzie i podbiegli do leżącego ciała.

– Dobrze, już dobrze. Zróbmy tu trochę miejsca. Zróbmy trochę miejsca.

– Proszę, cofnijcie się wszyscy.

Pierwszy policjant przyklęknął przy ciele i zaczął z przejęciem mówić coś przez radio.

W pierwszej chwili Judd pomyślał, że to była robota Tearney; jej dobitne oświadczenie, że nie jest jego dziewczynką na posyłki. Ale ta myśl długo nie przetrwała. Gdyby dowodzone przez nią MI5 było aż tak skuteczne, tiger team Monteitha w kilka chwil zostałyby zakuty w łańcuchy i wrzucony do Tamizy.

– Czy ktoś widział, co się stało? Proszę świadków o podanie nazwisk mojemu koledze i zaraz zaczniemy spisywać zeznania...

Judd pokręcił głową i cofnął się do Anna Livia.

– Chciałbym złożyć zamówienie – poinformował kelnerkę.

– A osoba, na którą pan czeka?

– Jednak do mnie nie dołączy.

Oczywiście to oznaczało, że ma całą butelkę dla siebie. Ale dawało mu też dużo do myślenia w czasie, gdy czekał na lunch.

CZĘŚĆ DRUGA

**Prawdziwi
wrogowie**

Na odległość dzielącą Slough House i St. Giles Cripplegate spokojnie dałoby się rzucić piłką tenisową, ale gdyby chciało się tę piłkę odzyskać, to mogło już trochę potrwać. Nie było bowiem prostej drogi przez Barbican, przypominający rysunek Eschera wykonany w cegle przez jakiegoś upiornego architekta, którego głównym celem było nie tyle nie pozwolić, byś dotarł tam, dokąd zmierzasz, co pozostawić cię w niepewności odnośnie do tego, gdzie przed chwilą byłeś. Każda droga prowadziła do skrzyżowania przypominającego to, które się właśnie minęło, i nie było żadnych tras prowadzących tam, dokąd człowiek chciał dotrzeć. A pośrodku tego wszystkiego, niczym parowiec kołowy na lotnisku, stał czternastowieczny kościół Świętego Idziego, w którego murach modlił się John Milton i marzył Szekspir; który przetrwał pożary, wojny i renowacje i który teraz pogodnie spoczywał na brukowanym placu, oferując spokój tym, którzy szukali wytchnienia od gwaru miasta, oraz miejsce odpoczynku biednym sukinsynom, którzy się zgubili i stracili nadzieję na ratunek. Dziś odbywała się tu sprzedaż książek i na stołach ustawionych wzdłuż północnej ławy wyłożono palety z tomami w miękkich okładkach, a na krześle stało pudełko czekające na datki. Kilka osób z ponurymi minami przeglądało książki. Pozornie ich ignorując, Jackson Lamb przeczłapał obok i usiadł w ławce w głębi nawy. Trzy rzędy przed nim jakaś babcia brnęła przez prywatną litanię próśb i wyrazów skruchy. Lamb dostrzegł po sposobie, w jaki drżały jej ramiona, że staruszka, modląc się, poruszała ustami.

Ingrid Tearney wyłoniła się spośród wielbicieli książek i dołączyła do niego.

– Cripplegate – powiedział. – Myśli pani, że kalecy mieli tu osobne wejście?

– Przypuszczam, że byli żebrakami.

– Pewnie ma pani rację. Pewnie byli tu i tacy, i tacy. Biedni i szczęściarze.

– Wiele o panu słyszałam, panie Lamb. Ale nie o tym, że ulega pan nastrojom.

– Nie spędzam wiele czasu w kościołach. Może mi się od kogoś udzieliło. – Oderwał od ławy jeden pośladek jak ktoś, kto zamierza pierdnąć, lecz najwyraźniej zmienił zdanie. – Mam ciężki dzień. Połowa mojego zespołu zaginęła, a teraz ominie mnie lunch. Co jest na tyle ważne, żeby wystygło mi żarcie na wynos?

– Godzinę temu zgodziłam się zamknąć Slough House.

– Aha.

– Nie wydaje się pan zbyt przejęty.

– Gdyby miało do tego dojść, nie siedzielibyśmy tutaj. Siedziałbym w moim gabinecie i słuchałbym, jak Diana Taverner pieje z zachwyty przez telefon.

– Może chciałam panu o tym powiedzieć osobiście? Przywilej związany z tą robotą. Bądź co bądź, pański dział nie jest klejnotem w koronie MI5. Prędeż ślimakiem na grządce sałaty. Kiedy ukaze się służbowa notatka, niewiele osób w Regent's Park uroni choćby łzę.

– Pewnie nie wolno tu palić – stwierdził Lamb.

Starsza kobieta obejrzała się na nich przez ramię z wyrazem religijnego oburzenia na twarzy.

– W jednej chwili mogłabym sprawić, żebyście wszyscy znaleźli się na ulicy. Nie chodzi tylko o to, że w sumie nie warto robić tego, co robi pański zespół. Chodzi o to, że kiedy zaczynają robić coś, czego nie powinni, powstaje bajzel, który wymaga poważnych działań.

Lamb z dumą pokiwał głową.

– Niedawno jeden z pana agentów postrzelił i zabił obywatela Rosji.

– Pamiętam – odparł Lamb. – Wciąż się złości, że nie dostał premii.

– Slough House jest pomyślany jako kara. Pańskie... kulawe konie?

– Tak ich nazywają.

– Oczekuje się od nich, że się poddadzą. Że zajmą się czymś bardziej odpowiadającym ich talentom. Na przykład lokalnym samorządem albo zwalczaniem drobnej przestępczości.

– To słówko „drobna” było zupełnie niepotrzebne – zaprotestował Lamb. – Umieją obchodzić się z bronią, przeszli szkolenie.

– Mam nadzieję, że nie ułatwia im pan życia.

Lamb milczał przez chwilę, wydawał się kontemplować otoczenie: stary kamień, ciszę, drewniane ławy. Na półeczkach przed nimi ułożone były zbiory hymnów, a w padających przez okna barwnych słupach światła tańczyły drobinki kurzu – niektóre z nich mógł wdychać Szekspir, a potem kichać. W porównaniu z piekarnikiem na zewnątrz panował tu niemal chłód. W porównaniu ze Slough House to był mały kawałek raj.

– Chyba mogę spokojnie powiedzieć, że nie – oświadczył w końcu.

– Ani za bardzo im pan go nie utrudnia.

Spojrzał na nią.

– Bo przesadne karanie, dawanie im do zrozumienia, że lubi ich pan gnębić... no cóż... To czasem przynosi odwrotny efekt, nie uważa pan? Coś takiego sprawia, że niektórzy jeszcze bardziej zaciskają zęby. Mam na myśli osobniki alfa.

– Nie poznała pani Roddy’ego Ho, prawda?

– Wciąż zmienia pan temat.

– A pani wciąż kluczy. Jest jakaś szansa, że przejdzie pani do sedna?

Czekają na mnie podwładni do gnębienia.

– Peter Judd.

– Nasz nowy szef, niech nam Bóg dopomoże. Co z nim?

– To on chce, żeby Slough House został zamknięty.

Lamb pokręcił głową.

– Wątpię.

– Może mi pan wierzyć. Dopiero co skończył mi to wyjaśniać.

– Wierzyć pani? To temat na inny dzień. Nie, Peterowi Juddowi chodzi o to, żeby pomachać fiutem. Tym razem, dla odmiany, metaforycznie. I macha nim do pani. Slough House znalazł się po prostu po drodze. Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że sama do tego nie doszła.

Starsza kobieta znów obejrzała się na nich ze złością. Lamb do niej pomachał.

Ingrid Tearney spojrzała na ludzi przeglądających książki. Dołączył do nich jakiś starszy pan, który usiadł obok pudełka na datki. Pytaniem pozostawało, czy to świadczyło o braku zaufania. Równie dobrze mógł planować skok. Tearney odezwała się zniżonym głosem:

– Tak, dziękuję. Doszłam do tego. Wygląda na to, że pan Judd pragnie zdobyć wyższą nagrodę, a do tego potrzebuje mojej współpracy. Ta mała czystka, którą zaproponował, to jego sposób na pokazanie mi, kto tu rządzi.

– Wyższą nagrodę – powiedział Lamb.

Wcześniej wyjął papierosa z kieszeni; jedna z jego stałych sztuczek. Niewiele było osób, które kiedykolwiek widziały go z paczką w rękach. Nie wykonał żadnego gestu świadczącego o tym, że zamierza tego papierosa

zapalić; obracał go tylko między palcem wskazującym a kciukiem, jakby odmawiał różaniec.

– Jeśli chce obalić własny rząd – odparł – to wyszedłby lepiej na tym, gdyby skupił się na lordzie kanclerzu. W latach dziewięćdziesiątych koka i dziwki oznaczały dla tego faceta spokojną noc. Jedna większa wtopa w tabloidach i przejdzie do historii. Po czymś takim premier nie przetrwałby długo. Zawsze oferowali ich w pakietach; kupisz jednego, drugiego dostaniesz za darmo.

– Problem z przeciekami polega na tym, że zwykle można je prześledzić do źródła. A jeśli Judd chce, żeby szeregowi członkowie partii go popierali, musi sprawiać wrażenie całkowicie lojalnego. Nie, on nie chce zrobić przewrotu. Chce być okrzyknięty wybawcą. Kiedy przywództwo będzie się rozpadać, on będzie się spotykał z lokalnymi notablami i organizował bale charytatywne. Nic nie będzie wskazywało na zdradę.

– Bał charytatywny – zastanowił się na głos Lamb. – To coś takiego jak przelecieć kogoś z litość...

– Jesteśmy w kościele.

– Może i tak. – Z konsternacją przyjrzał się nietkniętemu papierosowi, po czym wsunął go za ucho. – Ale nie ściągnęła mnie tu pani, żeby grać w głuchy telefon. Już mu pani spuściła powietrze z opon, prawda?

– Sam złapał gumę.

– No proszę.

Dame Ingrid pochyliła się w jego stronę i opowiedziała mu o tiger teamie kierowanym przez Sly'a Monteitha, dawnego szkolnego kumpla Judda, i o tym, jak ludzie Lamba zostali wykorzystani jako klin do otwarcia Regent's Park.

– Czyli porwali Standish – stwierdził Lamb neutralnym tonem.

– Zgadza się. I w ramach zachęty przesłali jej zdjęcie, związanej i zakneblowanej, pańskiemu Cartwrightowi.

– Niepotrzebnie się tak natrudzili – stwierdził Lamb. – Wystarczyło obiecać mu ciasteczko. Czyli taki był plan Judda. W ilu punktach się nie powiódł?

– Jakąś godzinę temu zwłoki pana Monteitha zostały wyrzucone na chodnik w południowo-zachodnim Londynie.

– I to was zaskoczyło?

– MI5 nie rozwiązuje problemów brutalną przemocą, panie Lamb.

– Może nie w południowo-zachodnim Londynie – zgodził się z nią. – W takim razie kto wrzucił go do rynsztoka? Niech zgadnę. Jego własna ekipa?

– Na to wygląda – odrzekła Terany. – Chwilę temu przeprowadziłam dość niezwykłą rozmowę telefoniczną z dżentelmenem, który poinformował mnie, że... uff... teraz to on kieruje przedsięwzięciem pana Monteitha. I że zmieniły się reguły gry.

– Czyli tygrysy nie były tak oswojone, jak się wydawały – stwierdził Lamb. – Czego chce?

Dame Ingrid mu powiedziała.

Ponoć gdybyśmy tylko spokojnie siedzieli w pokoju, wszystkie nasze problemy by znikły. Catherine gdzieś to słyszała, pewnie na spotkaniu Anonimowych Alkoholików. Spękane fragmenty mądrości, posklejane z na wpół zapamiętanych aksjomatów – gdy poskładało się je razem, dostawało się coś, co uchodziło za filozofię w rozmytym świecie pijaka. A trzeźwi pijacy potrafili być równie tępi, co ci aktywni. Tego również dowiedziała się na tych spotkaniach.

W tej chwili właśnie siedziała spokojnie w pokoju, ale wcale nie miała wrażenia, jakby jej problemy zniknęły.

Pora lunchu już pewnie minęła, pomyślała. Słońce stało wysoko i było potwornie duszno. Wpadające przez okno powietrze bardziej pachniało latem niż to w Londynie, miało w sobie więcej słodczy, ale Catherine była do tego stopnia dziewczyną z miasta, że wydawało jej się to przytłaczające i niemal by wołała, żeby ten autobus na podwórzu odpalił silnik i zaczął dymić spalinami. A poza tym wiejskie powietrze przypominało jej o głosach.

Głosach nawiedzających ją podczas odwyku, który przechodziła w bardzo wygodnym, przyzwoitym wiejskim sanatorium w Dorset, kryjówce dla ofiar z MI5. Wśród tych wszystkich chodzących katastrof – agentów, którzy za dużo zrobili, za dużo widzieli albo za dużo im zrobiono – bynajmniej nie stanowiła jedynej trzeźwiejącej alkoholiczki; dołączyła do pokiereszowanego grona. Każdy tam wydawał się chodzącym zbiorem kolców, choć sam ośrodek zdawał się większość z tego wygładzać. Nie pochwalano gwałtownych hałasów, ale i tak do nich dochodziło. Na perkusyjną posadzkę spadała gdzieś jakaś taca i w całym ośrodku przez kilka minut aż dzwoniło. Gdy uderzyła ją myśl, do jakiego rozgardiaszu doprowadziłyby ćwiczenia przeciwpożarowe, musiała przygryźć język, żeby nie wpaść w histerię.

Jej pokój w tym ośrodku był mniej więcej podobnych rozmiarów co ten tutaj. Tam z okna roztaczał się widok na bardzo gładką angielską murawę otoczoną linią jesionów. Czasem podwójne dołki w trawie wskazywały, gdzie stały kiedyś bramki do krokieta, lecz gra ta, z pozoru dystygowana, lecz w rzeczywistości bezwzględna, za bardzo wszystkim przypominała o życiu w MI5, by mogła być kojącą rozrywką, a więc pozbyto się bramek i młotków. Pozostały tylko te idealnie okrągłe rany w murawie, ledwie widoczne stygmaty, które może się kiedyś zagoją, a może nie... Nie było końca spiralom myśli, które mogły cię wessać; porwać cię jak tornado

Dorotkę i porzucić w jaśniejszej krainie, w której uścisk logiki nie był tak duszący. Natomiast świat trzeźwości wciąż był wyprany z kolorów. Nawet ten trawnik, te jesiony zdawały się ponure, szare i pozbawione życia. No cóż, jesiony, oczywiście. Niby dlaczego tak się nazywały?

Jednak pod nieobecność barw pojawiły się nowe dźwięki. W pierwszym tygodniu zaczęła słyszeć głosy. To było tak, jakby mały tłumek ludzi, zawsze pozostających poza zasięgiem wzroku, chciał się podzielić z Catherine jakimś strasznym sekretem. I jakby wszyscy chcieli to zrobić naraz, bo docierał do niej tylko nieprzerwany pomruk sylab, nigdy niezblizający się do czegokolwiek zrozumiałego. Współdzielili z nią tajemnice. I od początku wiedziała, że istnieli tylko w jej delirium i że tym sekretem, który tak strasznie chcieli jej zdradzić, było to, że przy następnej okazji znów zostanie złamana i upadnie. Nie było w tym smutku ani triumfu. To było po prostu to, co musiało się stać: prędzej czy później wypuszczą ją z tego szpitalnego odosobnienia, a wtedy znów znajdzie się w świecie hałasów, świateł i ostrych krawędzi i pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie otwarcie butelki.

Uczepiła się tego jako pierwszej realnej nadziei w tych początkowych dniach odwyku. Była w stanie znieść to wszystko – kurację, dochodzenie do siebie; wysiłek, jakiego od niej wymagało odzyskanie dumy i wiedzy, kim mogłaby być – pod warunkiem że zapomnienie wciąż pozostawało możliwością. Nawet teraz w większość poranków ta myśl budziła się razem z nią. Głosy z czasem zanikły, zaś wysiłek stania się znów sobą powiódł się o tyle, że pozostawał dla niej codzienną walką, ale nigdy tak naprawdę o nich nie zapomniwała; owinęła je raczej w jakieś szmaty i upchnęła w rupieciarni swojego umysłu. Nie była to uznawana strategia dochodzenia do siebie, ale w jej przypadku, jak na razie, się sprawdzała.

Do tego stopnia pogrążyła się w tym wspomnieniu, że krzyknęła cicho, gdy zaskrzypiały drzwi, jakby te głosy z jej przeszłości przybrały fizyczną postać i teraz przybyły, by zabrać ją ze sobą.

– Wszystko dobrze?

To był głos Baileya.

Catherine wzięła się w garść i wstała.

– W porządku.

Otworzył kłódkę i wszedł; manewr ten komplikowała niesiona przez niego taca. Była na niej zapakowana w kartonik kanapka, jabłko, coś, co wyglądało jak owinięte w celofan herbatniki, na których wciąż widoczna była etykieta z ceną, mała butelka wody, buteleczka pinot grigio i plastikowy kubek.

– Pomyślałem, że zgłodniałaś – stwierdził.

Postawił tacę na łóżku.

Nie mogąc oderwać od niej wzroku, Catherine z pozoru obojętnie wskazała za okno.

– Tam jest autobus.

– Wiem.

– Po co?

Sama słyszała, że brzmi to tak, jakby recytowała frazy z rozmówek angielskich.

– Ludzie, do których należy ten dom, używali go chyba do objazdówek.

– Mają zespół? – Nagle przed jej oczami wyostrzyły się obrazy ze starego filmu. Pinot nie było jej ulubionym szczepem, lecz nagłe pojawienie się wina wyparło wcześniejsze przyjemności. Letnie wakacje, tak się nazywał ten film.

Bailey się roześmiał.

– Mieli biuro wycieczkowe. Obwozili ludzi po lokalnych atrakcjach.

– Nawet nie wiem, gdzie jesteśmy.

– No cóż. Wszędzie się znajdują jakieś zabytki, prawda?

Catherine coś na to odpowiedziała. Nie była pewna co.

– Pewnie splajtowali – odparł Bailey. – Kiedyś było tu gospodarstwo rolne. Teraz można wynająć to miejsce na wakacje. Potem pewnie zrobią tu schronisko młodzieżowe.

– Jak długo zamierzacie mnie tu trzymać?

– Niedługo.

– To się nie skończy dobrze – powiedziała. – Zadzieracie z poważnymi ludźmi.

– Ben i pułkownik też są poważnymi ludźmi. – Wskazał głową na tacę, a potem odwrócił się, by wyjść. – Przyniosłem ci wino. Drobną przyjemność.

– Zauważyłam.

– Lepiej je wypij, zanim zrobi się ciepło.

Otworzył drzwi, klucz do kłódki zatańczył w jego palcach.

– Bailey?

– Jak mnie nazwałaś?

– Pozostali są żołnierzami, ale ty nie. Prawda?

Nie odpowiedział.

Gdyby nasłuchiwała, kilka sekund później usłyszałaby kliknięcie zamykanej kłódki. Jednak cała jej uwaga skupiła się na tacy, którą postawił jej na łóżku, i na malutkiej butelce wina.

Głosy z przeszłości milczały.

– Żartuje pani sobie – powiedział Lamb.

Nic w zachowaniu Tearney nie wskazywało na to, by żartowała.

– Wygląda na to, że plan pana Monteitha został przechwycony przez kogoś posiadającego... uff... specyficzny światopogląd.

- Kogoś kompletnie pojebanego.
- Wydaje się, że wszystko o tym świadczy.

Kobieta siedząca trzy rzędy przed nimi najwyraźniej pograżyła się w modlitwie. A może po prostu straciła nadzieję, że uda jej się uciszyć to mamrotanie w tle.

– Szare Księgi – zadumał się Lamb. – To gówno przyprawia o gęsią skórkę, prawda?

– Jesteśmy agencją wywiadowczą, panie Lamb. Przechowujemy dane o wszystkim. Nawet o, jak pan to nazwał, głównie przyprawiającym o gęsią skórkę.

– A teraz ten tygrys, kimkolwiek jest, chce do nich zajrzeć. – Lamb wyciągnął zza ucha papierosa, spojrział na niego ze złością i wsunął go z powrotem. – A wszystko, co ma, to Standish. Naprawdę myśli, że użyje jej jako karty przetargowej?

– Cenimy sobie naszych agentów – odparła Tearney. – Chronienie ich to nasz moralny imperatyw.

– No jasne. Poza tym jeśli da mu pani to, czego chce, wsadzi pani jaja Petera Judda w imadło.

– Ma pan talent do trafnych określeń.

– Tak mi mówiono.

Jednocześnie wyglądało na to, że talentem Tearney jest umiejętność zachowania spokoju. Mówiła cicho, tak że jej szept był niezrozumiały dla kogokolwiek, kto znajdował się dalej, i w trakcie całej tej rozmowy wyraz jej twarzy prawie wcale się nie zmienił. Często porównywano ją z wiedźmą, ale Lamb nie podzielał tego poglądu. Wiedźmy potrafiły zaleźć za skórę. Dame Ingrid była raczej personelem naziemnym wiedźm: utrzymywała w dobrym stanie ich miotły, choć nie można było jej zaufać, że nie dopuści się sabotażu, jeśli uzna, iż to leży w jej interesie.

Teraz powiedziała:

– Nie uprawiam polityki ulegania wrogim żądaniom, ale w obecnych okolicznościach wygląda na to, że to najprostszy sposób. Materiały, które chce zdobyć ten człowiek, są bezwartościowe. Kiedy je już dostanie, a pańska agentka zostanie uwolniona cała i zdrowa, zajmiemy się nim.

Ale Lamb podązał za własnym wątkiem i nie zamierzał zaplątać się w jej.

– Oczywiście nikt nie powinien się o tym dowiedzieć, prawda? – odparł. – Oto Peter Judd, który sankcjonuje atak na swoją własną agencję, kończący się śmiercią jego starego kumpla i tiger teamem, który zerwał się ze smyczy. Jeśli pomoże mu to pani zatuszować, będzie pani współwinna. Ale jeśli tygrysom ujdzie to na sucho, Judd wpadnie jeszcze głębiej w gówno.

– Ma pan bystry umysł, panie Lamb. Nikt temu nigdy nie zaprzeczał.

– I to będzie takie wyjątkowe gówno. Ten rodzaj, przy którym tylko pani wie, gdzie jest łopata. – Oparł się ciężko plecami o ławę. – Krótko mówiąc, to dlatego stygnie mi żarcie na wynos. Chce pani, żeby moja ekipa dostarczyła temu facetowi towar. Nieoficjalnie. Żeby mieć w garści ministra spraw wewnętrznych.

– Cóż, będzie pan ratował jednego z własnych ludzi. A poza tym – odparła Tearney – jest coś właściwego w tym, że pańska... uhh... grupa naprawcza będzie pomagać w tym naprawdę obłąkańczym ćwiczeniu. Jak to się mówiło? A tak! Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

– Tak, wiem, że sobie poradzą – odrzekł Lamb. Podrapał się po rzednących włosach, po czym podejrzliwie obejrzał swoje paznokcie. Gdy już skończył, dodał: – Człowiek Judda nie był jedynym, który używał Slough House jako przepychacza do kibla.

– Biorąc pod uwagę charakter tej operacji, nie mogę panu nakazać, by się pan tego podjął.

– Mhm.

– Jednak jeśli pan postanowi w to nie grać, jutro o tej porze pański wydział będzie już historią.

– Proszę mnie nie kusić.

Pochylił się do przodu, przesunął ręką po szyi, przyjrzał się jej i otarł dłoń o spodnie. Potem popatrzył na Dame Ingrid.

– Zakładam, że mamy zebrać materiał bez współpracy z tymi, którzy obecnie są w jego posiadaniu?

Kiwnęła głową.

– Mimo wszystko. Przy obecnym klimacie okaże się pewnie, że to jacyś młodzi na zasiłku albo emerytowani ochroniarze, którzy chcą sobie dorobić.

– Tak czy inaczej, to aktywna operacja i ma się pan trzymać zasad. Pańskim priorytetem ma być zapewnienie, żeby ten człowiek dostał, czego chce, bez niepotrzebnego przyciągania uwagi.

– Gwoli jasności – odparł Lamb – moim priorytetem jest odzyskanie mojej agentki.

Wytrzymał jej spojrzenie, póki nie spuściła wzroku. Zaczęła bawić się sprzączką torebki i zbierać do wyjścia.

– I proszę wsadzić Cartwrighta w taksówkę – dodał Lamb.

– Może wsiąść w autobus – brzmiały jej ostatnie słowa.

Nie patrzył na nią, gdy wychodziła z kościoła, dalej siedział zwrócony twarzą do ołtarza. W jego ręce znów pojawił się papieros, zdumiewająco niezmięty, jeśli zważyć, przez co przeszedł. Lamb siedząc, rolował go w palcach. To, co powiedział Tearney, było prawdą: nie spędził dużo czasu w kościołach, ale kiedyś, dawno temu za żelazną kurtyną, jeden podpalił – przypomniał sobie cierpki smak płonącego drewna, to, jak dym wznosił się

ku ciemnemu radzieckiemu niebu, roztopiając padający śnieg. Jak trwałe są wspomnienia? To akurat towarzyszyło mu przez połowę życia i pochłaniało go teraz przez kilka minut. Tamten hałas, tamten huk – pierwszy wystrzał z karabinu, gdy do żołnierzy dotarło, co zrobił. A potem huk wywołała już tylko książka uderzająca o podłogę, upuszczona przez jednego ze starszych ludzi przeglądających kieszonkowe wydania, które wystawiono na sprzedaż.

Zaczęła dzwonić jego komórka i starsza pani rozejrzała się z wściekłością.

– Przepraszam – powiedział do niej niemal bezgłośnie. – Umawiam się na randkę.

Wsunął papierosa do ust i wyszedł z kościoła z telefonem wibrującym w dłoni.

W Slough House tubylcy nie potrafili sobie znaleźć miejsca.

Standardowe płyty CD mają 1,2 milimetra grubości, 12 centymetrów średnicy, są wykonane z poliwęglanu i w trybie cyfrowego przechowywania danych zawierają 2352 bajty danych użytkownika na sektor, podzielone na dziewięćdziesiąt osiem 24-bajtowych klastrów. A kiedy położy je się na krawędzi biurka i nagle walnie z góry, mogą z gracją wystrzelić w powietrze i wpaść do kosza na papiery dwa metry dalej.

– Trzy do zera – oświadczył Marcus.

– Oszukujesz.

– Tak, jasne. A może po prostu jestem lepszy od ciebie.

Shirley Dander ułożyła swoją następną płytę CD i brutalnie w nią rąbnęła – ostatnie doświadczenie nauczyło ją, że czas, który poświęcała na kalibrowanie trajektorii tak, by płyta wpadła do kosza, zamiast bez sensu upaść na dywan, był czasem, którego już nigdy nie odzyska.

Płyta podskoczyła, obróciła się dwa razy w powietrzu i spadła z powrotem na biurko.

– Niech to szlag!

– Co robicie?

Spojrzeni w stronę drzwi. Stał tam Roderick Ho ze złożonym kawałkiem pizzy w ręce.

– Spadaj, okularniku – rzuciła Shirley.

Ale Ho patrzył na płyty CD porozrzucane wokół kosza na papiery.

– Łatwizna – stwierdził.

Marcus uznał, że najwyraźniej Ho nie przyswoił sobie życiowych lekcji, po tym jak Shirley wczoraj wieczorem podbiła mu oko.

– Tak uważasz? – spytała Shirley. – Serio?

– Za pierwszym razem. Żaden problem.

– Postawisz piąta?ka?

– Shirley... – zaczął Marcus.

– Co, staruszk? – spytała. – Chcesz się w to zabawić?

– Musiałbym określić jego handicap.

– A życie tego jeszcze nie zrobiło?

– Jezu, Shirley! Przecież on cię słyszy.

Ho wszedł do pokoju, jeszcze raz złożył na pół kawałek pizzy i ambitnie wepchnął go sobie do ust. Wziął płytę CD z biurka Marcusa, uniósł ją do światła, zmrużył oczy, pokręcił głową, po czym odłożył ją na miejsce.

– Gra pod publiczke – wyjaśnił Marcus, zwracając się do Shirley. – Pozwolisz mu na próbny strzał?

– Nnng grrrrff – wydusił Ho. Wziął inną płytę, wydał z siebie dźwięk jak zestresowany pyton, a pizza należała już do historii. – Nie potrzebuję próbnego strzału.

– Nie potrzebuje próbnego strzału! – Shirley poinformowała Marcusa. – To jak, o piątaka?

– O funciaka.

– Tchórz. Dobra, niech będzie. – Spojrzała na Ho, który układał płytę na skraju biurka Marcusa. – Przyłóż jej, pizzożerco!

Ho jej przyłożył.

Płyta wystrzeliła pionowo w górę, trafiła w żarówkę, rozpryskując wszędzie odłamki szkła, po czym odbiła się od framugi okna, odłamując od niej mały fragment, który Shirley znalazła później w swojej kawie.

I niemal po namyśle wpadła do kosza na papiery.

– Taaaaak! – wrzasnął Ho i opadł na kolana.

Marcus śmiał się tak bardzo, że dopiero po minucie do niego dotarło, że do pokoju weszła Louisa.

– Przepraszam – powiedział. – Za bardzo hałasujemy?

– Wyrzucono zwłoki na ulicę. W biały dzień.

– Tutaj?

– W centrum Londynu.

– A może być czarny dzień? – mruknęła pod nosem Shirley, strzepując z ramienia drobne okruchy z żarówki.

– A konkretniej – dodała Louisa – przed pieprzoną restauracją w pobliżu The Mall.

– Londyńska policja na pewno jest podekscytowana – stwierdził Marcus. Zwęziły mu się oczy: zwłoki na ulicy. Był kiedyś taki czas, kiedy to jego wezwaliby do akcji.

– I zgadnijcie, kto jadł obiad w tej pieprzonej restauracji?

– Cóż, pewnie nie Jej Wysokość – burknęła Shirley. Ale opadła z powrotem na krzesło i kliknęła stronę BBC. – Peter Judd. I co z tego?

– Zauważyłaś, co miał do powiedzenia?

Chwila milczenia. Potem Shirley odparła:

– Nigdzie go nie cytują.

– No właśnie. – Louisa weszła głębiej do pokoju. – Kiedy ostatnio Judd był w pobliżu dziennikarzy i wymknął się tylnymi drzwiami?

– A tak zrobił? – zapytał Ho.

– To taka przerośnia.

– Jest ministrem spraw wewnętrznych – stwierdził Marcus. – Prawo i porządek. Pewnie czuł się zakłopotany, że tam był, kiedy ktoś pozbył się zwłok.

– Zakłopotany? Mówimy o Peterze Juddzie.

– Do czego zmierzasz, Louiso? – spytał Roderick Ho.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– No co? Co ja takiego powiedziałem?

Shirley zanuciła pod nosem.

– Zakochana para, zakochana para...

– Judd, nasz nowy pan i władca, unika prasy w tym samym dniu, kiedy znika Catherine? – zastanawiała się Louisa. – A River siedzi w Regent's Park i jest aresztowany? Za kradzież akt i Bóg wie co jeszcze.

– Uderzenie się w piersi na terenie zabudowanym? – spytała Shirley.

– Nieważne. Ale żeby to wszystko wydarzyło się jednego dnia? Nie mogę być jedyną, która myśli, że te rzeczy muszą być ze sobą powiązane.

– Mamy falę upałów, wiesz – zauważył Marcus. – Temperatura rośnie, dzieją się szalone rzeczy. To dobrze znane zjawisko. Nie oznacza, że istnieje jakiś wzorzec.

– Tak, jasne. Przepraszam – powiedziała Louisa. – To znaczy, rany, macie tyle roboty. Nie chciałam wam przeszkadzać.

– Spokojnie, tygrysku.

– No to wróćmy wszyscy do sporządzania list. Nad czym pracujesz, Longridge? Ludzie z tą samą marką samochodów jak ta, którą jeździły te sukinsyny z siódmego lipca?

Rozłożył ręce.

– Gdzie Lamb? – spytała Shirley.

– Wyszedł.

– Cóż... Masz pojęcie dokąd?

Louisa potrząsnęła głową.

– Ktoś do niego zadzwonił. I zniknął.

– To Lamb zaczął odbierać telefon? Jesteśmy po drugiej stronie lustra, ludziska.

– To nie jest zabawne. Coś się dzieje. Możecie sobie żartować, ile chcecie, ale zamierzam się dowiedzieć co.

– Ja nie jestem zajęty – oświadczył Ho.

– Co?

– Grali w jakąś głupią grę. Chciałem tylko sprawdzić, kto tak hałasuje.

– Kapuś – rzuciła Shirley.

– Wisisz mi piątaka.

– Dobra, w takim razie zrób coś dla mnie – Louisa zwróciła się do Ho. – Daj czadu przy komputerze. Dowiedz się, kim był ten zabity.

– Mogę to zrobić.

Wyszedł do swojego pokoju, wycierając ręce o spodnie.

– Gołąbeczki – mruknęła Shirley.

– Masz z tym jakiś problem? – spytała Louisa.

– Broń Boże! Niech wam się wiedzie.

– Bo jesteś strasznie nerwowa i czepiasz się jak cholera. Potrzebne ci jakieś prochy na uspokojenie czy co?

– Niby ja jestem nerwowa? A tobie kto włączył światło? Przez ostatni rok...

– Shirley! – ostrzegł ją Marcus.

– ...snułaś się jak zdołowany duch. I nagle chcesz wydawać rozkazy?

– Shirley – powtórzył Marcus.

– Bo ja nie zamierzam ich wykonywać. I ty też nie zaczynaj! – To ostatnie powiedziała do Marcusa. – Partnerze.

Wyszła z pokoju i głośno tupiąc butami, poszła na górę. Chwilę później usłyszeli, jak zatraskują się drzwi łazienki.

Po chwili Louisa powiedziała:

– Kolejny wspaniały dzień w biurze.

– Naprawdę myślisz, że Judd jest zamieszany w to, co się dzieje?

– Nie, chciałam tylko wkurzyć Shirley.

– To żadne wyzwanie. – Marcus wyłowił z kosza na papiery garść płyt CD. Najswobodniej, jak potrafił, spytał: – U ciebie wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest.

– Wydajesz się trochę...

– Nic mi nie jest.

– Rozchmurz się, dziewczyno. Uratowałem ci życie, pamiętasz?

– Nie podziękowałam ci? Wtedy?

– Chyba tak...

– No właśnie.

– Dobra. – Marcus spróbował inaczej. – Prawda jest taka, że i tak bym go zastrzelił.

– Wiem.

– Działał mi na nerwy.

– Wyobrażam sobie, jak się czułeś.

– Shirley jest teraz trochę spięta.

– Shirley to cholerny oszołom.

– Dopiero co rozstała się ze swoją dziewczyną. Albo chłopakiem. Mniejsza z tym.

– Gdyby mnie to interesowało, zajrzałabym na jej profil na Facebooku. Ale jeśli będzie mnie dalej denerwować, przyłożę jej. I, Marcus? Nazwij mnie jeszcze raz „dziewczyną”, to i tobie będzie trzeba ratować życie.

– Co jest grane? – spytała Shirley, wracając do pokoju po tym, jak Louisa już wyszła.

– Biurowe żarciki.

– Ta kobieta jest jak koc gaśniczy. Każdego potrafi zgasić.

– Byłaś w kiblu?

– Tak. Przez jakieś pięć minut.

– Ale nie...?

– Nie co?

– Nic.

– Jezu, jeszcze ty. – Tupiąc ze złości, wróciła na swoje miejsce. – Nie jestem ćpunką, rozumiesz? Czasem lubię wziąć coś dla zabawy, to wszystko.

– To gównno rozwała reakcję.

– O tak, w tej robocie to prawdziwe zagrożenie. – Shirley wyżyła się na swojej klawiaturze, a komputer zapiszczał. – Jak trafię na jakiś zbuntowany spinacz, będę miała przechlapane.

– Powinnaś traktować takie rzeczy poważnie.

– A ty powinienes się wyluzować.

– No cóż... Wisisz mi funciaka – powiedział, ale udała, że tego nie słyszy.

Na zewnątrz słońce prażyło bezlitośnie. Lamb znalazł skrawek cienia nad kanałem, którego woda była nieruchoma, zielona i pokryta warstwą

grubych okrągłych liści wielkości talerzy. Tu i ówdzie widać było jakiś arogancki kwiat, biało-różowy niczym oko z zapaleniem spojówki. Na pobliskiej rabacie porozrzucane pióra zdradzały, w którym miejscu lis dorwał gołębia, chyba że gołąb po prostu eksplodował. Lamb wreszcie zapalił papierosa. Jego telefon umilkł, zanim wyszedł z kościoła, ale wiedział, że wkrótce znów zadzwoni. Kiedy tak się stało, uniósł go do ucha bez patrzenia na wyświetlacz i powiedział:

– Diano?

– Co kombinujesz, Lamb?

– Byłem w kościele – odparł. – Wpuściłaś Jezusa do swojego życia? Przychodzi, gdy po niego zadzwonimy, ale miło jest też zajrzeć i zobaczyć, co u niego.

– Tearney właśnie podpisała wypuszczenie Cartwrighta.

– Mocno wątpię.

– Przed chwilą dzwonił Nick Duffy. Osobiście wyprowadzał Cartwrighta z budynku. Niezbyt go to uszczęśliwiło.

– Wątpię, żeby Tearney cokolwiek podpisała.

Chwila milczenia.

– Cóż, zgadza się. Nie zrobiła tego.

Lamb obserwował, jak dym z jego papierosa z trudem wznosi się w ciężkim, upalnym powietrzu.

– Co ci chodzi po głowie, Diano?

– Judd zamierza zmienić strukturę dowodzenia – powiedziała Diana Taverner. – Najwyraźniej uważa, że na poziomie Drugiego Biurka lepiej sprawdziliby się ludzie mianowani przez ministra.

– Można go zrozumieć – odparł Lamb. – Skoro obecny system działa, to jak to możliwe, że jesteś wyższą rangą ode mnie?

– Jeśli to przejdzie, będziesz odpowiadał przed jakimś partyjniakiem, którego jedynym celem w życiu jest mozolne wspinanie się po szczeblach kariery. Cóż, tylko tak mówię, że miałbyś kogoś takiego nad sobą. Ale pierwszą rzeczą, jaką zrobiłby jakikolwiek polityk, byłoby zamknięcie Slough House.

– I mówisz mi o tym wszystkim, bo...

– Twoje dobro leży mi na sercu. Wiesz o tym.

– Nigdy nie przyszło ci do głowy, że przejście na emeryturę mogłoby mnie ucieszyć?

Chwilę milczenia, jaka nastąpiła po tym pytaniu, spędził na wysuwaniu gaci z rowka w dupie.

W końcu Taverner odparła:

– Jeśli nie zamierzasz traktować tego poważnie, nie ma sensu, żebym próbowała cię ostrzec.

– Chciałem tylko przydać blasku tej chwili.

– Bo kiedy wyobrażam sobie ciebie na emeryturze, jak przeglądasz jakiś tygodnik wędkarski albo coś w tym stylu...

– Doceniam twój wkład. Ale jeśli mam zdążyć zamówić tort, zanim młody River wróci do domu, lepiej będę się już zbierać.

– Jackson...

– Diano.

– Wiesz, co nadzorowałam przez ostatnich pięć miesięcy? Przekładanie papierów z jednej półki na drugą. Mówię poważnie. Przechowywanie poza główną lokalizacją akt pojebów, teczek oznaczonych czarną wstążką, wszystkiego, co uznano, że... cytuję: „nie jest już potrzebne dla realizacji bieżących celów”. To znaczy codziennych spraw, na wypadek gdybyś się zastanawiał.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo mnie to nie interesuje.

– Dalej wydaje ci się to zabawne. Ale jestem Drugim Biurkiem do spraw operacji, Jackson, a wykonuję zadania stażysty. Oni nie tylko zamkną Slough House. Zmieniają całe MI5 w fabrykę, w której chętni do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych będą mogli zbierać doświadczenie. – Milczała przez chwilę dla większego efektu. – Jeśli zostaniesz poproszony, by wybrać stronę, mam nadzieję, że wybierzesz tę właściwą.

– Ze względu na ciebie czy na mnie? – spytał Lamb i się rozłączył.

– Nazywa się Sylvester Monteith – powiedział Ho. – Prowadził firmę ochroniarską Czarna Strzała.

– Nigdy o niej nie słyszałam – stwierdziła Louisa.

– To nie najwyższy poziom, ale podłapali parę rządowych kontraktów... – zauważył Marcus.

Urwał, próbując wyłowić z pamięci jakiś szczegół.

– A teraz nie żyje – powiedziała Shirley. – Kto go załatwił?

– Wiesz co? – rzucił Ho. – W jego CV nic o tym nie ma.

Minęło jakieś dziesięć minut od awantury w pokoju Marcusa i Shirley i teraz, choć tego ze sobą nie uzgadniali, zebrali się w biurze Ho, żeby sprawdzić, czego się dowiedział. Czasem tak po prostu wychodziło. I nie zawsze wróżyło to dobrze.

– Ktokolwiek to zrobił – stwierdziła Louisa – nie starał się zachować tego w tajemnicy. Wyrzucił zwłoki z furgonetki w samym środku Londynu. Tak zachowują się gangi.

– Furgonetka nie zajechała daleko – dodał Ho. – Porzucono ją trzy ulice dalej.

– Jakież kamery?

– W centrum Londynu? Niech pomyślę.

– Dzięki, mądralo. Masz już materiał?

– Jeszcze nie – przyznał Ho.

– Peter Judd – wtrącił Marcus.

– Co z nim?

– Firma Monteitha załapała się na rządowe kontrakty, bo miał gdzieś koleżkę. Tak się mówiło.

– I tym koleżką był Peter Judd?

– Jeśli tak, to byłoby interesujące, nie uważasz? Gdyby uwzględnić, że był w pobliżu, kiedy wyrzucono zwłoki.

Górna warga Ho się uniosła. Taką miał zwykle minę, kiedy brodził w sieci, i to ona w znacznym stopniu, jeśli nie w całości, odpowiadała za to, że nie był popularny.

Kilka uderzeń w klawiaturę później oświadczył:

– Chodzili razem do szkoły.

– Domyślam się, że nie do miejscowego ogólniaka – powiedziała Shirley.

– Boże błogosław establishment – stwierdził Marcus. – Ale co to wszystko ma wspólnego ze zniknięciem Catherine?

– Jeszcze nie wiem – odparła Louisa z napięciem w głosie. Marcus odnotował sobie w głowie, żeby się nie wychylać. Odrzut wywoływany przez kobiecy stres mógł urwać palce, jeśli nie było się ostrożnym. – Dowiedzmy się więcej o tej Czarnej Strzale.

– Czyli chcesz, żebym ja się dowiedział – odezwał się Ho.

– W „zespolu” nie ma „ja” – przypomniała mu Louisa.

– Za to w „babsztyl” jest „ty” – mruknęła Shirley.

Ho potarł palcem siniak na policzku.

Marcus otworzył okno i przez krótką chwilę cieszył się fantazją, że wpadnie przez nie chłodny wietrzyk, który rozproszy woń potu i zastoju, która wisiała zwykle w pokoju Ho. Zaraz jednak podmuch gorącego powietrza i hałas przywróciły go do rzeczywistości. Zamknął okno

i postanowił pozawracać głowę Catherine, żeby zdobyła jakieś działające wentylatory. Tyle tylko że Catherine zaginęła... Kilka budynków dalej z totalizatora wyszła jakaś postać, przystanęła przy koszu na śmieci i coś do niego wrzuciła. Albo prawie. Zwitek papieru odbił się od brzegu i wpadł do studzienki. Ktoś ma zły dzień, pomyślał Marcus. On sam miał kilka takich za sobą, ale potrzebował tylko jednego popołudnia, podczas którego dopisze mu szczęście. A potem to wszystko rzuci: karty, konie i tę pieprzoną automatyczną ruletkę.

– Mówiłeś coś?

– Przydałyby nam się działające wentylatory – oznajmił Marcus.

Ho wyrecytował wszystko, co udało mu się znaleźć o Czarnej Strzale. Założona dwadzieścia lat temu, może nie była oszałamiającym sukcesem, ale przecież wszystko, co przez ostatnie pięć lat nie splajtowało, było jak hymn pochwalny na cześć wolnego rynku. Zatrudniała obecnie ponad dwustu „funkcjonariuszy”, miała kilka drobnych kontraktów rządowych i zapewniała ochronę podrzędnej sieci supermarketów. Prawdopodobnie obejmowało to raczej przewożenie utargów i pensji niż pilnowanie towaru, choć mogło oznaczać jedno i drugie.

– Dane pracowników? – spytała Louisa.

– Po co? – zdziwiła się Shirley.

– Zbieranie informacji. Nie mam czasu wyjaśniać ci całej koncepcji, ale...

– Och, jeśli tylko nabierzesz ochoty, by wyjaśnić mi koncepcję...

– Drzwi – wtrącił Marcus. – Lamb wrócił.

A więc cała czwórka zaczęła udawać, że nic nie robią, bo nauczyli się na własnej skórze, że gdy wyglądają na zajętych, Lamb dochodzi do wniosku, że coś kombinują.

Jednak chwilę później nie pojawił się Lamb, tylko River.

Poziom wody w Tamizie wyglądał na niski. Mówiło się, że w dawnych czasach rzeka zamarzała; że w cieniu mostów urządzano jarmarki na lodzie, a między zabytkowymi dziś budynkami jeżdżono na łyżwach, ale Sean Donovan nie przypominał sobie, by słyszał, żeby rzeka kiedykolwiek wyschła. Kiedy nadejdzie ten dzień, wszyscy w stolicy z pewnością zwariują od smrodu.

O ile już się tak nie stało. To wściekłe tempo i szalony ruch miały w sobie coś patologicznego.

I pomyśleć tylko o tajemnicach, które wyszłyby na światło dzienne, gdy ukazały się popękany, łuszczący się muł łóżyska rzeki. Wszystko, co establishment usiłował zatrzeć, zatopić w ciemności, znalazłoby się w blasku słońca. Nigdzie nie dałoby się czegokolwiek ukryć.

Stał pod drzewem na nabrzeżu Tamizy. Drzewo było smutne, pożółkłe i dawało niewiele cienia. Całe nabrzeże objęte było monitoringiem i nie zapewniało zupełnie żadnej prywatności. Donovan wierzył jednak w chaos organizacyjny i wiedział, że choć w końcu połączone zostaną kręcąca się tu postać, która przyszła za wcześnie na spotkanie, oraz mężczyzna w kapturze porzucający furgonetkę, z której jakąś milę stąd wyrzucono zwłoki, to stanie się to dopiero za jakiś czas. Jakby chcąc to potwierdzić, zerknął na zegarek, a potem spojrzął w niebo. Słońce wcielało w życie plan B; ten, w którym się nie pieprzyło i po prostu podsmażało wszystko, czego mogło osiągnąć.

Chwilowo oślepiiony nie dostrzegł Bena Traynora do chwili, gdy żołnierz znalazł się tuż przy nim.

– Sean.

Choć rozstali się zaledwie kilka godzin temu, uścisnęli sobie dłonie.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparł Donovan. – Co z kobietą?

– Nie martw się. Ma kurację łożkową. – Traynor się rozejrzał, zatoczył spojrzeniem koło. Nie zauważył nic, co by go zaniepokoiło. – A Monteith? Zakładam, że nie jest zadowolony?

Ani trochę, pomyślał Donovan.

– Ben, sprawy nie poszły tak jak trzeba – powiedział. – To moja wina.

– Jak bardzo?

– Najgorszy scenariusz.

Traynor kiwnął głową. Znow spojrzał gdzieś w dal, tym razem w stronę South Bank, i jego oczy się zamgliły, gdy starał się mentalnie dostosować do tej nowej sytuacji. Potem znow spojrzał na Donovana.

– No dobra – stwierdził. – Czyli nie leży związany w furgonetce, smażąc się jak kurczak. Prawdę mówiąc, Sean, nie jest to jakaś wielka strata dla ludzkości.

– Teraz odejść – polecił Donovan. – Zadzwoń do dzieciaka. Powiedz mu, że to koniec. Będzie wiedział, co robić.

– Dobra, a co potem? Zaszliśmy tak daleko.

– Już samo porwanie było złe. Morderstwo to przekroczenie granicy.

– Co zrobiłeś? Złamałeś mu ten bezużyteczny kark?

– Rzucił się do ucieczki, na Boga! Nie spodziewałem się tego po tym małym gnojku. Myślałem, że będzie jęczał i zwinie się jak dziecko.

– Wszyscy byśmy się tego spodziewali.

– Złapałem go. Przywaliłem mu. Jeden cios, wiesz?

– Człowiek nie czuje, jak może być silny.

Donovan pewnie czuł, i to całkiem wyraźnie. Tym, czego nie uwzględnił, była jego złość, która przez ostatnich kilka lat nieustannie mu towarzyszyła, ciągle tliła się tuż pod powierzchnią. To złość pokierowała jego łokciem na tym parkingu, sprawiając, że nie wyhamował uderzenia. Przyłożył Monteithowi tak mocno, jak jeszcze nigdy nikomu w życiu. Zanim cios dosięgnął celu, Donovan już wiedział, że przesadził.

Ich uwagę przykuł odgłos zbliżających się syren, ale to była tylko karetka. Jakiś biedny sukinsyn zasłabł w tym upale. Donovan odczekał, aż ten dźwięk wtopi się w pozostałe hałasy miasta, a potem stwierdził:

– Wciąż tu jesteś.

– Wciąż może nam się udać.

– Może. Może. Ale nie zostawimy tego za sobą.

– Sean – powiedział Traynor – od początku było wiadomo, że nigdy nie będziemy w stanie zostawić tego za sobą.

River Cartwright czuł się tak, jakby jego wnętrzności wyciągnięto łyżeczką, wymieszano jak sałatkę, a potem ponownie wepchnięto do środka. Kiedy próbował poruszać się naturalnie, ale się nie rozpychać, wyglądał, jakby balansował z niewidzialnym jajkiem na głowie.

Nick Duffy znał się na swojej robocie.

– Twój dziadek nie będzie żył wiecznie – powiedział Riverowi, kiedy wyprowadzał go z Regent's Park.

River wciąż był oszołomiony nagłą odmianą swojego losu.

– Co to znaczy? – W jednej ręce kurczowo ścisnął swój telefon, w drugiej szacunek do samego siebie. Wystarczyłby jakikolwiek niespodziewany ruch, by wymknęło mu się jedno z nich. Albo oba.

– Ktoś wyciągnął twoje jaja z ogniska. A nie masz tutaj żadnych przyjaciół.

– I wszyscy mówią o tobie z takim szacunkiem.

– Dam ci radę. – Duffy opuścił rękę na ramiona Rivera w geście, który z daleka mógłby wyglądać na przyjazny. Ścisnął, dokładnie wiedząc, w którym miejscu to zrobić. – Daj sobie spokój z powrotem do Slough House. Od tych wszystkich formularzy i bezsensownych raportów pewnie ma ci się w głowie. Może, kurwa, po prostu się poddaj, co? Spróbuj czegoś innego, może roboty w McDonalddie? Udawaj, że nie mówisz po angielsku, od razu cię przyjmą. Bo twoja kariera szpiega jest jeszcze bardziej martwa niż twój kumpel Spider.

– Nie jest martwy.

– Nie, ale co rano przysuwają mu lusterko do ust, żeby to sprawdzić.

Zdążyli już wyjść z budynku i przejść przez ulicę prowadzącą do parku, w którym matki popychały wózki i zwariowani zapaleńcy uprawiali jogging, a przede wszystkim ludzie zbijali się w grupki w każdej plamie cienia, jaką tylko mogli znaleźć. Bez względu na to, czy doznawał ośpienia czy spokoju, dziwnie było na to patrzeć, słysząc ledwie zawoalowane groźby.

– Mój dziadek jest po osiemdziesiątce – odparł River. – Są takie dni, kiedy ma problem z chodzeniem po schodach, wiesz? Kiedy bolą go stawy.

– Ty też w najbliższym czasie nie będziesz przeskakiwał po dwa stopnie naraz.

– Ale nawet gdyby miał bardzo zły dzień, bez problemu zdrapałby cię z buta – zakończył River i odszedł ulicą, swobodnie poruszając rękoma, zupełnie nie jak ktoś, kto dopiero co został profesjonalnie obity. Gdy tylko znalazł się za rogiem, opadł między zaparkowane samochody i zwymiotował do studzienki.

A teraz znów był w Slough House.

– Myśleliśmy, że to Lamb.

– Wielkie dzięki.

– Byłeś w Regent's Park – powiedziała Louisa. – Dlaczego cię wypuścili?

– Nie wiem. Catherine wciąż się nie znalazła?

– Wiesz, gdzie ona jest? – spytał Marcus.

River pokazał im swój telefon.

Louisa wzięła go do ręki i podeszła bliżej okna, ustawiając urządzenie pod odpowiednim kątem do światła. Zdjęcie się nie zmieniło – Catherine w kajdankach, zakneblowana, siedząca na łóżku.

– Czyli to dlatego pognałeś do centrali?

Ale River patrzył na monitory Ho.

– Co to za sukinsyn?

– Nie lubię, jak jesteś za moimi plecami – oznajmił Ho.

– Nazywa się Sylvester Monteith – poinformowała go Louisa. – Dlaczego uważasz, że jest sukinsynem?

– To on porwał Catherine. Jak to się stało, że masz go na monitorze?

– Nie lubię, kiedy...

– Zamknij się.

– Jego zwłoki dopiero co wyrzucono w południowo-zachodnim Londynie.

– Ktoś go zabił?

– Nie tylko to. Wyrzucili go jak wór ze śmieciami w niedozwolonym miejscu.

River nie był w nastroju do żartów.

– To on był na kładce. Wcześniej. To on wysłał mnie do Regent's Park. Chciał akta.

Marcus przypomniał sobie postać na kładce, którą dostrzegł, gdy on i Shirley poszli szukać River'a i zamiast niego znaleźli lody. Pewnie lepiej

będzie o tym nie wspominać – ani teraz, ani nigdy.

– Jeśli to on porwał Catherine, a teraz nie żyje, to co się z nią stało? – zapytała Louisa.

Shirley wzięła komórkę i przyjrzała się zdjęciu.

– Ten sukinsyn chciał akta z weryfikacji premiera – poinformował River.

– I co, zdobyłeś je?

– Gdzie tam.

– Ona siedzi – stwierdziła Shirley.

– Co?

– Catherine. Na tym zdjęciu. Siedzi.

– No i?

– Zwykle na takich zdjęciach ofiary leżą.

River gapił się na nią.

– Naprawdę?

– Tak. Nie. Nie wiem. To wygląda nietypowo, to wszystko. Jak wyreżyserowane.

– Myślisz, że to zdjęcie jest nieprawdziwe?

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Ona po prostu nie wygląda na... zdesperowaną.

River potrząsnął głową.

– W jakim sensie? – spytał Marcus.

Shirley podała mu telefon.

– Nie wygląda, jakby się bała.

– Jest skuta, na litość boską – powiedział River.

– Tak, jest skuta – zgodził się Marcus. – Ale Shirley ma rację. Nie wygląda, jakby się bała.

– Chyba nie myślisz, że bierze udział w tym, co się dzieje?

– Nie potrafię jej sobie wyobrazić, jak wyrzuca zwłoki z furgonetki – przyznał Marcus.

– Możecie odejść od mojego biurka – wtrącił się Roderick Ho. – Nie znoszę tłoku.

– Wyluzuj – powiedziała mu Louisa, a Ho spojrział na nią ponuro.

River wziął telefon od Shirley i jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu: Catherine ze skutymi rękoma. Czy wyglądała na wystraszoną? Trudno powiedzieć. Catherine zazwyczaj niewiele zdradzała: w myślach mogła krzyczeć ze strachu, a nie dałoby się tego poznać. Może przez większość czasu właśnie tak było.

Prawda jest jednak taka, że nigdy się nad tym nie zastanawiał. Sam widok tego zdjęcia wystarczył, by puściły mu hamulce.

– Znalazłeś już materiał z kamer monitoringu? – zwróciła się Louisa do Ho.

– Nie. Bo jeszcze nie zacząłem szukać.

– Może teraz jest na to dobry moment – podsunął River.

– Żadne z was nie jest moim szefem – głośno oświadczył Ho, dając im jasno do zrozumienia, że zwraca się do wszystkich.

– Może byś tak, kurwa, wreszcie wydorósł – podsunęła Shirley.

– Amen – dodał Jackson Lamb po tym, jak bezgłośnie wspiał się po schodach.

Wszyscy zamarli.

Dwaj mężczyźni znajdowali się na Hungerford Bridge i przechodzili nad leniwie płynącą rzeką. Linia dachów South Bank, po zmroku tak kusząca, o tej porze dnia wyglądała dość surowo. Na wiadukcie kolejowym zatrzymał się jakiś pociąg i tkwił tak na słońcu, a jego pasażerowie powoli się gotowali. Donovan i Traynor obserwowali ich beznamiętnie. Obaj bywali w gorszych opałach.

– No to gdzie są zwłoki? – spytał Traynor. – Monteitha? Zostawiłeś je w furgonetce?

– Nie, wyrzuciłem je pod Anna Livia Plurabelle's. Byłeś tam? To ponoć dobry lokal.

Traynor milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– Nie żartujesz. Prawda?

– Gdybym go zostawił w furgonetce, mogliby to załatwić tak, jakby nic nigdy się nie stało. Po prostu by zniknął. Albo miałby zawał w łóżku. W ten sposób nie będą mogli tego zatuszować, a przynajmniej nie tak łatwo. A więc będą musieli grać w naszą grę.

– Nawiązałeś kontakt?

– Tak, z Dame Ingrid Tearney. – Donovan przystanął i spojrzał w niebo. – Co za cholerna pogoda. Ten skwar. To nienaturalne.

– W tych okolicznościach nieźle pasuje, nie uważasz?

– Słuszna uwaga.

Ruszyli dalej.

– I co powiedziała? – spytał Traynor.

– Żebyśmy wykorzystali ekipę ze Slough House, zespół Standish. Właśnie stąd wiem, że to nieoficjalne. A Slough House to miejsce, gdzie wysyłają nieudaczników.

– To mi dodaje otuchy.

– Przecież ich do niczego nie potrzebujemy. Zabiorą nas tam, gdzie będziemy chcieli być. Dostaniemy to, o co nam chodzi, i znikniemy.

– Czyli po zmroku.

Donovan kiwnął głową.

– No to teraz czekamy – stwierdził Traynor.

– Wolałbyś być pod ostrzałem, co?

– Żebyś wiedział.

I dwaj mężczyźni, którzy razem chronili się za murami, gdy kule uderzały w cegły, wybuchli śmiechem, który poniósł ich przez resztę drogi na drugą stronę Tamizy.

Lamb rzucił marynarkę na wieszak, nie trafił.

– Powieście to gdzieś – poinstruował, nie zwracając się do nikogo konkretnego, i wysunął krzesło stojące obok drugiego biurka w tym pokoju, tego, na którym Ho zbierał pudełka po programach komputerowych i poplamione tłuszczem kartony po pizzy. Opadając na krzesło, zmiotł je wszystkie na podłogę. – Teraz lepiej. Słuchajcie! Byłbym gotów przysiąc, że wszyscy macie jakąś robotę.

– Mówiłem im, żeby wrócili do siebie – zaczął Ho – ale...

– Tak, jasne. Zamknij się. – Lamb splótł ręce na brzuchu. Z wielkiego świata wniósł do biura smród tytoniu i potu i wydawał się z tego zadowolony. – No dobra. Czemu się wszyscy tak przyglądamy?

– Znaleźliśmy faceta, który porwał Catherine – odparła Louisa.

– Sylvester Monteith – wtrącił się Lamb. – Dawny koleżka Petera Judda, a obecnie plama na chodniku. – Z wyćwiczonym, szyderczym uśmiechem obserwował ich zdumienie. – Co, chcieliście mnie zaskoczyć?

– Judd jest w to zamieszany, prawda?

– O rany! – stwierdził z podziwem Lamb. – Myślałem, że pieprzysz się co wieczór, żeby wyłączyć mózg, a okazuje się, że on wciąż działa.

Ho ze zdziwieniem spojrział na Louise.

Shirley stłumiła chichot.

– A co z tobą, Cartwright? – spytał Lamb. – Dobrze się dzisiaj bawisz?

– Jak na razie... niezupełnie.

– Założę się. Próbowalesz się włamać do Regent's Park? Jesteś agentem tajnych służb, a nie harcerzem. Powinieneś się już w tym zorientować.

– Monteith mi to przysłał.

Pokazał Lambowi komórkę. W oczach Lamba coś przemknęło i zaraz znikło. Wykrzywił usta.

– Według ciebie wygląda na wystraszoną?

– Dokładnie to samo mówiłam – oświadczyła Shirley.

– Tak. I kiedy więziesz kobietę, na pewno robisz to jak należy. – Lamb odrzucił Riverowi telefon. – Ekipa Monteitha była tiger teamem. Wynajętym przez Judda. A ty, debilu, tańczyłeś dokładnie, jak ci zagrano.

– No to kto go zabił? – spytał Marcus.

– Tak to już jest z tygrysami, co? Niektóre z nich okazują się prawdziwe.

– Kogo testowali? – spytał River. – Nas czy Regent's Park?

Lamb gapił się na niego przez całą minutę albo tak się przynajmniej wydawało, a potem wybuchnął śmiechem. Ponieważ był Lambem, objęło to całe jego ciało: trząśł się, a rechot wypełnił pokój. Z odrzuconą do tyłu głową wyglądał jak złośliwy klaun. W miejscu, gdzie brakowało mu guzika koszuli, mignął owłosiony kawałek brzucha.

– Na rany Chrystusa – powiedział w końcu. – Wybacz, ale to jest takie, kurwa, zabawne. Nas czy Regent's Park? I co dalej, zamarzy ci się licencja na zabijanie? – Wytrzeł oczy rękawem i jego wesołość gdzieś znikła. – Naprawdę myślisz, że Judd chciałby przetestować, jak skuteczne czy bezpieczne jest Slough House? Chce, żeby całe to miejsce wyjechało w kontenerze na gruz, a kiedy mówię „to miejsce”, mam na myśli też was, wy błazny.

– Ale najwyraźniej jego plan nie wypalił – odezwał się Marcus.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – zgodził się z nim Lamb. – Jego stary kumpel Monteith wkrótce zmieni się w kompost, ale wy, szczęściarze, wciąż żyjecie i jesteście w grze. Bo wiecie co? Teraz, kiedy tygrysy zjadły swojego właściciela, mają zupełnie inne plany

i okazuje się, że te plany uwzględniają was. Slough House właśnie się uaktywniło. I was czworo też.

– Jest nas tu pięcioro – zauważył Ho.

– Och, to ty też tu jesteś? Idź wstawić czajnik. Grzeczny chłopiec. Strasznie mi zaschło w gardle.

Ho się zaśmiał.

Nikt do niego nie dołączył.

Ho niechętnie podźwignął się z krzesła i powłócząc nogami, poczłapał do kuchni.

– Uaktywniliśmy się? – zainteresował się Marcus.

– Słyszałeś kiedyś o aktach świrów? – spytał Lamb.

– Nazywają je Szarymi Księgami – powiedział River.

– Mogłem się domyślić, że będziesz to wiedział. Dziadek opowiadał ci o tym na dobranoc, co? No to mów. Kolej na ciebie.

– To akta MI5 dotyczące teorii spiskowych – wyjaśnił River. – 11 września, 7 lipca, zamach w Lockerby, broń masowego rażenia... Skrzynia skarbów dla paranoików.

– I nie zapominaj o najbardziej upiornym gównie – przypomniał mu Lamb.

– Racja – zgodził się River. – W Downing Street rządzą jaszczury, rodzina królewska to obcy, UFO regularnie przylatuje nas odwiedzać, a Związek Radziecki tak naprawdę nigdy się nie rozpadł i od osiemdziesiątego dziewiątego rządzi światem.

– I to są oficjalne akta? – spytał Marcus. – Serio?

– To przegląd wszystkiego, co jest w obiegu – odrzekł River. – Jeszcze w czasach wojny zauważono, że lepsza komunikacja nie tylko umożliwia szybszy przepływ informacji, ale prowadzi też do tego, że traci się kontrolę nad takimi bredniami. Pojawiła się plotka, że Churchill zginął w zamachu

i zastąpiono go sobowtórem; dzisiaj powiedzielibyśmy na to viral. I ta plotka miała zły wpływ na morale.

– Dezinformacja – stwierdziła Louisa.

– Tyle tylko że akurat to głównie ludzie sami sobie wymyślają – odparł River. – A dzięki internetowi to, co rano jest paranooidalnym wymysłem, po południu może już zmienić się w wierzenia sekty. W każdym razie MI5 przekonało się dawno temu, że kiedy ma się świadomość, w co ludzie są gotowi uwierzyć, łatwiej jest ukrywać niewygodne prawdy. Stąd Szare Księgi.

– Czyli niektóre z tych rzeczy są prawdą? – spytała Shirley.

– Jeśli będziesz rzucać lotkami do skutku, w końcu trafisz w tarczę – zastanawiała się na głos Louisa.

– Mhm – przytaknął River. – Gdybyś kilka lat temu zasugerowała, że zachodnie agencje wywiadowcze przeglądają prywatne e-maile obywateli, wyśmiano by cię.

– Czyli niektóre z tych teorii są prawdziwe – stwierdziła Shirley.

River wzruszył ramionami.

– Nawet jeśli coś jest kompletną bzdurą, dobrze jest wiedzieć, kto coś takiego kupuje. Bo ktoś taki może postanowić, że założy pas szahida i wysadzi w powietrze okoliczne centrum handlowe. A więc jeśli coś takiego istnieje, tajne służby to śledzą. Monitorują, gromadzą i przechowują.

– A ja myślałam, że to my mamy najgorszą robotę.

– Takie rzeczy zleca się najczęściej ludziom z zewnątrz. Istnieją osoby, które z radością spędzają całe życie na grzebaniu w internecie i studiowaniu porąbanych teorii. Służby mają kilku takich ludzi na stałe. To trochę tak, jakby mieli wyćwiczone żuki gnojowe.

– Nie brzmi to jak coś bezpiecznego – zaprotestował Marcus.

- Cóż, pewnie im się nie mówi, że robią to dla MI5.
- Ale pewnie tak właśnie myślą.
- Tylko kto posłucha dwudziestoczekaratowego nerda?
- O wilku mowa – rzucił Lamb.

Ho przystanął w drzwiach z kubkiem w ręce.

- Co?
- Mniejsza z tym.

Lamb wziął od niego kubek z herbatą i postawił go na pudełku po jakimś programie, które jeszcze zostało się na biurku. Ho stłumił chęć, by zaprotestować, i wrócił na swoje miejsce.

– No to teraz już wiecie. Akta teorii spiskowych, lektura na dobranoc dla nastoletnich chłopców i dziewczyc w średnim wieku. Dzięki Bogu, że wygraliśmy zimną wojnę, co?

– A co to wszystko ma wspólnego z nami? – spytała Louisa.

– Właśnie tego chcą. Ten tak zwany tiger team Monteitha. – Lamb podrapał się pod pachą, po czym wsunął sobie rękę pod pośladek. – Chcą dostać akta świrów, a wy im w tym pomożecie.

– Dlaczego my? – spytał River.

– Cóż, ustaliliśmy, że są skończonymi kretynami – rzekł Lamb. – Kogo innego mieliby wybrać?

– A gdzie są przechowywane te akta? – spytał Marcus.

– Tak się cieszę, że o to pytasz. – Lamb uniósł się na kilka centymetrów z krzesła i nad nim zawisł. Przygotowali się. A potem pokręcił głową i z powrotem opadł na siedzenie. – Nic z tego – powiedział. A potem dodał: – No właśnie, gdzie są te akta? Dowiedzcie się tego, dobrze?

– Ho nie może tego zrobić?

– Nie zmieniaj wersji. Czy dziś rano nie nazwałś go przypadkiem bezużytecznym cymbałem? – Spojrzał na Ho. – To jego słowa, nie moje.

Ho z wdzięcznością pokiwał głową.

– „Ciul”, powiedziałem mu. Jesteś bezużytecznym ciulem. – Obejrzał się na Marcusa. – Wciąż tu jesteś? – Teraz wskazał palcem na Shirley. – A ty idź dotrzymać mu towarzystwa czy co tam tutaj robisz. – Potem wymierzył palec w Rivera. – A co do ciebie...

– Ho nie może tego zrobić? – spytał River.

– Ho, Ho, Ho – odparł Lamb. – Jak w getcie świętego Mikołaja.

– Chyba w grocie.

– Niech będzie. A co do ciebie, i ciebie też – to dotyczyło Louisy – idźcie się dowiedzieć, kto stoi za tym tiger teamem. To z nim mamy do czynienia. Wszystko jasne?

A potem bez ostrzeżenia dało się słyszeć monstrualne pierdnięcie.

– O, jak dobrze. Już się martwiłem, że się zatkało. No dalej, spierdalajcie. Punktualnie o piątej macie wrócić z odpowiedziami.

Ostatni dodatek do atmosfery sprawił, że z radością opuścili pokój, ale Lamb z powrotem przywołał do siebie Louise.

– W zeszłym roku robiłaś analizę aktywności w internecie, zgadza się? Szwendałaś się po jakichś salonach...

– Po chatroomach.

– Nieważne. Kiedy już się dowiesz, kim jest nasz pan X, sprawdź, czy znajdziesz jego ślady w którymś z prawdopodobnych miejsc. Banany rosną w kiściach, więc może on też szukał towarzystwa. Chce dostać akta świrów. Dobrze by było się dowiedzieć dlaczego.

– Zdajesz sobie sprawę, że bez względu na to, kim jest, pewnie nie używa w sieci swojego nazwiska?

– To jakiś problem?

– Cóż, to trochę jak szukać samochodu, nie znając marki, koloru ani numerów rejestracyjnych.

– Bez wyzwania nie ma rozwoju.

Louisa gapiła się na niego.

Lamb wzruszył ramionami.

– Dostaję e-maile z działu kadr. Takie gówno wpada człowiekowi w ucho.

– Jak głęboko siedzi w tym Regent's Park?

– A co to za różnica?

– Zawsze kiedy wplątują nas w jakąś intrygę Diany Taverner, ktoś obrywa.

– Mam nadzieję, że nie kwestionujesz mojej decyzji.

– To tylko moja opinia.

– Cóż, wiesz, jak to się mówi – odparł Lamb. – Opinie są jak dupy. – Pokazał pożółkłe zęby. – A twoja śmierdzi.

Kiedy Louisa wyszła, zwrócił się do Ho, który z obrażoną miną wpatrywał się w swoje monitory.

– Jesteś gotów dla odmiany zająć się prawdziwą robotą?

– Chyba...

– Dobra komputerowa małpka.

Lamb wytłumaczył Ho, czego od niego chce.

To przez ten upał. Przez upał i butelkę, ale głównie przez upał.

Ale też głównie przez butelkę.

Catherine odczuwała głód, ale nie była w stanie jeść, bo jedzenie zaburzyłoby spójność tacy. Gdyby zjadła kanapkę, jabłko lub herbatniki albo napiła się wody, musiałyby się skupić na winie, więc najlepiej było zostawić wszystko tak, jak jest, pozwalając, by wino wtopiło się w tło. Jeśli nadal nie będzie go zauważać, zagrożenie zostanie zneutralizowane. Wino nie będzie niebezpieczne.

Jakiś czas temu zrobiła sobie kąpiel – co to za porwanie, podczas którego podają ci drinki i zapewniają pokój z łazienką? – ale to przywołało niechciane obrazy, ponieważ właśnie w wannie znalazła zwłoki Charlesa Partnera. Strzał w skroń nie wyglądał tak ładnie, jak mogłyby sugerować słowa; zawartość głowy nie wyglądała porządnie, gdy znalazła się poza nią. Catherine wypuściła wodę i ubrana w samą halkę wróciła do pokoju, gdzie malutka buteleczka wina czekała na nią jak granat.

Partner czasami nazywał ją Moneypenny – bardzo bezpośrednie, czułe określenie. Kiedy popełnił samobójstwo, nie piła już od jakiegoś czasu i od tamtej pory pozostawała trzeźwa. A więc dlaczego teraz przeszkadzało jej to wino?

„Żaden dzień w trzeźwości nie jest zmarnowany”.

Znajoma myśl – to była mantra na dobranoc, modlitwa na koniec dnia. Żaden dzień w trzeźwości nie jest zmarnowany, co oznaczało, że bez względu na to, co zrobiła lub czego nie zrobiła w danym dniu, w błękitnej godzinie zawsze mogła przypominać sobie to osiągnięcie. Każdy dzień w trzeźwości był dla niej kolejnym takim dniem, ale nie liczyła ich, tak jak to robi wielu dochodzących do siebie alkoholików. Nie było takiej potrzeby: każdy pojedynczy dzień był jedynym wartym policzenia, ponieważ żyła terażniejszością.

Teraz przyszło jej jednak do głowy, że jej mantra ma też inny aspekt. Skoro żaden dzień w trzeźwości nie jest zmarnowany, to nikt nie może jej takiego dnia odebrać. Nawet gdyby dziś się potknęła, całkowita liczba dni pozostałaby taka sama. Po prostu nie dodałaby do niej kolejnego dnia. To jak z pieniędzmi w banku. Jeśli nie dostało się jednej wpłaty, nie znaczyło to, że suma na koncie zmalała.

Wróciła do łazienki i ochlapała sobie twarz. Może powinna zjeść jabłko, napić się wody. Wino pozostałoby zakamuflowane przez kanapkę i co tam

jeszcze było, chyba herbatniki... Jacy porywacze kupują herbatniki? To jakiś absurd. Mogłaby zmieszać wino z wodą; ledwie by zauważyła, że je pije. Jakby brała lekarstwo. A potem by go nie było i nie musiałaby już o nim myśleć.

Nie było lustra, przed którym mogłaby się przekonać, że to kiepski pomysł. Spojrzeć sobie w oczy i zapytać, co właściwie wyrabia.

A poza tym ten etap miała już za sobą. Wiedziała, że żaden alkoholik nigdy nie ma za sobą tego etapu, ale w komfortowej przestrzeni własnych myśli pozwoliła sobie na to, by wierzyć, że w jej przypadku jest inaczej – tak samo jak jej koledzy pozwalali sobie na wiarę, że ich kariera może jeszcze ożyć. Ponieważ nie chodziło w tym o to, że naprawdę w coś się wierzyło; wiara była po prostu jak półka, na której można odkładać nadzieję. Na swoją obronę musiała jednak przyznać, że przeszła każdą próbę, jakiej się poddała i jakiej ją poddano. Jackson Lamb przez jakiś czas miał w zwyczaju nalewać jej szklaneczkę whisky, kiedy wieczorem siedzieli w jego gabinecie. Jeszcze nigdy nie uległa, ale zastanawiała się, jak by wtedy zareagował. Myślała, że wyrwałby jej szklanę. A może tylko miała nadzieję, że to zrobi. Podejrzewała jednak, że dobrze się bawił, testując granice instynktu przetrwania u innych ludzi, pewnie dlatego, że jego własny instynkt przetrwania też przez wiele lat był intensywnie poddawany próbom. Nigdy nie słyszała, by mówił o tym, jaką to przybrało formę – kiedyś myślała o Lambie, że gdy zburzono mur berliński, on zbudował sobie własny i od tego czasu za nim żył. Trudno zrozumieć drugiego człowieka, kiedy w ten sposób odetnie się od świata. A więc mogła mieć rację lub się mylić: możliwe, że Lamb kusił ją, bo chciał, żeby się złamała. Najważniejsza rzecz, o której powinna pamiętać, to że jeszcze tego nie zrobiła.

Poza tym pewnego wieczoru – miała na to spore szanse – skończy mu się alkohol i będzie musiał odebrać szklanę, którą dla niej nalał. To będzie świetne. A gdy już Lamb wypije to whisky, ona przyniesie butelkę, którą trzyma w szufladzie biurka, pod warunkiem że Lamb jeszcze jej nie znalazł i nie wypił. To też byłoby coś w rodzaju zwycięstwa. Choć oczywiście liczenie na zwycięstwo byłoby równoznaczne z przyznaniem się, że grała w tę grę.

Gdy wróciła do sypialni, buteleczka wina wciąż na nią czekała, uparcie tkwiąc na nietkniętej tacy i połyskując w słońcu.

W menu Anna Livia Plurabelle's znajdował się kawior i choć Judd powstrzymał się przed jego zamówieniem, teraz, gdy zamiótł pustą ławkę zrolowaną gazetą, przypomniał sobie artykuł, który czytał, a w którym opisywano, jak pozyskuje się ikrę. Jesiotry były dużymi rybami, jakieś metr dwadzieścia, i trzymano je w znacznie mniejszych zbiornikach. Kiedy przychodził właściwy czas, zabijano je ręcznie, co najwyraźniej gwarantowało jak najmniejsze uszkodzenia ikry. Ze względu na rozmiary ryb ci, którzy je zabijali, zwykle byli muskularnymi typami ze skłonnością do przemocy. Cała ta wiedza wywoływała obraz, jakiego nie sposób zapomnieć: napakowane osiłki z zakasanyimi rękawami okładające ryby, by zatłuc je na śmierć. Szalona przemoc w kuchni bogatych.

Celem artykułu było wywołanie szoku, ale Judd był co najwyżej lekko zaskoczony. To przecież żadna nowość, że przysmaki dla rozpieszczanych uzyskuje się brutalnymi metodami. Według wszelkich cywilizowanych standardów to właśnie powinno być miarą luksusu – bogactwo nic nie znaczyło, jeśli nie wynikało z czyjegoś cierpienia. Standardowe narzekanie liberałów, że bogaci są chronieni przed twardymi realiami życia, wynikało ze śmiechu wartej ignorancji; to bogaci tworzyli te realia i dbali o to, by je podtrzymywać. Właśnie do tego służyły kuchnie, a także więzienia, fabryki i publiczne środki transportu.

W związku z tym bogaci, co dla niego oznaczało mających władzę, nie przejmowali się brudną przemocą – to było dla nich ceną robienia interesów. Tak więc Peter Judd nie marnował czasu na opłakiwanie kolegi

ze szkolnych czasów. Tradycyjna prasa, podążająca o krok za Twitterem, bez wątpienia zbierała teraz wątki tej historii i wkrótce zostanie poproszony o komentarz; nie ma sensu zaprzeczać, że w tym, iż stary kumpel ministra spraw wewnętrznych padł ofiarą brutalnej przemocy, kryje się smakowita ironia. Judd nigdy jednak nie miał problemu z udawaniem złości czy wyrzutów sumienia – „potworne barbarzyństwo, którego sprawcy, jestem tego pewien, odczują z pełną mocą działanie brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości” – więc nie peszyła go ta perspektywa i wiedział, że śmierć Slya nie będzie spędzać mu snu z powiek. Ludzie umierali. Tak się zdarzało. Teraz dla Judda ważniejsze było to, jak wpadka Monteitha wpłynie na jego własne plany.

Uznał, że ławka jest już w miarę czysta, i usiadł na niej. Stała w cieniu drzew na otoczonym barierką skwerze w pobliżu Praed Street, niedaleko Paddington i poza granicami lepszej części miasta. Po obu stronach znajdowały się hotele przeznaczone dla biedniejszych zagranicznych turystów i biznesmenów spoza Londynu, po których raczej nie należy się spodziewać, że pojawią się w takim miejscu wczesnym popołudniem. Dzięki temu był to dobry punkt na jednorazowe spotkanie i czekając na nie, Judd przewertował egzemplarz „Standardu”. Jak zwykle pisano o nim, i to była dobra wiadomość – w dniu, w którym szmatławce zaczną go ignorować, będzie wiedział, że jego kariera dobiegła końca. Nie miało znaczenia, co właściwie o nim pisali. Dopóki w artykule było zdjęcie, wszystko układało się świetnie.

Usłyszał stukanie obcasów na ścieżce na całą minutę przed jej pojawieniem się.

Znów zrolował gazetę i dotknął nią miejsca obok siebie.

– Jest w miarę czysta – powiedział. A potem dodał: – Mam na myśli ławkę, a nie ten szmatławiec.

– Raczej postoję.

– Naprawdę? Tak pani woli? Cóż, jak to miło z pani strony. – Jego ton zmienił się gwałtownie i teraz nie był przyjemny. – Ale kiedy mówię siadaj, masz siadać.

Diana Taverner usiadła.

Sean Patrick Donovan.

Takie nazwisko znalazł River. Niedawno zrekrutowany do Czarnej Strzały, zatrudniony jako główny specjalista do spraw operacji strategicznych – odpowiednio pseudomilitarny tytuł, typowy dla tej branży. River bez problemu potrafił sobie wyobrazić, że taka ekipa składa się z weteranów ochotniczej służby obrony kraju – takich, którym nie udało się dostać pracy strażnika więziennego – i z byłych członków straży miejskiej. Pewnie był to niesprawiedliwy obraz, ale bolało go prawie wszystko; ciosy Nicka Duffy’ego rozchodziły się po ciele niemal jak w kreskówce, więc człowiek cały czuł się pobity i obolały. River mocniej ścisnął myszkę, ale musiał odsunąć od siebie myśli o zemście i skupić się na bieżącym zadaniu, czyli na Seanie Patricku Donovanie.

Nietrudno było dotrzeć do tego nazwiska: Sly Monteith ogłosił je w komunikacie dla branżowej prasy już w lutym – „z radością informuję”, „imponujące doświadczenie w siłach zbrojnych” i tak dalej, i tak dalej. Krótkie wyszukiwanie w sieci ujawniło, że „imponujące doświadczenie” Donovaną obejmowało odsiadkę w wojskowym więzieniu, a następnie karne zwolnienie, co nie było już tak szczegółowo opisywane. Było też zdjęcie, Donovan i inny przyjęty kandydat, Benjamin Traynor, po obu stronach swego nowego szefa; kieliszek z szampanem pośrodku, dwa kufle piwa po bokach. Żaden z nich się nie uśmiechał, ale poczucie wyższości na twarzy Monteitha rekompensowało to z nawiązką. Patrzcie tylko na moje

tańczące niedźwiedzie, pomyślał River. Cóż, ten paskudny uśmieszek zmieciono mu z twarzy raz na zawsze.

Były żołnierz, wysoka ranga; ciężkie przejścia. River uznał, że to pasuje na wielu płaszczyznach: może i istnieli inni podejrzani, ale na początek ten wystarczy. Skrzywił się, gdy znów przeszył go ból. Zaciskał zęby, dopóki mu nie przeszło, a potem wysłał e-mailem znalezione informacje do pozostałych kulawych koni znajdujących się kilka metrów od niego.

Dawno minęła ta chwila, gdy Marcus Longridge mruknął coś o tym, że idzie po lunch, i wymknął się z budynku, udając, że nie słyszy reakcji Shirley Dander, która zażyczyła sobie bagietki z kurczakiem. Na podwórzu śmierdziało gorzej niż zwykle; na ulicy było gorąco jak w piekle. W totalizatorze przy stacji metra wypełnił zakład na 15:20 w Towcester, który wcześniej gruntownie sprawdził, udając, że pracuje. Stał, czekając, i patrzył ze złością na tę pieprzoną blaszaną szafę, ruletkę automatyczną. Wyglądała trochę jak żywa, z oczami demona i zębami wyszczerzonymi w uśmiechu... Pochłonięty nią Marcus zapomniał o śledzeniu wyścigu i podniósł wzrok w ostatniej chwili, by zobaczyć końcówkę. To było tak, jakby bez ostrzeżenia przywaliła mu supermodelka: piękna chwila niemal granicząca z bólem. Sto sześćdziesiąt funtów trafiło prosto do kieszeni jego spodni. Wspaniały zwrot z zainwestowanych dwudziestu funciaków.

Odebrał wygraną i kierując się do wyjścia, poklepał maszynę z ruletką, żeby ją jeszcze bardziej pognębić.

Marcus mógłby i powinien wrócić prosto do Slough House, ale unosił się na fali sukcesu. To był ten punkt zwrotny, na który czekał. A po drugiej stronie ulicy stał rząd miejskich rowerów... A co tam, do diabła, pomyślał. Tak będzie szybciej niż metrem. Wyjął kartę kredytową z dopiero co zasilonego portfela i wyciągnął jeden z rowerów ze stojaka. Regent's Park, nadchodzę.

Louisa Gay wsunęła kosmyk włosów za ucho i szybko powachlowała się bluzką. Na chwilę nieproszone powróciło wspomnienie wysoku z ubiegłego wieczoru; to było w kawalerce w najgorszym znaczeniu tego słowa, z niezmienianą od miesięcy pościelą i brudnymi naczyniami w zlewie, ale mimo wszystko – seks był gorący i pełen entuzjazmu i zapewnił jej trzy godziny zapomnienia, bez żadnych snów. Wzruszyła ramionami, postanawiając, że nie będzie myśleć o kpinach Lamba.

„Myślałem, że pieprzysz się co wieczór, żeby wyłączyć mózg, a okazuje się, że on wciąż działa”.

I faktycznie działał, ale szczerze mówiąc, nie potrzebowała mózgu do zadania, które przydzielił jej Lamb. Potrzebowała natomiast ślepej wiary i piekielnie dużo szczęścia.

Roderick Ho nie cierpiał Google’a, Yahoo, Binga i wszystkich innych popularnych wyszukiwarek: twierdził, że przeszukiwały niecałe pięćdziesiątych procent treści dostępnych w internecie, i oświadczył, że prędzej zjadłby wegańską pizzę, niż zaczął ich używać. A ponieważ Louisa prędzej upiekłaby mu taką pizzę, niż zapytałaby go, jak poruszać się po dark webie, tylko takie przeglądarki jej pozostawały. Bo co innego miałyby robić? Jeśli domysły Cartwrighta były słuszne, jej celem był Sean Patrick Donovan. Zamknęła wszystkie inne programy, licząc na to, że dzięki temu jej prastara maszyna trochę przyśpieszy, i zabrała się do pracy.

Wiedziała, że zwolennicy teorii spiskowych z definicji byli paranoikami i zwykle mieli ku temu dobre powody – faktycznie byli obserwowani, głównie dlatego, że stali na odwróconym do góry dnem wiadrze i perorowali do bezmyślnych ludzi o swoich porąbanych urojeniach. W ubiegłym roku przez wiele miesięcy monitorowała fora internetowe, szukając oznak działalności terrorystycznej, i choć nigdy do końca nie udało jej się pozbyć podejrzenia, że wszyscy pozostali piszący tam posty są

tajniakami, przyzwyczała się do podsłuchiwania rozmów zwolenników teorii spiskowych na najróżniejsze tematy, począwszy od tego, jak rząd kontroluje pogodę, aż po eksperymenty myślowe przeprowadzane na każdym, kto dzwonił na linię informacyjną urzędu skarbowego. I wszyscy ci filozofowie bez wyjątku byli przekonani, że są przedmiotem inwigilacji, zaś każde ich działanie w sieci czy wpisy na czacie są rejestrowane i przechowywane do użytku w przyszłości. Fakt, że to prawdopodobnie prawda, był oczywiście nieistotny; po prostu złapali się w tę samą sieć co wszyscy inni. Louisa nigdy nie doprowadziła do aresztowania terrorysty; ani razu nie powstrzymała zamachu. Czytała oczywiście mnóstwo dyskusji o 11 września, ale rzucał się w nich w oczy brak wpisów inżynierów budowlanych. I choć to z linią informacyjną skarbowki też pewnie było prawdą, tak po prostu działały zasady rachunku prawdopodobieństwa.

A tak à propos paranoi – skąd Lamb wiedział, co robiła poza pracą?

Nieważne. Znów tylko zasady rachunku prawdopodobieństwa. A tak w ogóle pieprzyć go.

Chodziło o to, że płaszczem paranoika była anonimowość – w ciągu tych miesięcy, gdy poruszała się po takich forach, Louisa nie natknęła się na nic, co przypominałoby choćby prawdziwe nazwisko. Donovan mógł dawać upust swojej frustracji trzy razy dziennie na najróżniejszych stronach i jeśli używał nicka SpaceRanger69, ona nigdy się o tym nie dowie. No ale Lamb przemówił. I tym się teraz zajmowała.

– Dotarłaś do czegoś?

Jezu! Jak on to robił?

Zapanowała nad sobą, by się nie wzdrygnąć, i odparła:

– Daj mi spokój. Zajmuję się tym od pięciu minut.

– Hmm. – Lamb wszedł do pokoju, podejrzliwie węsząc. – Czemu tu śmierdzi serem?

– Nie śmierdzi. Czym kazałeś się zająć Ho?

– Czemu pytasz?

– Bo lepiej byś na tym wyszedł, gdyby to on robił to co ja.

– W takim razie szkoda, że jest zajęty. – Lamb wyjrzał przez okno na przejeżdżający autobus, a potem oparł pośladki o parapet.

– Będziesz mnie tak obserwował przez całe popołudnie?

– A tyle ci to zajmie?

– Nawet nie wiemy na pewno, czy to Donovana szukamy.

– Nie. Ale byłoby głupio, gdybyśmy go zignorowali i gdyby się okazało, że to on porwał Catherine.

– Nad czym pracuje Ho?

– To wykracza poza twoje kwalifikacje.

– A właśnie. – Louisa znalazła na biurku paragon. – Opłata za przejazd taksówką dziś rano.

– Cóż, pewnie będziesz musiała trochę poczekać. Ostatnio suszą mi głowę z powodu waszych wydatków. – Lamb wstał.

– To wszystko, co się dzieje? – spytała. – Czy jest jeszcze coś, o czym nie wiemy?

– Myślę, że najbezpieczniej jest zakładać, że zawsze dzieje się coś, o czym nie wiecie – odparł.

Był już prawie za drzwiami, gdy Louisa powiedziała:

– Catherine.

– Co z nią?

– Nic. Nazwałeś ją Catherine, to wszystko.

– Hmm.

Louisa powróciła do swojego niemożliwego zadania. Pięć minut później już je rozwiązała.

„Zrób coś”, powiedział mu Longridge. „Chcesz pozostawić jakiś ślad, chcesz imponować ludziom, to coś zrób”.

No i proszę, coś robił.

„Byle to nie było ślęczenie przed monitorem i przeżuwanie”... danych.

Cóż, zajmował się właśnie przeżuwaniem danych, ale mimo wszystko – właśnie tego wymagała chwila.

Roderick Ho przerwał pracę, żeby dopić resztkę red bulla, a potem wrzucił pustą puszkę do kosza na papiery. Pięknie do niego wpadła, potwierdzając to, co już wiedział: że był supergwiazdą.

Przeżuwanie danych, powiedział Longridge. Jakby to było coś, co może robić każdy.

Na Czarną Strzałę zarejestrowane były trzy nieruchomości, a pośród nich mieszkanie w Knightsbridge, ewidentnie przeznaczone na własny użytek Sylvestra Monteitha, choć teraz chyba już raczej z niego nie skorzysta. Jego następne lokum będzie mniej więcej rozmiarów lodówki. Pozostałe dwie nieruchomości były większe, funkcjonalne. Google Earth pokazało Ho, że obie znajdowały się na terenach przemysłowych, jedna na obrzeżach Swindon, zaś druga w Stratford, na wschód od Londynu. W dniu, w którym wykonano zdjęcia, przy pierwszej zaparkowano siedem furgonetek, przy drugiej – trzy. Były to czarne, solidnie wyglądające wozy, w tylnej części miały panele z logo firmy – czarną strzałą w żółtym okręgu – zamiast szyb. Prezentowały się znacznie solidniej niż budynki z prefabrykatów, przy których stały. Monteith kumplował się z ministrami, ale jego biznes nie wyglądał zbyt solidnie. Ho wydrukował zrzuty ekranu, zostawił je na tacce i skupił się na życiu osobistym Monteitha.

Wszystkie rzeczy trzymane za firewallem – konta bankowe i szczegóły kredytów hipotecznych, koszyki zakupowe, skrzynki e-mailowe, strony porno, wpłaty na ubezpieczenia – były jak owoce wiszące na niskich

gałęziach. Hasła stworzono do tego, żeby je przechwytywać, i podstawowy algorytm do rozwiązywania krzyżówek potrafił obnażyć sekrety czyjegoś życia w czasie, jaki zabiera podgrzanie w mikrofalówce resztek pizzy z lunchu. A więc to właśnie robił Ho, gdy jego program rozszarpujący na strzępy prywatność przetwarzał liczby dotyczące wszystkiego, czego Sylvester Monteith już nie używał. Począwszy od tego, gdzie trzymał pieniądze, a skończywszy na tym, na co je wydawał. To była pizza cztery pory roku. Życie Monteitha ukazało się przed Ho niczym otwarta księga. Miał żonę, dzieci i firmę; wyjeżdżał na wakacje, utrzymywał kochankę. Ustalenie, ile kosztowała go każda z tych rzeczy, było jedynie kwestią przeanalizowania wyciągów z kart kredytowych. Przeżuwanie... danych – tak, dokładnie. To było coś, czym się właśnie teraz zajmował.

A kiedy to robił, myślał o tym, co powiedział Lamb. Że Louisa pieprzy się co wieczór, żeby wyłączyć sobie mózg. To było okrutne. Louisa w tej chwili nikogo nie miała. Gdyby z kimś się spotykała, opowiadałaby o tym; Ho nauczył się tego nie tylko od mamy-internetu, ale słuchając, co mówią kobiety – w metrze, w autobusach, w barach, na ulicach. Oczywiście tak naprawdę nie zwracały się do Ho, ale miał uszy, a fakty to fakty: te, które miały facetów, ciągle o tym gadały. Nie, Lamb grubo się mylił, ale Ho musiał przyznać, że myśl o Louisie pieprzającej się, żeby wyłączyć mózg, była czymś, do czego wróci później, po powrocie do domu.

Tymczasem dobierał się do twardych danych.

Na jednym z firmowych kont Czarnej Strzały znalazł odniesienie do „wł. tymcz.” – pokaźnej wpłaty dwa miesiące wcześniej, i kolejnej, opiewającej na połowę tej sumy, w tym samym dniu następnego miesiąca. Ho wywnioskował, że to depozyt i opłata za wynajem. Własność tymczasowa. Istniało wiele powodów, dla których firma ochroniarska mogłaby chcieć tymczasowo posiadać nieruchomość, zwłaszcza – to

okazało się kilka ruchów później, znów w Google Earth – położoną na wsi, trochę na północ od High Wycombe; trzypiętrowy budynek z kilkoma zabudowaniami przypominającymi stodoły i do tego na samym środku podwórza z czymś, co wyglądało jak dwupoziomowy londyński autobus, i istotnie nim było.

Ho znów kliknął „drukuj” i tym razem sięgnął po wydruki.

Niedaleko Regent's Park znajdowała się niedawno wyremontowana pływalnia. Na fasadzie widniał rząd wielkich zdjęć: pluskające się dzieci, jakiś staruszek w okularach do pływania, w których wyglądał jak poeta z czasów beatników, matka trzymająca na rękach zachwycone dziecko. Wszystko to wyglądało bardzo pozytywnie. Na tyłach znajdowały się obite metalem ogniotrwałe drzwi oznaczone tabliczką „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Marcus machnął identyfikatorem z MI5 przy najwyżej umieszczonym ćwieku. Po krótkiej chwili drzwi cicho zaszumiały, kliknęły, a następnie się otworzyły.

Wszedł do środka. Technicznie rzecz biorąc, podobnie jak inne kulawe konie, nie powinien tu być, miał jednak tę przewagę nad resztą ekipy ze Slough House, że kiedyś wywazał drzwi kopniakami i mierzył z broni do niegrzecznych chłopców. Takie punkty w CV imponowały ludziom pilnującym wyjść w budynkach MI5. Ten konkretny powitał Marcusa skomplikowanym uściskiem dłoni oraz szerokim uśmiechem i pozwolił mu wpisać się do rejestru takimi samymi, ledwie czytelnymi gryzmołami jak zwykle jako Jackson Lamb.

Strzelnica znajdowała się siedem poziomów pod ziemią, poniżej pływalni, siłowni i przebieralni. Schodząc na dół, Marcus czuł się nabuzowany. Pieniądze w kieszeni; ciało rozgrzane jazdą na rowerze – miał przepoconą koszulę, ale czuł się dobrze, a jego mięśnie poruszały się rytmicznie i z łatwością. Przeskakiwał po trzy stopnie naraz, ciesząc się na

każdym kolejnym piętrze narastającym poczuciem oddzielenia. Na świecie można spędzić za dużo czasu. Co jakiś czas warto się wymeldować, a jeśli można to zrobić gdzieś, gdzie jest ostra amunicja, to tym lepiej.

Na strzelnicy przywitał się serdecznie z innym starym towarzyszem i opowiedział dawną historię z bojowych czasów; z lodówki podkraść butelkę wody tylko dla personelu i wypił całą jednym haustem; potem wytarł wciąż spocony tors garścią papierowych ręczniczków. Następnie założył okulary ochronne, nasunął słuchawki na uszy, wypożyczył pistolet Heckler & Koch i wpakował dziesięć kul w tors sylwetki na tarczy odległej o dwadzieścia pięć metrów.

O tak, pomyślał. Wreszcie coś się zmieniło.

Odzyskał kontrolę.

– To się miało skończyć tak – powiedział Peter Judd – że mam w kieszeni jaja twojej szefowej. Ale teraz to ona mnie trzyma za jaja. Zechciałabyś wyjaśnić, jak do tego doszło?

– Wiem tyle co ty – odparła Taverner. – Sean Donovan... cóż mogę powiedzieć. Wyłamał się.

To wzbudzało szacunek. Według informacji, jakie dotarły do Judda, Monteith doznał pojedynczego potężnego urazu głowy. Prawdopodobnie był martwy, zanim zdążył uderzyć o ziemię. Z pewnością był martwy, nim wyrzucono go z furgonetki w południowo-zachodnim Londynie. Tak czy inaczej, „wyłamanie się” było najtrafniejszym podsumowaniem tego procesu, na jakie Judd ostatnio natrafił.

– Jesteś pewna, że to był Donovan?

– Nie. Ale gdyby tego nie zrobił, już by się zgłosił. Musi wiedzieć, że jego szef został zamordowany.

Judd kiwnął głową i wydał usta.

– Słysza kręcili bohaterowie. Pewnie posikał się z radości, kiedy Donovan zaczął ubiegać się o pracę u niego. – Popukał gazetą w ławkę. – Kiedy podsunęłaś mi pomysł tego tiger teamu, wiedziałaś, że skorzystam z usług Monteitha.

– Zasugerowałam to właśnie dlatego, że miałeś kontakt w branży ochroniarskiej – odparła Diana Taverner. – Wiesz o tym.

– Wiem, że tak mi powiedziałaś. To bynajmniej nie to samo. Znałaś wtedy Donovana?

Potrząsnęła głową.

– Mam taką słabość. Jeśli chcesz, możesz to nazwać dziwactwem. Lubię, kiedy ludzie odpowiadają na pytania, używając słów. Wtedy wiem, czy kłamią.

Taverner spojrzała mu w oczy.

– Kiedy przyszedł mi do głowy plan z tiger teamem, nawet nie słyszałam o Seanie Donovaniu.

Judd przyglądał jej się bez słowa. Rzadko zdarzało mu się spędzić dłuższy czas z kobietą i nie próbować się do niej przystawiać – a w tych okolicznościach „dłuższy czas” mógł oznaczać wszystko powyżej minuty – ale umiał określać priorytety. Poza tym było to tylko odraczaniem tego, co nieuniknione, a przy obecnym rozwoju wydarzeń, kiedy już ją przeleci, będzie to miało charakter kary, co mu jak najbardziej odpowiadało. I jej też, jeśli właściwie odczytywał znaki. W końcu powiedział:

– Tearney twierdzi, że osoba, która się z nią skontaktowała, a zakładamy, że to Donovan, chce dostać Szare Księgi. Jest w nich coś, co może zaszkodzić?

– Bezpieczeństwu narodowemu?

– Mnie.

– O niczym takim mi nie wiadomo. Masz powody, by myśleć, że może tak być?

– Jeśli nie pojawia się w paranoidalnych fantazjach internetowych wojowników w kawalerkach, to nie wykonuję swojej roboty jak trzeba. A jeśli ktoś rzuca błotem, to na pewno cię pobrudzi. Jak myślisz, co zamierza zrobić z tymi bredniami, kiedy już je dostanie?

– Nie mam pojęcia.

– Ponoć pracujesz w wywiadzie. Zaryzykuj jakiś domysł.

– Mogę jedynie zakładać, że szuka potwierdzenia jakiejś swojej ulubionej teoryjki.

– I nie mamy pojęcia, jaka to może być teoryjka?

– Założyłabym, że coś związanego z wojskiem. Ale czy to ważne? Te informacje to śmieci. Równie dobrze Donovan może zbierać materiały do jakiegoś scenariusza.

– Lubię beztroskę, kiedy ona jest na miejscu. A to nie obejmuje sytuacji, kiedy mnie, kurwa, naraża szefowa własnego wywiadu.

Diana Taverner miała dość rozumu, by na to nie odpowiadać.

Judd dotarł do końca swojego ciągu myślowego. W końcu powiedział:

– Tearney pozwoli, by Donovanowi uszło to płazem, bo wtedy będzie miała mnie w garści. Z jej punktu widzenia mój plan nie wypalił i przyniósł efekt w postaci jednego trupa i wariata z pełnymi garściami sekretów MI5. Fakt, że równie dobrze można by je przerobić na papier toaletowy, nie ma żadnego znaczenia, bo prasa i tak się na to rzuci. A więc pozostaje mi tylko pocałować ją w dupę i udawać, że sprawia mi to przyjemność. – Pacnął w ławkę zrolowaną gazetą i dwa wystraszone gołębki zerwały się do lotu. – Chociaż jeśli Tearney się dowie, że ten tiger team był twoim pomysłem, będzie cię powoli obdzierać ze skóry, a resztą nakarmi pająki. Więc może

i trzyma mnie w garści, ale ja trzymam ciebie, Diano. A to oznacza, że moje interesy są twoimi. Ufam, że będziesz to miała na uwadze.

– Możesz na to liczyć – odparła.

Bez żadnego ostrzeżenia wyciągnął rękę i chwycił jej prawą pierś. Mocno ścisnął.

– Gdybym uznał, że to wszystko jest częścią jakiejś twojej gry, byłbym bardzo rozczarowany. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Spodziewał się strachu albo przynajmniej zaniepokojenia. Tym, czego się nie spodziewał, była jej ręka ściskająca go w kroczu.

– Jesteś pewien? – spytała. – Nie odnoszę wrażenia, żebyś był rozczarowany.

Wracające gołębie znów odleciały w popłochu, gdy Judd wybuchnął rehotliwym śmiechem.

Bagietka z kurczakiem. Nie prosiła o wiele.

Ale Marcusa nie było już od czterdziestu pięciu minut i wyglądało na to, że lunch będzie musiał pozostać biurowym marzeniem – jedną z tych krótkich chwil zadumy, kiedy to przypominasz sobie, jak to jest posilić się czymś porządnym. Przez kilka tygodni Shirley jadła na kolację to, co udało jej się znaleźć w lodówce. Na stojąco. Picie: jeśli chodzi o picie, to nie było źle – nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio nie piła alkoholu. Ale jeśli chodzi o jedzenie, coś konkretnego jadła zwykle w porze lunchu: jakąś kanapkę z baru za rogiem albo pełne danie na wynos. Jeśli Marcus wkrótce z czymś nie wróci, zemdleje z głodu.

W porządku, wcześniej wychodzili. Ale lody się nie liczyły.

Pieprzony Marcus. To on miał to robić; ona miała obserwować.

„Dowiedz się, gdzie są Szare Księgi”, powiedział Lamb, machając pulchną ręką, jakby od tego trudności miały się rozwiązać.

Jak gdyby miała jakieś tajne informacje o tym, gdzie MI5 przechowuje swoje gówno.

Shirley przez chwilę szperała w szufladzie biurka, aby wydobyć spod zasp wyciągów z karty kredytowej i ulotek o wieczorach z DJ-em używaną kopertę, na której bazgrała hasła. Intranet MI5 wyświetlał nijakie niebieskie tło z królewską pieczęcią. Kliknęła to, wprowadziła swój numer identyfikacyjny i hasło („prostowTWARZ”), a następnie przeszła do listy personelu z bezpośrednimi e-mailami i telefonami wewnętrznymi.

Na razie całkiem nieźle.

Stawiała przede wszystkim na Królowe Bazy Danych – one wiedziały wszystko i jeszcze więcej. Shirley nie była pewna, czy spędzają chwile przestoju, szukając w aktach personelu jakichś brudów, ale taka myśl nasuwała się sama. Niestety Królowe brały sobie do serca większość innych aspektów tego, że podpisały papiery określone jako ustawa o tajemnicy państwowej, co oznaczało, że nawet ta, z którą – jak wydawało się Shirley – miała całkiem nieźle relacje w czasach, gdy pracowały jeszcze w tym samym budynku, ta z wydatnymi kośćmi policzkowymi i brwiami tak cienkimi, że przy odpowiednim oświetleniu znikają, nie będzie gotowa podać jej czegoś tak podstawowego jak miejsce przechowywania informacji.

– Bardziej niż mój...

– Służbistka. No tak, wiem.

– Słodziak. Macie tam teraz pewnie gorąco? Słyszałam, że Slough House dosłownie śmierdzi rozczarowaniem.

Gdy Shirley kończyła połączenie, myślała o swoim hasle.

Poszła do kuchni w nadziei, że znajdzie coś w lodówce, ale zastała tam Rivera Cartwrighta, więc kradzież odpadała. Wyglądał, jakby wszystko go

bolało. Ale w sumie zajęły się nim psy – Shirley domyślała się, że to nigdy nie jest miłe doświadczenie.

– Jak daleko dotarłeś? – spytała go z autentycznym zainteresowaniem.

– Na poziom archiwów – odparł. Pił wodę ze szklanki; może sprawdzał, czy nigdzie nie przecieka.

– Tam, gdzie... jak jej było? Ten stary nietoperz na wózku.

– Molly Doran.

Shirley słyszała to nazwisko, choć nigdy jej nie spotkała. Molly Doran była kolejną z tych legend tajnych służb, o których szeptano; na jej temat pojawiło się sporo ekscytujących spekulacji. Shirley wróciła do komputera wciąż głodna, z chochlikiem szepczącym jej do ucha; miała w torbie działkę koki zbitą tak mocno, że wyglądała jak kawałek papieru. Nic tak nie pomaga na głód jak ścieżka koksu. Poza tym to by przyjemnie wyostrzyło jej zmysły, dało przewagę...

Ale Boże, nie. Nie. Raz czy dwa razy zdarzyło jej się zjawić w pracy z lekko szklistymi oczami; komu się coś takiego nie przytrafiło? Ale, na litość boską, nie zamierzała odjechać w przerwie na lunch. Upiła trochę z czystszej strony szklanki stojącej na biurku i poczuła, jak woda spływa do żołądka. To na razie wystarczy. Będzie musiało. Znalazła na liście personelu numer do Molly Doran i zadzwoniła.

Wracając z kuchni, River przystanął przy otwartych drzwiach Louisy, by popatrzeć, jak nieruchoma w skupieniu wpatruje się w monitor. W tych rzadkich chwilach, gdy ją widywał – gdy naprawdę ją widział, a nie tylko zdawał sobie sprawę z jej obecności – uderzało go, jak bardzo zmieniła wygląd od śmierci Mina: inna fryzura, inne ciuchy, jakby systematycznie kasowała osobę, którą kiedyś była. Gdyby lepiej ją znał, porozmawiałby z nią o tym. Ale to było Slough House.

Miał już iść dalej, gdy się odezwała, nie odrywając wzroku od monitora.

– To prawda, co mówił Lamb?

– Mało prawdopodobne. Która część?

– O tym, że odwiedzasz Webba. W szpitalu.

– Nie wiem, czy można by to nazwać odwiedzaniem – odparł River. –

Nie powinien być przytomny, żeby to tak określać?

– Ale chodzisz tam.

– Tak.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział.

– To przez niego trafiłeś do Slough House. A co więcej, to on był powodem całego tego zamieszania w zeszłym roku. Tego, co się stało z Minem. A ty przynosisz mu kwiaty?

Przy ostatnich słowach załamał jej się głos.

– Wiem to wszystko – odparł River. – Myślisz, że nie wiem? Jest sukinsynem wbijającym nóż w plecy, bez dwóch zdań. Czasem się zastanawiam, czy nie chodzę tam tylko po to, by zobaczyć, czy jeszcze żyje.

– To była puenta, a nie powód.

Teraz jest ta chwila, żeby odejść, pomyślał; wrócić do bezpiecznego pokoju. Mógłby opaść na krzesło, nafaszerować się aspiryną i liczyć na to, że go to uwolni od problemów, zanim będzie musiał zrobić coś energiczniejszego. Ale nie potrafił, dopóki nie chciała na niego spojrzeć. Zawsze uważał, że potrafi być dość trudna, co oznaczało, że nie pozwala sobie wciskać kitu. Uświadomił sobie, że to z kolei oznacza, że nie powinien próbować jej go wciskać.

– Nie... Tak, masz rację. To nie powód.

– Więc dlaczego to robisz?

– Mówię do niego. O tym. – „To” oznaczało Slough House. Oboje o tym wiedzieli. – O tym, jak to jest, dzień po dniu... O przepaści między tym, gdzie byliśmy, a tym, gdzie trafiliśmy. – Pozwolił, by te słowa zawisły na chwilę w powietrzu. Nie odpowiedziała. – Wątpię, czy mnie słyszy – podjął River. – Ale jeśli tak, dotrze to do niego. To znaczy, Jezu, nie uważasz, że ma przechlapane? Nie może nawet wyjrzeć przez okno.

W końcu oderwała wzrok od monitora i przez pełne ćwierć minuty patrzyła na niego w milczeniu.

– W każdym razie nie jest tak, że dodaję mu otuchy – powiedział w końcu. – Jeśli już, to w drugą stronę.

Nie był do końca pewny, czy to cała prawda, ale czuł, że bardziej się do niej nie zbliży.

– Masz jakieś leki przeciwbólowe? – spytała po chwili Louisa.

– Mam trochę aspiryny. Chcesz?

Pokręciła głową, sięgnęła do szuflady i rzuciła mu opakowanie.

– Spróbuj tych. Są mocniejsze.

Złapał je.

– Dzięki.

Znów zaczęła wpatrywać się w monitor.

River wrócił do swojego biura.

Marcus zostawił miejski rower przy pływalni i wsiadł do metra. Nawet to, że pociąg utknął na Farringdon – problemy z sygnalizacją wywoływane upałem, gdy nie wynikały z tego, że jest za zimno albo za mokro, albo za sucho – nie było w stanie zepsuć mu humoru. Okrążył Smithfield, zajrzał do włoskich delikatesów po bagietkę z kurczakiem, a potem ruszył do Slough House, po drodze dzwoniąc do Cassie, by powiedzieć, że się spóźni, bo coś „wyskoczyło mu w pracy” – ustalony kod.

– Od dawna ci się to nie zdarzało.

Nie wiedziała o Slough House. Wiedziała, że go przenieśli, ale nie miała pojęcia, co to oznacza. Nie potrafił się zmusić, żeby jej powiedzieć.

– Cóż, to nie taka sprawa, którą da się zaplanować z dużym wyprzedzeniem.

– Bądź ostrożny.

– Zawsze. Ucałuj ode mnie dzieciaki.

Czuł się skoordynowany – gotowy na świat. Dzisiejszy poranny blues był soundtrackiem kogoś innego.

Czasem gdy siedział przy biurku, a obok niego Shirley zrzędziła nad swoją klawiaturą, Marcus odpływał i znów przeżywał dawną chwałę w taktycznej grupie bojowej. „Wyważanie drzwi kopniakiem” – jak nazywała to Shirley. Do pewnego stopnia był to trafny opis, ale pomijał to, że nigdy się nie wiedziało, co za nimi będzie – czy ktoś będzie mierzył do ciebie z broni, czy czekał ubrany w kamizelkę z semteksem. W bajkach, gdy miało się do wyboru kilkoro drzwi, za jednymi z nich był zwykle tygrys. To dlatego najlepiej było wyważać je kopniakami. Na samą myśl o tym jego mięśnie się napięły i mocniej ścisnął bagietkę – tak trzymać, pomyślał. Wróc z gołąbkami pokoju, którego zmiażdżyłeś na pasztet. Ale przy odrobinie szczęścia Shirley będzie zbyt głodna, by się tym przejmować.

O tym właśnie myślał, gdy dotarło do niego, że porusza się na automatycznym pilocie; że zamiast obejść uliczkę, by znaleźć się na tyłach Slough House, właśnie znów wszedł do totalizatora, gdzie ruletka wciąż demonicznie się uśmiechała, rzucając mu wyzwanie, by posunął się o krok dalej – by wszedł, wyważając kopniakiem drzwi.

Marcus nadal czuł ciężar portfela w kieszeni dzinsów, a jego grubość napęniała go przeświadczeniem, że w jego życiu coś się zmieniło.

Dobra, skurwielu, pomyślał. Dawaj.

– O rany – powiedziała Molly Doran. – Dwoje w jeden dzień.

– Tak, Cartwright mówił, że z panią rozmawiał.

– I jak się miewa ten młody człowiek? Wrócił do... Slough House?

– Chodzi trochę pocięty, ale nic mu nie jest.

– Jakież to niespodziewane. Sądziłam, że dość długo będzie musiał się tłumaczyć z dzisiejszych porannych wybryków.

Shirley już była znudzona.

– Ma talent do wywijania się z problemów. W każdym razie powodem, dla którego dzwonię...

– Czyli nie jest to po prostu towarzyska rozmowa?

Uff! Kto to zrobił?

Ale wyglądało na to, że Molly Doran jest żartownisiem.

– Przepraszam. Trochę się spłoszyłam, bo to taka nowa sytuacja poznać aż dwoje protegowanych Jacksona. Mów dalej.

– Chodzi o jakieś akta.

– O rany! Znowu wracamy do tego tematu? Może Jackson mógłby po prostu do mnie zadzwonić i wyjaśnić, co zamierza.

– Nie robi takich rzeczy. W każdym razie nie chodzi o niego, to po prostu ogólne zapytanie. O przechowywanie informacji.

– Wiesz, zawsze zachęcam młodszych agentów, by zwracali się do mnie, jeśli będą mieli jakieś pytania, ale robię to tylko wtedy, gdy mam pewność, że tak naprawdę się na to nie zdecydują. Nie mogłabyś skierować swojego pytania do... cóż... Królowych Bazy Danych?

– Cóż, nie są zbyt skłonne do pomocy. To proste pytanie. Muszę się tylko dowiedzieć, gdzie są Szare Księgi.

– Szare Księgi?

– Akta świrów. Notatki o wariatach.

– Wiem, że tak się nazywają. Po prostu nie jestem pewna, dlaczego czujesz, że powinnaś pytać o to mnie.

– Cóż, zarządzasz dokumentami. – Shirley nie potrafiła się powstrzymać. – Pomyślałam, że może wiesz.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

– Długi kontakt z Jacksonem najwyraźniej ma swoje wady – odparła oschle Molly. – Zakładam, że tak jak on wystrzegasz się oficjalnych kanałów komunikacji.

Jeśli wystrzeżenie się oznaczało to, co Shirley miała na myśli, to owszem, pewnie tak było.

– Naprawdę powinnaś zajrzeć do swoich e-maili, młoda damo.

A potem Molly Doran się rozłączyła i w miejsce jej głosu rozległ się głuchy sygnał. Ostra zawodniczka, pomyślała Shirley. Może sama odgryzła sobie nogi.

Ta myśl nie doprowadziła jej donikąd. Może rzeczywiście zajrzy do e-maili, na wypadek gdyby to jednak była wskazówka. Ale gdy to sprawdziła, nie znalazła w skrzynce nic prócz ostatniego biuletynu tajnych służb rozsyłanego przez dział kadr: wewnętrzne możliwości transferu (o to kulawe konie nie musiały się ubiegać); bezpieczeństwo i higiena pracy; awanse i emerytury. Shirley jeszcze nigdy nie spotkała kogoś, kto by otwierał te biuletyny, a co dopiero je czytał. Sama zrobiła to pierwszy raz.

I znalazła to w dziale „Różne”: „Niedawne problemy z przechowywaniem informacji zostały rozwiązane”...

Gdyby Marcus tu był, uniosłaby rękę, żeby przybił jej piątkę albo chociaż podał bagietkę z kurczakiem.

Musiała jednak zadowolić się szybką zwycięską rundą wokół biurka – wymiatasz dziewczyno, powiedziała sobie. prostowTWARZ. To było jak naturalny odlot, rekompensowało całe to gówno w jej osobistym życiu

w ciągu ostatnich kilku tygodni, i gdy tylko ta myśl przyszła jej do głowy, wiedziała, że powinna była dłużej trzymać ją na dystans; powinna była cieszyć się chwilą taką, jaka była, zamiast traktować ją jak pocieszenie za wszystkie złe rzeczy, które ją spotkały... W domu nie czekał na nią nikt, z kim będzie mogła później się tym podzielić. A teraz nie było nawet Marcusa, z którym mogłaby przybić piątkę albo żółwika. Jezu, ta zmiana nastroju; była nagła jak działanie grawitacji. Shirley usiadła, jeszcze raz przeczytała e-mail i spróbowała znów uchwycić poczucie, że czegoś dokonała albo chociaż że miała głupie, ślepe szczęście. Ale już się to gdzieś ulotniło. Takiego odlotu nie dało się sztucznie podtrzymywać.

Na szczęście istniały inne środki, na które można było liczyć w tej kwestii.

Judd patrzył na Dianę Taverner opuszczającą niewielki park i delektował się tym, jak kołysze biodrami i jak na chwilę przystanęła przy bramie, dając mu dodatkowych kilka sekund na przyjrzenie się towarowi. Ważne było, by traktować kobiety z szacunkiem, ale – o rety – nie mógł się doczekać, aż nią potrząśnie, tak bardzo, że lepiej było jeszcze chwilę posiedzieć. Ostatnią rzeczą, której potrzebował, był jakiś dziennikarz robiący mu zdjęcie w tym stanie. Na wszelki wypadek rozwinął gazetę, położył ją sobie na kolanach i spróbował skupić się na najważniejszej sprawie: na Dame Ingrid Tearney. Bez względu na wszelkie zewnętrzne pozory jaśnie pani miała teraz jego fiuta w torebce i nie mógł dopuścić do tego, by ta sytuacja trwała – wystarczyłoby jedno jej słowo pod Dziesiątką i zanim zdążyłby wypowiedzieć słowo „przetasowania”, wyleciałby na pysk. Nielojalność była jedynym grzechem polityka, którego ujawnienia nie dało się przetrwać; choć oczywiście bez niej kariera byłaby jednym wielkim lizaniem czyjejś dupy. To właśnie dlatego życie publiczne było jak

balansowanie na linie. I nie bójmy się tego – właśnie dzięki temu było to takie emocjonujące.

„Nie chodzi o to, że od czasu do czasu musisz tańczyć walca na polu minowym, mój chłopcze”, powiedział mu jakiś stary pierdziel w jego pierwszym tygodniu w parlamencie. „Chodzi o to, że musisz to robić z uśmiechem na ustach”.

No tak, cóż, każdy, kto nie ma pokerowej twarzy dla plebsu, nie zasługuje na jego głosy. Taki był pogląd Judda. Oczywiście nie mówił tego na głos – zawsze należy to podkreślać. Nigdy nie mów na głos „plebs”.

Te rozmyślenia nieco go uspokoiły i poczuł, że zdoła wstać.

Kierując się do bramy, zadzwonił do Sebastiana, swojego głównego harcerzyka i przydupasa od mycia butelek w jednym – można by powiedzieć, że był dla Judda „duchem w maszynie”. Niektóre z butelek, jakie Seb mył na przestrzeni lat, nie nadawały się do wystawienia na recycling, bardziej do zakopania na wysypisku śmieci; dysponował, trzeba przyznać, dość ograniczonym zestawem rozwiązań, co pozwoliło jego panu w przeszłości bezpiecznie pokonać niejedno pole minowe. Nigdy nie było wiadomo, kiedy zajdzie potrzeba, by skorzystać z takiego rozwiązania. Judd nie zamierzał po raz drugi dać się przyłapać ze spuszczoneymi spodniami.

Może sprawił to ten zwrot, ale czekając, aż Seb odbierze, Judd doznał niemal fizycznego wspomnienia Diany Taverner ściskającej jego krocze i mówiącej tonem tak spokojnym, jakby wybierała awokado: „Nie odnoszę wrażenia, żebyś był rozczarowany”. Ha! Nie odczuwał tyle niewinnej przyjemności od czasu, gdy w programie BBC do każdej z ośmiu pozycji na płytę CD, którą zabrałby na bezludną wyspę, wybierał utwór The Clash. Później się dowiedział, że jakiś stary trockista z Isle of Dogs, słuchając ich, dostał apopleksji. Dowodziło to po prostu, że nie da się zadowolić każdego.

Mówi się o Churchillu, że drzemał w fotelu z filiżanką w ręce i gdy zasypiał, budził go hałas filiżanki uderzającej o podłogę. Twierdził, że nie trzeba mu więcej wypoczynku. Z Jacksonem Lambem było dość podobnie, z tą różnicą, że zamiast filiżanki używał kieliszka do wódki i nie budził się, kiedy kieliszek upadał. Catherine znajdowała go czasem rano rozwalonego na krześle jak zagubiona kałamarnica, a w powietrzu wisiał zapach podobny do wody z wazonu z kwiatami sprzed tygodnia.

W takim właśnie znajdował się stanie, gdy kulawe konie – z wyjątkiem Marcusa – o wyznaczonej godzinie znalazły się na jego piętrze.

River pchnął palcem uchylone drzwi tylko na tyle, by zobaczyli korpulentną postać Lamba pogrążonego we śnie. Z każdym potężnym wydechem trzepotał jakiś zagubiony kawałek papieru na jego biurku.

– Budzimy go? – spytała Shirley.

Wydawała się nienaturalnie pogodna; jej głos brzmiał trochę inaczej. W końcu Lamb im powiedział, że się uaktywniają – może taka właśnie jest Shirley, pomyślała Louisa, gdy pojawia się perspektywa jakiejś akcji.

– Gdzie Marcus? – spytała.

Shirley wzruszyła ramionami.

– Wszedł po kanapkę. Bagietkę.

Louisa i River wymienili spojrzenia.

– Powiedział „o piątej” – stwierdził Ho. – Wścieknie się, jeśli nie wejdziemy.

– Ty pierwszy – podsunął River.

Gdzieś w dole tylne drzwi otworzyły się ze zgrzytem i zatrzasnęły; wszyscy pomyśleli o Catherine. Ale to był Marcus tupiący na schodach, jakby wyrządziły mu jakąś osobistą krzywdę. Gdy dotarł na górę, zastał pozostałych zbitych w grupkę jak gwardia pretoriańska.

– No co?

- Spóźniłeś się na spotkanie – zauważył Ho.
- Wy też – odparł Marcus. – Chyba że to właśnie ono.
- Gdzie byłeś? – spytała Shirley.
- Wyszedłem.
- Sama musiałam wszystko wyszukiwać. Wiesz, jak to jest?
- Jakbyś pracowała, tak. Masz. – Podał jej papierową torebkę o bliżej

nieokreślonym kształcie.

Przyjrzała jej się podejrzliwie, mrużąc oczy.

- To kiedyś była bagietka?
- Chcesz ją czy nie?
- Nieważne, niech będzie.

Louisa z fascynacją obserwowała, jak Shirley wyciąga z papierowej torebki zmiażdżoną bagietkę i zdejmuje z niej folię spożywczą; nie przypominała już bagietki do tego stopnia, że Shirley mogła się w nią wgryźć z boku.

- Wszystko w porządku? – spytał Marcusa River.
- A co?
- Wydajesz się... podrażniony.
- Podrażniony? Gdzie ja jestem, u dermatologa?
- Dobra, wkurzony.
- Nic mi nie jest.

– W sumie nawet całkiem smaczna – stwierdziła Shirley, albo tak przynajmniej zakładali pozostali. Miała tak pełne usta, że trudno było mieć pewność.

– To dobrze – powiedział River do Marcusa. – Bo dziś wieczorem wolałbyś być w formie.

– Zaufaj mi, Cartwright. Jeśli będę miał okazję do kogoś strzelać, to na pewno będę w formie.

- Dobrze wiedzieć.
- I nie będę wybrzydzać do kogo.
- Chyba dodają do tego papryki czy czegoś takiego.
- Jezu! – jęknęła Louisa. – Nikt nie wspominał nic o strzelaniu.

Będziemy zwykłą eskortą, i tyle.

- Dla ekipy, która porwała Catherine – dodał River.
- Właśnie. Dopóki nie upewnimy się, że jest bezpieczna, nikt nie będzie do nikogo strzelał.

– Prawie cię poprosiłam, żebyś kupił mi kanapkę z tuńczykiem, ale teraz się cieszę, że tego nie zrobiłam. Zdecydowanie wolę kurczaka.

- Chyba powinniśmy wejść – zauważył Ho.
- Chyba masz rację – odparł River i wepchnął go przez uchylone drzwi. Ho się potknął i padł jak długi na dywan.
- Macie dziesięć minut spóźnienia – oznajmił Lamb, nie otwierając

oczu.

- Pięć – poprawił go Ho.

Lamb wskazał na stojący na półce zegar.

- Ten śpieszy – zaprotestował Ho.

– Zawsze śpieszy. Muszę wam specjalnie podawać lokalny czas? – Lamb otworzył oczy i jego głos przeszedł w ryk. – Właźcie wreszcie!

Weszli do środka. Ho podźwignął się z dywanu, patrząc spode łba na Rivera.

– Jezu – jęknął Lamb, pocierając twarz wielkim łapskiem, przez co wyglądał jak papież z obrazu Bacona. – Któregoś dnia się obudzę i okaże się, że to wszystko było złym snem.

- Raz tak miałam – powiedziała Shirley z pełnymi ustami.
- Co jesz?
- Bagietkę z kurczakiem...

– Dawaj.

Shirley spojrzała na to, co zostało z jej lunchu, potem na stanowczo wyciągniętą rękę Lamba. Zerknęła na Marcusa, szukając wsparcia, ale go nie znalazła.

– Nie rób takiej ponurej miny – rzucił Lamb. – Nie zaszkodzi ci, jak trochę pochodzisz głodna.

– Wolno ci w ogóle mówić takie rzeczy? – poskarżyła się, oddając mu kanapkę.

– Nie wiem. Nie chciało mi się czytać instrukcji. – Przyjrzał się podejrzliwie temu, co mu podała. – Autobus ją przejechał czy co? Można je kupować nowe, wiesz? – Ale i tak odgryzł kęs i połowa bagietki zniknęła. – Wszyscy odrobili pracę domową?

Pomruki potakiwania.

– Dobra. Najpierw Cartwright. Sean Donovan. Co o nim masz?

– Sean Donovan – zaczął River. – Zawodowy żołnierz, weteran wojenny, absolwent Sandhurst, pełnił służbę w Irlandii Północnej, potem przydzielony do Ministerstwa Obrony. Później służył w UNPROFOR na Bałkanach, dalej w siłach NATO podczas wojny w Kosowie. Gdy się skończyła, był podpułkownikiem z dobrymi perspektywami na dalszy awans.

– Jak dobrymi? – spytała Shirley i nagle zachichotała.

Lamb przerwał na chwilę przeżuwanie, by posłać jej bazyliżkowe spojrzenie.

– Cenili go w Ministerstwie Obrony – powiedział River. – Zasiadał w kilku ważnych komisjach, między innymi w tej od zapobiegania terroryzmowi w kraju; z powiązaniem z Regent's Park. A w 2008 był członkiem ciała doradczego ONZ. W poświęconym mu artykule w gazecie

z tamtego roku nazwano go ideałem nowoczesnego żołnierza, trochę wojownika, trochę dyplomaty.

– Lubię ludzi bez wad – stwierdził Lamb, zgniatając w kulkę odporny na tłuszcz papier i rzucając go przez ramię. – Przypominają mi mnie samego.

– Tylko że on miał reputację pijaka.

– No proszę – rzekł Lamb. – Prawdziwy księżę.

– A co – odezwał się Marcus – jest gejem? Handluje bronią? A może lubi się przebierać za nazistę?

Lamb spojrzał na niego ze złością.

– Masz jakiś problem? Wyglądasz, jakbyś zgubił piątaka, a znalazł guzik.

– Guzik...?

– Wybacz, że jestem takim luzakiem. Wiesz, pokolenie Woodstock.

River brnął dalej.

– Karierę Donovana diabli wzięli z dnia na dzień. Wkrótce po tym, jak pracował dla ONZ, odwiedził bazę wojskową w Somerset, żeby wygłosić wykład dla kadetów. Ponoć później odbyła się impreza z potańcówką, po której Donovan opuścił bazę samochodem. Stracił kontrolę nad pojazdem, skasował wóz, a jego pasażerka, kapitan Alison Dunn, zginęła. Stanął przed sądem wojskowym, odsiedział pięć lat, a po wyjściu został karnie zwolniony ze służby. To było mniej więcej rok temu.

– No dobra – przyznał Lamb. – Może niezupełnie bez wad. – Uniósł tłusty paluch. – Czyli ma powiązania z Regent's Park. – I drugi paluch. – I jest pijakiem. Co na to powiecie?

Nikt tego nie skomentował.

– Jezu, dlaczego muszę wszystko robić sam? Nie wybrał Standish na chybił trafił. Znał ją wcześniej. – Wskazał na Rivera. – A jak nasz Sierżant

Skąła trafił do Czarnej Strzały?

– Pamiętacie ten incydent ze Spider-Manem?

– Jakiś idiota przebrany za postać z komiksu spadł z budynku – wyjaśnił Lamb.

Miało to miejsce zimą, w pobliżu Slough House. Przez kilka dni rozpisywały się o tym gazety i pojawiło się trochę żartów, bo facet się nie zabił i, no cóż, był przebrany za Spider-Mana.

– Zrzucano go z budynku – powiedział River. – To miała być demonstracja, coś z prawami ojców. Był rozwiedziony i odmówiono mu prawa do widywania się z dziećmi.

– Narzekał czy świętował?

River to zignorował.

– Nazywał się Paul Lowell, kiedyś był komisarzem policji z Middlesex, a później drugą co do ważności osobą w Czarnej Strzale Sylvestra Monteitha. Nie wiedział, kto go zrzucił na mur londyński. Ta osoba nawiązała z nim kontakt przez stronę internetową Sprawiedliwość dla Ojców i zjawiła się przebrana za Batmana. Nigdy jej nie złapano.

– Proszę, proszę – skwitował Lamb. – Ciekawe, kto to mógł być.

– Donovan – stwierdziła Shirley.

– To było pytanie retoryczne. Jezu, gdybym czegoś nie wiedział, myślicie, że was bym pytał?

Gdy River upewnił się, że Lamb już skończył, odezwał się:

– Monteith zatrudnił Seana Donovana w tym samym tygodniu.

– Nie ma to jak stworzyć wakat. Mam nadzieję, że żadne z was nie uważa, że to jest droga na szczyt.

– Za nic nie precyzyjnieśmy cię przez okno – mruknęła Louisa.

Lamb potarł dłonią zarośnięty podbródek. Trudno było stwierdzić, co drapało o co.

– Dobra, już wiemy, kim jest. Na co mu Szare Księgi? Ty – wskazał na Louise. – Mów!

– Jest kilka takich forów internetowych, na których zwolennicy teorii spiskowych zbierają się, żeby wymieniać się historyjkami. Nie mówimy tu o dark webie; wszystko to jest ogólnie dostępne, choć cóż, oczywiście zabezpieczone hasłami.

– Ale mamy te hasła.

– Mamy te hasła.

Wymieniła kilka takich stron. Nie wywarło to szczególnego wrażenia na nikim z wyjątkiem Shirley, która przez cały czas energicznie kiwała głową.

– Mniej więcej rok temu, w czasie, kiedy Donovan wyszedł, pojawił się na forum człowiek o nicku BigSeanD.

– Po tym się zorientowałaś? – spytał Lamb.

– Tak, dzięki. Po tym i wskazówkach, że ma związek z wojskiem. Często się zdarza, że internetowi wojownicy próbują udawać kogoś ważniejszego, ale napisał kilka komentarzy, które zgadzają się z doświadczeniem Donovana. O Bałkanach i o ONZ.

Wszystko im przedstawiła. Wyglądało na to, że BigSeanD doskonale się wpasował w internetową społeczność, w której dominujący typ użytkownika przypominał coś, co można by uzyskać, gdyby połączyć DNA jedynaka, czytelnika „Daily Mail” i potwornie agresywnego zarazka: organizm z obsesją na własnym punkcie, z mnóstwem tłumionej wściekłości i wszędzie rozsiewający trujące gówno. Objawy obejmowały tendencję do posługiwania się WYŁĄCZNIE DUŻYMI LITERAMI, lekceważenie wszelkich odmiennych opinii i uważanie ich za podlizywanie się establishmentowi oraz powalającą nieznamość brzytwy Ockhama.

– To na jakim punkcie ma fioła?

– Na punkcie pogody.

– Czego?

– Ma jazdę na punkcie pogody – powtórzyła Louisa. – Uważa, że jest kontrolowana przez... przez kogoś. Przez rząd. Przez nich.

Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia.

– Jezu, a oni pozwalali mu nosić broń – westchnął w końcu Lamb.

– Napisał sporo postów o Projekcie Cumulus, rządowej operacji w latach pięćdziesiątych, przeprowadzonej ze wsparciem wojska. Chodziło o tworzenie chmur i sztuczne wywoływanie deszczu.

Lamb zmrużył oczy i zerknął w stronę okna, gdzie żaluzje bez specjalnego przekonania próbowały powstrzymać blask słońca.

– O tak, to świetnie działa.

– W 1952 roku w Lynmouth, w hrabstwie Devon, zginęło trzydzieści pięć osób. Są tacy, między innymi BigSeanD, którzy uważają, że odpowiadał za to Projekt Cumulus. Coś, co miało zademonstrować potencjał wywoływania sztucznego deszczu, wymknęło się spod kontroli.

– W pięćdziesiątym drugim to dawno temu – zauważył Marcus.

– Ale teorie żyją dalej. Jest taka amerykańska firma finansowana przez wojsko o nazwie HAARP, coś z transmisjami wysokich częstotliwości, która ponoć pracuje nad systemem kontrolowania pogody. Powodzie, huragany, tsunami; przypisuje im się sporo grubych rzeczy. Według internetowych świrów wywołane przez człowieka zmiany klimatu nie są produktem ubocznym nadmiernej konsumpcji. To celowa próba ingerencji we wzorce pogodowe. A konkretnie po to, by uczynić z nich broń.

– To jak... – zaczęła Shirley. Ale najwyraźniej umknęło jej jak co.

– I w Szarych Księgach mają być jakieś materiały, które się z tym wiążą? – spytał Lamb.

– Cóż, najwyraźniej są jak szafa grająca ze Zwariowanych melodii. Kompleksowy pakiet dla zwolenników teorii spiskowych. O tej powodzi

w Lynmouth istnieją wciąż nieodtajnione dokumenty rządowe, ustalenia ze śledztwa nadzwyczajnej komisji parlamentarnej. Jeśli znajdują się w Szarych Księgach, to byłyby dokładnie czymś, co chciałby zdobyć Donovan. Najwyraźniej...

– Nie wydajesz się przekonana. Nie jesteś pewna, że to on?

Louisa wzruszyła ramionami.

– Daty pasują. Tak jak mówiłam, BigSeanD zaczął pisać posty po tym, jak Donovan wyszedł z więzienia. Domyślam się, że w wojskowym pierdlu nie pozwalają ci korzystać z internetu.

– Nie. Akompaniament orkiestry dętej jest wystarczającą karą. – Lamb odchylił się na oparcie krzesła, a to zawsze była ryzykowna chwila. Ale wytrzymało. Wpatrując się w sufit, powiedział: – No dobra. Nasz złoty chłopak ma zniszczoną karierę, na pięć lat trafia do pudła i zaczyna mieć obsesję na punkcie jakichś bredni w stylu Z Archiwum X. A teraz mamy mu pomóc je zdobyć. Skończyłaś już się pieniść?

– Czy kto skończył co? – spytała Shirley.

– Boże, daj mi siłę.

– On pyta, gdzie są przechowywane – wyjaśnił Marcus. – Szare Księgi.

– A właśnie, tak! Wiesz, jak do tego doszłam? Jest o tym w e-mailu, jednym z tych korporacyjnych załączników rozsyłanych przez dział kadr MI5. Tych, w których piszą o wakatach, awansach i podają linki, pod którymi można się dowiedzieć, jaką się będzie miało emeryturę...

– Jak tylko przyjdzie ci ochota, możesz ją zastrzelić – stwierdził Lamb.

Marcus położył Shirley rękę na ramieniu.

– Gdzie? Są? Szare? Księgi?

– Nie wiem, ale właśnie został uruchomiony nowy zewnętrzny obiekt do przechowywania tajnych dokumentów, znajdują się tam teraz

wszystkie... cytuję... „niekluczowe dane działu operacji”, więc istnieje spora szansa na to, że są tam, nie uważasz?

– Zechciałabyś uściślić, gdzie jest to „tam”?

– Na zachód od Hayes – wyjaśniła Shirley. – To jeszcze Londyn, no nie?

– To zależy od tego, czy jesteś agentem biura nieruchomości, czy czującą istotą – stwierdził Lamb. – Ale tak. Zgadza się, tam właśnie będą. – „Wiesz, co nadzorowałam przez ostatnich pięć miesięcy?”, powiedziała Diana Taverner. „Przechowywanie poza główną lokalizacją akt pojebów”. Omiótł wzrokiem swoich ludzi. – Jezu, były żołnierz, któremu odbiło, przeciwko wam. Bandzie nieudaczników ruszających się gorzej niż muchy z artretyzmem. Ciekawe, co z tego wyjdzie.

– Możemy go zdjąć – powiedział Marcus.

– „My” nie będziemy nikogo zdejmować – odparł Lamb. – W tym wszystkim chodzi o to, żeby pozwolić mu się zmyć z tymi aktami. A może zapomniałeś o tej części, kiedy udawałeś Sundance Kida?

– Och.

– No właśnie. Och.

– W każdym razie trochę poćwiczyłem. Żeby nie wyjść z wprawy.

– Nie, to, co zrobiłeś, było nie na miejscu. Jeśli jeszcze raz użyjesz mojego imienia nadaremno, to przynajmniej zrób to, by zaliczyć za mnie testy medyczne. A do tej pory, kiedy daję ci jakieś zadanie, masz je wykonywać. Nawet jeśli to oznacza siedzenie przed monitorem.

– Hej, przecież zadanie zostało wykonane. Shirley ci właśnie powiedziała, gdzie są trzymane te akta.

– I dziwię się, że przestała gadać na wystarczająco długo, żebyśmy mogli się połapać w tym, co mówi. – Spojrzenie Lamba powędrowało w jej

stronę. – Próbowałem tego, co uchodzi tutaj za kawę. I nie od tego jesteś taka nakręcona.

– Technicznie rzecz biorąc, jesteśmy po godzinach pracy – mruknęła Shirley.

– Tak, tak było wtedy – odparł Lamb. – Ale teraz jesteście, technicznie rzecz biorąc, poza pracą.

Marcus i Shirley wymienili zdziwione spojrzenia.

– Jezu – westchnął Lamb. – Niedługo nie będzie się dało nikogo tutaj wylać bez słownika.

River, Louisa i Roderick Ho nieświadomie zbili się w ciaśniejszą grupkę.

Marcus spojrział ze złością na nich, a potem na Lamba.

– Nie możesz tego zrobić.

– Właśnie to zrobiłem.

– To jest nieuzasadnione zwolnienie z...

– Nie wykonałeś bezpośredniego rozkazu, nie wspominając już o tym, że podrobiłeś mój podpis w rejestrze Regent's Park. A jej gałki oczne wciąż kręcą się wokół osi po tym towarze, który wciągnęła nosem. Naprawdę myślisz, że wygrasz sprawę o nieuzasadnione zwolnienie z pracy?

– Potrzebujesz nas. Mnie. Jak chcesz odzyskać Catherine bez...

Kawa Lamba przeleciała nad ramieniem Marcusa i rozbiła się o ścianę gabinetu. Fusy się rozprysły, pokrywając Marcusa i Shirley plamami jak z obrazów Pollocka. Słowa Marcusa zagłuszył dźwięk pękającego naczynia i pełne współczucia dzwonienie szyby w oknie.

Gdy te dźwięki ucichły, w głosie Lamba było więcej groźby, niż kulawe konie przywykły słuchać na co dzień.

– Samowolnie się oddaliłeś. Ona się naćpała. Zechcesz mi wyjaśnić, w czym to pomaga? Bo może kiedyś byłeś na topie, ale teraz jesteś tylko

kolejnym nieudacznikiem i nie zamierzam ryzykować, angażując cię w akcję, kiedy mam na głowie porwanie agentki. A więc zabieraj tę swoją pacynkę, posprzątajcie swoje biurka i wypierdalać z mojego budynku. Papierami zajmę się jutro.

Marcus przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Lamba, którego oczy były zimne jak kamień. Kawa ściekająca pęknięciami w gipsie na ścianie utworzyła wzór; nową linię brzegową na mapie.

Shirley pociągnęła nosem jak pies, jakby przyszła jej do głowy jakaś myśl, ale nie dotarło do niej jeszcze jaka. A potem Marcus otworzył usta, zamknął je i odwrócił się, żeby wyjść.

– Uważajcie na siebie – powiedział na odchodnym, zwracając się do Rivera i Louisy.

Oczywiście możliwe, że zwracał się też do Ho.

– Tak, kurwa – rzuciła Shirley i również wyszła.

River poczuł nieprzyjemny dreszcz: to podstępne uczucie, że właśnie ominęła go kula.

Na dole trzasnęły drzwi i jakiś mebel walnął o podłogę.

Lamb jakby znikąd wyciągnął papierosa i pomachał nim w ich stronę.

– Wy dwoje zostajecie. I możecie mi wierzyć, to mówi o wiele więcej o możliwej alternatywie niż o was.

– Jest nas troje – wymamrotał Ho.

– Wciąż tu jesteś?

– To naprawdę było konieczne? – spytała Louisa. – Donovan jest zawodowcem i wiemy już, że nie stroni od przemocy. Moglibyśmy...

Lamb posłał jej to samo spojrzenie bazyliuszka, którym wcześniej obdarzył Shirley, i umilkła.

– Przydałby nam się Marcus – rzekł River. – Tylko tyle chcieliśmy powiedzieć.

Zapłonęła zapalka i jej blask padł na twarz Lamba.

Usłyszeli kroki kogoś opuszczającego Slough House, szuranie i odgłos otwieranych drzwi na tyłach. Nie usłyszeli, jak się zamykają. Po chwili ciepły przeciąg dotarł na najwyższe piętro i owinał się wokół ich kostek jak kot. Lamb palił, a pokój wypełnił się błękitnoszarym dymem, jak nocą w jazzowej knajpce z pianinem. W ukośnych promieniach światła wpadających przez żaluzje wirowały pyłki kurzu. Kiedy człowiek zaczyna widzieć, czym oddycha, pomyślał River, najwyższa pora znaleźć się gdzie indziej.

– Dobra, zostaliśmy tylko my – odezwał się w końcu. – To co teraz robimy? Czekamy, aż Donovan nawiąże kontakt?

– Wątpię, byśmy długo musieli czekać – odparł Lamb.

I ponieważ – jak później spekulował River – Lamb dawno temu sprzedał swoją duszę w zamian za okazjonalny dar wszechwiedzy, telefon Rivera wybrał akurat tę chwilę, żeby się rozdzwonić.

Na wyświetlaczu widniało imię Catherine.

Ale to był Donovan.

Znów była błękitna godzina i upał wciąż nie zelżał. Wysiadając z samochodu, River poczuł, jak protestują jego mięśnie brzucha, i zanim do końca się wyprostował, sięgnął do kieszeni dżinsów po tabletki przeciwbólowe, które dała mu Louisa. Zostały cztery. Wyłuskał je z plastikowego listka i połknął bez popijania. Ostatnia utknęła w gardle, co dostarczyło mu rozrywki na następną minutę.

Louisa zamknęła drzwi od strony kierowcy.

– Chyba ktoś nas śledził.

– Tak?

– Trzymał się z tyłu, trzy samochody za nami. I na jakiś czas zniknął.

Ale był tam.

River kiwnął głową, choć nie był do końca przekonany. Taki ogon wskazywał na profesjonalistów, a gdyby rzeczywiście tak było, sądził, że Louisa by ich nie wypatrzyła. Jednak wypowiedzenie na głos takiej opinii mogło być niebezpieczne, a jego jądra nie doszły jeszcze całkiem do siebie.

– Powinnaś była mi powiedzieć.

– Cóż, nie byłam do końca pewna. – Posłała mu spojrzenie, w którym kryło się kiepsko zawołane wyzwanie. – Ale teraz już jestem.

– Dobra – powiedział River. Jeśli jednak faktycznie byli śledzeni, teraz ten ktoś zniknął z radaru.

Znajdowali się o rzut beretem od torów kolejowych wiodących na zachód od Londynu, które przebiegały wzdłuż ciągu parkingów przy lotnisku, zbiorników gazu, cementowni i fabrycznych magazynów.

Zaparkowali na niezagospodarowanej działce otoczonej z trzech stron trzema biurowcami, niskimi według standardów stolicy, sześć pięter, pierwotnie w białym kolorze. Stały pod dziwnym kątem względem siebie, na tyle oddalone, by można było między nimi przejechać samochodem. Dwa z biurowców połączono pasażem na poziomie trzeciego piętra, pozostawały opuszczone, szyby w oknach wybito, ściany pokryto spłowiałymi zawijasami graffiti; jękający się, powtarzalny skrzek miejskiego niezadowolenia – Toksyczny, Mutant, Gównojad. Na poziomie parteru nie miały ścian, tylko grube, okrągłe filary co kilka metrów; poczerniały w miejscach, gdzie obozowali bezdomni lub imprezujący nastolatki, a podłogi pokrywało szkło rozbitych butelek i najróżniejsze śmieci. Do miejsca, w którym stali na nierównym skrawku betonu, docierał zapach fekaliów; z pęknięć wyrastała dzika roślinność. River czuł, jak gorąco rozgrzanego betonu przenika przez podeszwy jego butów. Ziemia zadrżała, gdy w pobliżu przemknął pociąg ekspresowy.

Trzeci biurowiec wyglądał, jakby znów go używano, choć trudno było stwierdzić, jak zaawansowany był ten proces. Farba, choć może nieświeża, wciąż była w nie najgorszym stanie, a w oknach połyskiwały szyby, ale budynek otaczała jakaś przygnębiająca aura, jakby popadł w złe towarzystwo i wiedział, że to wszystko dobrze się nie skończy. Czwarty bok tego mniej więcej kwadratu uzupełniała opuszczona fabryka – farb albo winylu, pomyślał River – z przysadzistą kanciastą wieżą na jednym końcu, obok której wznosił się bielony komin sięgający mniej więcej na wysokość pobliskich budynków. Dawno temu ją rozbudowano; konstrukcja ze skośnym dachem złożona z blachy falistej i plastiku, z rynien zwisały druty kolczaste niczym niedopasowana korona cierniowa. W różnych miejscach widniały tabliczki z wizerunkiem owczarków niemieckich wskazujące, że intruzi zostaną zjedzeni albo spotka ich coś jeszcze gorszego. Poszarpana

dziura w ścianie na poziomie parteru sugerowała, że nie traktowano tej groźby zupełnie poważnie.

W pobliżu wznosił się kopiec złożony z trzech lodówek i materaca. Obok niego ułożono na stertę trzymetrowe odcinki ogrodzenia z metalowej siatki, słupki połączono łańcuchami i przytwierdzono do ziemi za pomocą stalowej obręczy. Pomarańczowy kontener na odpady leżał wywrócony na bok niczym zabawka ciśnięta przez olbrzyma.

Samochód Louisy tykał, jakby odliczał czas do czegoś złego.

– Wydaje mi się, że widziałem kiedyś to miejsce na filmie – powiedział River. – To było coś o zombie.

– Na zachód od Ealing – odparła Louisa. – To mógł być dokument.

Telefon Rivera zaczął dzwonić. Lamb.

– Dlaczego masz włączony sygnał?

– Mam ustawione wibracje – skłamał River. – Właśnie przyjechaliśmy.

Wygląda tu spokojnie.

– Tak było, dopóki nie zaczął dzwonić twój telefon.

River czekał. Słyszał sapanie Lamba.

– Ci żołnierze... – odezwał się w końcu Lamb. – Donovan i...

– Traynor.

– Traynor. Kiedy już dostaną to, czego chcą, wycofajcie się. Nie próbujcie ich śledzić. Pozwólcie im odjechać.

– A co z Catherine?

– Skupcie się na tym, co macie do zrobienia – odparł Lamb. – Pamiętaj, że to Ingrid Tearney pociąga za sznurki. I przetnie je, kiedy będzie jej to na rękę.

– Będziemy uważać na spadające marionetki – odrzekł River.

– Nie bądź taki pewny siebie. Jesteście biurwami, a nie Batmanem i Robinem...

– ...i powinniśmy już o tym wiedzieć – dokończył za niego River.

Lamb się rozłączył.

– Czego chciał? – spytała Louisa.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale chciał, żebyśmy byli ostrożni. – River schował telefon. – Ale skończyły mu się porównania z Enid Blyton.

W pobliżu przetoczył się kolejny pociąg rozpędzający się po wyjeździe z Paddington. Zagwizdał; staromodny, dość żalosny dźwięk. Wrona dziobiąca coś przy porzuconych lodówkach podniosła głowę, zakrakała ponuro i znów zajęła się swoim posiłkiem.

– Na pewno ktoś za nami jechał – powiedziała Louisa. – Ale nie ustaliłam marki ani koloru.

– Dobra – odparł River.

Nie musiał mówić nic więcej; uratowały go dwa cienie, które wyłoniły się zza filaru w najbliższym porzuconym budynku.

Teraz, gdy pozostali wyszli, Slough House wydawał się Roderickowi Ho spokojny. Zwykle mu to nie przeszkadzało. Zazwyczaj widywał się z innymi tak rzadko, jak tylko mógł, z wyjątkiem aranżowanych przez niego chwil z Louisą w kuchni. Zanim wyszła, posłała mu spojrzenie – zerknęła na niego z rozbawieniem, jakby chciała mu powiedzieć, że wolałaby zostać, zamiast wyruszać z tą absurdalną misją niańczenia dwóch byłych żołnierzy, gdy będą wykradać akta z archiwum X. On z kolei posłał jej spojrzenie, które miało być tego zwierciadlanym odbiciem: lekko uniósł brew, co oznaczało: „Ty i ja, kotku”, ale zdążyła już zniknąć za drzwiami. Będzie musiał poćwiczyć. Gdyby był szybszy, na pewno by załapała.

Wyłączył komputery i obrzucił pożegnalnym spojrzeniem swe królestwo. Teraz, gdy Longridge i Dander przeszli do historii, powinien rozejrzeć się po ich biurze i sprawdzić, czy nie zapomnieli czegoś, co warto byłoby mieć. Longridge miał ładną jedwabną chustę; mało prawdopodobne,

żeby nosił ją przy tym upale, więc może zostawił ją na wieszaku. Ho zdążył dotrzeć jedynie do drzwi, a potem jego plany musiały ulec gwałtownej zmianie.

– A my dokąd się wybieramy?

– Yy... Do domu?

Lamb położył wielkie łapsko na piersi Ho i szedł dalej. Ho się cofał, aż natrafił udami na krawędź swojego biurka. Potem Lamb opuścił rękę, podszedł do okna i przystanął przy nim odwrócony do Ho plecami.

Uliczny gwar już trochę przycichł. Ruch wciąż był duży, ale wyczuwało się w nim wyczerpanie: cholerni biedni robotnicy wracający do domu z pola bitwy, a nie przebojowi wojownicy, tak jak rano. Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta wyszła z gabinetu dentystycznego, który miał w sobie coś industrialnego, jakby odbywały się w nim eksperymenty na wielką skalę, nie zaś indywidualne zabiegi stomatologiczne. Potrząsnęła głową, odsuwając od siebie nieprzyjemne wspomnienie, i ruszyła w stronę metra.

– High Wycombe – powiedział Lamb.

To gospodarstwo, które znalazł Ho. To, które wynajął Sylvester Monteith.

– Uff, tak. Przy autostradzie, trochę za tą miejscowością. Nawigacja satelitarna bez problemu znajdzie to miejsce.

– Albo coś tam.

– He?

– Naturalny spryt. Pozwala mi unikać wymagających zadań, kiedy są inni, którzy mogą wykonać je za mnie.

– Uff... Herbaty?

– Gdzie twój samochód? – spytał Lamb.

Marcus prowadził czarnego SUV-a z przyciemnianymi szybami – pojazd stworzony do operacji wojskowych w mieście, ale zwykle używany przez

mamy ganiające między szkołą a zakupami. Kiedyś zwróciła mu na to uwagę Shirley, nie sądziła jednak, by teraz był to dobry temat do rozmowy. Kiedy Marcus przestawał już kląć na Lamba, to tylko po to, by zacząć czepiać się jej.

– Doszłaś już do siebie?

– Znów do tego wracamy?

– To nie są jakieś pieprzone żarty, Dander. Wcześniej byłaś na hajju.

Doszłaś już do siebie?

Zastanawiała się, czy nie skłamać, ale tylko przez sekundę.

– Jezu, to była tylko jedna mała działka. Nie starczyła nawet, żebym przestała być głodna.

– Kurwa, Dander... Kurwa.

– Nie nakręcaj się tak. Jezu, to trwało najwyżej pół godziny. Pół godziny, nie więcej.

– Zapomniałaś, o czym wcześniej rozmawialiśmy?

– Nie, partnerze. To mnie trzymało na nogach przez całe popołudnie, po tym, jak zniknąłeś i poszedłeś się zabawić.

Tkwili w korku. Gdzieś przed nimi jakiś samochód miał awarię, w związku z czym ruch odbywał się tylko jednym pasem. Marcusowi nie poprawiło to humoru.

– Czyli teraz to jest moja wina?

– Hej, jeśli nawalę, biorę za to odpowiedzialność. Ale za ciebie już nie odpowiadam.

Marcus zaklął pod nosem, potem drugi raz na głos. Walnął ręką w kierownicę.

– Cholera! Masz w ogóle pojęcie, w jakie gówno się wpakowałem?

– W to samo co ja – odparła Shirley. – Nie masz roboty i życie jest do dupy.

– Mam rodzinę. Zdajesz sobie z tego sprawę, co? Mam gęby do nakarmienia i hipotekę do spłacenia. Nie mogę stracić pracy.

– Świetna strategia, Marcus. Szkoda, że nie trzymałeś się jej wcześniej.

– Nie pyskuj, dziewczyno. Albo wysiadasz tutaj i dalej możesz sobie iść na piechotę!

– Jeszcze raz nazwij mnie dziewczyną, a nie będziesz w stanie chodzić.

W milczeniu gotowali się ze złości, gdy SUV w ślimaczym tempie mijał zepsuty pojazd. Wyglądała z niego przez okno przygnębiona młoda kobieta.

– Wysadź mnie gdziekolwiek – powiedziała wreszcie Shirley. – Jezu. Szybciej bym tu dotarła na nogach.

– Jasne, bo strasznie ci się śpieszy, co? Nie masz pracy, w domu nikt na ciebie nie czeka.

– Dzięki, że mi przypominasz, ale wcale nie zapomniałam, że moje życie jest do dupy.

– Spróbuj zobaczyć też jasne strony. Może znajdziesz w oparciu sofy kryształki metamfetaminy. No wiesz, tak jak ludzie czasem znajdują jakieś drobniaki...

– Nie próbuj mnie, kurwa, oceniać, Longridge. Ja nie tracę tygodniówki przy jednorękim bandycie.

– Nie gram na jednorękim bandycie!

– A ja nie biorę metamfetaminy!

Marcus gwałtownie skręcił na miejsce parkingowe i Shirley walnęła głową w zagłówek.

– Cholera! Cholera!

Siedzieli w milczeniu, gdy ich złość przyjmowała różne formy. W niemal namacalnym skwarze przetaczały się samochody, a zegar na desce rozdzielczej eksperymentował, próbując zatrzymać czas. Każda

sekunda musiała pokonać niezliczone przeszkody. Marcus poddał się pierwszy.

– Dobra – powiedział. – Oboje nawaliliśmy.

Shirley wyglądała, jakby chciała dodać do tego jakiś przypis, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

– Może.

– Myślisz, że ten skurwiel Lamb zmieni zdanie?

– Był wściekły.

– Wiem.

– Naprawdę wściekły.

– Wiem – powtórzył Marcus. – I co teraz?

– Słyszałam, że w Czarnej Strzale są wakaty.

– No świetnie.

Cisza, która tym razem nastąpiła, była tylko odrobinę mniej przykra. Shirley szarpała pas bezpieczeństwa i pozwalała, by uderzał ją w pierś. Marcus wybębniał palcami na kierownicy kilka łamanych rytmów. W końcu odezwał się:

– Cassie myśli, że dziś wieczorem będę w pracy.

– No i?

– Nie spodziewa się, że wrócę teraz do domu.

Shirley znów puściła pas, a potem powiedziała:

– Jeśli zamierzasz się do mnie przystawiać, wydłubię ci twarz łyżeczką.

– Jezu, Dander! Bez urazy, ale zwolnili mnie z roboty, a nie poddali lobotomii.

– W porządku. Po prostu jesteś dla mnie za stary i za łysy.

Poruszył się na swoim miejscu.

– Ta operacja Lamba.

– Szare Księgi.

– W sumie to Zwariowane melodie.

– Nieważne.

Znów pociągnęła pas, ale Marcus złapał go, zanim ponownie uderzył o jej pierś.

– Przestań. Zwariowane melodie, zgadza się, ale co, jeśli wcale tak nie jest?

– To znaczy?

– Ten cały Donovan. Zanim wywalili go z wojska, wysoko mierzył, zgadza się?

– Słyszałeś, co mówił Cartwright. Przydział od Ministerstwa Obrony, komisja ONZ, spotkania w Regent's Park. Nie był jakimś tam rekrutem, to na pewno.

– I ma świra na punkcie pogody.

– Każdy ma świra na punkcie pogody, Marcus. Pogoda też się zmieniła w Zwariowane melodie. Powodzie i fale upałów, Jezu! Czekam jeszcze tylko na sezon huraganów.

Marcus ją zignorował.

– Wszyscy myślą, że to, co pragnie zdobyć, nie ma żadnej wartości i chce tego tylko dlatego, że jest świrem. Ale co, jeśli tak nie jest? Co, jeśli wie o czymś, o czym my nie wiemy? W Ministerstwie Obrony miał dostęp do wielu bardzo tajnych materiałów i pewnie też do danych o tajnych operacjach. Co mówiła Louisa o tym projekcie HAARP?

– Nie pamiętam.

– To było coś z manipulowaniem pogodą. Co, jeśli ten Donovan nie jest tak pojebany, jak udaje? Co, jeśli w Szarych Księgach faktycznie jest coś ważnego? Na przykład dowody na to, że te projekty związane z pogodą rzeczywiście są realizowane.

Shirley potrząsnęła głową i spojrzała na drugą stronę ulicy. W barze naprzeciwko jakiś młody mężczyzna ubrany w obcięte dżinsy i skórzaną kamizelkę przecierał blaty stolików. Zastanawiała się, czy naprawdę wymagały uprzątnięcia, czy po prostu robił to z nawyku.

– Są tam też raporty nadzwyczajnej komisji parlamentarnej – ciągnął Marcus. – Dokumentacja, może inne oficjalne papiery.

– No i?

– Donovan wywalili z wojska, pamiętasz? Może to zemsta? Może tak jak Assange zamierza dobrać się komuś do dupy.

– Cóż, chyba powinieneś ostrożniej dobierać słowa. – Shirley straciła zainteresowanie barmanem. – A poza tym co to ma wspólnego z nami? Jesteśmy bezrobotni, pamiętasz?

– Może.

– No tak. Ach, ten Lamb. Jaki z niego żartowniś.

– Serio, Shirl. Jeśli Donovan nie jest świrem, tak jak myślimy, to ta operacja nie będzie polegać tylko na trzymaniu za rączkę. Bo kiedy już dostanie to, o co mu chodzi, nie będzie chciał zostawiać żadnych świadków.

– Lamb nie przywróci nas do służby tylko dlatego, że wyglądamy na czujnych.

– Może i nie. Ale co innego mamy robić? Ktoś spodziewa się ciebie w domu? Bo mówiłem ci, że mnie nie.

Shirley przez chwilę wpatrywała się w swój kciuk, jakby zastanawiała się, czy go sobie nie odgryźć. Mruknęła coś, nie podnosząc wzroku.

– Co mówiłaś?

– Mówiłam: pieprzyć to – powiedziała głośniej. – W takim razie pieprzyć to. Jedźmy.

Wyjście z blasku słońca w cień niszczącego biurowca było jak przejście z rozgrzanego pieca do już wygasłego – żar był brudniejszy i towarzyszył

mu cały smród podupadłego budynku: grzyb i pleśń, piwo i szczyzny, a do tego jeszcze coś wstrętne słodkawego, być może martwe zwierzę, jak podejrzewał River. Porozrzucane kawałki cegieł i ołowianych rur sugerowały lokalne walki o teren. Przy filarze czekało dwóch mężczyzn i coś w ich postawie skojarzyło mu się z Marcusem. Na ich widok masywniejszy z nich, barczysty facet z krótko ostrzyżonymi włosami i nosem boksera, zbliżający się do sześćdziesiątki, wyszedł im na spotkanie.

– Cartwright?

Jego irlandzki akcent niósł w sobie mniej ciepła, niż to zwykle bywa.

River kiwnął głową.

– Czyli ty jesteś Guy.

Louisa tylko na niego spojrzała.

– A ty jesteś Sean Donovan – powiedział River. – To znaczy, że ty musisz być Ben Traynor.

Drugi mężczyzna był ulepiony z tej samej gliny co Donovan, ale młodszy. Podczas gdy Donovan miał siwiejące włosy, Traynor był niemal łysy, ogolony prawie przy samej skórze. Gdy River go zidentyfikował, nie zareagował i wydawał się bardziej zainteresowany Louisą, która zatrzymała się tuż przy Riverze.

– Wiecie, czego chcemy – powiedział Donovan.

Zanim River zdołał odpowiedzieć, Louisa odparła:

– Wiemy, co twierdzicie, że chcecie.

– Nie komplikujmy sobie życia. To prosta robota, trzeba tylko coś dostarczyć.

Riverowi przyszło do głowy, że ani on, ani Louisa nie mają broni. Wcześniej wydawało mu się to mało znaczącym szczegółem: zadanie nie wymagało – nie powinno wymagać – by byli uzbrojeni. Ale gdy znaleźli się twarzą w twarz z dwoma agentami Czarnej Strzały, nie wydawało się to już

tak oczywiste. Bo jeśli ci dwaj nie mieli broni, pomyślał, było to wbrew ich głęboko zakorzenionym nawykom.

Choć przyznał, że nazywanie ich agentami Czarnej Strzały było przesadą. Zabicie szefa zdecydowanie stanowiło podstawę do zwolnienia. Lamb co tydzień przypominał o tym kulawym koniom.

– Skąd wiedziałeś o tym miejscu?

Donovan przyglądał mu się bez emocji.

– Tak samo jak wiem o Slough House. Odrabiam pracę domową, Cartwright. A ty? A może masz w zwyczaju wyruszać nieprzygotowany?

Ponieważ szczerą odpowiedź brzmiałaby: „Tak”, River zignorował pytanie.

– Gdzie Catherine? – spytała Louisa.

– Wypuścimy ją całą i zdrową, gdy tylko dostaniemy Szare Księgi.

– I mamy wam wierzyć na słowo – powiedziała beznamiętnie.

– Nasze słowo jest coś warte – odezwał się wreszcie Traynor.

– Tak powiedzieliście Monteithowi?

– Monteith to zaczął – odparł Donovan. – Powinien rozumieć ryzyko. Catherine nigdy nie walczyła. Wypuścimy ją, gdy tylko dostaniemy to, czego chcemy.

– Lepiej, żeby tak było.

– A więc jak to ma działać? – spytał River.

– Wy wchodźcie i upewnijcie się, że wszystko jest tak, jak nas zapewniano. Kiedy już będzie bezpiecznie, otwieracie drzwi i wchodzimy my.

– Wydaje się proste – stwierdziła Louisa.

– Z tego, co wiem, jesteście ekipą specjalnej troski. Gdyby chodziło o coś bardziej skomplikowanego niż otwarcie drzwi, pewnie szukałbym gdzie indziej.

River miał dość podkreślania niskiego statusu kulawych koni.

– Ale porwanie bezbronnej kobiety wydawało wam się najłatwiejszym rozwiązaniem. Zrobiliście to tylko we dwóch czy ktoś wam pomagał?

Uśmiech Donovana nie objął jego oczu.

– Nosi cię? Dobry chłopczyk. Pora zagadać strażnika, co?

River miał na końcu języka, że ma nadzieję później dokończyć tę rozmowę, ale uderzyła go myśl, że już taką dzisiaj przeprowadzał. Zerknął więc tylko na Louise, kiwnął głową i oboje wyszli z powrotem na skwar, kierując się w stronę budynku starej fabryki.

Nick Duffy obserwował ich postępy z trzeciego piętra innego podupadłego biurowca. Śledził ich od Barbican. Miał wrażenie, że się zorientowali, choć jechał nieoznakowanym srebrzystym hatchbackiem, jak co drugi pojazd na drodze. Przez jakiś czas Louisa Guy wykazywała zdecydowanie paranoidalne tendencje: za bardzo zwalniała na jednym żółtym świetle, wciskała pedał gazu na następnym. Duffy wiedział, że kiedy dzieje się coś takiego, trzeba zachować spokój. Zakładał, że zadziałają czynniki, które zwykle spowalniają ruch, i że poruszając się ze zwyczajną, równą prędkością, znów zobaczy cel na kolejnym zatłoczonym skrzyżowaniu. A jeśli nie, to zawsze można było liczyć na wsparcie.

Chyba że się go nie miało. Tak jak teraz.

Miał natomiast drugą najlepszą rzecz w takich okolicznościach, to znaczy wiedział, dokąd się wybierali, bo usłyszał to od Dame Ingrid Tearney.

– Pomagają byłemu skazańcowi w popełnieniu przestępstwa, które narusza bezpieczeństwo narodowe.

Jak zwykle powiedziała to w swoim niewzruszonym stylu. Duffy podejrzewał, że gdyby Tearney miała kiedyś przekazać wiadomość o mającej zaraz nastąpić katastrofie nuklearnej, zrobiłaby to w ten sam

sposób. Choć w tych okolicznościach nazwałaby go bez wątpienia drogim chłopcem, bo zawsze w ten sposób osładzała chwile, gdy trzeba było przełknąć tak gorzką pigułkę.

– I chce pani, żebym ich powstrzymał?

– To nie będzie konieczne.

Znajdowali się wtedy w gabinecie Dame Ingrid z widokiem, w którym niedawno dominowała zieleń, ale teraz przeszła w brązy; od czasu, gdy zakazano podlewania trawników, roślinność w parku po drugiej stronie ulicy zaczęła umierać. Zdarzało się tak już wcześniej, ale tym razem trudno było uwierzyć, że sytuacja wróci do normy. Zupełnie jakby osiągnięty został jakiś punkt krytyczny i jakby miasto, a może cała planeta zaczynały nieodwracalnie upadać.

Ale ponieważ nie istniało nic, co on albo ktokolwiek inny mógłby na to poradzić, Duffy odsunął od siebie tę myśl i słuchał, co Dame Ingrid mówiła o tiger teamie Sylvestra Monteitha i o tym, jak ci ludzie zwrócili się przeciwko niemu i odgryźli mu głowę.

Po rozmowie z Lambem Dame Ingrid sama posprawdzała pewne rzeczy, podążając dokładnie tą samą ścieżką co River. Głównym podejrzanym, jak wyjaśniła Duffy’emu, był niejaki Sean Patrick Donovan.

– Porzucenie zwłok w centrum Londynu – powiedział. – Brzmi to tak, jakby chciał dać coś do zrozumienia.

To wyjaśniało, jak River Cartwright postrzegał to, co robił dziś rano. Jednak Cartwright wyszedł o własnych siłach, co dowodziło, że cokolwiek się teraz dzieje, nie pojawi się w żadnym oficjalnym raporcie.

Duffy’emu to nie przeszkadzało. Na tyle długo był szefem psów, by wiedzieć, którym końcem kija można oberwać. Jeśli Dame Ingrid chciała, żeby zrobił coś nieoficjalnie, to postąpi zgodnie z jej rozkazem.

– Akta są nieistotne – powiedziała Tearney. – Archiwalny materiał o dość wątpliwym charakterze. Podejrzewam, że bogate doświadczenia pana Donovanana w wojsku lub zakładzie karnym sprawiły, że stał się paranoikiem. Zawsze mi szkoda, kiedy czyjaś kariera tak spektakularnie upada.

– Ale chce pani pozwolić, by mu to uszło na sucho?

– Kiedy dożyjesz mojego wieku, drogi chłopcze, zrozumiesz, że tak naprawdę nic nikomu nie uchodzi na sucho. Ale w tym konkretnym przypadku: tak, będzie mi odpowiadać sytuacja, w której będzie się wydawało, że uszło mu to na sucho.

Słowo „wydawało” unosiło się między nimi przez kilka chwil, a potem znikło w jego własnej śliskiej spirali.

– Chcę, żeby go pan śledził do jego kryjówki, panie Duffy. By znalazł pan jego norę. I żeby pan zadbał o to, by jego paranoja nie doprowadziła go do poważniejszych przygód.

– Rozumiem.

– Bardzo na to liczyłam. Podejmie się pan tego bez wsparcia?

– Bez wsparcia? Tak, Dame Ingrid. Z radością.

Działanie bez wsparcia było łamaniem wszystkich zasad operacyjnych MI5, co oznaczało, że będzie miała wobec niego duży dług wdzięczności. A biorąc pod uwagę jego wcześniejsze starcie z Lady Di, Nick Duffy czuł, że przyda mu się wysoko postawiony przyjaciel.

Poza tym właśnie do czegoś takiego był stworzony. Przyciskanie agentów, którzy się wychylali – to jedno; miażdżenie potencjalnych wrogów publicznych – to już coś zupełnie innego.

Kiedy Cartwright i Guy wyszli bocznymi drzwiami i znikli na terenie opuszczonej fabryki, Duffy odsunął od czoła lornetkę i otarł pot z czoła. Nie zapadły jeszcze ciemności, ale na nieużytkach w dole kładły się już

długie cienie. Niezależnie od tego, co się tu wydarzy, nie było ryzyka, że coś przegapi.

Nick Duffy szczyił się tym, że umyka mu bardzo niewiele.

– Gdzie twój samochód? – spytał Lamb.

– Bo co?

– Bo uznałem, że może mu się przydać woskowanie i polerowanie. Jezu, po prostu odpowiedz!

Ho wskazał przez okno w stronę pobliskiej nieruchomości. Miał pozwolenie na parkowanie na miejscu naprawdę istniejącego mieszkańca, a ponieważ owym mieszkańcem była dziewięćdziesięcioletnia staruszka, która nie wychodziła z domu, nie występowało ryzyko, że to odkryje. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to możliwe nawet, że już nie żyła. Tak czy inaczej, pewnie istniał jakiś przepis mówiący, że szef nie może cię zmusić do pożyczenia mu samochodu.

Chociaż jeśli taki przepis istniał, to niemal na pewno nie stosował się do Lamba.

– Dobra. Pójdę się wysrać, czekając na ciebie.

– Czekając?

– Idź po samochód. Śpisz czy co? Bo za spanie w godzinach pracy można wylecieć.

Błysk w oku Lamba sugerował, że zasmakował w zwalnianiu swoich pracowników.

Ho niechętnie doszedł do oczywistego wniosku, ale było to nieuniknione.

– Chcesz jechać do High Wycombe.

– I pomyśleć tylko, że w twojej dorocznej ocenie jest napisane, że wolno łapiesz. – Lamb melancholijnie pokiwał głową, co mogłoby być

bardziej przekonujące, gdyby to nie on sam był autorem wspomnianej oceny.

– I chcesz, żebym cię zawiózł?

– Jezus, nie! Ale nikogo innego nie ma pod ręką.

– Cóż, gdybyś nie wywalił...

Ho urwał, widząc łagodny wyraz twarzy Lamba.

– No, mów dalej, synu. Zawsze byłem dumny z tego, że potrafię przyjmować krytykę.

– Po prostu myślę, że niewiele mogę pomóc.

– Ja też. A więc będziesz musiał udowodnić nam obu, że się mylimy, prawda? – Lamb zgarnął z biurka Ho puszkę red bulla i potrząsnął nią, żeby sprawdzić, czy coś w niej jest. Nie było. Westchnął i upuścił ją na podłogę. – Słuchaj, gdyby to ciebie porwali, myślisz, że Standish by ci pomogła?

Wbrew temu, co miał w zwyczaju, Ho zastanowił się nad tym przez chwilę. Standish zwracała się do niego per Roddy, a nikt inny tego nie robił; czasem chwaliła jego komputerowe zdolności i nie prosiła go zaraz potem, żeby rozwiązał jakiś informatyczny problem. Kiedyś podczas lunchu dała mu w plastikowym pojemniczku sałatkę domowej roboty, bo „jadał za dużo pizzy”, cokolwiek to miało oznaczać. Gdy już przestał czuć się taki urażony, stwierdził, że go to wzruszyło; nawet do tego stopnia, że wyrzucił sałatkę tak, by jej nie znalazła. I pomyślał też o tym, że ze wszystkich kulawych koni pewnie to ona najbardziej by się ucieszyła, gdyby się dowiedziała, że on i Louisa są razem. Oczywiście kulawych koni było mniej niż kiedyś, ale to wpływało tylko na procenty, a nie na same fakty.

Gdy już o tym wszystkim pomyślał, mruknął:

– Chyba tak.

– Lepiej licz na to, że tak by było. Bo żaden inny gnojek tutaj by tego nie zrobił, zapewniam cię. A teraz idź po swój samochód. Ruchy, ruchy!

Gdy Ho był już w połowie drogi na dół, Lamb zawołał za nim:

– Ach! I mam nadzieję, że kiedy tak do ciebie mówię, nie uważasz tego za przejaw niewrażliwości na tle rasowym?!

– Nie.

– Wy, żółtki, potraficie być strasznie przewrażliwieni.

Zapowiadało się, że droga do High Wycombe będzie bardzo długa.

Szczegóły związane z miejscem przechowywania archiwów poza Regent's Park były dostępne w intranecie MI5, jeśli wiedziało się, gdzie szukać. Do haseł mieli dostęp tylko pełnoprawni agenci, co nie obejmowało kulawych koni, ale Jacksona Lamba – owszem. Ani Louisa, ani River nie uznali za stosowne, by skomentować to w Slough House, kiedy Ho złamał właściwy kod. Z podsumowania, do którego uzyskali w ten sposób dostęp, dowiedzieli się, że miejsce to znajdowało się pod zubożałą strefą przemysłową; był to podziemny kompleks, który powstał jako schron przeciwlotniczy w latach trzydziestych, a dwie dekady później został wyremontowany. W tamtym okresie znacznie go powiększono, by mogło w nim mieszkać stu dwudziestu urzędników miejscowego samorządu, których – być może ze względu na to, że brali udział w planowaniu – uznano za niezbędnych dla przetrwania cywilizacji po wojnie jądrowej. Obecnie ta podziemna sieć rozciągała się na prawie dwa kilometry na zachód od miejsca, w którym powstała, a łączące ją korytarze gwałtownie skręcały i opadały w dół, by ominąć linię metra; podczas rozbudowy podano, że są to prace konserwacyjne. W tym systemie pieczar i jaskiń doniosła praca polegająca na ocenianiu kryteriów dochodowych i stóp procentowych miała trwać nawet wówczas, gdyby świat na zewnątrz drżał w uścisku nuklearnej zimy.

Taki w każdym razie był plan, ale w późnych latach siedemdziesiątych miejsce to zostało wykupione i przeszło na własność MI5. W tamtym czasie wciąż liczone się z możliwością Armagedonu, a więc radnych najwyraźniej spisano na straty, ale nikt nie robił z tego powodu zamieszania. Zmniejszenie się ich liczby z przyczyn naturalnych, hojne pakiety finansowe dla przechodzących na wcześniejszą emeryturę i bardzo osłabiona uważność urzędników samorządowych pozwoliły, by istnienie tego obiektu stało się mitem; poza tym znajdował się wystarczająco głęboko i miał na tyle grube ściany, by pozostać niewykrytym, gdy na górze, w strefie przemysłowej, trwała zwykła praca. A gdy ta strefa padła ofiarą cudu gospodarczego, który przekształcił Wielką Brytanię w branżę usługową, obiekt po cichu istniał sobie dalej i został zmodernizowany, by mógł stawić czoła bardziej współczesnym zagrożeniom niż wojna nuklearna: epidemiom wirusa, ekstremalnym zjawiskom pogodowym oraz słusznemu oburzeniu wkurzonego elektoratu.

Trudno było nie myśleć w kategoriach bredni w stylu Jamesa Bonda.

– Myślisz, że będą tam ekipy ubrane w srebrzyste kombinezony? – spytał River, gdy weszli do opuszczonej fabryki.

– Masz na myśli blondynki?

– No jasne, blondynki. Ale, no wiesz, rude też.

– I tajna linia kolejowa? – podsunęła Louisa.

– I panel kontrolny z ekranem odliczania i wielkim czerwonym przyciskiem.

Usta Louisy drgnęły i wydawało się, że powie coś jeszcze, ale wtedy, zupełnie tak, jakby ktoś wcisnął wielki czerwony przycisk, ta chwila została skasowana i kąciki jej ust opadły.

– Zdajesz sobie sprawę, że teraz to właściwie magazyn?

– Pamiętam o tym.

– Z personelem ograniczonym do minimum.

– Tak, też to czytałem. – River miał wielką ochotę powiedzieć jej, żeby się rozchmurzyła, a potem przyszło mu do głowy, że może brednie w stylu Jamesa Bonda były czymś, z czego śmiała się razem z Minem, więc dał sobie spokój. – Południowo-zachodni narożnik. Który to?

Louisa już wskazywała w tamtą stronę. Zdążyła włączyć na komórce aplikację z kompasem.

– Liczę na dobrze naoliwioną zapadnię.

Ale znaleźli tam pokrywę studzienki z uchwytem pokrytym ubitą ziemią.

– No świetnie – powiedział River, rozglądając się za jakimś kijem lub czymś, czym mógłby ją wyczyścić.

– Może powinniśmy spróbować głównym wejściem?

Znajdowało się na najbardziej wysuniętym na południe krańcu kompleksu i służyło również za tunel dający dostęp do wiktoriańskich kanałów miasta. Jako takie stanowiło coś w rodzaju atrakcji turystycznej. O tej porze było już dziś zamknięte, ale istniała większa szansa na to, że to tam na kogoś natrafia, niż w starej fabryce. Poza tym z miejsca, gdzie się znajdowali, do samego serca kompleksu znajdującego się bezpośrednio pod nimi czekała ich długa piesza wędrówka. Chyba że naprawdę istniała jakaś tajna kolej.

– Teraz jesteśmy tu – stwierdził River. Znalazł trzydziestocentymetrowy kawałek pręta i podważył nim pokrywę, wypuszczając w już i tak cuchnące powietrze najróżniejsze smrody. – Jezu!

– Myślałeś, że wszędzie będzie lśniący metal? – spytała Louisa. – To tajne wejście.

River zepchnął na bok pokrywę. Odgłos, jaki wydała, gdy szurał nią po podłodze, wprowadził w drżenie jego kręgosłup.

- Chcesz iść pierwsza?
- Chyba pozwolę tobie to zrobić.

Wyjęła latarkę i skierowała ją w otwór. W jej świetle River zsunął się w ciemność.

Dame Ingrid podpisywała właśnie protokół popołudniowego posiedzenia komisji. Każdy inicjał u dołu każdej kolumny był dziełem sztuki; nie odrywając pióra od papieru, aprobowała serię opinii, którym transkrypcja w jakiś sposób nadała gnomiczny charakter... Każdy z członków komisji nieodmiennie wychodził z posiedzenia w przekonaniu, że jego krytyka została wzięta pod uwagę, a w jakimś brudnym zakątku świata tajnych operacji otworzyło się okno, które od tej pory będzie nieskazitelnie lśnić. Dopiero z upływem czasu miało stać się jasne, że to okno pozostało zamknięte, a zasłona wciąż była szczelnie zaciągnięta. I gdyby kiedykolwiek ów stan rzeczy zwrócił uwagę Dame Ingrid, wyraziłaby zaskoczenie, że ktokolwiek mógł pomyśleć inaczej, i wyjęłaby protokół jako dowód, że nigdy tak nie było.

Zdolność myślenia w nieszablonowy sposób często podawano jako warunek pracy w tajnych służbach. Ale być może jeszcze ważniejsza była zdolność do naginania myśli innych ludzi pod kątem stu osiemdziesięciu stopni. Gdyby się nad tym dobrze zastanowić, to właśnie dlatego Peter Judd stanowił takie zagrożenie: wiedział, jak rozegrać zebranie, równie dobrze jak ona. Na szczęście dla Ingrid Tearney jego próba szkodliwej ingerencji w ten proces sprawiła, że pozycja Judda nie była teraz mocna.

Niemniej gdy formułowała tę myśl, uderzyło ją, że szczęście nie jest czymś, na czym zwykle polegała.

Zamknęła pióro, sięgnęła po szklanekę wody i upiła z niej łyk, zastanawiając się nad tym. W tej chwili miała przewagę. Tiger team Judda, który miał zademonstrować, jak chwiejnie Dame Ingrid rządzi MI5, stał się

teraz lekcją pogładową pokazującą, jak arogancja ministra może doprowadzić do przelewu krwi na ulicach; fiasko oznaczające koniec kariery, nawet dla – jak dotąd – tak na to odpornego PJ-a. Sprzątanie już trwało, Nick Duffy miał wysledzić kryjówkę Donovana, gdy tylko Szare Księgi znajdą się w jego posiadaniu. Pozwolić, by ten były żołnierz się ulotnił ze swoim idiotycznym skarbem, to jedno – kolejny gwóźdź do trumny Judda: „Popatrz tylko, do czego doprowadził twój idiotyczny plan” – ale pozwolenie, by sprawy posunęły się dalej, byłoby jak licencja na anarchię. A więc zapchajdziurą pozostawał Duffy; Donovan zginie śmiercią żołnierza, akta wrócą do szafki pod ziemią, a kulawe konie – cóż za absurdalna nazwa – będą mogły kontynuować swą monotonną egzystencję. Jeśli zaś chodzi o samą Dame Ingrid, to powróci do normalności z przyjemnym przekonaniem, że dłoń ministra, która wydawała się spoczywać na jej rumplu, w rzeczywistości reagowała na jej instrukcje. A jeśli chodzi o przyszłość, to udaremnienie ambicji Judda nie było konieczne; o ile pokonany minister spraw wewnętrznych dawał jej pancerną pozycję, o tyle posiadanie w swojej kieszeni premiera gwarantowało beatyfikację. Czyli w sumie całkiem dobry dzień.

Ale mimo wszystko pozostawał ten idiotyczny szept, który wciąż jej przypominał, że smarem w tym mechanizmie było szczęście. Gdyby Donovan nie okazał się jokerem, wszystko potoczyłoby się po myśli Judda.

Ingrid Tearney uświadomiła sobie, że wciąż otwiera i zamyka pióro w sposób, który u zwykłego śmiertelnika świadczyłby o niepewności. Odłożyła je stanowczo na biurko. Pora wmieszać się w tłum.

Łamiąc przepisy i jadąc na skrótach jednokierunkową ulicą, Marcus zmienił kierunek i teraz zmierzał na zachód, manewrując swoim czarnym czołgiem po ulicach miasta, jakby pilotował go na ekranie komputera i jakby najgorszym, co się mogło zdarzyć, było game over. Dwukrotnie niemal

otarł się o pojazdy jadące z naprzeciwka. Shirley przestała oddychać i tak mocno ścisnęła klamkę drzwi, że aby poluzować jej palce, trzeba by użyć klucza nastawnego. Piskliwym głosem spytała:

- Nie jedziemy już dość szybko?
- Im szybciej tam dotrzemy, tym szybciej zwolnię.

Shirley miała nadzieję, że wydarzy się to bez pieszych rozsmarowanych na asfalcie i że sama nie wypadnie przez przednią szybę.

Spojrzała na partnera. Czy teraz, gdy wylecieli z pracy, to słowo wciąż coś znaczyło? A może był tylko kolejnym prawie nieznanym, jednym z wielu w jej życiu, którzy zmywali się, gdy sprawy nadto się komplikowały? Tylko że tego nie zrobił, prawda? Sprawy oficjalnie się skomplikowały jakąś godzinę temu, a on wciąż tu był i pędził jak rakietą ulicami miasta; mknąc z maksymalną prędkością ku czemuś, co mogło się okazać tylko kolejną mrzonką.

Może potrafił czytać w jej myślach.

– Kiedy byłem w taktycznej grupie bojowej, mieliśmy taki dowcip – powiedział. – Kiedy drzwi nie są drzwiami?

– Kiedy są uchylone?

– Kiedy są stertą pieprzonych zapalek – wyjaśnił Marcus. – Nie byliśmy szczególnie subtelni.

– Tak, rozumiem.

– Jeśli istnieje możliwość, że dzieje się coś złego, chcemy być na miejscu, zanim to się zacznie. W przeciwnym razie od razu znajdziemy się w defensywie, a to nie jest dobre, kiedy gówno spada na głowę.

Znów wpadał w styl macho z wcześniejszego okresu w jego karierze, uświadomiła sobie Shirley, i w tej rzadkiej chwili, gdy gotowa była okazać więcej taktu, postanowiła mu tego nie wypominać.

Żółte światło zmieniło się na czerwone jakieś dwie sekundy przed tym, jak przejechali skrzyżowanie i pozostawili za sobą wściekłe trąbienie.

– I dlatego musimy się śpieszyć.

– Żeby tam dotrzeć, zanim zacznie się coś złego – dopowiedziała Shirley.

– Tak.

– I być może odzyskać robotę.

– Być może.

– I zadbać, żeby Cartwright i Guy nie oberwali.

– No, to też.

– I tak uważam, że powinieneś zwolnić – oświadczyła Shirley.

– Czemu?

– Bo ten samochód, który właśnie wyprzedziłeś, to był wóz policyjny – poinformowała go.

Informacja ta jednak natychmiast się zdezaktualizowała, bo wspomniany samochód włączył syrenę i rozległ się znajomy dwutonowy lament domagający się uwagi wszystkich, ale ich w szczególności.

Roderick Ho był dumny ze swojego wozu. Niektóre z pozostałych kulawych koni (miał tu na myśli Cartwrighta) w ogóle nie miały własnych samochodów, a co dopiero fordą ką, niebieskiego metalika z kremowym dachem i nagłośnieniem, które naprawdę dawało czadu – Ho lubił muzykę, która wiązała się z ostrzeżeniami dla zdrowia i gotyckimi czcionkami. Siedzenia też były kremowe, odpowiednio z metalicznie niebieskimi szwami, a przednia szyba była lekko przydymiona, co utrudniało rozpoznanie, kto siedzi w środku. W sieci, gdzie Ho zmieniał się w Roddy'ego Hunta, didżeja supergwiazdę, nazywał swój pojazd magnesem na laski, a w prawdziwym życiu utrzymywał go w nieskazitelnym stanie i regularnie traktował sprayem, by pachniał jak

nowy. W zamian za to wóz uparcie odmawiał dorównania swemu przezwisku, ale taki już był problem z samochodami, które wcześniej należały do kogoś innego. Poprzedni właściciel zużył całe szczęście tej maszyny.

Ale mimo wszystko to wciąż był świetny pojazd. Pewnie pod każdym względem równie dobry jak inne samochody, pomyślał, zatrzymując się przy krawężniku, gdzie czekał już Jackson Lamb.

Stał, trzymając w ręce plastikowy kubek z kawą. Potrząsnął głową.

– Na litość.

Ho opuścił szybę.

– Że co?

– Skoro już musisz pytać – odparł Lamb – to znaczy, że i tak nie zrozumiesz odpowiedzi. Czułbyś się jak lokaj, gdybym usiadł z tyłu?

– Tak.

– Doskonale. – Lamb wcisnął się na tylne siedzenie, rozlewając przy tym tylko trochę kawy. – Dlaczego tu śmierdzi serem?

Wreszcie zapadał zmierzch; włączyło się kilka latarni ulicznych, inne pozostawały uśpione – działały według innego harmonogramu albo były zepsute. Na chodnikach wracający do domu ustąpili szukającym rozrywki – zmierzającym do Barbican na jakąś imprezę albo dryfującym w stronę barów przy Old Street. Roderick Ho zerknął we wsteczne lusterko i przyłapał Lamba na grzebaniu w kieszeniach. Właśnie wyciągał ręce z nich obu, ściskając w jednej papierosa, a w drugiej zapalniczkę.

– Nie trać głowy – powiedział Lamb. – To tylko e-papieros.

– Wcale nie – zauważył Ho.

– Nie? – Lamb podejrzliwie przyjrzał się rozżarzonej końcówce. – Cholera, ale naciągacze.

Ho zdusił w sobie protesty, gdy dotarło do niego, że Lamb zauważył pozwolenie na parkowanie leżące przy przedniej szybie.

– To przykrywka – zapewnił.

– Przykrywka – powtórzył Lamb.

– I zabezpieczenie przed kradzieżą tożsamości.

Śmiech Lamba był w dwóch trzecich kaszlem. Wypuścił przy tym tyle dymu, że wyglądał jak zalane wodą ognisko.

– Kradzieżą tożsamości? Możesz mi wierzyć, chłopcze, twojej nikt nie chciałby nawet za darmo.

Ho spojrział na niego ze złością.

Lamb rozsiadł się wygodniej na tylnym siedzeniu i przymknął oczy. Coś wyrwało się z jego ust – trudno powiedzieć, czy był to początek chrapnięcia czy koniec śmiechu – ale potem w sumie zapadła cisza, gdy Roderick Ho, kierując się nawigacją satelitarną, wywoził ich z miasta w stronę miejsca, gdzie przetrzymywano Catherine, albo przynajmniej liczyli na to, że tak jest.

– Diano – powiedziała Tearney.

– Właśnie wychodziłam.

– Naturalnie, moja droga. Absolutnie nie ma potrzeby, żebyś zostawała po godzinach.

– Jest już po...

– Zastanawiałam się tylko, czy podpisałaś już faktury dla ludzi od Przenoszenia Danych.

Od Przenoszenia Danych, zamiast po prostu od przeprowadzki; bądź co bądź byli to specjaliści, choć rezultatem ich pracy było to, że pudła zabierane z jednego miejsca trafiały do innego.

Dame Ingrid weszła za Dianą do jej gabinetu, w którym automatycznie włączyło się światło; chłodny błękit zbliżony do wiosennego słońca, który

mimo to sprawiał, że człowiekowi unosiły się włoski na karku; Ingrid przypisywała to doznanie nadmiarowi elektryczności w powietrzu, jakby ta mogła wyciekać ze źle założonych gniazdek. Dziwne, jak te włoski niestrudzenie pracowały, podsycając nieprzyjemnie niepokojące uczucia, podczas gdy włosy na jej głowie przestały dotrzymywać jej towarzystwa, kiedy była nastolatką. Nigdy nie znaleziono całkowicie satysfakcjonującego wyjaśnienia dla takiego stanu rzeczy, choć Dame Ingrid niechętnie musiała przyznać, iż wynikało to nie tyle z braków w medycynie, co z jej własnej skłonności, by w tych okolicznościach być całkowicie usatysfakcjonowaną.

Diana Taverner na stojąco włączyła wyszukiwanie i pochylając się nad monitorem, lekko zmarszczyła brwi i patrzyła, jak pojawia się gmatwanina nazw folderów, z których żaden nie zawierał informacji, jakiej szukała.

– Mam to gdzieś tutaj.

– Nie ma pośpiechu, moja droga.

Tearney nauczyła się już dawno temu, że najlepszym sposobem zdenerwowania podwładnego jest zapewnienie go, że absolutnie nie musi się śpieszyć.

Czekając, Dame Ingrid spoglądała przez szklaną ścianę gabinetu na dzieciaki w centrali. Nazywano ich dzieciakami bez względu na wiek czy doświadczenie. Do pracy tu przywiodła ich lojalność, choć lojalność była określeniem podlegającym niekończącym się zmianom; z początku było to chwalebne pragnienie służenia królowej i krajowi, które mogło wznieść się na jeszcze cnotliwsze wyżyny absolutnej wierności szefowej MI5, ale w najgorszym razie mogło się ono zdegenerować do pragnienia zadowolenia bezpośredniego przełożonego, w tym przypadku Diany Taverner, bez zadawania żadnych zbędnych pytań.

Jeśli fakt, że los dla Tearney się dziś odwrócił, wynikał z czegoś więcej niż ze szczęścia, to prawdopodobnie miał swoje źródło gdzieś w tym

wydziale: wydziale operacyjnym. Naturalnie Diana jak najbardziej była zdolna do własnych machlojek, ale jeśli się okaże, że nakłoniła swoją ekipę do pomocy przy tej brudnej robocie, trzeba będzie przeprowadzić czystkę. Ale to żaden problem: dobra czystka jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Cóż, może z wyjątkiem tych, którym zaszkodziła, ale przecież właśnie taki był cel.

Ale to wszystko było przedwczesne. Jeśli faktycznie jej sytuacja wynikała nie tylko ze szczęścia, musiała poznać powód i dowiedzieć się, na czym będzie polegać dokończenie tej gry.

– Proszę bardzo.

Szorstki ton Diany Taverner wskazywał, że zdecydowanie chciała już wyjść. Dame Ingrid odczekała więc jeszcze chwilę pogrążona w rozmyślaniach, a potem powiedziała:

– Och, to dobrze. Tak. Zechciałabyś to dla mnie wydrukować? Nie lubię ciągle wpatrywać się w monitor, a ty? W naszym wieku?

Diana to przełknęła, ale było widać, że jej się nie spodobało. Dwie sekundy później drukarka na półce za jej plecami obudziła się do życia i Taverner podała Dame Ingrid wydruk.

Szefowa studiowała go przez dłuższą chwilę, po czym stwierdziła:

– Drogo.

– Mieliśmy z tym problem – powiedziała Diana. – A teraz został rozwiązany. W każdym razie sądziłam, że ci w dziale finansów byli zadowoleni. Nie mówiłaś tak przypadkiem dziś rano?

– Być może trochę upiększyłam ich reakcję ze względu na dżentelmenów obecnych na zebraniu – odparła Tearney. – My, dziewczyny, musimy się wspierać.

– Oczywiście.

Dame Ingrid złożyła fakturę, jeszcze raz zerknęła przez przeszkloną ścianę na dzieciaki, po czym spytała:

– Mówi ci coś nazwisko Sean Donovan?

– A powinno?

– To proste pytanie, Diano.

– Mogę kazać go sprawdzić...

– Osobiście. Czy osobiście znasz Seana Donovana?

– Nazwisko mi się z czymś kojarzy – odparła Taverner. Zrobiła minę, jakby się nad tym zastanawiała, którą szybko zastąpił wyraz świtającego zrozumienia. – Nie zasiadał przypadkiem wiele lat temu w łączonej komisji do spraw wywiadu? Nie pracował dla Ministerstwa Obrony?

– I od tej pory nie miałaś z nim żadnych kontaktów?

– Wtedy też właściwie nie utrzymywaliśmy kontaktów. Był tylko kolejnym mundurowym, który miał praktyczne doświadczenie w tłumieniu zamieszek.

– Rozumiem.

– A czemu pytasz? Jest coś, o czym powinnam wiedzieć? – Wskazała na swój zespół. – Coś, czym powinniśmy się zająć?

Dame Ingrid utkwiała w niej długie, pełne roztargnienia spojrzenie, jakby z całych sił usiłowała sobie coś przypomnieć, a Diana akurat znalazła się na drodze. Ta technika potrafiła wyciągnąć informacje z najbardziej niechętnych temu podwładnych, jednak w tym przypadku na twarzy Diany utrzymał się wyraz lekkiej troski połączonej z chęcią pomocy, która nie została jednak zwerbalizowana. W końcu Dame Ingrid potrząsnęła głową.

– Nie, moja droga. Pojawiło się to nazwisko, nic poza tym. – Machnęła kartką. – Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. Tak jak mówisz, to problem, który został rozwiązany. Krótkoterminowe koszty, długoterminowe korzyści.

– Zgodnie z wytycznymi.

– Materiały aż do poziomu Wergiliusza, zgadza się?

– Tak, włącznie. Ponownie zgodnie z wytycznymi – odparła Diana. – Jest jakiś problem, Ingrid? Wydajesz się zaniepokojona.

– Zaniepokojona? Skądże znowu. Przepraszam, że cię zatrzymałam, Diano. Miłego wieczoru.

Na korytarzach było teraz cicho. Nawet stukanie własnych obcasów brzmiało w jej uszach dziwnie, jakby nie do końca synchronizowało się z jej krokami.

Po powrocie do gabinetu usiadła, nie przy swoim biurku, tylko w fotelu w kącie, obok którego stał niski stolik. To tam zwykle siadała, gdy wieczorem popijała gin z tonikiem – spokojna nagroda za dobrze spędzony dzień. To tam siadywała, gdy przygotowywała swoje sporadyczne publiczne wystąpienia i zastanawiała się, jak je ożywić jakimś sformułowaniem, które uczyni je zabawniejszymi i lżejszymi dla słuchaczy. I to tutaj siadała, gdy potrzebowała schronienia; gdy przy swoim biurku czuła się zbyt narażona na atak.

Wśród jej podwładnych – o czym Dame Ingrid wiedziała – panowało ogólne przeświadczenie, iż nie wie o tym, że obecne kody bezpieczeństwa bazują na Thunderbirds, odpowiadało jej jednak, że nie docenia się jej w kwestiach o niewielkim znaczeniu. Była pewna, że większość personelu uważa ją po prostu za główną biurwę. Nie miała też wątpliwości, że wytyczne przekazane Dianie Taverner nie obejmowały przeniesienia akt poziomu Wergiliusza, ponieważ Dame Ingrid dawno ustaliła, że tajemnice drugiego poziomu stanowią idealną kryjówkę. Najseksowniejsze rzeczy były ukryte na poziomie Scott: sensacyjny materiał, który był klejnotem koronnym każdych tajnych służb. Jeśli chodzi o poziom Wergiliusza, to w większości ukryte były w nim dane, które zainteresowałyby jedynie

analitka z fetyszem na punkcie budżetu: ile wydano na aktualizację oprogramowania, dotowanie stołówki albo wymianę dywanów. A więc jeśli Dame Ingrid miała jakiegokolwiek mroczne tajemnice ukryte w archiwach MI5, to musiały się one znajdować na poziomie Wergiliusza.

A każdy, kto bacznie obserwował Ingrid Tearney, wiedział, że bynajmniej nie jest tylko główną biurwą i że ma mroczne tajemnice.

Po chwili wyciągnęła z torebki komórkę.

Nick Duffy odebrał po pierwszym sygnale.

– Nastąpiła zmiana planów – powiedziała.

River spadł tylko jakieś trzydzieści centymetrów, ale wylądował na betonowej podłodze na tyle gwałtownie, by każda kość w jego ciele przypomniawsza mu, co jest winny Nickowi Duffy'emu. Odłożył tę myśl na później.

– W porządku – zawołał do Louisy.

Ruszyła za nim, wylądowała z większym wdziękiem i natychmiast omiotła pomieszczenie latarką. Na ścianach z dołu do góry biegły pospinane ze sobą niebieskie i czerwone kable; znikwały w podłodze i w suficie. Znajdujący się pośrodku uchwyt w kształcie koła osadzony poziomo w betonowym bloku wyglądał jak coś, czym otwiera się kanał ściekowy.

– Co to? – spytał River.

– Jakiś rodzaj drenażu.

– Nie, to, co trzymasz.

– Latarka.

– Tyle widzę. Dlaczego ma kształt świnki?

– Bo ma.

– Dobra.

– To latarka, którą trzymam w schowku pod deską rozdzielczą, okej? Gdybym wiedziała, że będziemy bawić się w eksploratorów, spakowałabym odpowiedniejszy sprzęt.

– Niech będzie. Poświeć na chwilę tam.

Znalazł na ścianie coś, co wyglądało jak skrzynka bezpiecznikowa, zamknięta na metalowy zatrzask.

Louisa świeciła na nią, a River pociągnął za zatrzask. W pierwszej chwili wyglądało na to, że nie da rady. Kiedy jednak zatrzask ustąpił, drzwiczki skrzynki się otworzyły, ukazując telefon z okrągłą tarczą. Wydawało się, że jest w nieskazitelnym stanie.

– Ty czy ja? – spytał River.

– Ty to zrób.

Sięgnął po słuchawkę, lecz zanim zdążył jej dotknąć, telefon zadzwonił.

Słyszała kiedyś o wędrowcu, który na wiele lat przed pojawieniem się e-booków zabrał ze sobą w Alpy powieść i wyrywał po jednej stronie, w miarę jak czytał, by nosić lżejszy bagaż. Miało to wiele zalet. Kiedy żyło się bez bagażu, każda chwila twojej opowieści wylatywała za burtę, gdy tylko się dokonała; przyszłość była nieskazitelna, nierozcieńczona wszystkim tym, co wydarzyło się wcześniej. W ten sposób zawsze było się na pierwszej stronie. Nigdy nie oglądało się za siebie, by ponownie przeżywać swoje błędy.

Tu, w gorącym pokoju, Catherine lekko szumiało w głowie, ale nie na tyle, by nie rozumiała, czym to tak naprawdę jest. Coś takiego nazywano „byciem pijanym”. Tak określali to amatorzy; ci, którzy nigdy w życiu nie byli tak naprawdę pijani – a ktoś, kto był pijany tylko przez jeden dzień w życiu, nawet się nie zbliżył do bycia pijakiem.

Buteleczka wciąż stała na tacy, kiepsko ukryta za kanapką, jabłkiem, herbatnikami i wodą. W głowie już się ich pozbyła. Kolor nieba za oknem powiedział jej, że upłynęła cała doba od czasu, gdy wyszła na ulicę i usłyszała szept ducha: „Catherine?”. Jak w większości przypadków całego tego epizodu można było uniknąć; zabrakło zaledwie paru minut. Gdyby w chwili, gdy zjawił się Sean Donovan, odwróciła się, tak jak zrobiłby to

każdy dobry agent, i wróciła do Slough House, nic z tego wszystkiego by się nie wydarzyło. Wystarczyłoby jedno jej słowo do Charlesa Partnera i uruchomiłyby się tryby MI5. Było to zaletą bycia blisko człowieka na samej górze. Kiedy się komuś ufało, jedno proste słowo wystarczało, by wszystko załatwić.

Tyle tylko że Charles Partner nie żył, po tym jak wystrzelił sobie wszystko z głowy w wannie. Jej szefem był teraz Jackson Lamb i popchnięcie go do działania wymagało czegoś więcej niż zaufania.

W myślach pozbyła się wody, herbatników, jabłka i kanapki, bo to nie była ich walka. W bitwie o kontrolę nad tym pokojem brała udział tylko ona i buteleczka wina. I z jakiegoś powodu ta buteleczka nie stała już na tacy, lecz udało jej się pokonać dzielącą je odległość i niczym upiorna lalka z horroru tkwiła teraz w jej dłoni.

Cóż, niech i tak będzie. Jeśli walka była nieunikniona, miało to sens, że Catherine wzięła się w garść, a trzymana w garści buteleczka podkreślała symbiotyczną naturę ich wzajemnych relacji. Była kluczem do jej przeszłości. Gdyby zdjęła zakrętkę i wypila jej zawartość, mogłaby znów przeczytać każdą z tych wszystkich stron, których tak bardzo starała się pozbyć. Oczywiście pozwalając jej to zrobić, buteleczka zrezygnowałaby z własnej przyszłości – stałaby się jedynie pustym naczyniem – ale taka była natura współzależnienia: jedno z was musiało umrzeć. Wystarczy spojrzeć na Charlesa Partnera.

Siedziała na łóżku, wyprostowana, oparta plecami o ścianę. Trzymanie butelki w ręce sprawiało przyjemność, jej kształt dobrze układał się w dłoni, a banderola na nakrętce była taka cieniutka, tak łatwo dałoby się przekręcić nakrętkę...

Wszystkie te wieczory w gabinecie Jacksona Lamba, gdy patrzyła, jak karał o wiele większe butelki. Tamte chwile powinny być surowszą próbą.

A teraz była sama i istniało ryzyko, że się podda. I coraz bardziej zaczynała czuć się tak, jakby to nie tyle było poddanie się, co po prostu zrelaksowanie się; stanie się kimś, kim zawsze była, mimo wszystkich starań, by przekonać samą siebie, że jest inaczej.

To nie była żadna straszna zdrada, prawda?

Catherine przekrzywiła głowę i nasłuchiwała, jakby spodziewała się, że głosy powrócą i wyszepczą jej do ucha odpowiedź.

Ale nic się nie wydarzyło. Gdzieś daleko jakiś samochód zmienił bieg, i to wszystko. W pokoju było teraz o ton ciemniej. Ale tak zawsze się działo o tej porze wieczoru. Nie należało się w tym dopatrywać niczego więcej. To była po prostu kolejna chwila do wyrwania i wyrzucenia.

Niemal mimowolnie Catherine przekręciła nakrętkę i zerwała banderolę.

Głos był przetworzony elektronicznie – brzmiał jak z mówiącego kosza na śmieci.

- Unieś swój identyfikator MI5.
- Nie widzę kamery – odpowiedział River.
- Nie musisz widzieć kamery. Wystarczy, że kamera widzi ciebie.

Stojąca za nim Louisa przewróciła oczami.

River wyjął swój identyfikator i uniósł go na poziom oczu. Choć trzymał przy uchu słuchawkę, czuł się tak, jakby rozmawiał z duchem.

Ten sam monotony, elektroniczny głos wyrecytował jego numer służbowy.

- Dobra – powiedział River. – Wierzę ci. Jest tu jakaś kamera.
- Twoja karta nie jest biometryczna.
- Tak, nie zabrali się jeszcze za wymianę naszych identyfikatorów na nowe.

I pewnie nigdy tego nie zrobią.

– River Cartwright – powiedział głos. – Teraz kobieta.

River odsunął się na bok, wciąż trzymając słuchawkę, a Louisa pokazała swój identyfikator pustemu miejscu nad telefonem.

Głos znów wyrecytował numer tuż przy uchu Rivera, a potem stwierdził:

– Louisa Guy. Ale zmieniła kolor włosów.

– Zmieniłaś kolor włosów – rzekł do niej River.

– Tak, zdarza się.

– Gdzie jest Slough House? – zapytał głos.

– To jakiś quiz?

– Gdzie jest Slough House?

– Przy Aldersgate Street.

– Nie jesteście z Regent's Park.

– Nie – wyjaśnił cierpliwie River. – Jesteśmy z Aldersgate Street. Musimy coś sprawdzić w archiwach, które przeniesiono tu w zeszłym miesiącu.

Milczenie.

– Wiesz, o jakich archiwach mówię?

– Nie poinformowano mnie o tym.

– Tak, ale prawdopodobnie poinformowano cię, że tak się może zdarzyć – odparł River. – W jakimś bliżej nieokreślonym momencie w przyszłości.

Milczenie.

– To jest właśnie ten bliżej nieokreślony moment – dodał River.

– Masz upoważnienie?

– Ustne.

– Nie mogę cię wpuścić, jeśli nie zobaczę pisemnego upoważnienia.

Louisa pochyliła się w stronę Rivera, by też coś słyszeć, i powiedziała:

– Widziałeś nasze identyfikatory. Wszystko zgadza się z tym, co widzisz na ekranie, prawda?

– Z wyjątkiem tego, że nigdy nie słyszałem o Slough House.

– Cóż, nic dziwnego. Jesteś pomocą z zewnątrz.

River szturchnął ją ostrzegawczo i zabrał głos:

– Wiedza o Slough House jest ściśle ograniczona. Nie mogę powiedzieć więcej na nieszyfrowanej linii.

– To nie jest nieszyfrowana linia.

– Tak, dobra. Ale znasz protokół.

– Przeszedłem kurs – odparł głos.

– Przeszedł kurs – mruknęła Louisa.

– Gdyby nasze identyfikatory były sfałszowane, uruchomiłbyś już alarm. Wszyscy wiemy, że tego nie zrobiłeś. Więc wpuść nas, dobra?

Louisa znów pochyliła się do przodu.

– To ważna misja. Poziom Scott. Okej?

– Poziom Scott?

– Nie przez telefon – powiedział River. – Wpuść nas, to wszystko wyjaśnimy.

Nastąpiła chwila niezupełnej ciszy, podczas której oddech mówiącego był przetwarzany na elektroniczny szept z kosza na śmieci. A potem kliknęła odkładana słuchawka.

Następnie rozległ się inny, głośniejszy dźwięk, zgrzytnęło, po czym uchwyt w kształcie koła w betonowym bloku za ich plecami został zwolniony z jakiegoś niewidocznego dla nich mechanizmu i przesunął się o kilka centymetrów w górę.

Lamb patrzył z konsternacją na pola po obu stronach autostrady. Na szczęście zaczynały już znikać w mroku, ale i tak zajmowały więcej miejsca w jego otoczeniu, niż to było do przyjęcia. Wśród nich stały

porozrzucane domy; czasem w małych grupkach po cztery czy pięć, a częściej samotnie, otoczone otwartym terenem.

– Lepiej, żebyś miał rację – powiedział do Ho. – Jeśli wyciągnąłeś mnie w tę zapadłą dzicz, żeby szukać wiatru w polu, możesz się pożegnać z premią roczną.

Ten konkretny odcinek zapadłej dziczy składał się z sześciu pasm autostrady, na której panował umiarkowany ruch.

– To ja dostaję jakąś premię roczną? – spytał Ho.

– Nie. Nie słuchałeś, co mówię? – Lamb ewidentnie szykował się, żeby zapalić kolejnego papierosa, choć pewnie nawet on zaczął zauważać, że powietrze w samochodzie osiągnęło poziom bliski progu toksyczności. – Boże, spójrz tylko na to! Ci ludzie, którzy tu mieszkają, pewnie nigdy w życiu nie widzieli taksówki.

Przygnębiło go to do tego stopnia, że mimo wszystko zdecydował się zapalić.

– Najbardziej szkoda mi dzieciaków – ciągnął, choć pewnie jeszcze nigdy nie użył tych słów w tym samym zdaniu. – Dorastają odcięte od cywilizacji. Muszą się nauczyć, jak zwierać kable w samochodzie, albo będą tu tkwić, póki ktoś nie posadzi ich na polu.

– Ja też potrafię zwierać kable w samochodzie.

– Hmm. Zawsze zakładałem, że to Longridge był młodocianym przestępcą – powiedział Lamb. – Nie żebym powiełał stereotypy czy coś w tym stylu, ale jest... no cóż... – Przerwał na chwilę. – Sam wiesz.

– Czarny?

– Z East Endu. Jezu, wy, imigranci, zawsze we wszystkim doszukujecie się rasizmu, co?

– Ale...

– A tak w ogóle, gdzie nauczyłeś się zwierać kable? Myślałem, że tylko ćwiczyłeś nadgarstki. – Lamb zademonstrował to gestem: coś pomiędzy stukaniem w klawiaturę a dojeniem krowy. Łypnął okiem na Ho. – W ten czy inny sposób...

– W internecie jest pełno informacji – odparł Ho. – To czyni ze mnie eksperta w wielu dziedzinach.

– Jest w nim też pełno pornografii – zauważył Lamb. – Ale to nie czyni z ciebie Casanovy. Co mówi ten twój dynks?

Ho zerknął na nawigację.

– Następny zjazd po tym.

– Dobrze. I mam nadzieję, że opracowałeś plan. – Lamb znów obwisł jak ropucha. – Bo ja nie.

Ho uśmiechnął się nerwowo, zobaczył we wstecznym lusterku twarz Lamba i zatrzymał samochód.

Było w jakimś sensie nieuniknione, pomyślała Louisa, że ten głos, który brzmiał jak z pojemnika na śmieci, będzie należał do faceta wyglądającego jak kij od miotły: właściciela jednego z tych patykowatych ciał, których łokcie, nadgarstki i kolana wyglądają wręcz boleśnie, jakby przeszczepiono je po jakimś tragicznym wypadku. Nosił białą koszulę z krótkim rękawkiem zapiętą pod szyję i do tego brązowe sztruksy; miał rzadkie jasnorude włosy i nadržbiał to sobie wąsami. Nie sposób było powiedzieć, od jak dawna je zapuszczał, i trudno było się powstrzymać od zasugerowania mu, żeby już dał sobie spokój. Nawet dla Louisy, dla której faceci byli teraz na szarym końcu listy interesujących ją spraw, te rzadkie marchewkowate kosmyki nad górną wargą mężczyzny wyglądały jak akt znęcania się nad samym sobą.

Gdy już otworzyli włącz ze śluzą powietrzną i zeszli po metalowej drabince do klimatyzowanego obiektu poniżej, przedstawił im się jako

Douglas.

– To imię czy nazwisko? – spytała, gdy Douglas nacisnął przełącznik i włącz nad nimi się zamknął.

– Imię.

– Dobra.

– Nazwiska nie zamierzam wam podawać.

– Dobra...

– Nadmiar ostrożności nigdy nie zawadzi – wyjaśnił.

To akurat prawda, ale jeśli chodzi o Douglasa, niezbyt sympatycznie byłoby mu wytykać, że w jego przypadku trochę już na to za późno.

Pomieszczenie było duże i jasno oświetlone, większość widocznych powierzchni z jakiegoś lśniącego metalu. Pod jedną ze ścian znajdowała się konsola robocza z obrotowym krzesłem wesoło kołyszącym się po tym, jak Douglas się z niego podniósł. Panel monitorów, w które wcześniej się wpatrywał, wyświetlał obrazy z monitoringu, bo na ekranie jednego z nich Louisa poznała pomieszczenie, które dopiero co opuścili. Na innych widoczne były różne ujęcia nieużytków na zewnątrz, teraz prezentujących się bardziej ponuro niż dziesięć minut temu; jeszcze inne musiały pokazywać wnętrze budynku, ponieważ widać na nich było drzwi, korytarze i przestrzenie, które wyglądały jak magazyny z ciężkimi regałami. Na tych ostatnich znajdowały się równo poukładane skrzynie, pudła i całe kilometry papieru w segregatorach i kartonowych teczkach. Bez wątplenia gdzieś tam musiały być Szare Księgi. Zastanawiała się, w jaki sposób to wszystko było katalogowane – bez jakiegoś systemu mogliby grzebać w tym wszystkim do Bożego Narodzenia i nie znaleźć tego, o co im chodziło.

Ale przynajmniej byłoby jej chłodno... Louisa nic nie mogła poradzić na to, co zrobiła: uniosła ręce na boki i pozwoliła, żeby schłodzone

powietrze wpełzło pod jej bluzkę i pieściło skórę.

Douglas ją obserwował.

– Naprawdę zmieniłaś kolor włosów, wiesz? – powiedział.

– Zrobiłam to celowo.

– Kamuflaż czy coś w tym stylu?

– Tak – potwierdziła. – Coś w tym stylu.

– Jak dużą ekipę macie tu na dole? – spytał River.

Douglas posłał mu pełne wyższości spojrzenie, z którym było mu mniej więcej tak do twarzy jak z tymi wąsami.

– To tajna informacja.

– Tajna informacja – powtórzył River. – Rozumiem. – Milczał przez chwilę. – Mogę zobaczyć twój identyfikator MI5?

– Że co?

– Twój identyfikator MI5. Żeby zweryfikować, do jakiego poziomu tajności masz dostęp.

– Nie mam identyfikatora...

– Właśnie.

– Nie jestem z tajnych służb. Już o tym wiecie.

– No tak – mruknął River. – Widzisz, właśnie w tym miejscu ta cała tajność trochę się komplikuje. Bo ja mam dostęp do rzeczy o wyższym stopniu tajności niż ty. Ponieważ ty nawet nie masz identyfikatora, wiesz?

– Byłem sprawdzany – odrzekł Douglas.

– To oczywiste – zaczęła Louisa, ale tak gładko przeszła do kolejnego zdania, że ostrzegawcze spojrzenie Rivera okazało się niepotrzebne. – Odpowiadasz za ten obiekt, masz mnóstwo... sprzętu, nie ma szans, żebyś trafił tutaj bez całkiem intensywnego sprawdzania. – Pociągnęła bluzkę, wpuszczając pod nią więcej powietrza. – Ale nas też intensywnie

weryfikują, Douglas, i to dlatego mamy dostęp do poważnych spraw. No wiesz, prawdziwe, poważne akcje... Rozumiesz, o co mi chodzi, Douglas?

Douglas odchrząknął.

– Ugh... Tak, tak sędzę.

Wydawało się, że River ma jakąś alergiczną reakcję na chłodne powietrze – chwycił nos palcem wskazującym i kciukiem i mocno ścisnął.

– To dobrze, Douglas. – Louisa puściła bluzkę i przeczesła włosy. – Znaczy, że jesteśmy po tej samej stronie, prawda?

– Ummm, tak... Chyba tak.

– To cudownie. Ile osób jest z tobą tu na dole, Douglas?

– Eee... W tej chwili? Czy zazwyczaj?

– W tej chwili.

– Nie ma nikogo.

– A zazwyczaj? – spytał River.

– Cóż, zazwyczaj... też nikogo nie ma.

– Nikogo – powtórzył River.

– Z wyjątkiem obchodu raz w tygodniu. Mój szef robi kontrolę, sprawdza, czy wszystko jest jak należy. – Uniósł palec do górnej wargi, jakby sprawdzał, jak szybko rosną mu wąsy. – Przez resztę czasu jesteśmy tu tylko my.

– My? – spytała Louisa.

– Ja i Max. – Douglas lekko się zarumienił. – Tak nazywam mój komputer.

– Nadałeś imię komputerowi – powiedziała beznamiętnie Louisa.

– Reaguje na głos.

Breloczek Louisy też na niego reagował, ale jeszcze nie utworzyła razem z nim wspólnego klubu.

Douglas podciągnął kołnierzyk, nieświadomie naśladowując ruch Louisy, gdy próbowała się ochłodzić.

– To... eee... Po co właściwie tu przyszliście? Chodzi o tę parę, która była tu wcześniej?

– Czyli jaką? – spytał River.

– Kręcili się tutaj. Między budynkami.

– Jeden po pięćdziesiątce, siwe włosy, mocno zbudowany? Drugi łysy?

– Tak, wygląda na to, że to oni. Tyle że oczywiście mamy tu mnóstwo żuli. Ale ci kolesie byli inni.

– Nie martw się – uspokoiła go Louisa. – Nie będzie z nimi problemów.

– Czasem też się tu pojawiają ekipy filmowe. To dobre miejsce, żeby wysadzić w powietrze samochód.

– Będę o tym pamiętać.

– Zabawne, że przyjeżdżają tu kręcić filmy. Ja tu siedzę i oglądam, a oni nawet o tym nie wiedzą. To trochę jak... – Splótł palce, demonstrując skomplikowane zależności prawdziwego życia i fantazji rozgrywających się równolegle, trochę nad ziemią, a trochę pod nią. – To mi daje kopa.

– Mhm – mruknęła Louisa.

– Dzieciaki rozkręcają samochody na części. Tego też jest tutaj sporo.

– Jak długo tu siedzisz?

– Trzy lata.

Louisa miała na końcu języka pytanie, jak długie są zmiany, ale doszła do wniosku, że nie chce tego wiedzieć. Możliwość, że Douglas spędził tu trzy lata sam, bez żadnej przerwy, z każdą minutą wydawała się coraz bardziej prawdopodobna.

River spoglądał na szereg monitorów i martwe sceny, które się na nich wyświetlały. Wskazał na ten, na którym widać było magazyn z pudłami i segregatorami.

– To te rzeczy, które dostarczono w zeszłym miesiącu?

Douglas niechętnie oderwał wzrok od Louisy.

– Tak. Zajęło im to dwa dni.

– To musiało być ekscytujące – powiedziała Louisa. – To znaczy w porównaniu z...

Z tym, że w ogóle nic się nie dzieje, to chciała powiedzieć, ale Douglas zapatrywał się na to inaczej.

– Och, zawsze jest ekscytująco. Nikt nie wie, że tu jestem.

To ostatnie powiedział szeptem, jakby jego ukradkowa obecność obejmowała też wszelkie rozmowy na ten temat.

– Ale to było całkiem fajne, kiedy zadzwonił telefon – przyznał. – Myślałem, że to naprawdę... no wiecie. Że się naprawdę stało.

– „Stało się?”

– Tak. Rozumiecie, o co mi chodzi. To miejsce zaprojektowano jako obiekt mający zapewnić przetrwanie. Myślałem, że może doszło do... incydentu.

Chodziło mu o brudną bombę, toksyczne skażenie; coś, co zepchnęłoby mieszkańców miasta pod ziemię. Przynajmniej tych, którym poziomy bezpieczeństwa zezwalały na dostęp do obiektów zapewniających przetrwanie.

– Ale okazało się, że to fałszywy alarm.

– Musiałeś być bardzo rozczarowany.

– No cóż, tak. Zdarza się.

– I jak daleko to jest? – spytał River.

– Te rzeczy, które dostarczyli? Na drugim końcu tamtego korytarza. – Wskazał na dwoje drzwi w najdalszej części pomieszczenia. – Chcecie coś z tego z powrotem?

– Coś w tym stylu.

– Cóż, domyślam się, że macie upoważnienie.

– Ach, i jeszcze jedno – odezwała się Louisa. – Ci dwaj, których widziałeś wcześniej na górze. Oni też do nas dołączają.

– Są z wami?

– Tak – potwierdził River.

– Żaden problem. Muszą tylko pokazać przepustki, to ich wpuszczę.

– Widzisz, właśnie tu odejdziemy trochę od regulaminu – wyjaśniła Louisa.

Douglas spoglądał to na jedno, to na drugie z nich i czekał na puentę.

– W porządku, Douglas – zapewnił go River. – Jesteśmy ze Slough House.

Wieczory były teraz długie, ale nie ciągnęły się w nieskończoność; na paskudny, poznaczony gruzem beton między niszczącymi budynkami wpełzły cienie, a przetaczające się obok pociągi coraz bardziej przypominały podświetlone pudełka rysujące się tym silniej, im ciemniej się robiło. Pięć minut temu dwaj żołnierze weszli do fabryki za tą parą ze Slough House i komórka w ręce Nicka Duffy’ego stała się granatem. Odbezpieczył go telefon od Dame Ingrid – „Nastąpiła zmiana planów” – a rozmowy, jakie przeprowadził od tego czasu, uruchomiły zegar.

Z kilkoma psami, którym mógł ufać – tymi, którzy wiedzieli, jak naprawdę działa świat i że czasem trzeba obwiązać wydarzenia czarną wstążką, nie zadając niewygodnych pytań.

Z facetem w garniturku wymienionym na stronie internetowej jako dyrektor Czarnej Strzały. Duffy nie musiał go długo przekonywać, żeby spuścił ze smyczy swoich komandosów z przeceny.

I ze swoją dziewczyną, do której zadzwonił, by odwołać wspólny wieczór. Jeszcze za to zapłaci, ale nikt nigdy mu nie wmawiał, że jego robota będzie łatwa.

Ze swojego okna na trzecim piętrze Duffy próbował sobie wyobrazić wydarzenia, które teraz nastąpią. Nie istniało coś takiego jak naprawdę niezawodny plan; każda operacja mogła się popierdolić, ale miał wyraźne zielone światło od Dame Ingrid. Najgorszym scenariuszem byłby taki, w którym Sean Donovan odchodzi cieszyć się wolnością. Cokolwiek się wydarzy, to nie miało prawa się stać.

Czyli: zalać teren.

Bo choć nikt nie uważał Czarnej Strzały za elitarną jednostkę, to przynajmniej było ich wielu. Do tego będą nabuzowani pojęciami takimi jak honor i zemsta. Duffy powiedział temu facetowi w garniturku, że dzisiejszym celem jest człowiek odpowiedzialny za zamordowanie Slya Monteitha. „Zdejmiemy go”. Biurkowi wojownicy uwielbiali takie zwroty. Kochali wysyłać ludzi na pole bitwy. „Zróbmy to” – odpowiedział facet jak ktoś, kto przypina kaburę z bronią i rusza do O.K. Corral. Nie zmartwiło go, że ekipa z Czarnej Strzały to amatorzy, wyposażeni bardzo podstawowo do panowania nad zamieszkami – mieli pałki, gaz łzawiący, może paralizatory czy parę granatów hukowych. Ale przecież zagarną wszelką amunicję, jaką mieli żołnierze. Wtedy wkroczy Duffy ze swoimi doborowymi profesjonalistami i dokończy robotę.

Znów omiół spojrzeniem teren, zapamiętując szczegóły i miejsca dające osłonę: kontener na gruz, sterta siatki ogrodzeniowej. Podziemny kompleks ciągnął się daleko od tego miejsca, ale to uwzględnił: mniej więcej milę na południe znajdowało się główne wejście i ekipa z Czarnej Strzały dotrze tam... – zerknął na zegarek – lada chwila.

Jakby na zawołanie telefon w kieszeni na piersi zaczął wibrować.

– Mogę prosić z Alice?

– Przykro mi, pomyłka – odparł Duffy.

Gdyby zapytano o Betty, byłby to znak, że coś się popieprzyło, ale Alice oznaczała zielone światło, czyli druga ekipa była już przy frontowym wejściu. Piętnastu najemników z Czarnej Strzały i dwóch jego ludzi. Ta dwójka miała koordynować działania, ale to ludzie z Czarnej Strzały mieli zdjąć ochroniarzy. I bardzo dobrze. Podobnie jak w innych mało istotnych placówkach MI5, zatrudniano tu ochronę z zewnątrz, więc jedne ciamajdy załatwią drugie.

Gdy to już będzie załatwione, zadziałają jak środek do udrażniania rur – splecą cały system, przepychając to, co go blokuje, w stronę jedyne drugiego odpływu: wjazdu w wymarłej fabryce w dole. Kiedy Donovan i pozostali znów pojawią się na powierzchni, Duffy będzie tu na nich czekał, gwarantując, że nigdzie dalej się nie wybiorą. Istniały szanse, że nawet tym nie będzie trzeba się przejmować. Przy odrobinie szczęścia na powierzchni nie zostaną żadne ciała.

Ale będą zwłoki, to pewne, i nikt się stąd nie wydostanie. Zadumał się na chwilę nad losem Rivera Cartwrighta i Louisy Guy. Cartwright był upierdliwy i od dawna należał mu się jakiś mały wypadek, ale Duffy'ego męczyła trochę myśl o Guy. Nie tak dawno temu jej facet został rozsmarowany na Blackfriars. Duffy dał wtedy trochę plamę, więc może ten niepokój był poczuciem winy albo tylko poirytowaniem wywołanym przykrym wspomnieniem. Ale tak czy siak, zmazanie wszystkiego z tablicy sprawi, że będzie to miał już za sobą. Więc – bez urazy do Louisy Guy – naprawdę mogła się postarać, by mieć w życiu trochę więcej szczęścia.

– Ludzi ze Slough House też? – zapytał wcześniej Tearney.

W tej kwestii nie chciał absolutnie żadnych niejasności.

– Wszystkich – odparła Tearney. A potem, żeby wszystko było jasne, dodała: – Ludzi ze Slough House też.

A więc niech tak będzie.

Z telefonem w kieszeni Duffy dalej omiatał teren poniżej, a tymczasem światło gasło i z zakamarków wypełzały cienie.

Według zegara na desce rozdzielczej minęło czternaście minut, a Marcus wciąż stał na chodniku i kłócił się z policjantem. Byłoby szybciej, gdyby przyjął punkty karne, zapłacił mandat albo odsiedział krótki wyrok, ale wszystko to oznaczałoby przyznanie się do winy. A to nie przychodziło łatwo komuś, kto kiedyś wyważał kopniakami drzwi i pewnie znów to zrobi, jeśli się go wystarczająco wkurzy.

A do tego mogło dojść, jeśli tych czternaście minut jeszcze trochę się przeciągnie.

Standardowa procedura, pomyślała Shirley, obserwując całą sytuację z miejsca pasażera w SUV-ie, powinna obejmować to, że wyszłaby tam razem z Marcusem, ponieważ kłótnie z mundurowymi były jedną z rzeczy, które robiła najlepiej, nawet wtedy – albo zwłaszcza wtedy – gdy nie miała żadnych sensownych argumentów na poparcie swego stanowiska. Ale gliniarze mieli szósty zmysł do wybryków, a ona nie chciała poddawać się testowi na narkotyki – nie przez najbliższych kilka godzin albo może nawet przez dwa tygodnie. Poza tym Marcus umiał sobie poradzić. W najgorszym razie znał pewnie minimum jakieś piętnaście sposobów na zabicie nieuzbrojonego przeciwnika. A nawet więcej, gdyby mógł przy tym używać obu rąk.

W Slough House takie zdolności oczywiście się marnowały. I nawet to było już historią. Zaczynała sobie to uświadamiać. Jutro Shirley się obudzi, jęknie na myśl, co ją czeka w tym dniu, a potem do niej dotrze, że już jej nic nie czeka. Że stała się kimś gorszym od kulawego konia – byłym kulawym koniem bez planów ani perspektyw.

A jeśli Marcus znokautuje tego policjanta, przekona się w niezbyt miły sposób, co oznacza zwolnienie z MI5.

Na drodze wciąż panował ruch, bo inni ludzie niezmiennie mieli pracę. Przechodnie zwalniali kroku, ciesząc się cudzym nieszczęściem, a Marcus założył ręce na piersi, co sprawiało, że Shirley miała ochotę usiąść tak, jak kazali w samolotach przed możliwą katastrofą. Jeśli Marcus straci kontrolę nad sobą, jeśli go aresztują, wówczas donikąd już nie pojedą, a jeśli donikąd nie pojedą... Nie trzeba było dokańczać tej myśli.

Nie, potrzebowali, żeby stało się coś złego, żeby River i Louisa znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie. Tym, czego potrzebowali Shirley i Marcus, było zjawienie się na czas, żeby ich uratować, a jeśli to się nie uda, przybycie na miejsce tylko trochę za późno – ofiary byłyby do przyjęcia, ale tylko wtedy, gdyby Shirley i Marcus zgarnęli winnych. Bo to Lamb będzie miał krew na rękach – jego operacja, jego katastrofa. A nic nie dałoby Shirley większej przyjemności niż odrodzić się jak feniks z popiołów tego sukinsyna; dokonać największego powrotu od czasów Lazarusa i zostać z powrotem powitaną w Regent's Park za to, że zapobiegła zagrożeniu dla bezpieczeństwa narodowego. Pierwszą rzeczą, jaką by zrobiła, byłoby wysłanie Lambowi pocztówki. „Żałujesz, że cię tu nie ma?” Ha, ha, kurwa! Ha, ha!

Ale żeby cokolwiek z tego mogło się stać, Marcus nie mógł stracić nad sobą kontroli.

Czekając, aż mu się to uda, Shirley pochyliła się do swojego smartfona i weszła do intranetu MI5. Ulżyło jej, gdy stwierdziła, że jej hasło nie zostało zablokowane, ale to był cały Lamb: bez Catherine Standish, która pomagała mu wszystko organizować, nie przyszłoby mu do głowy, żeby doprowadzić do końca wdrożenie swojej decyzji. Wielkie dzięki za nic, pomyślała Shirley, wchodząc do rejestru o obywatelach. Była to baza danych MI5 zawierająca dane tych, których miała chronić i którzy równocześnie stanowili największe zagrożenie dla bezpieczeństwa

narodowego – ludzi. Taka ironia losu – z którą najlepiej było się pogodzić na wczesnym etapie szpiegowskiej kariery. Uważano, że jeden Snowden na pokolenie to o jednego za dużo.

Spróbowała się skupić, nie czuć tego, co wciąż buzowało w jej żyłach – Jezus, to była tylko jedna mała działka, Lamb przecież też pomagał sobie nikotyną – i otworzyła akta Seana Donovana. Znalazła wszystko, tak jak podsumował to River Cartwright: karierę wojskową, tymczasowe przeniesienie do Ministerstwa Obrony, stanowisko przy ONZ. A potem ta noc, kiedy wszystko diabli wzięli, gdy rozbił jeepa, wracając do domu po wygłoszeniu wykładu dla kadetów. Jego pasażerka, niejaka kapitan Alison Dunn, zginęła, gdy samochód stoczył się do rowu. Uważano, że Donovan miał szczęście, iż sam przy tym nie zginął, choć bez wątplenia musiały być takie chwile, gdy żałował, że tak się nie stało. Od międzynarodowej kariery do murowanej celi. Gdyby Shirley kiedykolwiek coś takiego się przytrafiło, znalazłaby jakiś sposób, żeby z sobą skończyć. Albo przynajmniej zrobić sobie taką krzywdę, by resztę wyroku mogła spędzić podłączona do kroplówki z morfiną.

Pliki zawierały mnóstwo odniesień i odsyłaczy, więc sprawdzenie powiązań Donovana zajęło jej kilka chwil.

I było to, jak odkryła Shirley, kilka chwil, których Cartwright najwyraźniej nie poświęcił, bo gdyby to zrobił, znalezione tam informacje znalazłyby się w centrum uwagi, gdy przedstawiał CV Donovana.

Marcus dalej wyklócał się z gliniarzem. I było widać, że gliniarz wciąż się zastanawia, czy jeśli porazi Marcusa taserem, papierkowa robota zajmie mu cały tydzień. Shirley przyglądała im się przez chwilę, znów zerknęła na telefon i doszła do wniosku, że już tego dość.

Oparła się o klakson.

Stosując się do wskazówek nawigacji, Roderick Ho opuścił autostradę na następnym zjeździe i świat natychmiast stał się ciemniejszy i cichszy, zaś szum ruchu, który wcześniej ich otaczał, ustąpił miejsca brzęczeniu komarów. Zjazd opadał w stronę ronda, z którego Ho odbił na inną drogę, popękaną i pełną wybojów, z drzewami zwieszającymi gałęzie niczym wędkarze liczący na to, że coś złowią. Teoretycznie drzewa były dobrą rzeczą, płucami planety, i Ho nic przeciwko nim nie miał, kiedy były w parkach, ale tutaj zdawały się zbyt wielkie i jakby groźniejsze, jak psy spuszczone ze smyczy. Rzucaly na drogę cienie, jak gdyby samochody mogły tędy przejeżdżać tylko za ich pozwoleniem, i Roddy Ho poczuł coś, co – gdyby znał takie określenia – musiałby nazwać zagrożeniem dla poczucia siebie. Zamiast tego zauważył po prostu, że przyprawiają go o pieprzone dreszcze i stanowią zagrożenie. Zanotował sobie w myślach, żeby coś z nimi zrobić, zapisał to w folderze Kiedy będę królem i znów zerknął na nawigację. Cel znajdował się niecały kilometr przed nimi.

– Zwolnij – polecił Lamb.

– Przecież zwalniam.

– No to zwalnijaj szybciej.

Ho zatrzymał się w miejscu, które od biedy mogło uchodzić za zatokę.

– Wyłącz silnik.

Nastąpiła cisza, choć była to cisza tylko dla kogoś, kto przywykł do miejskiego zgiełku. Samochód tykał, szumiały drzewa. Przez otwarte okno po stronie Ho sączyło się duszne, parne powietrze.

Ho nie widział gospodarstwa, do którego zmierzali. Niecały kilometr; właściwie to Ho nie miał wycucia, jaka to właściwie odległość. Drzewa rosnące po jednej stronie drogi były właśnie tym – linią drzew. Te po drugiej stronie były lasem; drzewami, które kryją się za innymi drzewami, więc widział tylko, że ciemność staje się jeszcze ciemniejsza. Zerknął we

wsteczne lusterko. Twarz Lamba była nieruchoma; oczy jakby nieobecne. Ho miał ochotę zapytać, co teraz zrobią, ale nie śmiał, więc siedział, gapiąc się po prostu na pustą drogę, która kawałek dalej skręcała, przez co patrzył na jeszcze więcej drzew.

„Zrób coś”, powiedział mu Marcus Longridge.

Cóż, proszę bardzo. Coś robił. Tyle tylko że nie bardzo wiedział co. Ale jeśli Catherine Standish była przetrzymywana w domu kawałek dalej – trudno powiedzieć, jak daleko stąd – to owo coś będzie wymagało, by wysiąść z samochodu, i Ho nie był pewny, czy mu się to podoba.

Lamb szperał za czymś pod nogami i gdy się wyprostował, trzymał w ręce plastikowy kubek. Przez całą drogę używał go jako popielniczki, co oznaczało, że trochę mniej nabrudził, ale teraz na oczach Ho wywalił jego zawartość na siedzenie obok siebie.

– Masz jakieś drobniaki? – spytał.

– Drobniaki?

– Monety. Jakiegokolwiek.

Ho znalazł kilka w portfelu.

Lamb włożył je do kubka i potrząsnął tak, że monety zadzwoniły o siebie. Następnie otworzył drzwi.

– Jeśli nie wrócę za dwadzieścia minut, zrób coś.

– To znaczy co?

– Kurwa, nie wiem. Wrzuć do Google hasło „przebiegły plan” i zobacz, co ci podsunie internet.

– Co chcesz zrobić?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Ale na pewno sprowadzę z powrotem Standish. Już zapomniałem, jak to jest nie mieć żadnego bufora między mną a wami wszystkimi, i ani trochę mi się to nie podoba.

– Masz jakąś broń?

– Nie.

– A co, jeśli oni mają?

– Co za wzruszająca troska. Nic mi nie będzie.

– Ale co, jeśli...

Lamb pochylił się przy otwartym oknie Ho.

– Co, jeśli ruszą na ciebie? Z bronią?

– Tak.

– Poradzisz sobie. Bycie postrzelonym jest jak spadanie. Nie wymaga praktyki.

Ruszył drogą i wtopił się w ciemność, jakby wzięła go w posiadanie; jakby te wiejskie cienie nie były mu bardziej obce niż jakiegokolwiek inne. A miejsce Lamba, pomyślał Ho, jest w cieniu. Nie była to myśl, którą sformułował sam; przypomniał sobie, że kiedyś Catherine Standish powiedziała coś takiego. Lamb był istotą zamieszkującą półmrok. Ho przeszył dreszcz. Zerknął na zegar, żeby wiedzieć, kiedy minie dwadzieścia minut, a gdy znów popatrzył na drogę, Lamba już nie było.

„Zrób coś”.

Roderick Ho nie miał zielonego pojęcia co.

Miał nadzieję, że Lamb wróci, zanim zrobi się z tego problem.

– Jesteście skurwielami, wiecie? – powiedział Douglas.

River po części się z tym zgadzał, ale czasem bycie skurwielem było najlepszym sposobem, żeby coś załatwić. Nawet kulawe konie o tym wiedzą. Douglas nie był chętny do współpracy, a żadne z nich nie miało ochoty robić mu krzywdy, ale koniec końców trzeba było niecałej minuty, by domyślić się, jak otworzyć właz, bo przełączniki na konsoli Douglasa były schludnie opisane. Na jednym widniał napis „Właz”. Douglas z pełną goryczy miną patrzył na monitory, gdy Donovan i Traynor opuszczali się do

pomieszczenia pod podłogą fabryki; parsknął z obrzydzeniem, gdy zeszli po drabince do samego obiektu.

– Zamierzam to wszystko zgłosić – poinformował ich.

– Nawet to, że macałeś mnie po cyckach? – spytała Louisa.

– Ja... nie...

– Douglas – powiedział River. – Zachowaj spokój, nie bądź idiotą, to może nawet nie stracisz pracy.

Gdy Donovan i Traynor dotarli na dół, rozejrzeli się po obiekcie, jakby przywykli do takich miejsc.

– Tylko on tu jest? – spytał Traynor.

– Tak – potwierdziła Louisa.

– I będzie grzecznym chłopcem?

– Tak.

– Dobra, zadbajcie, żeby siedział cicho i niczego nie dotykał.

– Chcą, żebyś gdzieś spokojnie posiedział... – zaczęła Louisa, ale Douglas znowu parsknął.

– Słyszałem.

– Akta są tam – powiedział River. Wskazał na drzwi, które pokazywał mu wcześniej Douglas: wahadłowe, z szklanymi okienkami, przez które widać było tylko ciemność.

– Dzięki – rzekł Traynor. – A teraz posiedz z Igorem.

– Z Igorem? – zaprotestował Douglas.

– Nigdzie nie będę siedzieć – oświadczył River.

– Nikt nie będzie stawiał dzidziusia do kąta – burknęła Louisa.

River ją zignorował.

– Umowa była taka: pozwalamy wam zabrać Szare Księgi, a potem wszyscy wychodzą. Nikt nie wspominał, że będziecie mogli się tu szwendać...

– Mogę mu przyłożyć, jeśli się nie zamknie? – Traynor zwrócił się do Donovana.

River, jak to River, słysząc to, zrobił krok do przodu, a Traynor najwyraźniej spodziewał się takiego ruchu. Stali już centymetry od siebie, kiedy Louisa wybuchła śmiechem.

– Może każesz im obu wyjść? Przypuszczam, że Douglas ma miarękę.

– Dobra, przestańcie już – powiedział Donovan. – Ciebie też to dotyczy – dodał, zwracając się do Louisy. – A potem do Traynora: – Poczekaj tutaj. Tylko nikogo nie zastrzel, chyba że będziesz musiał.

Traynor kiwnął głową i zsunął rękę do paska. Odsunął na bok połę koszuli, by zgodnie ze swoim zamiarem odsłonić rękojeść broni.

River przewrócił oczami tak, żeby Traynor to zauważył.

– Nie będę się powtarzać – oznajmił Donovan. – Zachowuj się albo on wpakuje ci kulę w kolano.

Potem ruszył w stronę wahadłowych drzwi, przepchnął się przez nie i zniknął w korytarzu.

– Marcus.

– Pieprzony, kretyński glina. To było żółte światło. Miałem mnóstwo czasu.

– Marcus.

– Miał szczęście, że mu nie...

– Marcus.

– Co?

Pytanie, ale nie zadane w sposób, który by wskazywał, że chce usłyszeć odpowiedź. To było jedno z tych „co”, które znaczą „nie skończyłem mówić”. Ale kiedy to powiedział, dotarł do niego wyraz jej twarzy, więc powiedział jeszcze raz: „Co?”, i tym razem to naprawdę było pytanie.

– Było dwóch żołnierzy, zgadza się? Donovan i Traynor.

– Tak, zatrudnili się w Czarnej Strzale mniej więcej w tym samym czasie. – Uruchomił silnik i z goryczą zerknął we wsteczne lusterko. Policjant stał przy krawężniku, przyglądając się, jak Marcus odjeżdża, jakby chciał się dopatrzeć jakiegoś kolejnego wykroczenia: niewłączenia kierunkowskazu, niezerknięcia w lusterko, zdrady stanu.

– Benjamin Traynor służył z Donovanem – powiedziała Shirley. – Został honorowo zwolniony mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Donovan wyszedł z mamra.

– No i?

– Kumplowali się. Przyjaciele z wojska. Nie pozwoliliby, żeby podzielił ich taki drobiazg jak odsiadka jednego z nich.

– Tak, pewnie. Z jednym wyjątkiem. Alison Dunn? Ta kobieta, która zginęła w wypadku spowodowanym przez Donovana?

– Co z nią?

– Była narzeczoną Traynora – odrzekła Shirley.

Padające z okien światła sączyły bladą żółć na wieczorne niebo. Za godzinę staną się jak latarnie, ale w tej chwili jakby przyznawały się do słabości. Gospodarstwo było z kamienia, z ceglaną dobudówką do jednego skrzydła, a frontowe drzwi znajdowały się na niewielkim ganku, takim drewnianym dodatku, który jedna silniejsza burza czy rozzłoszczony wilk z łatwością mogły przerobić na podpałkę. I był też autobus na podjeździe. Znajomy londyński autobus, który w tym miejscu wydawał się dziwny; wycieczkowy, z odkrytym górnym poziomem, teraz zabezpieczonym płótnem dla ochrony przed deszczem – gest obejmujący zarówno ostrożność, jak i optymizm, jeśli wziąć pod uwagę falę upałów.

Gdyby ta farma działała, zauważył Lamb, czekałyby tu psy. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, było jednak cykanie owadów.

Jeszcze raz przyjrzał się domowi. Z pewnością są tu strych i piwnica, a jakikolwiek zakładnik musi się znajdować albo w jednym, albo w drugim miejscu. Sam wybrałby w tym celu piwnicę. Ale w tej całej sprawie było coś nie tak – odkąd pojawiły się Szare Księgi, stała się w jakiś sposób nierealna – istniały więc szanse na to, że Standish będzie w kuchni, parząc herbatę komuś, komu Donovan kazał jej pilnować. I pewnie szczęśliwsza niż w Slough House.

Była jednak jedną z jego ludzi, a z Lambem zadzierało się na własne ryzyko. Poza tym agenci, których nie sprowadzisz do domu, są tymi, którzy nigdy nie pozwolą ci odejść.

Potrząsnął plastikowym kubkiem i nagroził go srebrzysty brzęk. Jeśli miało się zamiar szturmować wrogą cytadelę, równie dobrze można to było zrobić z klasą – w Slough House trzymał broń, nielegalnie i nieoficjalnie, i teraz taki sprzęt mógłby mu się całkiem przydać, ale Lamb nie przetrwał aż do tej chwili, wdając się w strzelaniny z żołnierzami. Cóż, może tylko raz – i znów powróciło to wspomnienie. Płonący kościół, śnieg i strzały. Odsunął je od siebie.

Na ganku znalazł dzwonek, ale zamiast niego użył kołatki, waląc nią najgłośniej, jak potrafił – równe, nieubłagane grzmocenie, które wstrząsnęło drzwiami na zawiasach i przeniknęło każdy centymetr budynku, przemieszczając się po deskach i belkach nośnych zwinnie jak rodzina myszy. Bam, bam, bam, bam, bam! Nawet jeśli ten hałas nie obudziłby umarłego, to przynajmniej przeszkodziłby robakom w zjedaniu jego zwłok.

Bez żadnego ostrzeżenia drzwi otworzyły się nagle i wyrwano mu z ręki kołatkę.

– Czego chcesz!?! – warknął mężczyzna.

Był młodszy, niż Lamb się spodziewał. Masywny, w jasnej koszuli z krótkim rękawem. Na jego ramionach wiły się czarno-niebieskie wzory. Był łysy, a jego twarz wyrażała coś między złością a niepokojem. Niech będzie, pomyślał Lamb, mogę pracować z taką publicznością. I bez żadnego ostrzeżenia zaczął śpiewać:

– We wish you a merry Christmas, we wish you a merry Christmas, we wish you a merry Christmas and a happy new year. – Może nie było to najmuzykalniejsze wykonanie, ale jeśli wszystko uwzględnić, melodia wypadła całkiem nieźle. Następnie potrząsnął kubkiem, który trzymał w ręce. – To na dzieciaki i sieroty – wyjaśnił. – Trochę za wcześnie, wiem, ale lubię szybko zaczynać.

– Co to ma, kurwa, być?

Catherine Standish podziwiała pustą butelkę.

Puste butelki były niedoceniane. W swoim czasie spoglądała z czułością na te pełne, traktując puste jedynie jak znaczniki w podróży ku zapomnieniu; albo ku mrocznej, pozbawionej marzeń piwnicy snu, albo do labiryntu alkoholowego zamroczenia, gdzie w niewidzialny sposób znikwały godziny. Potem można było poszukać w sobie wskazówek, gdzie się było i co się tam robiło, ale nie dało się prześledzić własnych kroków przez ten labirynt. A w pustych butelkach nie kryły się żadne listy ani wiadomości. Można było je okręcać, jak się chciało, ale zawsze wskazywały w tę samą stronę: z powrotem ku ciemności, ku wyrzuconym godzinom.

Jednak ta, którą trzymała teraz, miała wyjątkowo piękne kształty. Catherine wiedziała, że ta butelka pochodzi z jakiejś linii produkcyjnej, że żaden szklarz nigdy nie trzymał w dłoniach jej nowo ukształtowanej formy; ale mimo to, gdy na nią patrzyła, dotykała jej, cieszyła się jej lekkością, pomyślała, że choć w życiu opróżniła tyle butelek, nigdy nie natrafiła na żadną inną, która byłaby tak pełna życzliwości – właśnie tego słowa szukała. Życzliwość. W ciągu całej tej walki, jaką stoczyła po południu, po tym, jak Bailey zjawił się z tacą, myślała o tej butelce jak o wrogu; o czymś, co należy pokonać jak węża w ogrodzie. Wtedy nie rozumiała, że są po tej samej stronie; że butelka pragnęła być pusta tak samo, jak Catherine pragnęła ją opróżnić. Doszła do wniosku, że w samym sercu wszystkiego, co jest zrobione ze szkła, kryje się pragnienie. Szkło to po

prostu potrzeba, której nadano substancję. Można je dmuchać i przybiera nowe kształty. A jeśli uderzy się je w niewłaściwym miejscu, roztrzaska się.

Cóż, pomyślała, spełniła tajemne pragnienie tej butelki. Jej zawartość była teraz historią.

Chwilę temu wydawało jej się, że słyszy śpiew – o ile można by to nazwać śpiewem; brzmiało raczej jak odgłosy jakiejś świątecznej awantury – i zastanawiała się, czy to zapowiada powrót głosów. Doszła jednak do wniosku, że w sumie jest to mało prawdopodobne: spędzenie jednego dnia w zamknięciu na strychu nie wystarczy, by znów posłać ją w otchłań, z której wyłaniała się przez lata. A poza tym właśnie wylała pieprzone pinot do umywalki. Po takim triumfie należała jej się parada zwycięstwa, a nie powrót do nałogu.

Napełniła buteleczkę wodą i mocno zakręciła nakrętkę. Poczwała w ręce dobrze wyważony, całkiem masywny ciężar. Bailey był młody i sprawny, ale Catherine Standish już wcześniej posługiwała się butelkami i wiedziała, że niespodziewane uderzenie nawet małą buteleczką może zakończyć walkę, jeszcze zanim na dobre się zacznie.

I choć był całkiem miłym gospodarzem, następnym razem, gdy przejdzie przez te drzwi, zamierzała pokazać mu, jakie to uczucie wybrać się w podróż w krainę niepamięci.

Zmierzając na zachód, wolny od miejskiego ruchu, ale teraz z kolei pośród wyjeżdżających z miasta, Marcus jechał znacznie wolniej. Przed nimi kolejna przeszkoda zwalniająca ruch. Kiedy do niej docierali, okazywało się, że to nic takiego – jakaś tłusta plama na asfalcie, balonik przywiązany do barierek – ale aż do tego momentu zmieniali pasy i klęli jak wszyscy pozostali. To im przynajmniej dało czas, by się kłócić o znaczenie odkrycia Shirley.

– To nie musi nic znaczyć – stwierdził Marcus.

– Tak uważasz?

– Znają się od dawna. To kumple z wojska. Z kimś takim nie zrywa się łatwo kontaktów, nie po wspólnym doświadczeniu walki.

– Donovan zabił niedoszłą żonę Traynora, Marcus. To nie ta sama liga, co... nie wiem... jakby rozwalił mu samochód.

– Niektórzy faceci bardzo się przywiązują do swoich wozów. Ale tak czy inaczej, zginęła w wypadku. Może Traynor jest wyrozumiiałym koleśkiem.

– Walczył w Afganistanie – odparła Shirley. – Nie wydaje mi się, żeby uczyli ich na szkoleniu, że mają nadstawiać drugi policzek. – Wciąż wpatrzona w smartfon, sprawdzała Alison Dunn w bazie MI5.

– Ona zasiadała w tamtej komisji ONZ razem z Donovanem – dodała.

– To żołnierzom wolno się ze sobą żenić? – zastanawiał się na głos Marcus.

– Mam tu ocenzonego fragment.

– I co w nim jest?

– Jest ocenzonego, głupku.

– Dotarło do mnie za pierwszym razem, debilko. Ale co konkretnie jest ocenzonego?

– Tuż po tym, jak wróciła do Wielkiej Brytanii, to znaczy po tej komisji ONZ, złożyła jakiś raport – odparła Shirley. – Cokolwiek w nim było, góra to wyciszyła.

– Hmm – mruknął Marcus.

– Hmm – powtórzyła Shirley. – Bardzo odkrywcze. Co właściwie ma znaczyć to twoje „hmm”?

– W tym kontekście – odparł Marcus – hmm znaczy, że to mi wygląda na jakieś polityczne gówno, a polityczne gówno to ten rodzaj gówna, w które najlepiej się nie pakować.

Bez żadnego wyraźnego powodu ruch na drodze stał się płynniejszy.

– To jaki jest nowy plan? – spytała Shirley. – Chcesz zawrócić i zawieźć nas do domu?

– Nie. Chyba lepiej będzie jak najszybciej dotrzeć do Louisy i Cartwrighta.

– A to dlaczego? – spytała Shirley, podnosząc wzrok znad wyświetlacza.

– A widzisz tę czarną furgonetkę przed nami?

Shirley ją widziała.

– Na boku ma napisane Czarna Strzała – wyjaśnił Marcus. – I wygląda, jakby zmierzała w to samo miejsce co my.

– Spierdalaj – powiedział facet.

To było wszystko, ale wydawało się, że naprawdę szczerze tak właśnie myśli. Cofnął się, żeby zatrzasnąć Lambowi drzwi przed nosem, ale kiedy Lamb chciał, potrafił poruszać się szybko. Jego porysowany skórzany półbut, zahartowany w bojach przez lata kontaktu ze stopą Lamba, wsunął się w szparę, zanim drzwi się zamknęły.

– Nie dasz nawet trzypensóweczki? – spytał. – Zbieram na dobrą sprawę.

– Rusz nogę, dziadku.

– Przykro mi, nic z tego. Taniec jest gratis. – Lamb pchnął drzwi i jego przeciwnik zatoczył się do tyłu.

Lamb był już w środku i kopniakiem zamknął drzwi za sobą. W tym samym momencie rzucił plastikowy kubek w twarz mężczyzny, licząc na instynktowną reakcję. I się nie zawiódł. Mężczyzna zwinnie złapał kubek, odsłaniając brzuch... Lamb nie miał ochoty pakować się w walkę wręcz. W takim razie załatwmy to szybko. Lamb machnął pięścią w bok, jakby uderzał w gong, i zatopił ją w przeponie przeciwnika, a gdy ten zgiął się

wpół, oburącz uderzył go w uszy, niemal słysząc eksplozję, jaką musiało to wywołać w jego głowie. I zawsze istniała możliwość, przypominał sobie, uderzając kolanem w czekającą już na to twarz, że trafił do niewłaściwego domu, więc potraktował go lżej, niż powinien; nie odrywając rąk od uszu mężczyzny, opuścił go dość delikatnie na podłogę, po czym szybko się cofnął, widząc krew spływającą po jego twarzy.

– To przywołuje wspomnienia – stwierdził Lamb, choć było bardzo wątpliwe, czy mężczyzna go słyszy.

Szef kulawych koni przewrócił ofiarę na brzuch i znalazł broń za paskiem spodni. Cóż, to odpowiadało na pytanie, czy to był właściwy dom, a przynajmniej usprawiedliwiało przemoc wobec jego właściciela, gdyby okazało się, że jest jednak inaczej. Każdy, kto uzbrojony otwiera drzwi kołędnikowi, zasługuje na wszystko, co spotkało tego tutaj, pomyślał pobożnie Lamb. Wysunął magazynek, schował go do kieszeni i cisnął broń w najbliższe drzwi. Została tu już tylko Standish. Gdyby było inaczej, ktoś już dawno by go zastrzelił.

Głośno odchrząknął i rozejrzał się, jakby szukał sopluchaczki. Zamiast tego przełknął – jak lubił tłumaczyć swoim kulawym koniom, dobre maniere nic nie kosztują. Po lewej stronie były schody i kilkoro drzwi prócz tych, w które dopiero co cisnął broń, ale i tak prawie na pewno będzie musiał wspiąć się po tych cholernych schodach, więc równie dobrze mógł mieć to już z głowy. Zatrzymał się na półpiętrze, żeby zapalić papierosa, i mocno wciągnął powietrze nosem. Zastanawiało go, dlaczego śmierdziało tu serem.

Mniejsza z tym. Z papierosem w ustach Lamb poczłapał na górę.

– To o co właściwie ci chodzi? – spytał River.

Traynor spojrzał na niego ze złością, ale nie odpowiedział.

River siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę. Ta pozycja przynosiła nieco ulgi jego obolałym mięśniom brzucha, choć nie na tyle, by w najbliższej przyszłości był w stanie czule myśleć o Nicku Duffym. Znajdujący się parę metrów od niego Douglas wyglądał, jakby starał się siłą woli przenieść do innego wszechświata; takiego, w którym nie wpuścił Rivera i Louisy przez właz. A może próbował nie rozplakać się ze złości. Jeśli chodzi o Louisę, zniknęła w – jak to zaczął nazywać River – swojej milczącej przestrzeni; tej, do której się udawała, kiedy jej obecność była nieunikniona, ale sytuacja nie wymagała od niej pełni uwagi. Było to miejsce, w którym spędziła wiele czasu po tym, jak wygnano ją do Slough House; teraz, po śmierci Mina, wyglądało na to, że zamierzała znów się tam przeprowadzić. To zupełnie jak ponowne odwiedziny w mieszkaniu, w którym się kiedyś żyło, pomyślał River: pewnie, że jest ciasniej, niż zapamiętałeś, ale po kilku dniach poczujesz się tak, jakbyś go nigdy nie opuszczał.

Nad ich głowami monitory kontynuowały automatyczny nadzór; mrugały na nich obrazy niszczących budynków, ujęcia pustych korytarzy i pomieszczeń ciągnących się na milę pod zachodnimi obrzeżami stolicy.

Traynor co jakiś czas zerkał w ich stronę, zapewne sprawdzając postępy Donovana.

River spróbował jeszcze raz.

– UFO? Większość ludzi, którzy mieli spotkania z obcymi, ledwie potrafi napisać UFO bez błędu. To cię kręci, Traynor. Albo nie, niech zgadnę. Księżna Diana. Jesteś jednym z tych idiotów, którzy myślą, że sprzątnęły ją tajne służby na rozkaz Księcia Jaszczurów.

Tym razem Traynor nawet nie posłał mu tego jego spojrzenia. Wpatrywał się tylko w Rivera bez mrugnięcia okiem, jakby ten był brzęczącym owadem, niewartym wysiłku, żeby wstać i go rozgnieść.

– Bo powiem ci coś – ciągnął River. – Ze wszystkich tych żalonych, pojebanych teorii ta jest chyba najżałośniejsza. Myślisz, że w MI5 nie krążyłyby plotki, gdyby to była robota służb?

– Z tego, co słyszałem, ty nie zorientowałbyś się, nawet gdyby tajne służby postanowiły dodawać sobie octu do chipsów.

A potem – w chwili, gdy River pogratulował sobie, że go zdenerwował – wyraz twarzy Traynora się zmienił. Całkowicie skupił uwagę na monitorach. Równocześnie Louisa powróciła ze swojej milczącej przestrzeni; stała, wpatrując się w ekrany.

– Co to za jedni, u diabła? – spytała.

Tylko Douglas siedział dalej. Pozostałych troje stało, obserwując monitory; zwłaszcza ten, który wcześniej pokazywał pusty korytarz, a na którym teraz roilo się od ubranych na czarno postaci, w kominiarkach i z pasami taktycznymi, przemieszczających się, jak River mógł jedynie zakładać, w ich stronę.

Gdy opuścili główną drogę, ulice stały się węższe; z początku z drzewami po obu stronach i rzędami szeregowców, a potem, gdy zbliżyli się do linii kolejowej, pojawiły się coraz bardziej podupadające magazyny, składy towarów, puste podwórza. Ruch się zmniejszył i Marcus trzymał się w sporej odległości za furgonetką. Gdy zniknęła między dwoma ciemniejszymi budynkami, pojechał dalej prosto, a Shirley obróciła się na siedzeniu, by obserwować, jak się oddala.

– Jakież tereny przemysłowe. To tutaj ma być ten obiekt.

Marcus chrząknął, skręcił na następnym skrzyżowaniu i zaparkował przed drzwiami garażu z napisem „W ciągłym użytku. Nie zastawiać wjazdu”.

– Poczekaj tutaj.

– Dokąd...

– Potrzebuję czegoś z bagażnika.

Wstał i obszedł samochód. Shirley prawie ruszyła za nim, ale po namyśle dała sobie spokój i siedziała teraz, przetrząsając kieszenie. Nagle ogarnęła ją pewność, że ma przy sobie jakiś ukryty skarb. Przeoczona działka koki to był ambitny cel, ale od kilku dni chodziła w tych samych dżinsach i zdarzało się, że znajdowała w nich jakieś okruszki haszyszu zdobyte podczas nocnych wypraw i zapomniane w gorączce... gorączki. Ale nic nie znalazła. Sięgnęła po kurtkę i przesunęła palcami po szwach – czasem tabletki potrafiła wpaść pod podszewkę. Nic z tego. Kurwa. Ale to nie miało znaczenia. Nic jej nie brakowało. Może Marcus trzymał coś w schowku na desce rozdzielczej? Jezu, aspirynę, cokolwiek... Ale szybkie przetrząśnięcie schowka nie dało nic prócz starych dropsów miętowych i paru płyt CD bez okładek.

Ale nic jej nie było i nie musiała się niczym zaprawiać. Adrenalina pomoże jej to przetrwać. Nie potrzebowała Marcusa, żeby jej to powiedział; nie potrzebowała nawet tego wykładu od samej siebie. Żeby zapanować nad nerwami, przejrzała płyty CD i znalazła bootlegowe wydanie Arcade Fire z zeszłorocznego koncertu w Hyde Parku: coś zbyt fajnego, żeby należało do Marcusa, więc pewnie zostawiło to tutaj jedno z jego dzieci, co oznaczało, że gdyby poprosiła o pożyczenie tej płyty, nastąpiłyby długie nudne negocjacje. Tyle że to był bootleg: dzieciak najwyraźniej nie miał problemów z naruszaniem praw autorskich, a więc cała kwestia własności była dyskusyjna. Wsuwając płytę do kieszeni kurtki, Shirley zauważyła, że nie czuła się już ani trochę podenerwowana. Kiedy Marcus pojawił się za szybą, aż podskoczyła.

– Nie rób tak.

– Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. Jezu! – Spojrzała na niego, mrużąc oczy. – Naprawdę zamierzasz to włożyć?

„To” było czarną bejsbolówka, taką, jaką Marcus nosił w taktycznej grupie bojowej. Tyle że bez cienkiego mikrofonu. Opuścił ją nisko na czoło, ale daszek zadarł do góry.

– Tak się przyzwyczaiłem.

– Bo dzięki temu światło nie odbija ci się od łysiny. – Shirley rzuciła kurtkę na tylne siedzenie i wygramoliła się z samochodu.

– Powinnaś ją włożyć – powiedział Marcus.

– Jest gorąco.

– Biały T-shirt? Naprawdę chcesz to robić w białym...

– Dobra, już dobra. – Sięgnęła po kurtkę i ją włożyła. – Może i masz tyle lat, żeby być moim ojcem, ale to nie znaczy, że musisz się tak zachowywać.

– Nie mam tylu lat... Nieważne. Na pewno jesteś na to gotowa?

– To tylko banda niedzielnych żołnierzyków.

– Nigdy nie lekceważ przeciwnika. Zwłaszcza kiedy nie wiesz, ilu ich tam jest.

– To była duża furgonetka – przyznała Shirley. – Jak myślisz, po co tu przyjechali?

– To ekipa Donovana. A w każdym razie nią była, dopóki nie zabił Monteitha dziś po południu. Może im to nie przeszkadza i przyjechali mu pomóc w tym, co robi. Albo...

– Albo się wkurzyli, że zajął im szefa, i przyjechali naszczać mu do butelki.

– Tak, coś w tym stylu. Jesteś uzbrojona?

– Nie. A ty?

– Nie – odparł Marcus. – To znaczy mam pistolet.

- Czyli tak, jakbyś był uzbrojony.
 - Nie jest za duży.
 - Wozisz ze sobą jeszcze jakiś?
 - Mam być twoją niańką? Nie, nie mam żadnego innego. To rodzinny samochód, a nie arsenał na kółkach. A teraz zapnij guziki. Widać ci T-shirt.
- Shirley zapięła guziki i oboje skręcili za róg.

Nick Duffy zerknął na zegarek, zastanawiając się po raz kolejny, gdzie, do diabła, podziewa się ekipa z Czarnej Strzały. Wypuścił powietrze na widok furgonetki, która pojawiła się w dole i zatrzymała z niepotrzebnym piskiem hamulców przy stercie siatki ogrodzeniowej. Amatorzy: wyskakiwali z tyłu, tak jak naoglądali się tego w filmach o Wietnamie, jakby wysypywali się z helikoptera, który właśnie usiadł, a Wietkong czyhał w trzcinach.

Ale nie musieli być dobrzy w tym, co robią. Wystarczyło, że tu są i że jest ich dużo.

Duffy naliczył kilkunastu, nim pozwolił, by lornetka opadła mu na pierś. Weszli w tryb kowbojów i Indian; wyglądali zza wszystkiego, co dawało jakąś osłonę: zza furgonetki, kontenera na gruz, tej sterty siatki ogrodzeniowej. Wóz ekipy ze Slough House też stał w pobliżu: Cartwright i Guy byli tak wdrożeni do działania pod przykrywką, że zaparkowali go na pełnym widoku, w świetle powoli pojawiających się gwiazd. Zdejmując ich, Duffy w pewnym sensie wszystkim wyświadczy przysługę. I gdy przysłała mu do głowy ta myśl, zdawał sobie sprawę, że do tego typu roboty trzeba być w takim nastroju: musisz być pewny, że robisz to dla dobra wszystkich, nawet tych, którym to robisz.

„Wszystkich”, powiedziała Dame Ingrid. „Ludzi ze Slough House też”.

Obserwował ubranych na czarno niedoszłych komandosów przy pracy. Niektórzy wypakowywali z furgonetki sprzęt – dwa pozwalające na szybki montaż rusztowania, na których zainstalowano dwa silne reflektory –

podczas gdy inni przeskakiwali od jednej plamy cienia do kolejnej, przygotowując teren. Wyglądali, jakby dobrze się przy tym bawili, ale tylko dlatego, że nigdy dotąd nie robili tego tak naprawdę. Gdyby Duffy miał skłonności do bycia sentymentalnym, mógłby zadumać się, że kiedyś sam taki był – ale nie był i nie miał takich skłonności. Więc po prostu pochylił się do podręcznej torby i wyjął z niej kominiarkę z czarnego jedwabiu. Czerń, bo była noc, jedwab, bo był przewiewny. Upał nie ustępował nawet teraz; było jak w piekarni, w której dopiero co wyłączono piec. Przede wszystkim jednak założył kominiarkę, żeby nie było widać jego twarzy. Kiedy to się skończy, ludzie z Czarnej Strzały zostaną z workami na zwłoki w rękach i będzie o wiele lepiej, jeśli nie zdołają podać żadnego rysopisu.

Następnie przejrzał swoje uzbrojenie i amunicję i zszedł na dół przejąc dowodzenie.

Na najwyższym piętrze Lamb znalazł drzwi zamknięte na kłódkę i pomyślał: no dobra, to przypomina jakąś wskazówkę. Klucz bez wątpienia znajdował się w kieszeni tamtego faceta i zbiegnięcie po niego na dół zajęłoby najwyżej dwie minuty, ale żadnych ochotników jakoś nie było pod ręką, więc po prostu ryknął:

– Standish?! Lepiej się cofnij! – I bez dalszych ostrzeżeń użył nogi.

Od pierwszego kopniaka posypały się drzazgi, a metalowy skobel już ledwo co trzymał się framugi. Drugi dokończył dzieła i drzwi wpadły do środka, uderzyły o ścianę i odskoczyły, z powrotem się zamykając. W ułamku sekundy między jednym a drugim zobaczył Catherine Standish stojącą w innych drzwiach i trzymającą coś w ręce. Gdy ponownie pchnął rozwalone drzwi i przez nie przeszedł, wciąż tam była, ale jej ręce były puste.

Lamb popatrzył na nią, rozejrzał się po pokoju, spojrział na nią raz jeszcze i stwierdził:

– Myślałem, że to porwanie, a nie dzień wolny od pracy.

– Kłódka była po drugiej stronie – zauważyła.

– Widziałem lepiej zabezpieczone klatki dla królików. – Mijając ją, wsunął głowę przez drzwi do łazienki. – Na litość boską, miałaś pokój z łazienką!

– Może. Ale prosiłam o taki dla niepalących – odparła.

– To pasywno-agresywne pieprzenie jest naprawdę kiepskim nawykiem. – Ale i tak rzucił papierosa do muszli klozetowej. Niedopałek odbił się od sedesu i zniknął za umywalką, gdzie pewnie nie wywoła pożaru i nie spali budynku.

– Co zrobiłeś Baileyowi? – spytała Catherine.

– Jeśli jest kimś w rodzaju stażysty, który miał zbierać doświadczenie, to musiał się na chwilę położyć. Kolejna dawna miłość, co?

– Jak bardzo musiał się położyć?

– Nie zabiłem go, jeśli o to pytasz. – Lamb wypatrzył już tacę i ruszył prosto w jej stronę. – Nie zrozum mnie źle, nie pochwalam porywania personelu MI5. Ale nie jesteś jakoś szczególnie ważna.

Po chwili zastanowienia skrzywił się, patrząc na jabłko, herbatniki zgarnął do kieszeni, a kanapkę rozpakował.

– Kto z tobą jest?

– Nikt.

– Przyszedłeś sam? – Nie dała rady ukryć niedowierzania w głosie.

– Tak. Ho prowadził. – Lamb wgryzł się w kanapkę i się skrzywił. – Boże, jak długo to tutaj leżało?

– Czego chciał Donovan?

– W zamian za ciebie? – Lamb przeżuwał przez chwilę, przełknął i odgryzł następny kęs. Z pełnymi ustami podjął: – Cóż, mówi, że chce Kronik Pojebów.

Catherine wydawała się całkiem zdezorientowana.

– Szare Księgi?

– Tak, też tak zareagowałem. Przy czym, jeśli, jak się wydaje, bzykał cię w tamtych czasach, to już się bardziej trzyma kupy. – Znów przerwa na przeżuwanie. – Bo ewidentnie jest świrem.

– Możemy już iść?

– Jeszcze nie zjadłem herbatników. – Umilkł i obwąchał kanapkę. – Czy w tym jest ser?

– O Boże, znowu! Odwróć się.

Lamb tak zrobił i chwilę później poczuł, że Catherine odczepia coś od siedzenia jego spodni. Kiedy się odwrócił, trzymała w ręce rozplaszczony krążek czegoś, co wyglądało jak mozzarella.

– Zawsze dobrze się rozglądaj, zanim usiądziesz gdzieś w pokoju Roddy’ego. Jakie płacisz rachunki za pranie?

– Co to jest rachunek za pranie?

Ruszyła przodem i wyszła z pokoju. Na korytarzu zatrzymała się na chwilę, by obejrzeć się za siebie. Lamb nie pofatygował się, by to zrobić. To był zwyczajny pokój i nic wielkiego się tam nie stało. Istniały gorsze rzeczy niż znoszenie nudy.

Piętro niżej, w przedpokoju, zobaczyli nieruchome ciało Baileya. Wyglądał, jakby zasnął, pomyślała Catherine, o ile ktoś ma w zwyczaj walić twarzą w kowadło, zanim ułoży się wieczorem do snu.

– Jackson, to jeszcze dzieciak – powiedziała.

– Miał broń. Dlaczego nazwałaś go „Bailey”?

– Miał też aparat fotograficzny.

Lamb zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem dał sobie spokój.

– Cóż, będziesz musiała go teraz obudzić. Chcę wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi Donovanowi.

– Bo tak naprawdę wcale nie myślisz, że jest świrem.

– Cóż, pewnie jest. Ale to nie znaczy, że nie ma jakichś skrytych zamiarów.

– Dzięki, że po mnie przyszedłeś, Jackson – rzekła.

– Myślałaś, że tego nie zrobię?

– Och, byłam pewna, że to zrobisz. Po prostu myślałam, że będzie się z tym wiązało większe zamieszanie, to wszystko.

I w tym momencie Roderick Ho wjechał autobusem przez frontowe drzwi.

– Są z Czarnej Strzały – powiedział Traynor.

Ludzie z Czarnej Strzały poruszali się korytarzem tak, jak się to robi na filmach; jeden posuwał się o kilka metrów naprzód, potem przyklękał i pozwalał, by inny go wyprzedził i zabezpieczył kolejnych kilka metrów. Większość miała policyjne pałki; niektórzy wzięli coś, co mogło być bronią palną, ale wyglądało zbyt nieporęcznie. Tasery, pomyślał River i ta myśl uruchomiła wspomnienie sensoryczne u podstawy kręgosłupa. Miał już do czynienia z taserami.

– Twoja ekipa? – spytała Louisa.

– Chcieliby. – Traynor zerknął na Douglasa. – Gdzie oni są? Gdzie to jest?

Douglas, który wciąż siedział na podłodze, z nadąsaną miną wzruszył ramionami.

– Jezusie na deskorolce – mruknął Traynor. Chwycił Douglasa za kołnierz, postawił go na nogi i wskazał na ekran. – To. Gdzie oni są?

Dopiero po chwili głos Douglasa dogonił ruchy ust.

– To jest korytarz C.

– No to bardzo mi pomogłeś. Gdzie jest korytarz C?

– Po tej stronie korytarza B – wyjaśnił Douglas.

– Jak daleko są od magazynu?

– Jest tuż za korytarzem E.

– Dobra – powiedział Traynor. Wyciągnął broń z za paska spodni, sprawdził ją i opuścił swobodnie wzdłuż ciała. – Zmiana planów. Ja idę tamtędy. – Wskazał w stronę korytarza, w którym zniknął Donovan. – Zadbajcie, żeby nie wejść nam w drogę, kiedy będziemy wracać.

– Wciąż macie naszą koleżankę – zauważyła Louisa.

– O dziewiątej zostanie wypuszczona, bez względu na to, co się stanie. Cała i zdrowa. Macie nas za zwierzęta?

– Wszystko się jeszcze okaże.

River nie odrywał wzroku od monitora, na którym zespół z Czarnej Strzały zabezpieczał kompleks.

– Zamierzasz do nich strzelać?

– Zamierzam pomóc mojemu dowódcy.

– Przecież to gumisie – powiedział River. – Uzbrojone w kije i kamienie.

– Niektórzy są byłymi komandosami – odparł Traynor. – I nie wszyscy są nieuzbrojeni. Pracowaliście kiedyś dla prywatnej firmy ochroniarskiej?

– Jeszcze nie – mruknęła Louisa.

– Możecie mi wierzyć, typy, które tam pracują, lubią chomikować nielegalną broń.

– Czego tak naprawdę chcecie?

Ale Traynora już nie było. Minął wahadłowe drzwi i pobiegł korytarzem.

River spojrzał na Douglasa.

– Macie tutaj broń?

– Żartujesz sobie?

Tylko trochę, pomyślał River. Znow zerknął w górę na monitory. Uzbrojeni czy nie, było ich mnóstwo. Pewnie aż nadto, żeby uporać się z dwoma byłymi żołnierzami.

Prawdopodobnie.

Douglas nacisnął wcześniej dźwignię, która otwierała właz nad głową.

– Kiedy wydostaniesz się na górę – instruował River – zadzwoń do swojego szefa. Powiedz mu, że doszło do wtargnięcia. Że musi wszczać alarm.

– Jej – poprawił Douglas.

– Co?

– Mój szef to babka.

– Jasne, mniejsza z tym. – Spojrzał na Louise. – A co z tobą?

– Ja też jestem babką.

– Bardzo zabawne. – Ale Louisa od bardzo dawna nawet nie siliła się na dowcip, więc River uśmiechnął się do niej, nim spytał: – Idziesz na górę?

– A ty?

– Pokręcę się tu jeszcze chwilę. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

– No cóż, ja też.

Douglas był już w połowie drabiny. Obserwowali, jak znika we włazie, a potem River przełączył dźwignię, która go zamykała.

Chwilę później Douglas pojawił się na monitorze wyświetlającym obraz z pomieszczenia powyżej.

Na innym ekranie ekipa z Czarnej Strzały zbliżała się do rzędu drzwi, co chwilę dając sobie sygnały rękoma.

Przyglądając im się, Louisa powiedziała:

– Przypomnij mi, po czyjej stronie jesteśmy.

– To będzie łatwiej ustalić, kiedy już zacznie się strzelanina – odparł River. – Będziemy po stronie każdego, kto do nas nie celuje.

Razem przeszli przez drzwi wahadłowe i ruszyli korytarzem.

Pomieszczenie było długie i wysokie; patrząc z tego końca, od którego wszedł Traynor, wydawało się upakowane niemal pod sufit pudłami. Były tam także klatki na dowody rzeczowe, każda porządnie opatrzona kłódką. Jednak mniej więcej w połowie magazynu pudła ustępowały miejsca regałom stojącym nie dalej niż pół metra od siebie. Z przejściem biegnącym pośrodku aż do kolejnych drzwi, przy których pozostawiono sporo pustej przestrzeni, choć na prawo i na lewo od nich pod ścianami stały duże metalowe szafki kartotekowe. Sean Donovan znajdował się w połowie regału zastawionego po brzegi kartonowymi teczkami. Wysuwał je jedna po drugiej, sprawdzał pierwszą stronę, a potem, niczym niezadowolony użytkownik biblioteki, rzucał je na podłogę. Porozrzucane tecki leżały aż do przejścia pośrodku, więc gdy Ben Traynor do niego dotarł, wyglądało to tak, jakby Donovan umyślnie siał chaos; jakby zmieniał schludnie uporządkowany fragment historii w wirującą zamieć pomieszanych zdarzeń.

Nie przerywając tego, co robił, spytał:

- Kłopoty?
- Mamy towarzystwo.
- Kto to?

Traynor już go minął i kierował się do drzwi prowadzących na korytarz E; biegnąc, wysunął pasek od spodni. Zrobił z niego pętlę na klamkach drzwi, mocno zaciągnął, zapiął sprzączkę, po czym skupił uwagę na szafkach na dokumenty.

- Kto to? – spytał ponownie Donovan, który pojawił się przy nim.
- Ekipa Monteitha.

Donovan myślał przez chwilę, potem potrząsnął głową.

- To cieniasy, Ben.

– Nie muszą być dobrzy, wystarczy, że jest ich wielu – odparł Traynor. – Pomóż mi tutaj.

Donovan pomógł mu przechylić szafkę na bok i tak ją przesunąć, by zablokowała drzwi.

– To ich na długo nie zatrzyma – stwierdził Traynor.

– No nie wiem – powiedział Donovan. – Dla niektórych z nich samo otwarcie drzwi to już niezły wyczyn. – Wracił już do regału, który wcześniej przeglądał.

Traynor zerknął przez fragment okienka w drzwiach, który nie był zasłonięty szafką.

– Już tu są – ostrzegł. – Lepiej się zwijajmy.

– Nie zamierzam uciekać przed tymi błaznami. Nie, dopóki nie dostanę tego, po co przyszliśmy.

– Rozejrzyj się, Sean. To pomieszczenie jest wielkie jak pieprzony kościół. Mógłbyś tu spędzić cały tydzień i tego nie znaleźć.

Starszy z mężczyzn potrząsnął głową. Nie było go widać zza regałów, ale Traynor wiedział, co robi.

– Numery katalogowe podpowiadają, gdzie szukać. W jak Wergiliusz plus inicjały Tearney. Potem data i czterocyfrowy numer referencyjny. To sprawa sprzed sześciu do ośmiu lat, więc musimy przejrzeć tylko tę sekcję tutaj. Połowę już przerzuciłem.

– A co, jeśli nas wrobili?

– Jaki by to miało sens, Ben? Wtedy dopiero co wyszedłem z więzienia i zapijałem się na śmierć. I to Taverner się ze mną skontaktowała, pamiętasz? Nie było tak, że mi się wydawało, że mam jakąś misję.

– Nie ufam jej.

– Jest szpiegiem. Byłbyś szaleńcem, gdybyś jej ufał. Ale jest szpiegiem, który ma własne plany i chce zniszczyć Tearney równie mocno jak my. Za

Alison, Ben. Pamiętasz?

– Wątpię, żebym kiedykolwiek zapomniał.

– To ile czasu jesteś gotów na to poświęcić?

– Dobra, dobra – odparł Traynor. – Tyle, ile będzie trzeba.

Z bronią w ręku wrócił do drzwi i przez fragment okienka obserwował niemal niedostrzegalne ruchy ludzi po drugiej stronie. Wyglądali, jakby szykowali się do szturm... Przyszło mu do głowy, że już to przerabiał, że przeżył już taki scenariusz. Wróg tuż obok, a za osłonę jedynie cegła i gipsowa ściana.

Różnica polegała na jakości wrogów.

Znów sprawdził broń, choć nie musiał. Czekał. Kiedy poważniej zabiorą się do drzwi, da im trochę do myślenia. Ale ważne, by pamiętać, że nie wszyscy z nich to błazny – kilku z oddziału Czarnej Strzały naprawdę walczyło: w Iraku, w Afganistanie. Jeśli tu są, nie chciał do nich strzelać. Ale takie już jest życie żołnierza: nie zawsze możesz wybierać wrogów. Poza tym Ben Traynor nie maszerował już pod sztandarem. Najbliższe temu było zdjęcie kapitan Alison Dunn i z tą myślą pocałował palec i dotknął kieszonki na piersi. Słyszał, jak Donovan wertuje teczkę, wyjmując zerkę, odrzuca – ale pozwolił, by te dźwięki stopiły się z tłem, i skupił się na tym, co znajdowało się za zablokowanymi drzwiami: zwarty, gotowy i z palcem na spuście.

Kiedy Douglas wyłonił się z nieużywanej fabryki, przez chwilę stał, mrugając jak szczur, który uwolnił się z labiryntu, a potem – gdy obok ze świstem przejechał pociąg – zamarł, jakby bezruch miał uchronić go przed niebezpieczeństwem. Wydawało się, że to podziałało; pociąg już przejechał, smuga hałasu i światła zmierzająca ku przedmieściom. Douglas spojrział w niebo, na którym zdążyły pojawić się gwiazdy, z dezaprobatą pokręcił głową, po czym sięgnął do kieszeni po komórkę. Zerknął na wyświetlacz,

przewinął w dół, szukając numeru, ale zanim go znalazł, został rozplaszczony na ziemi przez jednego z ludzi Czarnej Strzały; jakkolwiek by popatrzeć, to była nielegalna napaść – a Douglas patrzył na to tylko od dołu. Z ustami wciśniętymi w beton nie mógł krzyknąć; całe powietrze, jakim mógłby oddychać, rozproszyło się w mroku. Jakiś głos wyszczeniwał mu do ucha instrukcje, ale Douglas ich nie rozumiał. Nie chodziło o to, że były w obcym języku – po prostu zupełnie nie przywykł do tego typu doświadczeń. W jego głowie eksplodowało wspomnienie: obserwował, jak robi to jakaś parka w średnim wieku na tylnym siedzeniu samochodu. Wiedza, że takie rzeczy się zdarzają, i obserwowanie ich, podczas gdy samemu pozostawało się niewidzialnym, dają Douglasowi nietykalność. A przynajmniej tak mu się wydawało. Te rzeczy, które robili ludzie, były dowcipami, do których to on dodawał puenty. Ale teraz to jemu zrobiono kawał. Ktoś, zaciskając mu od tyłu ramię na gardle, ciągnął go, by stanął na nogi. Douglas nie miał tak bliskiego kontaktu z innym człowiekiem od czasów kursu ratowania tonących na lokalnym basenie w 2007 roku.

– Dobra. Ja się nim zajmę.

To „nim” odnosiło się do Douglasa; powiedział to ktoś nowo przybyły, nie ten mężczyzna, który go powalił.

Jego płuca próbowały znów napełnić się powietrzem. Tu, na zewnątrz, doświadczył gorąca, które wdzierało się w niego i wydawało jeszcze gorętsze.

Wyglądało na to, że zwymiotował.

– Jesteś w stanie iść?

Kiwnął głową, choć był prawie pewny, że to nieprawda.

Nowo przybyły nosił ciemne ubranie, nie miał jednak militarnego sprzętu jak ten wredny skurwiel, który go przed chwilą powalił. Miał natomiast jedwabną kominiarkę.

– No to chodź.

Douglas jednak był w stanie chodzić, a przynajmniej nie potrafił nic poradzić na to, że ktoś go wlecze, więc w sumie wychodziło na to samo. Ciągnięto go w stronę czarnej furgonetki, która nagle wyłoniła się z mroku. Teraz wszędzie było ciemno, a kształty wyłaniały się powoli. Głęboki wdech. I wydech. Odkrył, że cała sztuka polega na tym, żeby za bardzo się nie starać; oddychanie było jedną z tych rzeczy, które udawały się tylko wtedy, gdy robiąc to, myślało się o czymś innym. Problem polegał tym, że jedyne inne tematy, jakie przychodziły mu do głowy, wiązały się z faktem, że zostanie zaciągnięty do tej furgonetki, ciśnięty z tyłu i że z ciężkim hukiem zamkną się za nim drzwi. Potem był tylko on i ten mężczyzna w kominiarce, obaj otoczeni zwartym mrokiem, dopóki ten mężczyzna nie zrobił czegoś, po czym zapaliła się mała lampka. Furgonetka była duża: pozbawiony okien pojazd do przewozu ludzi, z ławeczkami po bokach, jak w wojsku. Douglas wciąż czuł na języku posmak wymiocin i martwił się, że uderzając o beton, uszkodził sobie zęby.

To był jednak drobny problem w porównaniu z tym, że był tu z tym mężczyzną.

– Już w porządku? – spytał go ten facet.

Douglas kiwnął głową. Zakaszłał. Kiwnął jeszcze raz.

– Przepraszam za to.

Zmartwienia Douglasa zaczęły rozwiewać się jak mgła.

– Chłopacy są strasznie nakręceni i trudno mieć do nich o to pretensje. Ci, których wpuściłeś na teren obiektu, to naprawdę złe typy. Mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś?

– Ja... to... Nie mogę. To tajne.

– No jasne. Słuchaj, synu, naprawdę nie musisz się tym teraz martwić. – Mężczyzna ściągnął kominiarkę i wyglądał teraz zwyczajnie. – Jestem

z Regent's Park, nazywam się Duffy. Możesz mi mówić Nick. Doszło do wtargnięcia, obaj o tym wiemy. Do nieupoważnionego wtargnięcia na teren obiektu MI5. I wiesz co? Nie zdarzyło się to dzisiaj po raz pierwszy. Więc nie martw się teraz tym, co zrobiłeś albo czego nie zrobiłeś, i czy przestrzegałeś wszystkich protokołów, bo w tej chwili wszystkim nam jest trochę głupio i liczy się tylko to, żeby zrobić z tym porządek. Więc powiedz mi: ilu ich tam jest?

– Czwooro – odparł Douglas.

– Dobrze. To tak jak sądziliśmy. A twój zespół? Ile osób z twojego zespołu jest tam na dole?

– Tylko ja – odparł Douglas, a potem dodał: – Nie powinieneś tego wiedzieć? Skoro jesteś z Regent's Park?

– Cóż, dzisiaj mamy tu mały bałagan. Wiesz, jak to bywa. Powiedz mi, jak działa to tylne wejście. Jakiś włącznik?

Douglas mu wyjaśnił.

– I nie ma sposobu, by go otwierać i zamykać od zewnątrz?

– Żadnego. Jest całkowicie bezpieczny.

– Dobra, w porządku. Też tak, jak myślałem. Dzięki, Douglas.

Douglas kiwnął głową i zauważył, że znów normalnie oddycha, co było ulgą, choć w tej samej chwili stało się nieistotne. Jego ciało uderzające o podłogę furgonetki narobiło więcej hałasu niż broń. Duffy był zadowolony; używał szwajcarskiego tłumika i nie był do końca pewny, czy urządzenie okaże się w stu procentach skuteczne, ale efekty mówiły same za siebie. Przyklęknął i wepchnął zwłoki Douglasa pod ławkę. Gdyby miał pięć minut i wiadro wody z mydłem, mógłby też coś zrobić z mózgiem rozprysniętym na panelach, ale czas był czymś, czego akurat mu brakowało.

Jeden z głowy, pomyślał. Zostało czwooro.

Pracowita noc.

Naciągnął kominiarkę, wyłączył lampkę i wyszedł w gęstniejące ciemności.

Pub znajdował się w pobliżu Great Portland Street i pamiętała, że była tu już wcześniej na stypie zabitego agenta Dietera Hessa. Jak zwykle obłudne mowy, podczas gdy prawda była taka, że podobnie jak z większością podwójnych agentów zaufanie do takiego przypominało rzucanie dziesięciofuntowym banknotem na wietrze: tam, gdzie upadnie banknot, on już będzie czekał. Ale taka już była natura bestii. Agent jak poskręcane drzewo rzucał cienie na wszystkie strony; można było nabawić się urazu kręgow szyjnych, słuchając, jak ktoś taki opisuje wczorajszą pogodę.

Diana Taverner popijała Johnniego Walkera Black Label – trunek na szczególne okazje – i starała się ustalić, jak szczególna jest ta dzisiejsza.

To, że Dame Ingrid usłyszała dźwięk spadającego pensa, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Jednak to, czy go usłyszała na czas, by złapać pensa, gdy się już odbił, było inną kwestią. Gdyby tak było, kariera Taverner prawdopodobnie nie dotrwałaby do następnego tygodnia. Knucie i wściekanie się po kątach – to jedno, tak wyglądało biurowe życie; ale uruchamiając całą maszynę, Taverner tak naprawdę wypowiedziała wojnę, a wygrana wojna z takim wrogiem jak Dame Ingrid oznaczała taką, która kończy się, nim padnie pierwszy strzał.

Ale ta okazja była zbyt dobra, żeby ją przepuścić...

Sączyła whisky powoli, próbując zignorować nagłą chęć na papierosa, którą w nieunikniony sposób nasilał alkohol. W tej chwili gdzieś pod skorupą Londynu Sean Donovan polował na dowody, które nie tylko pozbawiłyby Ingrid Tearney stanowiska dającego jej władzę, ale mogłyby

doprowadzić do jej procesu i osadzenia w więzieniu. To, że dowody znajdowały się w archiwach, było niemal pewne – wiedziała, jak działał umysł Dame Ingrid. Świetnie sobie radziła z komisjami i posiedzeniami; w ostatecznym rozrachunku myślała jak urzędnik służby cywilnej. A to – z czego Taverner powinna zdawać sobie sprawę – było raczej słabym punktem, gdy otaczali ją inni jej podobni. Zakopanie dokumentów w tsunami innych dokumentów musiało wydawać się łatwizną, bo przecież zawsze są jakieś dokumenty. To była jedyna zaleta i ostateczny upadek każdego, kto pracował w służbie cywilnej. Ponieważ zawsze istniały budżety do zbilansowania i trzecie strony do ułagodzenia, plany lotów i formularze zamówień; były odstąpienia, kontrakty, gwarancje... W przypadku wszystkiego, co działo się poza jurysdykcją, potrzebne były papiery, żeby kryć własną dupę; w przypadku wszystkiego, co działo się w jej ramach, trzeba było podpisywać rozliczenia nadgodzin. I wszystkie te papiery musiały być sygnowane inicjałami w trzech egzemplarzach, a potem archiwizowane; przechowywane, aż nadejdzie dzień, gdy będą chcieli cię rozliczyć za działania, których sam nie pamiętasz... Funkcjonowanie MI5, jak każdej innej korporacji, opierało się na papierach. To papiery, nie jakieś tajemnicze tryby, były siłą napędową tej maszyny. A działo się tak, ponieważ nikt nie wymyślił jeszcze przekonującego sposobu, aby to zatrzymać; albo raczej na tyle przekonującego, żeby urobić urzędnika służby cywilnej. Słyszeli oni z tego, że nie znosili zmian i wykazywali mniej więcej tyle elastyczności co nosorożec w korytarzu.

A więc dowody musiały być wśród informacji przeniesionych ostatnio do bezpiecznego obiektu poza główną siedzibą, i choć to prawda, że Diana mogła sama ich poszukać w ciągu ostatnich kilku lat, byłoby to narażaniem się na ryzyko, które teraz ponosił za nią Donovan... Poza tym wyciek tych

informacji doprowadziłby do zatuszowania, czyli do nadzwyczajnej komisji śledczej w parlamencie; nieuniknione śledztwo skupiłoby się na tym, kto dopuścił do przecieku, a nie na tym, co wyciekło. Doskonale ilustrowało to kilku sygnalistów z niedawnej przeszłości – może i byli ikonami pokolenia internetu, ale Diana Taverner nie widziała dla siebie przyszłości zamknięta w kanciapie w którejś ambasadzie albo ledwie wiążąc koniec z końcem w stolicy jakiegoś obcego państwa. Nie, gdyby dowody wypłynęły na powierzchnię za sprawą machinacji innej osoby, pozwoliłoby jej to przyglądać się z przerażeniem, gdy ujawniana będzie korupcja szefowej tajnych służb; zaoferować wsparcie osłupiałemu ministrowi; skromnie przyjąć rolę pełniącej obowiązki, dopóki nie opadnie kurz... Jeśli chciała zaatakować Ingrid Tearney, musiała zrobić to z boku. A to oznaczało posłużenie się kimś takim jak Sean Donovan, któremu mogła ufać, ponieważ nie był szpiegiem, lecz żołnierzem – i miał zupełnie inną wizję lojalności, wizję, która obejmowała zemstę na MI5 za wyrządzoną mu krzywdę.

Oczywiście, gdyby odkrył, że odpowiadała za to sama Taverner, mogłoby się zrobić dość niezręcznie...

Dopiła drinka, zastanowiła się nad dostępnymi opcjami i doszła do wniosku, że żadnych nie ma. Jedyńm, co mogła zrobić, było napicie się kolejnego drinka.

Nie czekała długo na obsługę, ponieważ barman był mężczyzną. Kiedy to przestanie tak działać... Diana nie wiedziała, co robi, kiedy to przestanie tak działać. To było jak myśli o śmierci. Kiedy jej nalewał, rozejrzała się po barze, zauważyła swoje odbicie w lustrze i z przerażeniem dostrzegła coś, co wyglądało jak siwy kosmyk w jej kasztanowych włosach... Dzięki Bogu, okazało się, że to tylko sztuczka, jaką spłatało jej światło, ale nawiązywało to też do jej obecnej sytuacji: czas płynął naprzód

bez względu na wszystko i trzeba było korzystać z okazji. Lepiej spłonąć niż nieśmiało zgasnąć.

Myśląc o tym wszystkim, nie zwracała tyle uwagi, ile powinna, na postać w kącie; przystojnego, wręcz eleganckiego mężczyznę o wysokim czole, brązowych oczach i ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach. Leżała przed nim rozpostarta gazeta i wydawało się, że ją czyta, ale przede wszystkim zajmował się obserwowaniem Diany Taverner.

– Mówiłem ci, że potrafię zwierać kable w samochodzie.

– O autobusach nie wspominałeś – odparł Lamb.

Ho rozwalił ganek na drzazgi i wybił pokaźną dziurę w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi, co – biorąc pod uwagę prędkość, z jaką jechał – wiele mówiło o trwałości dobrego, starego londyńskiego autobusu i nie najlepiej świadczyło o tym, kto budował ten dom. W przedpokoju walały się kawałki cegieł, strzaskane szkło i odłamki drewna. Część framugi drzwi wylądowała na plecach Baileya. Gdyby autobus wjechał głębiej w budynek, zgniótłby go jak robaka.

– Myślałem, że możesz mieć kłopoty.

– Jasne, bo gdybym je miał, rozwalenie autobusu bardzo by mi, kurwa, pomogło.

– Starał się, jak mógł – powiedziała Catherine. – Dziękuję, Roddy. To był dobry plan. A teraz przynieś trochę wody, dobrze?

– Nie chce mi się pić.

– Cóż, nie dla ciebie. Kuchnia jest gdzieś tam na tyłach.

– Spróbuj nie zrównać jej z ziemią – rzucił Lamb.

Ho wyszedł z nadąsaną miną i dokładnie w tym momencie kawał gipsu rozmiarów talerza oderwał się od sufitu i uderzył go w głowę.

Lamb spojrzał w górę.

– Jestem ci winien przysługę.

Catherine pochylała się nad Baileyem i strzepnęła z niego gruz.

– Daj mu spokój. Gdybyś to ty przebił autobusem ścianę, gadałbyś potem o tym w nieskończoność. Co robią pozostali?

– Cartwright i Guy pomagają twojemu Donovanowi.

– Pomagają?

– Wygląda na to, że Szare Księgi są w jakimś obiekcie magazynowym w pobliżu Hayes. Donovan potrzebował pomocy MI5, żeby się tam dostać. – Mówiąc to, Lamb grzebał w kieszeni, i gdy wysunął z niej rękę, ścisnął w niej nierozpakowane herbatniki. Przegryzł jeden na pół i powiedział: – Albo nie miał ochoty sam jeden wybierać się do Hayes.

– A co z Marcusem i Shirley?

– Zmotywowałem ich.

– Co to ma znaczyć?

Lamb westchnął jak człowiek, który cierpi w milczeniu.

– Czy tylko ja znam się tutaj na zarządzaniu ludźmi? – Wepchnął do ust kolejne herbatniki i chwilę później dodał: – I kiedy mówię „ludźmi”, zdecydowanie mam też na myśli Dander.

– Też ma w sobie coś ludzkiego. A jak konkretnie ich...

– Zwolniłem ich.

Catherine zastanawiała się nad tym przez chwilę. Marcus i Shirley, którzy mieli jeszcze silniejsze skłonności niż River, by walić głowami w mur, licząc na to, że coś się wydarzy. Cokolwiek.

– To może podziałać – przyznała.

– Tak. A wiesz dlaczego to takie piękne? Bo jeśli nie podziała, to już i tak są zwolnieni.

– Ale przecież mogłeś im po prostu wydać instrukcje.

– Nikt ich, kurwa, nie nauczył wykonywać instrukcji.

Ho wrócił z kuchni, niosąc szklanę wody. Spojrzał na Lamba, potem na Catherine i znów na Lamba.

– Masz szklanę wody – powiedział Lamb. – Spróbuj zgadnąć.

Ho podał ją Catherine.

– Dziękuję – powiedziała.

Przyklękła i położyła sobie na kolanach głowę wciąż nieprzytomnego Baileya. Jedną ręką otworzyła mu usta i nalała do nich wody.

– Chcesz go utopić? – spytał Lamb. – Trochę to okrutne.

– To nie ja rozwaliłam mu twarz.

– Wydaje mi się, że mam jego ząb w kolanie.

– To tylko dzieciak.

– W takim razie nie powinien się bawić z dorosłymi. – Lamb pochylił się nisko i przetrząsnął kieszenie Baileya.

Znalazł portfel, przykucnął i przetrząsnął jego zawartość: trochę drobnych, dwa dziesięciofuntowe banknoty, karta kredytowa i prawo jazdy.

Banknoty znikły w wielkim łapsku Lamba.

– Co ty wyprawiasz?

– Kasa na benzynę – odparł Lamb. Zerknął na prawo jazdy. – Proszę, proszę, kogo my tu mamy! Craig Dunn.

– Zaczyna się budzić – powiedział Ho.

Oczy młodego mężczyzny poruszyły się pod powiekami. Catherine delikatnie poklepała go po policzku.

– Naprawdę tak się udziela pierwszej pomocy? – spytał podejrzliwie Lamb. – Bo wygląda to tak, jakbyś bawiła się ze szczeniakiem.

– Zrób może coś pożytecznego i zadzwoń po karetkę.

– Już zrobiłem coś pożytecznego – odparł Lamb. Spojrzał na Ho. – A teraz w czym problem?

– Zapłaciłem za benzynę.

– Będziesz musiał złożyć wniosek o zwrot kosztów – powiedział Lamb. – Louisa pokaże ci jak.

Craig Dunn jęknął i otworzył oczy.

Na pierwszy rzut oka na terenie nieużytków nie było nikogo. Furgonetka Czarnej Strzały była zaparkowana obok wozu, który wyglądał jak samochód Louisy. Stał tu też kontener na gruz, leżały sterty różnych kamieni i zwinięta siatka ogrodzeniowa, ale ekipa, której wjazd widzieli, jakby się rozplynęła.

– Gdzie oni się podziali?

– Nie szukaj ludzi. Szukaj ruchu.

To było jak na jednym z tych obrazków dla dzieci: wpatrujesz się w rysunek drzewa, dopóki nie zauważysz wiewiórek.

Sami znajdowali się w cieniu, bardziej jak drzewo niż wiewiórki, i rozmawiali szeptem. Shirley zapięła pod szyję kurtkę, by nie było widać jej białego T-shirtu; Marcus opuścił czapkę nisko na czoło. Skulili się przy wejściu do zdeformowanego czworoboku utworzonego przez budynki. Słupki mający blokować wjazd zostały ustawione w pionowej pozycji, a drewniana stróżówka, w której kiedyś siedział dozorca parkingu, była pusta, wokół unosił się ciężki odór szczyln. Za najdalszym z budynków widać było światła sygnałowe kolei, ale niebo nad ich głowami przybrało barwę głębokiego granatu, a na pierwszym planie nic nie świeciło.

Potem coś poruszyło się trochę dalej, między filarami na poziomie parteru najdalszego z budynków, i do Shirley dotarło, że patrzy na dwóch ludzi z Czarnej Strzały.

– Widzę dwóch.

– Ja siedmiu – powiedział Marcus.

– Nie szpanuj.

– Nie są za dobrzy – stwierdził. – Na takim terenie, z tyloma miejscami, gdzie można się schować, ja byłbym niewidzialny.

– Ja cię widzę – mruknęła Shirley. A potem: – Co to? Reflektory?

Konstrukcje były dwie: wysokie na kilka metrów rusztowania z przymocowanymi na górze silnymi reflektorami. Jedno przy furgonetce Czarnej Strzały, a drugie kilka metrów dalej. Oba reflektory były zgaszone i skierowane na otwór w murze fabryki. Wyglądały jak ogromne lampy biurkowe. Sprawiały wrażenie, jakby można je było przewrócić patykiem.

– Tak, to właśnie to... O Boże...

– Chcą wszystkich zabić – powiedziała Shirley.

– Na to wygląda.

– Zamierzają wykurzyć Rivera i pozostałych z obiektu. Kiedy tylko się zjawią, światła się zapalą, a potem bum, bum, bum!

– Cicho.

Z tylnych drzwi furgonetki wyłoniła się jakaś postać. Twarz mężczyzny zasłaniała kominiarka, ale i tak był zbyt daleko, by to miało jakiegokolwiek znaczenie. Szybko się rozejrzał, a potem pobiegł w stronę bloku po ich prawej stronie.

– Ósmy – rzucił Marcus.

– Zamierzasz tylko liczyć czy masz jakiś plan?

– Cóż, w takich sytuacjach zadaję sobie pytanie: co by zrobił Nelson Mandela?

– Serio?

– Koleś przetrwał trzydzieści siedem lat w więzieniu o zaostrzonym rygorze – odparł Marcus. – Jestem pewien, że potrafił o siebie zadbać.

– Cóż, nie to przychodzi do głowy większości ludzi, kiedy... Nieważne. Co by zrobił Nelson?

– Zdjąłby te rusztowania, zanim się włączą światła. Wchodzisz w to?

Shirley nie miała nic przeciwko temu i powiedziała by to, ale za Marcusem zjawiała się postać z pałką w ręce. Strach w jej oczach ostrzegł Marcusa, więc zdążył usunąć się na tyle, by pałka zamiast trafić w bok głowy, uderzyła go w kark. Całym ciałem odbił się od ściany i z głuchym odgłosem osunął na ziemię. Shirley zdążyła zauważyć, że bejsbolówka nadal tkwi na jego głowie; prawie zdążyła zrobić krok do przodu i kopnąć napastnika w podbródek; i nie zdołała zrobić zupełnie nic, gdy runęła twarzą do ziemi, bo drugi mężczyzna podciął jej nogi. Przetocz się, pomyślała i poczuła piach w ustach, gdy spadł but, który powinien trafić ją w głowę.

Biegając korytarzem, Louisa zwróciła uwagę na bicie swojego serca... Od dawna sobie tego nie uświadamiała.

Dwa kroki przed nią River nieznacznie tylko zwolnił i rzucił się przez wahadłowe drzwi; uderzyły o ścianę i odbiły się w jej stronę, a ona zasłoniła się rękoma. Każdy z instruktorów, jakich kiedyś mieli, zanim trafili do Slough House, patrząc na to, dostałby co najmniej siedmiu napadów szału – bardziej przypominali goniące się dzieci niż agentów podczas operacji... Jeśli nimi właśnie byli. I jeśli to była operacja.

Miała nieodparte wrażenie, że to jakiś potworny bajzel, ale nie było w tym nic niezwykłego. W zeszłym roku ona i Min mieli okazję posmakować prawdziwej operacji. Właściwie to mieli tylko potrzymać kogoś za rękę, ale dzięki temu poczuli się bardziej żywi niż kiedykolwiek od czasu, gdy wyrzucono ich z Regent's Park. Jak się okazało, uczestniczyli w cudzej grze – Min zginął i od tamtej pory pozostała jej tylko codzienna harówka w niby-pracy i noce spędzane z obcymi mężczyznami; było ich tak wielu, prawie zapomniała, że może być inaczej.

A teraz to.

Kolejne drzwi. Straciła rachubę, w którym byli korytarzu, F czy E, ale to nie miało znaczenia, bo oto trafili tutaj – do pomieszczenia, które wdziali na monitorze, z rzędami nowo zmontowanych regałów i pudłami upakowanymi w czymś, co wyglądało jak klatki, jakby zawarte w nich informacje były dzikie i musiały być trzymane za kratami. W przypadku wielu z nich pewnie zresztą tak było. Na przeciwległym końcu pomieszczenia Ben Traynor tkwił przy drzwiach, widoczny w przejściu między regałami. Zbudował barykadę i stał na przewróconej szafce, wyglądając przez fragment okienka. Broń trzymał luźno w ręce opuszczonej wzdłuż ciała, ale gdy się zbliżyli, błyskawicznie się odwrócił, celując w nich.

River i Louisa odskoczyli w przeciwne strony, chowając się za pudłami w klatkach.

Traynor opuścił broń.

– Co wy, u diabła, wyprawiacie?

Pojawił się River z uniesionymi rękoma.

– Miałem cię zapytać o to samo. Gdzie Donovan?

Pozycję tego ostatniego zdradził właśnie hałas segregatora uderzającego o podłogę.

– Chyba kazałem wam się zmyć – powiedział Traynor.

– A mnie się wydawało, że mówiłeś, że chcecie zdobyć Szare Księgi.

River opuścił ręce i Louisa do niego dołączyła.

– Coś wskazuje na to, że tu wejdą? – spytała.

Traynor się zawahał. Potem odparł:

– Kilka metrów dalej w korytarzu jest inne pomieszczenie. W tej chwili są tam. Przypuszczam, że planują swój następny ruch.

Który pewnie będzie polegał na zmasowanym ataku, pomyślała Louisa. Albo na poddaniu się, choć to wydawało się mało prawdopodobne.

– Mają broń?

– Może jeden czy dwóch. Żaden jeszcze nie strzelał.

O podłogę uderzył kolejny segregator.

– Jeśli przegląda je jeden po drugim, to możemy tutaj trochę posiedzieć – stwierdził River.

– Wiemy, co robimy.

– Broń nie będzie im potrzebna. Wystarczy, że poczekają, aż przerdzewieją zawiasy i drzwi same odpadną.

Louisa ruszyła przejściem w stronę Traynora i przystanąła, gdy dotarła do rzędu regałów, przy których znajdował się Donovan. W całej tej scenie było coś absurdalnego: jakby obserwowała Rocky’ego, który bawi się w bibliotekarza. Miał w rękach segregator. Zanim otworzyła usta, upuścił go i już sięgał po kolejny.

– Znalazłam twoje rozważania w internecie – powiedziała.

– BigSeanD – odparł, nie przerywając tego, co robił.

– BigSeanD ma fioła na punkcie pogody – stwierdziła Louisa. – Najwyraźniej myśli, że „oni” zrobili z niej broń.

– Mhm.

– Nie było do końca jasne, kim są ci „oni”.

– Przypuszczam, że to ci sami goście, którzy wszczepiają ludziom chipy do głowy, żeby móc ich namierzyć, kiedy zostaną porwani przez obcych. – Spojrzał na nią szybko. – Robią rzeczy, które przyprawiają o ciarki, to na pewno.

Dotarł do końca rzędu segregatorów; dalej znajdowały się szare teczki różnej grubości; niektóre związane tasiemkami, inne spięte spinaczami. Na okładkach widniały numery katalogowe wybite pieczętką z czerwonym tuszem; Donovan sprawdzał każdą, a potem rozwiązywał wstążkę lub

odrzucał spinacz. Szybki rzut oka na pierwszą stronę – tylko tyle potrzebował – a potem teczki dołączały do chaotycznej sterty na podłodze.

– Musisz przyznać – zauważył tonem swobodnej rozmowy – że to wcale nie wydaje się takie naciągane. O ile jeszcze nikt nie kontroluje pogody, założę się, że ktoś już próbuje to robić.

– Ale ciebie to nie obchodzi, prawda? Stworzyłeś legendę, żeby dostać się w to miejsce.

– W czym problem? Nie pasuję do twoich wyobrażeń o świrze, który wierzy w teorie spiskowe? Mówili ci, że wyglądamy jakoś inaczej?

– Przypuszczam, że oni mogą być bardzo różni – stwierdził River. Stał w przejściu tak, by widzieć równocześnie Donovaną i Traynora. – Ale bez względu na to, czego naprawdę chcesz, nie możemy ci pozwolić tego zabrać.

– Doprawdy?

– Ruszyli się – poinformował Traynor.

– Ilu? – spytał River.

– Sześciu. Pewnie więcej. Mam ograniczone pole widzenia.

Na Donovanie najwyraźniej nie zrobiło to wrażenia.

– Może lepiej sobie idźcie – powiedział. – Kilku z nich ma prawdziwą broń. Nawet wiedzą, którą stroną celować.

– Porwałś Catherine Standish – rzucił River. – Wysłałeś mi jej zdjęcie.

– Porwałem ją – przyznał Donovan. Zdjął z półki kolejną teczkę.

Rzut oka, ledwie dostrzegalne wzruszenie ramion. Teczka uderzyła o podłogę.

– Znałeś ją wcześniej – powiedziała Louisa. – W czasach, kiedy była w Regent's Park.

Donovan otworzył kolejną teczkę. Spojrzał na pierwszą stronę i wyglądało na to, że ją też odrzuci, ale zaraz spojrzął jeszcze raz, uważniej.

– Ale bardziej mnie interesuje – ciągnęła Louisa – skąd dowiedziałeś się o Slough House.

Odgłos tłuczonego szkła. Obejrzała się. Przez puste miejsce na regałach powstałe wskutek działań Donovan zobaczyła, że Traynor unosi broń do okienka, które właśnie stłukł. Dwa strzały odbiły się rykoszetem w korytarzu. Reakcja była natychmiastowa: jeszcze głośniejszy huk i powódź światła, które zalało pomieszczenie, a następnie cofnęło się, pozostawiając ciemną plamę przed oczami. Traynora zmiotło z szafki, która ze zgrzytem przesunęła się po podłodze. Drzwi wybrzuszyły się do środka, te po lewej wybuch oderwał od ściany; rzędy regałów zaczęły się przewracać jak klocki domina, gdy te znajdujące się najbliżej miejsca wybuchu upadły na sąsiednie. Donovan rzucił się na podłogę; Louisa zrobiła to samo, gdy pociągnął ją za ramię, a przewracające się regały wypluwały nad ich głowami teczki i foldery. To, co przed chwilą było przejściem, teraz zmieniło się w tunel; hałas nad ich głowami nie ustawał, dopóki ostatni regał nie oparł się o pierwszą skrzynię z rzędu. River zniknął. Przez dwie sekundy Louisa miała tylko mętlik w głowie, w uszach huk, w oczach światło, a potem włączył się instynkt przetrwania. Ruszyła na czworakach przez to zwalisko w stronę tego, co było wcześniej głównym przejściem. Stamtąd można było dojrzeć postacie wpadające przez dziurę w ścianie w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą znajdowały się drzwi. Podźwignęła się, a wtedy chwycił ją jakiś obcy facet. Jego twarz zasłaniała czarna kominiarka. Uderzyła go w gardło krawędzią dłoni – cofnął się o dwa kroki, komicznie łapiąc oddech. W jego miejsce pojawił się inny, identycznie ubrany. Tym razem Louisa runęła na podłogę i w jej stronę wystrzelił jakiś przedmiot – wyglądał na pałkę. Trafiłby ją, gdyby mężczyzna nie został najpierw uderzony w twarz segregatorem. Zatoczył się, a potem upadł, gdy River poprawił mu pięścią w głowę.

Louisa podźwignęła się na nogi. Pomieszczenie wypełniła lekka mgiełka – dym, ale głównie kurz. Najwyraźniej ludzie z Czarnej Strzały nie wiedzieli, co robić po tym, gdy już przebili się przez ścianę. Kilku bardziej ogarniętych siedziało na Benie Traynorze, przetoczyli go na brzuch i zakładali mu kajdanki na ręce. Zza jej pleców wyłonił się Sean Donovan i zobaczyła, jak sięga po teczkę, którą przeglądał w chwili, gdy drzwi wyleciały w powietrze. Szybko wsunął ją pod koszulę i się wyprostował.

– Nic ci się nie stało!?! – wrzasnął River.

Doszła do wniosku, że to musiał krzyknąć. Wciąż dzwoniło jej w uszach.

Wrzasnął:

– Pora spadać! – I w tym momencie jego ciało zeszywniało, a światło w oczach zgasło.

Uderzył o podłogę w taki sposób, że była pewna, że nie żyje.

Shirley przetoczyła się na bok i kopniak, który powinien urwać jej głowę, tylko otarł się o ucho. Wykonując ten sam ruch, podcięła napastnikowi nogę i go powaliła. Kątem oka dostrzegła, że pierwszy mężczyzna uderza pałką w brzuch Marcusa, ale to było kilka jardów dalej – w innej strefie czasowej – i musiała się zająć własnym napastnikiem. Rzuciła się na niego i przygwoździła mu rękoma łokcie. Był od niej sporo cięższy, wyposażony w sprzęt bojowy; ona miała na sobie dzinsy, T-shirt i kurtkę, ale choć brakowało jej pasa taktycznego i pałki, miała przynajmniej twardą głowę i gdy trafiła nią w jego nos, usłyszała satysfakcjonujący chrzęst kości. Ten tchórz wrzasnął, a jego pałka potoczyła się po betonowej podłodze. Unosząc się, Shirley bardzo mocno dwukrotnie poprawiła mu pięścią dokładnie w to samo miejsce, w które uderzyła go z główki. Zrobiłaby to po raz trzeci, ale musiała rzucić się w bok, by nie oberwać od tego pierwszego pałką – ze świstem minęła jej twarz tak blisko, że niemal poczuła jej smak.

Shirley przetoczyła się dwa razy i poderwała do pozycji startowej jak biegacz czekający na sygnał. Patrząc na nią, uderzył pałką o otwartą dłoń, raz, a potem drugi raz, jakby to było zaproszenie. Drugi napastnik świszczwał ciężko i parskał krwią. Marcus leżał twarzą do ziemi i nie wyglądał, jakby miał się szybko poruszyć. Zbliżali się do nich kolejni. Słyszała pobrzękiwanie sprzętu na paskach, ciężkie kroki nakręconych mężczyzn. Następne uderzenie pałką o dłoń – „chodź i ją sobie weź”.

Dałaby mu radę. Wystarczyłoby jej pięć sekund, a przez resztę tej nocy wyciągałby sobie tę pałkę z dupy.

Nie był jednak jedynym wrogiem. Zanim hałasy się zbliżyły, zamarkowała ruch w lewo, rzuciła się w prawo, obróciła się na pięcie i pobięła.

„Przykro mi, Marcus”.

Pochłonęły ją cienie i znikła w mroku.

Nie widziała, jak mężczyźni podnoszą Marcusa i niosą go do czarnej furgonetki.

Dame Ingrid siedziała w blasku swojej zwykłej lampy i dla postronnej obserwatorki mogła wyglądać spokojnie, wręcz jak święta, bo jej blond peruka tworzyła w tym świetle efekt aureoli. Jednak gdyby ta sama obserwatorka podeszła bliżej, ignorując miękkie oświetlenie, zauważyłaby, że wszelki spokój w oczach Dame Ingrid to spokój skały wyrażający wzniosłą obojętność wobec sił, które ją stworzyły, i uparty zamiar, by przetrwać, cokolwiek się wydarzy.

Nie było żadnej obserwatorki, ale Ingrid Tearney i tak potarła policzek, jakby poczuła na nim oddech nieznajomej, a potem dotknęła peruki, sprawdzając, czy się nie przesunęła. Po dzisiejszych wydarzeniach nie byłaby zaskoczona, gdyby znalazła luźne kosmyki na ramionach, tak jak wypadająby jej prawdziwe włosy, gdyby nie straciła ich dawno temu.

Dzisiejszy dzień był dniem niespodzianek, dniem układania worków z piaskiem i nagłych zwrotów wydarzeń. Można się było spodziewać, że Peter Judd będzie coś knuł. PJ nie był niewiadomą – w życiu publicznym był błaznem, a prywatnie welociraptorem, i Dame Ingrid przygotowywała się na atak z jego strony od chwili, gdy przejął Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Machinacji Diany Taverner też należało oczekiwać, ale Dame Ingrid przeraziło to, że plan Taverner najwyraźniej kiełkował od lat.

Pół godziny poszukiwań wystarczyło, by to potwierdzić.

Gdyby Dame Ingrid kiedykolwiek zajmowała się brutalną stroną operacji, skojarzyłaby nazwisko Seana Donovana. Donovan był kiedyś zawodowym żołnierzem, któremu pisana była wielka kariera; jego obowiązki poza polem walki obejmowały stanowisko przy ONZ, gdzie doradzał w sprawie tłumienia oporu albo, jak też to określano, zamieszek, w zależności od tego, kto dociskał butem. Towarzyszyła mu niejaka kaptan Alison Dunn, która była zaręczona z podkomendnym Donovanem, porucznikiem Benjaminem Traynorem. Wszystko to było bardzo słodkie i nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, by wymyślić milion rzeczy, które mogły pójść nie tak – w rzeczywistości jednak nie doszło do romantycznych zawiłości, lecz do braku politycznej rozwagi. W barze w Midtown do Alison Dunn podszedł młodszy delegat z jednej z byłych republik sowieckich. Dunn miała dość rozsądku, by w jego towarzystwie pozostać trzeźwą; młodszemu delegatowi albo zabrakło takiej mądrości, albo udawał bardziej pijanego, niż w rzeczywistości był, by usprawiedliwić fakt, że miał ozorem. Albo też – nie sposób tego wykluczyć – kierowały nim honorowe motywy. Tak czy inaczej, informacje, jakie przekazał Dunn, były na tyle alarmujące, by po powrocie do kraju złożyła raport do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych opatrzony pieczęcią „Wyłącznie do wglądu ministra”.

Okazało się to sporym błędem.

Dame Ingrid wydeła usta; nie wiedziała o tym, ale wyglądała w takich chwilach jak niezadowolona ryba. Bez wątplenia rekrutując Donovana i Traynora, Diana twierdziła, że to wyłącznie Ingrid ponosiła odpowiedzialność za śmierć Alison Dunn i co za tym idzie – za odsiadkę Donovana. Nie było także wątpliwości, że podała im precyzyjne instrukcje dotarcia do dokumentacji stopnia Wergiliusza, która potwierdziłaby historię, jaką Alison Dunn usłyszała w Nowym Jorku. Informacje te wystarczyłyby aż nadto, by zakończyć karierę Ingrid Tearney.

Szare Księgi, no jasne... Powinna była od razu się domyślić, że to tylko przynęta. I domyśliłaby się, gdyby ta przynęta nie została zapakowana jak prezent; gdyby okazało się, że tiger team Petera Judda składa się z oderwanych od rzeczywistości świrów wierzących w teorie spiskowe, wówczas nie stanowiliby realnego zagrożenia. Ingrid tak bardzo chciała, by tak było, że przyjęła to za pewnik, nie próbując tego kwestionować. Westchnęła... Zbyt łatwo wierzyła w innych. Zawsze wykazywała tę słabość; to była jej jedyna poważna wada, która mogła doprowadzić do jej upadku, jeśli nie uda się ich wszystkich wyeliminować w ostatniej chwili.

Mrok wdzierał się coraz głębiej do pokoju i oświetlony lampą ką, w którym siedziała, zdawał się jaśniejszy. Nie pozostało jej nic prócz czekania. I robiąc to, nie potrafiła do końca stłumić czegoś w rodzaju podziwu dla nieustępliwości, z jaką Diana Taverner dążyła do własnych celów.

A jednym z najzuchwalszych aspektów jej dążeń było według Dame Ingrid to, że Dianie udało się to wszystko bez papierkowej roboty.

Uporządkowane pole bitwy to dobre pole bitwy, pomyślał Nick Duffy. Nie był do końca pewny, czy ta konkretna złota myśl pojawiała się w tekstach o sztuce wojny, które ci kretyni z City czytują w metrze, ale dobrze pasowała do jego nastroju. Z obecnej perspektywy Duffy'ego siatka ogrodzeniowa, kontener i sterty gruzu zmieniły się w charakterystyczne punkty orientacyjne: kryjówki na czas tego, co miało dopiero nadejść i w idealnej sytuacji nie potrwa dłużej niż minutę. Reflektory na rusztowaniach miały zmienić teren przed niszczącą fabryką w scenę, a kiedy to już nastąpi, każdy, kto wkroczy na jej deski, doświadczy dramatycznego końca swojej kariery. Kiedy to się działo na scenie, nazywali to umieraniem. A kiedy działo się gdzie indziej, nazywali to tak samo.

Znajdował się głęboko w cieniu budynku najbliższej torów kolejowych, opierał się o filar i choć nie wiedział dokładnie, co się dzieje w kompleksie poniżej, czuł spokój; wrażenie, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Tak się poczuł, gdy pociągnął za spust i zastrzelił tego rudego dzieciaka. Można by pomyśleć, że popchnie go w inną stronę; że teraz powinien być przygnębiony, podenerwowany i tym podobne gówna, ale to tak nie działało. W tym momencie wszystko musiało być w porządku, bo po tym, jak zastrzelił tego dzieciaka, inny scenariusz był nie do pomyślenia. A Nick Duffy nie pakował się w rzeczy nie do pomyślenia.

Zbliżał się do niego przedstawiciel Czarnej Strzały. Nawet nie próbował być niewidoczny. Powiedział drżącym głosem:

– Mamy jeńca.

Przez chwilę Duffy myślał, że coś przegapił.

– Wyszli na górę?

– Nie. Wypatrzyli go na obrzeżach pola walki, jak nas obserwował.

Na obrzeżach pola walki, pomyślał Duffy. Te żołnierzyki uwielbiają swój żargon.

– To wielki facet, czarny. Problem w tym, że ktoś z nim był.

Duffy zrobił w głowie szybki przegląd personelu Slough House. Wielki czarny facet to musiał być Marcus Longridge. Ten ktoś to była albo Shirley Dander, albo Roderick Ho. Osobiście stawiał na Dander. Ho był biurwą.

– I uciekł.

– Kurwa. Ktoś ją ściga?

– Z tego, co wiemy, jest w pierwszym budynku.

Facet z Czarnej Strzały wskazał za jego plecy, na wypadek gdyby Duffy zapomniał, który budynek jest który.

– Problem w tym...

Kolejny problem?

– W czym? – spytał Duffy.

– Zabrali go do furgonetki. Tam, gdzie wpakowaliśmy pierwszego jeńca.

– Dobrze.

– Tylko że... ten pierwszy jeniec...

– Co z nim?

– Nie żyje.

– No i?

– Jezus, to znaczy... – Ołowiany żołnierz zmienił się w chłopca żołnierzyka. Duffy widział, że lada chwila zaczną mu drzeć usta. – Nikt nam nie mówił, że mamy kogoś zabić.

Duffy kiwnął głową. Facet z Czarnej Strzały nie widział jego twarzy, i pewnie tak było lepiej, bo mina Duffy'ego by go nie uspokoiła. Pochylił się w jego stronę i by nie pozostawić ani cienia wątpliwości, ręką odzianą w rękawiczkę chwycił go za gardło.

– A myślałeś, że co, kurwa, będziemy tu robić? Że ich oznakujemy i wypuścimy z powrotem między ludzi? – Jego głos opadł o oktawę niżej; przekonał się nieraz, że ten ton zawsze działał, gdy musiał komuś tłumaczyć ponure realia.

– Ale to po prostu...

– To nic takiego. Przez ostatnie pół roku wasza zasrana mała operacja była kierowana przez kogoś, kto dziś okazał się wrogiem publicznym. Teraz możemy sobie z tym poradzić na dwa sposoby. Albo urządzimy sobie miłą dyskusję, po której nastąpi gruntowne śledztwo, a wtedy żaden z was już nigdy nie dostanie roboty. Nie wspominając już o tym, że MI5 tak wam się dobierze do tyłków, że przez resztę życia będziecie trząść się ze strachu za każdym razem, kiedy zawieje wiatr. Albo możemy to zrobić po mojemu, czyli szybko, po cichu i tak, żeby nie został żaden bajzel. Bo jeśli brakuje ci do tego jaj, to powiedz. Ale najpierw niech do ciebie dotrze jedno. Jeśli nie jesteś częścią rozwiązania, jesteś częścią problemu. Zrozumiałeś?

Facet z Czarnej Strzały kiwnął głową.

– Nie dosłyszałem, synu.

– Tak...

– Witaj na pokładzie. Ten nowy jeniec jest skutny?

– Tak.

– Dobrze. Zajmę się nim. Ty wracaj na swoją pozycję. Jeśli ktoś wyjdzie z tej fabryki, zapalają się światła, a ty go zdejmujesz. Rozumiesz?

Tym razem nie czekał na odpowiedź. Zostawił ochroniarza w smrodzie umierającego budynku i ruszył w stronę furgonetki.

Roddy Ho uważał, że nie został wystarczająco doceniony za przejęcie inicjatywy. „Wymyśl coś”, powiedział mu Lamb. „Zrób coś”, powiedział mu Marcus. Jakkolwiek by na to spojrzeć, wjechanie autobusem we frontowe drzwi to było coś. A że okazało się niepotrzebne, można było stwierdzić dopiero po fakcie i pretensje względem niego były nieuzasadnione.

W jego wyobraźni rozegrało się to inaczej. Wyskoczył prosto z kabiny autobusu i rozbroił zbira trzymającego Lamba na muszce; z naturalną gracją rzucił wspomnianego zbira na kolana raz-dwa.

Później z Louisa: „Naprawdę Lamb tak powiedział? Ja tylko reagowałem, kotku”.

„Jezu, Roddy, jeśli ktoś nazywa cię bohaterem, musisz się po prostu z tym pogodzić, dobrze? A tak w ogóle, to jego broń jest w twojej kieszeni?”

– Co jest, do diabła? Od wstrząsu zjechał ci się słuch czy jak?

To był Lamb przywracający Roddy’ego Ho do rzeczywistości.

– Dunn. Alison Dunn. Tak się nazywała kobieta, którą zabił Donovan.

– Tak – powiedział Ho. – Nie. Nie pamiętam...

– Boże, daj mi siłę. Gdybym potrzebował od ciebie pomysłu, wszyscy mielibyśmy kłopoty. Chcę tylko, żebyś postukał w klawiaturę. Sprawdź ją. Czy ten facet jest z nią spokrewniony?

Przez chwilę Ho nie mógł znaleźć swojego smartfona i całe życie przewinęło mu się przed oczami. Większość dotyczyła Grand Theft Auto. Potem go namierzył... eh, był w nowym pokrowcu... i wstukał swoje hasło do intranetu MI5. Postukać w klawiaturę, postukać w klawiaturę. Lamb nie miał pojęcia, jak wiele trzeba oprócz prostego stukania w klawiaturę.

Alison Dunn, zmarła, żołnierz. Przewiń, by znaleźć żyjących członków rodziny.

– Wiesz – mówił Lamb, podziwiając bajzel, jaki autobus zrobił w przedpokoju – kiedy cię poznałem, pomyślałem, że tylko niepotrzebnie zajmujesz wolne miejsce.

Chociaż Ho był bardzo zajęty, nie udało mu się powstrzymać krzywego uśmiechu. Potrafił rozpoznać początek trzeciego aktu, kiedy go słyszał.

– A kiedy zmieniłeś zdanie?

– Kiedy co?

Weszła Catherine, która do tej pory była w pokoju obok, gdzie położyli Dunna.

– Póki masz pod ręką telefon, zadzwoń po karetkę.

– No jasne – rzucił Lamb. – Przykujemy go do kaloryfera i niech psy go zgarną. Mamy tu niezły bajzel nawet bez wycieczki na pogotowie.

– To cywil – stwierdziła Catherine. – Nie nasza jurysdykcja.

Ho podniósł wzrok znad telefonu. Standish gniewnie spoglądała na Lamba. Ho się ucieszył, że nie patrzy tak na niego. „Kotku – powiedział Louisie – ta dama potrafi się naprawdę wściec. Wiesz, co mam na myśli?” Żyjącymi członkami rodziny byli jej matka oraz brat Craig. I był też narzeczony, niejaki Benjamin Traynor.

Traynor...

– Powinniście wiedzieć o czymś jeszcze – zwrócił się do Lamba.

Shirley znalazła wiszące na jednym zawiasie drzwi, które prowadziły na klatkę schodową, i wbiegła poziom wyżej. Zapachy szczyń i zielska; kiedy budynek został opuszczony, nie trzeba było długo czekać na wkroczenie natury, która chciała odzyskać teren. Nawet tutaj: może nie było to serce miasta, ale jego wyrostek robaczkowy albo coś w tym stylu. Albo pęcherz. Na górze prawie się potknęła; weszła na pierwsze piętro i lekkim krokiem pobiegła korytarzem. Z pozbawionych szyb okien rozciągał się widok na nieużytki. Teraz było kurewsko ciemno, wszystko wyglądało jak jeden

wielki cień, ale Shirley rozróżniała kształty. Tam była furgonetka Czarnej Strzały, do której wciągnęli Marcusa. Miała nadzieję, że tam go zabrali. O drugiej możliwości – że nie brali jeńców – nie była w stanie nawet myśleć.

Bo niezależnie od wszystkiego innego co najmniej jeden z nich ją ścigał.

Na końcu korytarza skręciła w prawo; kolejne okna, teraz z widokiem na linie kolejowe za murem z pustaków zwieńczonym drutem – na samej górze drutem kolczastym. Pod murem stała koparka z łopata ustawioną po skosie – jak drabina pod ścianą. One zawsze były żółte albo czerwone. Ta akurat była żółta.

Otwarte drzwi. Wpadła przez nie i przykucnęła. Prywatne firmy ochroniarskie poszukiwały najbystrzejszych i najlepszych: wymagały sprawności fizycznej, inteligencji i choć tyle zdrowego rozsądku, żeby nie zapuszczać się po ciemku za bliżej nieznanym obiektem, nie sprawdziwszy najpierw terenu. Zwykle dostawały im się jednak niemrawe osiłki, którym wydawało się, że jeśli dadzą wycisk jakiemuś dzieciakowi na parkingu przy pubie, to są Jasonem Stathamem. Ten, który gonił Shirley, przetoczył się obok niej, sapiąc jak ciuchcia Tomek. Sprzęt przy jego pasie taktycznym uderzał o uda w niezręcznym kontrapunkcie, a potem rozległa się krótka solówka, kiedy Shirley z całych sił uderzyła go na wysokości pasa, posyłając za pozbawione szyby okno. Nie spadł z dużej wysokości – to było tylko pierwsze piętro – ale uderzył o ziemię jak worek ziemniaków. Shirley próbowała sobie przypomnieć, ilu ludzi z Czarnej Strzały naliczył Marcus, ale nie była w stanie. W każdym razie teraz było o jednego mniej.

Usłyszała odgłosy butów na klatce schodowej i wymknęła się poza pole widzenia, a robiąc to, zorientowała się, że coś dziwnego dzieje się z jej twarzą; mięśnie, których zwykle nie używała, teraz się napięły. Dotknęła

ręką policzków, żeby się upewnić. Tak. Wszystko wskazywało na to, że szeroko się uśmiecha...

Nie ma to jak haj bez narkotyków, pomyślała, czekając w cieniu, aż kolejny facet z Czarnej Strzały wykona swój ruch.

River żyje.

„Może River nie żyje, ale zachowuj się, jakby żył”.

A więc: River żyje.

To albo coś w tym stylu tłuło się Louisie po głowie, kiedy stała twarzą w twarz z człowiekiem w kominiarce, który przed chwilą ją powalił. Chwilami można wyczuć, kiedy ten w masce się krzywo uśmiecha. Starła mu z twarzy ten uśmiech, markując cios w jego brzuch, choć z perspektywy czasu okazało się, że markowanie nie było konieczne. Do tego stopnia nie umiał parować ciosów, że równie dobrze mogła od razu go uderzyć – a potem trafiła go w gardło, bo jak do tej pory to się najlepiej sprawdzało. Gdy cofał się przed nią, wymachując rękoma, przeszła nad leżącym ciałem Rivera i zrobiła dwa długie kroki przejściem między regałami w stronę wysadzonych drzwi.

„Padnij i się toooocz...”

Niemal słyszała te instrukcje raz po raz wykrzykiwane nad jej głową pewnego długiego dnia w piekle. Wtedy robiła to instruktorka, która wyglądała jak dmuchana lala: metr pięćdziesiąt, kręcone blond włosy, rubinowoczerwone usta, które nigdy się nie zamykały... I rany, ależ ona potrafiła wrzeszczeć! „Padnij i się tocz!” Każdy, kto nie padł i się nie przetoczył tak, jak sobie tego życzyła, przez kolejne minuty robił pompki; i jak każda dobra dmuchana lala nigdy nie była do końca usatysfakcjonowana, zawsze chciała więcej.

Ale za to człowiek uczył się padać i przetaczać, a nie była to umiejętność, którą się szybko zapominało.

A więc Louisa padła i się przetoczyła, a gdy znów stanęła na nogach, trzymała w rękach broń, którą Traynor upuścił, upadając. Najpierw strzeliła do człowieka, który załatwił Rivera, potem do tych dwóch, którzy skuli Traynora. Do tego czasu reszta się rozpierzchnęła. Uciekli przez wysadzone drzwi albo ukryli się za poprzewracanymi regałami.

W jej stronę padły dwa strzały, ale była już gdzie indziej, ciągnęła Rivera w osłonięte miejsce.

– Co to, kurwa, było...? – wymamrotał, śliniąc się.

A więc żył.

– To był taser – wyjaśniła.

– Tylko nie znowu...

– Dobrze strzelasz – powiedział ktoś, a ona natychmiast niemal to potwierdziła; prawie go zastrzeliła.

Donovan.

– Gdzie Ben?

Louisa wskazała bronią. Traynor wciąż był tam, gdzie go rzucono i skuto; leżał dziesięć metrów dalej. Z dwóch ciał obok niego jedno drgało, drugie nie.

– Żyje?

– Tak mi się wydaje – odparła.

– Ilu?

– Widzieliśmy ich wielu na monitorze. Dwunastu, piętnastu... Trzech jest wyeliminowanych.

River coś wymamrotał, chyba: „Pierdolony taser...”.

Donovan też miał broń.

– Pracowałem z tymi facetami – powiedział. – Niektórzy nie przestaną uciekać, dopóki nie dobiegną do morza. A inni sobie pomyślą, że Gwiazdka w tym roku przysła wcześniej.

Padł kolejny strzał, kula wbiła się w drewniane pudło i jego ścianka najeżyła się drzazgami. Louisa poderwała się na chwilę i oddała dwa strzały w tamtą stronę, a potem znów się skryła.

Zupełnie jakby się nie poruszyła, Donovan wskazał na Rivera.

– Nic mu nie jest?

– Już kiedyś był porażony taserem – odparła Louisa. – Chyba mu się to trochę podoba.

– Zastrześliś faceta, który to zrobił.

Louisa nie odpowiedziała.

– W mojej ocenie nieźle się spisałaś – stwierdził Donovan.

– Nie jesteśmy po tej samej stronie.

– Może i nie – odparł. – Ale wolałbym ciebie jako wroga niż tych błaznów za przyjaciół.

Jednego z tych błaznów musiało to urazić, bo oddał kolejny strzał w ich stronę. Louisa się wzdrygnęła, ale kula przeleciała daleko od nich.

River podźwignął się do pozycji siedzącej, miał odruchy wymiotne.

– Jezu!

– Nie podnoś głowy – syknęła Louisa. Potem wskazała na koszulę Donovana, pod którą schował zabraną teczkę. – Cokolwiek tam chowasz, ktoś zdecydowanie nie chce, żebyś to miał.

– Zgadza się – potwierdził. – I kimkolwiek jest, nie przysłał kawalerii, zauważyłaś? Przysłał zamiast tego bandę najemników. Może powinnaś się nad tym zastanowić.

– Kiedy się już stąd wydostaniemy, będę musiała ci to zabrać.

– Już nie mogę się doczekać tej dyskusji. A teraz kryj mnie. Idę po Bena.

I ruszył, nie czekając na jej odpowiedź.

Kusiło ją, żeby zostać w pubie na cały wieczór. Zanim by stąd wyszła, byłoby już po wszystkim: Donovan i Traynor mieliby dowody, by pogrzebać Ingrid Tearney, albo sami byliby pogrzebani w tunelach pod Hayes. Jeśli to drugie, Diana musiałaby się przygotować na gniew Tearney. To w sumie dobrze, pomyślała, że Dame Ingrid nie ma poczucia humoru. Bo gdyby było inaczej, Dianie mogło grozić wygnanie do Slough House.

Wolałaby już nóż w plecy. Nie w znaczeniu metaforycznym.

Dziwne było to, że wydarzenie, które to wszystko uruchomiło, zostało zaaranżowane dla dobra MI5. To było wkrótce po tym, jak Dame Ingrid przejęła stery, obejmując stanowisko, które marzyło się Dianie Taverner, miała jednak na tyle trzeźwą ocenę sytuacji, by przyznać, że nie jest na to gotowa. Wtedy wydawało się, że czas jest po jej stronie i że spokojne siedzenie w łodzi to mądre, rozsądne podejście. A więc gdy na biurku ministra spraw wewnętrznych wylądował raport grożący przedziurawieniem tej łodzi poniżej linii wodnej, Diana musiała coś zrobić.

Ówczesny minister był prawdziwym koszmarem każdego szpiega z większym stażem: bez kręgosłupa, niezdecydowany, panicznie bojący się złej prasy i uważający, by nigdy nie przyłapano go w jakiejś dwuznacznej sytuacji. W tamtym okresie, zanim Ingrid Tearney zaczęła odzierać Drugie Biurka z władzy, Diana spotykała się z nim co tydzień; twierdził, że lubi być na bieżąco. Ale w tym konkretnym dniu był zbyt wstrząśnięty raportem, który otrzymał, by rzucić choć jedno tęskne spojrzenie na jej piersi. „To tutaj”, powiedział jej. „Możesz sprawić, żeby to znikło”. Diana uznała, że to daje jej wolną rękę.

Był to ten rodzaj operacji, które są nieoficjalne pod każdym istotnym względem: żadnego śladu w papierach, żadnego nadzoru; tylko wypłata z niejawnego funduszu dla dwóch zbliżających się do emerytury członków taktycznej grupy bojowej, którym zależało na odłożeniu ładnej sumki,

zanim na dobre odejdą do cywila. Ponieważ celem była wojskowa, najlepiej było to tak zaaranżować, by zginęła w wypadku. Osiągnięto to za pomocą substancji dodanej do drinka i uszkodzenia układu kierowniczego. Nie dodano tego nawet do drinka Dunn, był to przykład myślenia lateralnego. A więc w oczach świata to Sean Donovan odpowiadał za śmierć Alison Dunn, ale przecież jako żołnierz wiedział, czym są straty uboczne. Uciszone jego protesty – nie dało się zaprzeczyć, że miał problem z piciem – a potem pochłonął go wojskowy system sądowy, a jego niegdyś świetnie zapowiadającą się karierę diabli wzięli.

Diana wyszła z pubu. Nie zauważyła eleganckiego mężczyzny, który ruszył za nią. Na zewnątrz po zachodzie słońca było tylko trochę chłodniej; żar bił od chodników, a powietrze było gorące i nieruchome. Nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, by pomyśleć, że coś się dzieje z pogodą. Ten szczegół okazał się przydatny, gdy wymyślano legendę dla tej nowej operacji...

W latach, które nastąpiły po wyeliminowaniu Alison Dunn, kariera Diany przyhamowała; nie tak spektakularnie jak kariera Donovana, ale było to równie oczywiste. Jej rola coraz bardziej sprowadzała się do korporacyjnego robota, podczas gdy kruczata Tearney, by przekształcić MI5 w nijaki narodowy system bezpieczeństwa z nią w roli dyrektora generalnego, trwała w najlepsze. Spotkania budżetowe. Branding korporacyjny. Osiągnięto uszczuplenie władzy poszczególnych wydziałów dla uzyskania „bardziej pionowej struktury”; czyli takiej, w której tradycyjne ścieżki prowadzące do władzy – wieloletnia służba, kwalifikacje, gotowość czołgania się po zakrwawionych ciałach – zostały całkowicie wyeliminowane. Nic dziwnego zatem, że myśli Diany Taverner zwróciły się ku alternatywnym metodom awansu. Zawsze była dumna z tego, jak eleganckie intrygi knuła. Kiedy szukało się człowieka do

nieoficjalnej roboty, kto nadawał się do tego lepiej niż ten, który żywił urazę i posiadał odpowiednie umiejętności?

Nie trzeba było wiele wysiłku, by przekonać Donovana, że padł ofiarą spisku; niewiele więcej, by mu wmówić, że za tym spiskiem stała Ingrid Tearney. Diana dała mu okazję, by się zemścić, a on wziął ze sobą swojego kumpla z wojska, narzeczonego Alison Dunn.

Na rogu, obok ustawionych w rzędzie rowerów, zapaliła papierosa i sprawdziła komórkę. Nic. A potem szybko – zanim zmieni zdanie – wybrała numer Petera Judda. Kiedy podsuwała Juddowi pomysł tiger teamu, nic mu nie wspomniała o kryjącej się za tym intrydze. Dziś po południu dał jej jasno do zrozumienia, że podejrzewa ją o ukrywanie czegoś przed nim... PJ byłby niebezpiecznym przyjacielem, ale czasem człowiek ma niewielki wybór. Jedynymi prawdziwymi wrogami byli kochankowie. Wszyscy pozostali nieustannie się zmieniali.

Odebrał po drugim sygnale.

– Diano?

– PJ, muszę ci coś wyznać.

– Chcesz powiedzieć, że wcześniej nie byłeś ze mną zupełnie szczerą? – Jego ton był całkowicie beznamiętny. – Jestem wstrząśnięty, Diano. Głęboko wstrząśnięty.

– Znam twoje tygrysy. To znaczy operacyjnie. – Żadnych nazwisk na niezabezpieczonej linii. – Ale to, co zrobili dziś rano, nie należało do ich zadania.

W świecie Petera Judda sentymenty odgrywały niewielką rolę, a przynajmniej nie przy włączonych kamerach.

– Nie ma róży bez kolców – powiedział. – Ale doprawdy, Diano, byłoby nam znacznie wygodniej, gdybyśmy rozmawiali o tym w jakimś prywatniejszym miejscu. Może Seb zamówi ci taksówkę?

– Kto to jest Seb? – spytała, ale rozmówca już się rozłączył.

Wzdrygnęła się, gdy elegancki mężczyzna o ciemnych włosach zaczesanych do tyłu i wysokim czole zmaterializował się tuż przy niej.

– Życzy pani sobie taksówkę, pani Taverner? Dziś wieczorem ma pani szczęście. Właśnie tu jedzie.

Podniósł rękę, by zatrzymać wóz, a drugą lekko dotknął łokcia Diany.

Trudno mieć drugi raz takie samo szczęście, przekonała się Shirley.

Jej drugi przeciwnik był trudniejszy.

Natarła na niego w ten sam sposób, który dwie minuty temu przyniósł tak wspaniałe rezultaty, wyobrażając sobie stertę ludzi z Czarnej Strzały piętrzącą się poniżej, gdy już pośle tam cały pluton, jednego po drugim. Jednak zamiast wypaść przez okno, rzucił się na podłogę i uzyskał przewagę, pociągając ją za sobą. Wylądowała twardo, usłyszała ostry, metaliczny zgrzyt. Przez chwilę leżeli niemal na łyżeczkę i czuła smród jego ciała w wieczornym upale. Pałka, którą trzymał, wyglądała jak towar spod lady: krótka, gruba, paskudna. Nie mógł jednak się nią zamachnąć, dopóki się mocowali, a gdy spróbował zacisnąć ramię na jej gardle, ugryzła go w nadgarstek. Zawył jak pies, a ona wyrwała się z jego uchwytu tylko po to, by upaść i podtrzymać się na rękach, kiedy złapał ją za stopę. Shirley całkiem rozluźniła nogę, a potem wściekle kopnęła. Trafiła go gdzieś, liczyła na to, że w twarz, ale to, w co uderzyła stopa, nie było zbyt miękkie. Uwolniła nogę. Rzuciła się do przodu, podźwignęła i odwróciła do niego z dłońmi szorstkimi od pyłu i szkła. Strzepnęła je o spodnie, nie odrywając wzroku od mężczyzny przed nią.

Był od niej wyższy, tak jak większość facetów. Co ważniejsze, wyrzucił pałkę przez okno; zamiast niej wyciągnął równie paskudny rowkowany nóż.

Uśmiechnął się szeroko. Na tle czarnej kominiarki jego zęby wydawały się bielsze, niż były w rzeczywistości.

– Obedrę cię żywcem ze skóry, kochanie.

Oszczędzaj oddech, napomniała się.

– Podziurawię cię.

Cofnęła się korytarzem, pod jej stopami coś chrzęściło.

– Będziesz kwiczeć jak świnka.

Rzucił się na nią, a ona sparowała jego atak, przedramieniem odtrąciła nóż na bok i otwartą dłoń uderzyła go w twarz. To powinno wystarczyć, ale straciła trochę równowagę i nie włożyła w to tyle siły, ile powinna. Cofnął się, ona też.

– Szybko tańczysz, co?

Naoglądał się dużo filmów, pomyślała. I dobrze. Im więcej gadają, tym mniej zostaje im oddechu.

– No, pokaż, co tam masz, kochanie.

Mam problemy z radzeniem sobie z własną złością. Najwyraźniej.

– Bo wiesz, możemy to załatwić prosto albo tak, że naprawdę będzie boleć.

A, pieprzyć to. Niech boli.

Uderzyła go pięścią w mostek, wysoko i szybko, ale nie dość szybko. Odchylił się do tyłu, złapał jej rękę i pociągnął ją na siebie, tak że zderzyła się z jego piersią. Czubek jego noża nagle wbijał się w jej podbródek.

– Mam cię, dokładnie tak jak chciałem, kotku.

– Tak – powiedziała Shirley – ja też. – A potem wolną lewą ręką wbiła mu w oko wyszczerbioną krawędź złamanej płyty CD. Wrzasnął i ją puścił, a ona odwróciła się i kopnęła go tam, gdzie wcześniej wymierzyła cios. Zatoczył się do tyłu, natrafił udami na parapet i wciąż wrzeszcząc, wyleciał przez okno.

Shirley ułożyła palce w krzyżyk. Hashtag: epicka porażka, debilu.

Nóż zabrał ze sobą, ale gdy dotknęła kieszeni kurtki, poczuła, że wciąż ma drugą połowę płyty Arcade Fire, która złamała się przy jej ostatnim upadku. Może się jeszcze przydać.

Na terenach poniżej jakiś cień zbliżał się do furgonetki Czarnej Strzały.

Shirley pobiegła z powrotem na klatkę schodową.

Zbliżając się do miejsca, w którym leżał Traynor, Donovan oddał trzy strzały, mierząc tam, gdzie wcześniej były drzwi. Dotarł do przyjaciela, opadł na kolana i przeciął opaski zaciskowe krępujące mu stopy. Louisa wstała i dwukrotnie strzeliła. Obie kule wyrwały dziury w już mocno wyszczerbionej framudze drzwi.

Trzy minuty temu zabiłam człowieka, pomyślała. Może dwóch. Albo trzech.

Mogło się wydawać, że to była myśl jakiegoś postronnego obserwatora; kogoś, kto nie bierze bezpośredniego udziału w akcji i w związku z tym może sobie pozwolić na krytyczne uwagi.

W drzwiach na chwilę pojawiła się jakaś postać i strzeliła do Donovana. Strzał był wyraźnie chybiony.

Donovan rozcinał teraz więzy na nadgarstkach Traynora.

– Nie da rady – powiedział River.

– Dzięki za twój wkład. – Louisa znów wstała i oddała dwa strzały, myśląc: dwa, trzy, dwa, dwa, dwa. W magazynku było piętnaście nabo. Jeśli Traynor oddał więcej niż te dwa strzały, których była świadkiem, zaraz skończy jej się amunicja.

– Proszę bardzo.

A potem River znów zniknął – często to robił. Wskoczył z ich kryjówek i biegł teraz tam, gdzie Donovan męczył się z Traynorem. Postać w drzwiach znów się pojawiła: oddała jeden strzał i błyskawicznie

wycofała się w bezpieczne miejsce, gdy Louisa odpowiedziała ogniem. River zawołał Donovana, a ten pochylił się, pchnął po podłodze broń i podźwignął Traynora na nogi. River złapał broń i zatrzymał się w ślizgu za przewróconą szafką na akta dokładnie w chwili, gdy postać znów wychyliła się z otworu w ścianie i oddała trzy strzały w stronę dwóch żołnierzy. Donovan i Traynor upadli. River wstał, wycelował i wystrzelił w momencie, gdy Louisa za jego plecami zrobiła to samo. Napastnika z bronią odrzuciło do tyłu, jakby ktoś odciął mu sznurki.

Teraz czuć było zapachy: kordyt, krew. Kurz, który zawsze zalega w archiwach, unosił się w powietrzu.

W szafkę tuż przy głowie Rivera uderzyła pałka, ale to nie był zamach, tylko rzut. Za stertą pudeł zniknął jakiś kształt. River myślał, czy w niego nie strzelić, ale nie zrobił tego. Gdyby ten ktoś był uzbrojony, odpowiedziałby tym samym.

Dołączyła do niego Louisa.

– Mamy co najmniej jednego tutaj – powiedziała. – Nie mam pojęcia, ilu ich jest tam.

Miała na myśli korytarz za wysadzonymi drzwiami.

– Jeśli tylko tak mogą się tu dostać, to będzie jak strzelanie do kaczek – stwierdził River.

– Zostało nam niewiele naboii.

– Oni o tym nie wiedzą.

Podniósł z podłogi grubą księgę i rzucił nią w drzwi. Dobry rzut: przeleciała bez przeszkód na drugą stronę.

– Niezła próba – stwierdziła Louisa. – Tylko czego to konkretnie dowodzi?

– Może im też kończy się amunicja. Kryj mnie.

Wstała i wycelowała w drzwi, stabilnie opierając ręce o szafkę. Ale nikt się nie pojawił. River, podczołgując się jak krab, dotarł do Donovana i Traynora, którzy leżeli jeden na drugim na podłodze; gdy pociągnął Donovana, zobaczył, że jego twarz jest cała we krwi.

Ale to była krew Benjamina Traynora, któremu odstrzelono tył głowy.

Donovana też trafili, ale to była rana szczęściarza. Szczęściarze obrywają w ramię. Jego spojrzenie nie było jednak przytomne. River z trudem podniósł go z podłogi. Na wpół zaciągnął, na wpół zaniósł za przewróconą szafkę i ciężko dysząc, położył go na ziemi.

– Albo zbierają siły, albo nie mają pojęcia, co robić.

– Albo się zmyli – stwierdziła Louisa.

Rozpinała Donovanowi koszulę, pewnie po to, by obejrzeć ranę, zakładał River. Donovan się ocknął i zdrową ręką złapał ją za nadgarstek.

– Nie.

Louisa odłożyła broń i rozprostowała jego zaciśnięte palce.

– Twój przyjaciel nie żyje – powiedziała. – Strzela do nas nieznana liczba napastników. Myślę, że możemy spokojnie stwierdzić, że twoja operacja się spierdoliła.

– Ben nie żyje?

– Przykro mi.

Znów zamknął oczy, a ona rozpięła kolejny guzik i wyjęła mu spod koszuli teczkę, którą tam schował. To była zwykła teczka z szarego papieru, górny narożnik został poplamiony jego krwią, a może krwią jego przyjaciela.

Podąła ją Riverowi.

– Przechowaj ją.

– Chcesz przez to powiedzieć, że mam jej nie odkładać na regał – rzekł River, wsuwając teczkę pod własną koszulę i wpychając niezakrwawionym

końcem za pasek dżinsów.

– Cóż, może warto ją przejrzeć. Zwłaszcza że sporo ludzi próbuje nas zabić. – Odsunęła na bok koszulę Donovana i obejrzała jego ranę. – Nie wygląda to źle – stwierdziła.

– Dobrze wiedzieć – odparł przez zaciśnięte zęby. – Jak wygląda ta druga?

Uff!

Oberwał też w udo. To już nie była rana szczęściarza. Przez spodnie było widać kość.

River wyjrzał zza skraju szafki.

– Ruszyli się.

– O, to świetnie.

– Niedługo możemy potrzebować planu.

– Bez urazy – powiedziała Louisa – ale szkoda, że nie ma tu Marcusa.

– Bez urazy – odparł River – ale myślałem to samo o Shirley.

Przez dziurę po wysadzonych drzwiach wleciało coś twardego i okrągłego i odbiło się od szafki.

A potem wszystko zmieniło się w białe światło.

Ręce Marcusa Longridge'a były skrępowane za jego plecami za pomocą tych jakże dziś popularnych plastikowych opasek zaciskowych, podobnie jak kostki nóg. Leżał na boku na tyłach furgonetki Czarnej Strzały, wyraźnie wyczuwał, że nie jest sam, i dotarła do niego bardzo już nieaktualna natura jego towarzysza. W tym przypadku znakiem, który wyraźnie o tym świadczył, była kula w głowie. Marcus nie wątpił, że czeka go ten sam los.

Dziwne było natomiast to, że ta cholerna bejsbolówka wciąż tkwiła na jego głowie.

Nick Duffy nie zdjął kominiarki, bo przecież istniały pewne zasady – i to te zasady trzymały człowieka przy życiu – ale wiedział, że Longridge go rozpoznał.

Duffy rozmawiał z nim kiedyś, przed jego upadkiem, by zapytać, czy widziałby siebie w roli psa: przydałby im się ktoś z umiejętnościami Marcusa. Ludzie, których czasem kazano im aresztować, często nie chcieli być aresztowani i byli świetnie wyszkoleni w metodach opierania się wspomnianemu aresztowaniu. Plusem było więc posiadanie po swojej stronie tych, którzy byli jeszcze lepiej wyszkoleni w rozwalaniu łbów o ściany.

Na to pytanie Longridge mu odpowiedział: „A czy moja dupa pachnie ci bekonem?”. Duffy sparafrazował te słowa w swoim późniejszym raporcie, ale nie potrzebował Google Translate, żeby załapać, o co chodziło.

– Masz to przytwierdzone do głowy na rzepy? – spytał teraz Duffy.

Longridge kilka razy mocno oberwał, a potem ciągnięto go kilkaset metrów po nierównym terenie; oderwał mu się rękaw od bluzy, a prawy policzek miał w paskudnym stanie. Powinien był już dawno zgubić czapkę. Duffy pochylił się teraz i zerwał mu ją z głowy. Nie była przytwierdzona na rzepy, tylko grubą brązową taśmą klejącą, która po części przyklejała czapkę do głowy Longridge, a po części zabezpieczała ukrytą broń: mały, wręcz dziewczęcy rewolwer, którego, szczerze mówiąc, Longridge powinien się wstydzić.

– Trzymasz broń w czapce?

– Nie zajrzeli tam, co? – odparł Marcus.

– Cóż, i tak ci już nic nie pomoże.

– Pierdol się. Jeśli masz to zrobić, to zrób.

– Dobra.

– Kutas.

– Dzięki – odparł Nick Duffy. – To wszystko ułatwia.

Na autostradzie było cicho, tak jak to czasami bywa na autostradach; odgłos ruchu zdawał się niewiele głośniejszy od delikatnego szumu i tylko od czasu do czasu zjawiała się kometa zbliżających się reflektorów. Catherine siedziała z przodu obok Ho; Lamb z tyłu. Zostawili Craiga Dunna w domu na farmie, ale najpierw, pod naciskami Catherine, wezwali karetkę. Lamb bawił się papierosem. Rozkojarzony pocierał filtrem o policzek i od czasu do czasu gubił go w rzednących włosach. Catherine dała mu jasno do zrozumienia, że jeśli go zapali, zostanie wysadzony na pobocze.

– Ten samochód i tak już śmierdzi jak pub w latach osiemdziesiątych.

– To wtedy można było palić w pubach? – spytał Ho.

Lamb westchnął ciężko jak słoń, z którego ulatuje powietrze.

– Chodzi o zemstę – podjęła Catherine. – Musi tak być. Śmierć Dunn nie była wypadkiem.

– To niezły przeskok – stwierdził Lamb.

– Dobra. Wymyślmy jakiś inny powód, dla którego mieliby współpracować. Jej brat, narzeczony i człowiek, który rzekomo odpowiada za jej śmierć.

– Założyli tribute band?

– Muszą myśleć, że to był jakiś spisek – stwierdził Ho. – To, co się stało z Dunn. I dlatego chcą zdobyć Szare Księgi.

– Roddy – powiedziała Catherine, zanim Lamb zdążył się odezwać – tak naprawdę wcale im nie chodzi o Szare Księgi. To był podstęp. Żeby dostać się w miejsce, gdzie przechowywane są Szare Księgi.

– Jesteś tego pewna?

– O Seanie Donovanie można powiedzieć wiele rzeczy – odparła Catherine – ale nigdy nie wierzył w jakieś dziwne teorie spiskowe. Czegokolwiek szukają, nie ma tego w Szarych Księgach. Chcą zdobyć dowód na to, że została zamordowana. To znaczy zamordowana przez tajne służby.

– Musieliby mieć sporo szczęścia – powiedział Lamb. – Jeśli to było zabójstwo przeprowadzone przez służby, to nigdzie nie znajdą zamówienia. Może i Tearney jest biurwą, ale nawet ona nie prosiłaby o pokwitowanie za mokrą robotę.

– W takim razie co?

Lamb przez dwie minuty wyglądał przez boczne okno. Jego twarz skrzywiła się w grymasie. Gdy znów się odezwał, jego głos brzmiał obojętnie i ostatecznie:

– Tearney nie awansowała normalną drogą. Ma fioła na punkcie komisji. Umie prowadzić zebrania, a nie agentów. Dunn zginęła sześć lat temu. W tamtych czasach Tearney nie umiałaby załatwić tego nieoficjalną drogą, a na pewno nie na tyle dobrze, by ktoś sprzątnął żołnierza. Nawet zwykłą kapitan.

– Chcesz powiedzieć, że to nie do Tearney chcą się dobrać?

– Chcę powiedzieć, że jeśli chcą się dobrać do Tearney, to za sznurki pociąga ktoś inny. Skąd na przykład wiedzieliby o Slough House?

– Och – westchnęła Catherine.

– No właśnie. Och.

– Co? – spytał Ho.

– To przekracza twoje kwalifikacje – odparł Lamb. – Zatrzymaj się na następnej stacji benzynowej.

– Starczy nam benzyny.

– Nie martwię się o paliwo dla samochodu – powiedział Lamb, wkładając niezapalony papierosa do ust. – Tylko dla mnie.

W uszach nic prócz dzwonienia. W oczach jakaś gra cieni. Wszystko jak rozmazane sylwetki na rozmazanym tle.

Ale byłoby o wiele gorzej, gdyby granat hukowo-błyskowy pokonał szafkę i wyładował po ich stronie, a nie odbił się z powrotem tam, skąd go rzucono.

River, zaciskając oczy, wyciągnął rękę i znalazł Louise.

– Oj... Bierz te łapy.

– Nic ci nie jest?

– Nie. A tobie?

Pokręcił głową, a potem dodał:

– Nie.

Problem z granatem błyskowym polegał na tym, że zwykle poprzedzał atak. Ale może tak było tylko wtedy, gdy rzuciło się go we właściwą stronę.

– A to o nas mówią, że jesteśmy specjalnej troski – mruknął.

– Co?

– Musimy się stąd wydostać. – Spojrzał na Donovana. – Możesz iść?

Donovan potrząsnął głową. Jego twarz lśniła od potu.

– Masz magazynek do tego czegoś?

– Lewa kieszeń.

River go wyjął i przeładował broń. Donovan wyciągnął rękę.

– Żartujesz sobie, co?

– Mhm. Wy dwoje idźcie. Z powrotem tą drogą, którą tu przyszliśmy.

– Wykrwawiasz się – powiedziała Louisa. – Naprawdę tracisz mnóstwo krwi.

– Więc sobie tutaj poleżę i będę spokojnie się wykrwawiać. Ale zostawcie mi moją broń. Poradzę sobie z resztą tej ekipy.

River i Louisa wymienili spojrzenia.

Donovan złapał Rivera za koszulę.

– Myślisz, że zrobiliśmy to wszystko na próżno? Ben wiedział, że możemy zginąć. Teraz nie żyje. A jeśli ta teczka zostanie tutaj, to jego śmierć była na nic.

– Już ci mówiłam, nie jesteśmy po waszej stronie – powiedziała Louisa.

– A po ich?

– To nie takie proste.

– Wpakowaliśmy się w to tylko dlatego, że porwałś Catherine – wyjaśnił River.

– To dajcie teczkę Catherine. – Na chwilę zamknął oczy.

River odczepił palce Donovana od swojej koszuli.

Louisa wyjrzała zza szafki. Dwóch ludzi ostrożnie przedostawało się przez rozbitą ścianę, jeden z nich trzymał broń. Strzeliła raz nad ich głowami i pośpiesznie się wycofali.

Donovan znów otworzył oczy.

– Dajcie ją Catherine – powtórzył. – I powiedzcie, że ją przepraszam.

– Za minutę, góra dwie spróbują znowu – stwierdziła Louisa.

– Będziemy musieli go nieść – zauważył River.

– Akurat. Już to widzę! – Donovan znów sięgnął do Rivera, ale ten odtrącił jego rękę. – Jeśli spróbujecie mnie zabrać, będę stawiał opór. Jak myślisz, jak daleko zajdziecie?

– Naprawdę chcesz umrzeć?

– Naprawdę chcę, żeby te informacje wydostały się na światło dzienne.

– Louiso?

– Jeśli nie pójdzie z nami z własnej woli, to żadne z nas nie da rady – odparła.

– Jeśli zabierzemy mu broń, na pewno zginie. I jeśli jest ktoś między nami a wyjściem, to nie może być uzbrojony. W przeciwnym razie już by wykonał ruch.

– Na górze będzie ich więcej – zauważyła Louisa.

– Tak myślisz?

– A ty nie?

– Pewnie masz rację – przyznał River. – Ale nie wszyscy mają broń.

– Nie muszą – odpowiedziała. – Wystarczy, że jeden ma.

– To twoja decyzja – powiedział River.

Spojrzała na Donovana, a potem z powrotem na Rivera.

– Och, na litość boską. Zostaw mu broń.

– Kutas.

– Dzięki – odparł Nick Duffy. – To wszystko ułatwia.

Przednia szyba furgonetki zapadła się do środka w huku jakichś metalowych elementów.

Marcus wygiął plecy i kopnął obiema nogami, trafiając Duffy’ego w splot słoneczny; Duffy poleciał do tyłu na drzwi furgonetki, które otworzyły się pod jego ciężarem. Wylądował na ziemi. Jego broń znikła gdzieś w mroku dokładnie w chwili, gdy toczący się reflektor odbił się od dachu furgonetki. Marcus położył się na plecach, wyciągnął nogi w powietrze i próbował przełożyć przez nie skrępowane ręce. To było jak ćwiczenie jogi w autobusie. Jego uwagę przykuły brudne plamy na bocznych panelach wozu – resztki mózgu powoli spływające na podłogę. „Zrób to teraz, w ciągu następnych trzech sekund, bo inaczej tak będzie wyglądać twoja przyszłość”. Najważniejsze było znów przejąć kontrolę, znów być panem sytuacji. Ale nie był w stanie zapanować nawet nad swoimi pieprzonymi nogami i wciąż tkwił w tej pozycji, z rękoma skrępowanymi za dupą, z nogami wyciągniętymi w powietrze jak kurczak,

gdy przez otwarte tylne drzwi do furgonetki wskoczyła jakaś postać z bronią.

Zamrugał, szykując się na śmierć.

– Znalazłam to – powiedziała radośnie Shirley. A potem dodała: – Ha! Jak ty wyglądasz!

Efekt domina przewracających się regałów został zatrzymany w połowie drogi w miejscu, gdzie ich upadek zablokowały pudła. Dotarcie do tego punktu było przedzieraniem się przez poprzewracane skrzynki, akta i zaspę papieru; niełatwa podróż, jeśli nie chciało się przy tym narobić hałasu. Kiedy Louisa potknęła się o jakiś drewniany element, River zaryzykował i obejrzał się przez ramię. Drzwi zasłaniała przewrócona szafka, ale Donovan podciągnął się do pozycji siedzącej i trzymał broń w pogotowiu. Horacjusz na moście, pomyślał River, pomagając Louisie wstać. Nie mógł sobie przypomnieć, co się stało z Horacjuszem. Został bohaterem, ale tak było z wieloma ludźmi, którzy zginęli.

– W porządku?

– Tak. – Krótka, ostra odpowiedź. – Biegnij.

Dotarli na tyły pomieszczenia, gdzie pudła wciąż stały w porządnym rzędzie; pudła zawierające Bóg wie co. Kolejne dokumenty, kolejne relikty utajnionej historii. Świadomi, że znajdują się w wąskim przejściu i stanowią łatwy cel dla każdego z obu jego końców, rzucili się biegiem i niemal dotarli do drugich drzwi, gdy usłyszeli pierwsze strzały. River rzucił się, szukając osłony; Louisa pędziła dalej i zanurkowała dopiero w ostatniej chwili. Uderzyła w drzwi i prześliznęła się przez nie głową i ramieniem do przodu. Wahadłowe drzwi zamknęły się za nią. Przetoczyła się na plecy. Stał nad nią ochroniarz z Czarnej Strzały z pałką w ręce. Zamachnął się. Louisa uniosła broń, choć nie była pewna, czy ma coś jeszcze w magazynku, i wymierzyła mu w twarz.

- Nie rób tego – powiedziała.
- Ty też tego nie rób.
- Nie zrobię. Jeśli to rzucisz i sobie pójdziesz.

Wahał się jeszcze przez chwilę. Pewnie oceniał prawdziwość jej słów bardziej niż własne szanse. Potem lekko ugiął kolana, upuścił pałkę na podłogę i ruszył do drzwi. Otworzył je dokładnie w momencie, gdy River natarł na nie z drugiej strony, i przez chwilę wpatrywali się w siebie w pełnym szaleństwa przerażeniu. Potem facet z Czarnej Strzały zniknął w chaosie magazynu.

- Wiedziałem, że jeden był za nami – stwierdził River.
- No cóż. Miałaś rację.
- Ładny bluff.

– O ile to był bluff – mruknęła, trzymając oburącz być może pustą, a być może niepustą broń, gdy szli korytarzem w stronę pokoju Douglasa i wjazdu prowadzącego na świat.

- To był Duffy.
- Nick Duffy?
- Nick Duffy.
- Nick Duffy, szef psów?

– Jezu, Shirley, na ile jeszcze sposobów mam ci to powiedzieć? To był Nick Duffy, szef psów. Albo się wyłamał, albo nadzialiśmy się na czystkę.

Przecięła mu opaski zaciskowe złamaną płytą CD („Całe szczęście, że to znalazłaś”. „Tak, całe szczęście”) i pierwszą rzeczą, jaką zrobił Marcus, było złapanie czapki i wyjęcie z niej rewolweru. Poczł się szczęśliwszy z bronią w ręce. Ale był już mniej szczęśliwy na myśl, że być może mieli do czynienia z czystką.

– Ci z Czarnej Strzały nie mogą się równać z MI5 – powiedziała Shirley. – Są niewyszkoleni i nie rzucają na kolana.

– Wynośmy się stąd.

Skuleni pobiegli pod osłonę kontenera na gruz, spodziewając się ostrzału. Ale żadne strzały nie padły.

– Przewróciłaś reflektor na furgonetkę – stwierdził oczywisty fakt.

– Tak by zrobił Nelson.

– To był mądry ruch.

– Jak na ćpunkę, to chciałeś powiedzieć?

– Chcesz się założyć?

Uśmiechnęła się szeroko.

– To broń Duffy’ego? – spytał Marcus.

– Mhm.

– W którą stronę poszedł?

– Nie jestem pewna. Uskakiwałam przed spadającymi rzeczami.

Wyjrzał znad krawędzi kontenera w stronę budynku stojącego najbliżej linii kolejowej.

– Jeśli to czystka, to na pół gwizdka – stwierdziła Shirley. – Ci z Czarnej Strzały to właściwie amatorzy. I nie mają broni.

– Niektórzy mają – odparł Marcus. – Duffy miał. A ten dzieciak w furgonetce został zastrzelony.

– Dobra, niektórzy mają. Ale większość się rozpierzchła. Powinniśmy załatwić drugi reflektor?

Marcus na niego spojrział. Znajdował się dwadzieścia metrów dalej.

– Jest wycelowany na budynek. – Miał na myśli fabrykę. – W tę dziurę w murze.

– Pewnie tam jest wejście. Chcesz się przyjrzeć?

– Najbardziej to chcę znaleźć Duffy’ego – odparł Marcus.

– To co, rozdzielamy się?

– Bądź ostrożna.

Przybili żółwika i się rozdzielili.

Lamb oddalił się od dystrybutorów i obszedł całodobowy sklepik – płyty DVD, artykuły spożywcze po zawyżonych cenach i czasopisma pornograficzne zapakowane w kolorowe folie. Oparł się o pompę powietrza, zapalił papierosa. Sprawdził komórkę: żadnych wiadomości. Oznaczało to, że cokolwiek robili Cartwright i Guy, to albo jeszcze nie skończyli, albo wszystko poszło świetnie, albo było bardzo źle.

W takim wypadku w Slough House będzie dużo pustych biurków.

Nie był zaskoczony, gdy za jego plecami pojawiła się Catherine Standish.

– Nic im nie będzie – zapewniła.

Schował telefon.

– Komu?

– Sean Donovan to człowiek pełen gniewu – powiedziała – ale to nie na nas jest zły.

– Tak, zabił już dziś człowieka. Przypomnij mi, żebym go nie wkurzał. – Upuścił papierosa i natychmiast wyjął kolejnego. – Dał ci alkohol, co?

Catherine utkwiała w nim spojrzenie. Jej twarz nic nie wyrażała.

– Wyczułem go, gdy przestąpiłem próg – rzekł Lamb.

– Palisz tyle fajek, że dziwi mnie, że w ogóle cokolwiek czujesz.

– Co ci mam powiedzieć, jestem bardzo wrażliwy. – Pochylił się do niej z rozedrganymi nozdrzami, a potem się cofnął. – Tyle że teraz nic nie czuję.

– No to masz szczęście. Kiedy ostatni raz zmieniałeś koszulę?

– Nie musisz zaraz traktować tego tak osobiście. To takie typowe dla was, starych panien. Kiedy tylko przejdziecie menopauzę, wydaje wam się, że możecie już wszystko wszystkim mówić i ujdzie wam to na sucho.

Westchnęła.

– Próbujesz mi coś powiedzieć, Jackson? Bo tak naprawdę chciałabym już wrócić do domu i wziąć kąpiel.

– Wypiłaś go?

– Czy go wypiłam? Dopiero co mi powiedziałaś, że „teraz nic nie czujesz”. Uznałam więc, że twój wyjątkowo czuły węch nie wykrył ani śladu alkoholu.

Te ostatnie słowa wypowiedziała precyzyjnym tonem nauczycielki; ostrzeżenie, gdyby tylko Lamb był gotów je dosłyszeć.

– Cóż, może wsadziłaś głowę pod kran albo coś w tym stylu. Wy, alkoholicy, potraficie być przebiegli, nauczyłem się tego.

– Wszystkiego, co wiesz o alkoholikach, nauczyłeś się od siebie. Mógłbyś teraz dać temu spokój. Jestem zmęczona.

– Tyle że on był w dawnych czasach twoim kompanem od kieliszka, prawda? Sean Donovan? To dlatego zostawił ci butelkę? Ze względu na stare, dobre czasy?

– O co ci chodzi, Jackson? – spytała.

– Po prostu się martwię, czy nie wrócisz do nałogu. Nie chcę wejść do gabinetu i zastać cię gołą i zarzyganą. Właściwie to tego się spodziewaliśmy, kiedy nie zjawiłaś się rano.

– Doprawdy? – powiedziała głosem, którym można było ciąć szkło.

– Właściwie tak. Pierwszy miejscem, jakie sprawdziliśmy, była ławka w najbliższym parku.

– Dziękuję.

– Drugie było pod ławką.

– Zamknij się, Jackson.

– To dlaczego Donovan dał ci alkohol, skoro jest takim honorowym facetem?

– Nie mówiłam nic o tym, że jest honorowy.

– Wygląda na to, że ci zależy, żeby go przedstawiać jak rycerza na białym koniu. A to wszystko są tylko domysły, pamiętasz? Możliwe, że jest dokładnie tym, kim się wydaje. Morderczym zapijaczonym kierowcą, który myśli, że krajem rządzą jaszczury.

– Mówisz to, bo myślisz, że zostawił mi coś do picia? Chryste. – Catherine Standish rzadko wzywała imię Boga nadaremno. – To trochę śmieszne, że pada to właśnie z twoich ust.

Lamb skrzywił się.

– Istnieje różnica między proponowaniem ci szklaneczki a zamknięciem cię z tym w pokoju.

– Cóż, wybacz, że tego nie zauważyłam. A poza tym to nie Sean zostawił mi alkohol. Zrobił to Bailey. To znaczy Dunn. Craig Dunn. I wydawało mu się, że jest miły.

– Prawdziwy mały dżentelmen. Dobrze, że cię zahartowałem, co?

– Doprawdy? – roześmiała się. Lamb rzadko słyszał, by Catherine Standish się śmiała. – Możesz mi wierzyć, nie dzięki tobie pozostałam trzeźwa. Jeśli komukolwiek powinnam za to dziękować, to mojemu dawnemu szefowi. Bo w przeciwieństwie do ciebie Charles mi ufał. Okazywał mi przyjaźń, wierzył we mnie i zatrzymał mnie w pracy, kiedy każdy inny byłby gotów rzucić mnie wilkom na pożarcie. A więc to dzięki Charlesowi Partnerowi wylałam to wino do umywalki zamiast sobie do gardła, a ty tylko się zjawiłeś i pobiłeś tego biednego chłopaka do nieprzytomności, kiedy i tak miał mnie już wypuścić. A teraz dokończ już to paskudztwo i wracaj do samochodu. Chcę jechać do domu.

Lamb wyjął papierosa z ust i przyglądał mu się przez chwilę, jakby się zmartwił, że jest paskudny, tak jak zasugerowała Catherine. Potem znów wsunął go do ust i posłał jej to samo brutalne spojrzenie co zawsze. Na parkingu trzasnęły drzwi samochodu i na chwilę ryknęła muzyka. Potem

samochód odjechał, a Lamb wciąż się na nią gapił, wciąż palił. W końcu rzucił niedopałek na ziemię i – co było dla niego niezwykle – mocno go przydeptał. Drążył butem tak długo, póki nie zmienił go w miazgę. A to wszystko wciąż z oczyma utkwionymi w Catherine.

Dopiero gdy parsknęła cicho i odwróciła się, by odejść, odezwał się. Jego słowa sprawiły, że stanęła jak wryta.

– Naprawdę ich sobie upiększasz, co? Twój bohater, Charles Partner? Chcesz wiedzieć, dlaczego naprawdę cię zatrzymał?

– Nie ośmielisz się, Lamb...

– Charles Partner, twój i mój dawny szef, przez ostatnich dziesięć lat życia przekazywał tajemnice Rosjanom. Za pieniądze. To był twój bohater, Standish. Twój jakże wierny przyjaciel. I zatrzymał cię właśnie dlatego, że jesteś alkoholiczką. Myślisz, że chciał mieć u boku kogoś na tyle czujnego i bystrego, żeby ogarniał to, co robił? No jasne. Ufał ci, jak najbardziej. Wiedział, że może liczyć na to, że będziesz żyć z dnia na dzień, nie dostrzegając niczego, co wykraczałoby poza daną chwilę. Raz pijaczka, na zawsze pijaczka.

– Kłamiesz.

– A brzmi to jak kłamstwo? Serio? A może jak coś, co zawsze wiedziałaś, ale nigdy nie ośmieliłaś się przyznać tego przed samą sobą.

Catherine zamarła, spoglądała gdzieś za Lamba, jakby nad jego ramieniem pojawiło się coś monstrualnego. A potem jej spojrzenie się zmieniło i patrzyła prosto na niego, a to wrażenie okropieństwa wciąż było w jej oczach. Jej usta się poruszyły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Nie dosłyszałem.

– Powiedziałam: pierdol się – stwierdziła niemal bezgłośnie. – Pierdol się, Jacksonie Lambie. Odchodzę.

– No jasne.

Ale odwróciła się i odeszła, nie odpowiadając na to.

Kiedy wrócił do samochodu, Roderick Ho wskazał na kładkę dla pieszych, po której Catherine właśnie przeszła nad autostradą. Potem znikła po drugiej stronie.

– Dokąd ona idzie?

– Zdecydowała, że pójdzie pieszo.

– To przecież jakieś pięćdziesiąt kilometrów...

– Wielkie dzięki, panie TravelApp. Kurwa, ruszaj już, dobrze?

Ho uruchomił silnik.

– Dokąd?

– A jak myślisz!?! – warknął Lamb. – Do Slough House.

W połowie drogi do ściany fabryki Shirley znalazła się pod ostrzałem. Dwie kule odbiły się od cegieł nad jej głową, a wtedy skręciła i skuliła się pod ocalałym reflektorem na rusztowaniu, którego konstrukcja zapewniała jaką taką osłonę. Przez minutę czekała na kolejne strzały, a gdy nie nastąpiły, zdjęła tłumik z broni Nicka Duffy'ego, wytoczyła się w mrok i strzeliła w niebo.

Odpowiedziano ogniem zza sterty metalowego ogrodzenia na lewo od niej.

Skulona na ziemi wycelowwała i strzeliła trzy, cztery razy. Kule głośno odbijały się rykoszetem od ogrodzenia; brzmiało to jak dzwony karylionowe. Przerwała, a potem wystrzeliła kolejną serię. Gdy hałas w końcu przebrzmiał, odbijając się echem od ścian wokół, usłyszała, że ktoś biegnie w kierunku najbliższego budynku.

– Tchórz – mruknęła.

Podźwignęła się na nogi i pobiegła w stronę fabryki i poszarpanej wyrwy w jej ścianie z blachy falistej. Zanim przez nią przeszła, odwróciła

się na chwilę i rozejrzała po nieużytkach. Nie dostrzegła żadnego ruchu. Ilukolwiek by było ludzi z Czarnej Strzały, większość prawdopodobnie wróciła na ulice miasta, pośpiesznie szukając sobie alibi. Gdy w Londynie dochodziło do strzelaniny, w końcu ktoś wzywał policję. Prędzej czy później rozlegnie się wycie syren.

Wzięła głęboki oddech. Na jej twarzy znów pojawił się tajemniczy uśmiech, a potem zamarła, gdy poczuła lufę wciskającą się w jej szyję.

Po chwili:

– Shirley?

– Kurwa...

Lufa się cofnęła i przez otwór w ścianie fabryki wyszła Louisa, a za nią River.

– Kurwa – powtórzyła Shirley. – Nic wam nie jest?

– Co tu robisz?

– To i owo.

– Marcus jest z tobą?

– Ehh... Tak, jest gdzieś tam. – Shirley machnęła bronią w stronę najbardziej oddalonego budynku. – Ściga Nicka Duffy’ego.

– Kogo? – spytała Louisa.

Ale Rivera już nie było.

Obok przemknął pociąg zmierzający do Londynu. Jego pasażerowie byli zmęczeni, głodni, rozdrażnieni, czujni, pełni zapachu, podekscytowani albo szczęśliwi, to zależy, ale żaden nie zwracał zbytnio uwagi na niszczący budynek po ich lewej stronie, z ciemnymi oknami, zamazanymi sprayem ścianami, i na uzbrojonego mężczyznę ścigającego innego na skrytym w mroku parterze.

Marcus, trzymający oburącz dziewczynski rewolwerek, i Nick Duffy, którego nigdzie nie było widać.

Żwir pod butami zdradzał każdy ruch, ale mimo to poruszał się między filarami najciszej, jak to było możliwe. Z tego miejsca widział żuźlowe pustaki zwieńczone drutem kolczastym, za którymi rozciągała się linia kolejowa, i zaparkowaną obok żółtą koparkę, ale nie znajdował Duffy'ego. Albo Duffy poruszał się ciszej niż on, albo stał zupełnie nieruchomo gdzieś w mroku. Albo się wycofał i znów był na ulicach Londynu; wepchnął jedwabną kominiarkę do kieszeni i przywołał taksówkę.

Czas na milczenie najprawdopodobniej minął.

– Duffy?

Żadnej odpowiedzi.

– Ułatwię ci to, Duffy.

Żadnej odpowiedzi.

Marcus czuł pot na karku i napięcie w udach. Minęło dużo czasu, odkąd tu był: w mroku, spodziewając się kłopotów. Dużo czasu, odkąd był tak bliski śmierci jak trzy minuty temu. I nie potrafił sobie przypomnieć, by śmierć kiedykolwiek miała twarz dawnego kolegi.

– Wyjdź z rękami w górze, to cię nie zastrzelę.

Nie przeszkadzały mu pot ani napięcie, bo przypominały mu, że żyje. Wszystkie te dni spędzone na ściganiu pieniędzy na różnych maszynach, na niezliczonych stołach do gry: karty, konie, liczby na kole. Wszystko, co robił, było szukaniem drzwi, które można wyważyć kopniakiem. I chciał tylko, by ktoś był po drugiej stronie.

– Spuszczę ci porządną wpierdol, ale cię nie zastrzelę.

Znikąd wyleciała połówka cegły, odbiła się od filara i znikła w mroku.

Marcus się odwrócił i prawie strzelił.

Kontrola.

– To było, kurwa, żałosne – powiedział. Obracał się powoli, pilnując się ze wszystkich stron. – To mała różnica, co? Że teraz nie leżę skrępowany na

podłódze? – Żadnej odpowiedzi. – I zauważ, że nawet wtedy nie dałeś rady, co?

Tym razem cegła trafiła go w głowę.

Zatoczył się do tyłu, ale nie wypuścił broni, a gdy Duffy uderzył go na wysokości pasa w klasycznej szarży rugby, wystrzelił trzykrotnie, za każdym razem w górę; padł na ziemię, Duffy na niego, jego pięść zawisała nad twarzą Marcusa.

Marcus zatrzymał cios otwartą lewą dłonią i poprawił broń w prawej, ale gdy znów naciskał spust, Duffy potracił broń łokciem. A potem poczuł mocny chwyt na przedramieniu – Duffy uderzył jego ręką o ziemię, dwa, trzy, cztery razy i broń odskoczyła w ciemność. Nagle był wolny, ciężar wroga zniknął z jego piersi. Przetoczył się, podźwignął na kolana i rzucił się na stopy Duffy’ego, zanim ten zdołał sięgnąć po broń. Jedna mu się wymknęła, chwycił drugą i Duffy runął płasko na ziemię, ale chwilę później jego stopa trafiła Marcusa w podbródek. Marcus przygryzł sobie czubek języka i do ust napłynęła mu krew, ale nie puścił stopy Duffy’ego, póki ten nie kopnął go drugi raz, teraz trafiając prosto w nos. Łzy stanęły mu w oczach, świat się rozmył, a Duffy się uwolnił. Wszystko zwolniło. Marcus był na czworakach, krew kapiała na ziemię, a Nick Duffy, ciężko dysząc, właśnie się podnosił, trzymając ten śmieszny rewolwerek w ręce. Spojrzał w dół na Marcusa i pokręcił głową.

– Jesteś, kurwa, za stary – powiedział. – No i, kurwa, już martwy... – Ale zanim zdołał strzelić, kawałek metalowej rury uderzył go w głowę i Duffy osunął się na ziemię.

River upuścił rurę i pochylił się, dysząc ciężko.

– Przypnę mu karteczkę do kurtki – skomentował – żeby kiedy się już ocknie, wiedział, że to ja to zrobiłem.

– O ile się ocknie – rzekł niewyraźnie Marcus. Wypluł coś wielkiego i czerwonego, ale jego usta natychmiast znów napełniły się krwią. – Całkiem mocno mu przyłożyłeś.

– Nie ma za co.

– Ktoś jeszcze tu jest?

– Wydaje mi się, że większość uciekła – odparł River.

– Hmm.

– Louisa kilku zastrzeliła.

– To dobrze. – Znowu splunął. Zdrętwiał mu język. Nagle powróciło wspomnienie, jak dziś rano jadł lody, truskawkowe i pistacjowe, i zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie czuł smaki.

River szturchnął Nicka Duffy'ego butem, żeby sprawdzić, czy żyje albo czy jest przytomny, a potem bez specjalnego powodu bardzo mocno go kopnął.

To był długi dzień.

– Oddycha? – spytał Marcus.

– Chuj wie. Mam to gdzieś.

– Pomożesz?

River pomógł mu się podnieść i stali przez chwilę, ciężko oddychając, gdy obok przejeżdżał kolejny pociąg rzucający smugi światła przez mur z pustaków. W podmuchu zaszeleściły śmieci. A potem znów zrobiło się ciemno, powietrze było gorące i ciężkie, a w dali miasto pulsowało, jękało się i zawodziło. Marcus sięgnął po swoją broń, znowu splunął i potrząsnął głową.

– Jestem trochę zawiedziony, że nikt nie wpadł pod pociąg.

– Można by się tego spodziewać, prawda? – odparł River. – W miejscu takim ja to.

Ruszyli z powrotem przez nieużytki tam, gdzie czekali pozostali.

Była godzina lunchu i natężenie upału uległo zmianie; subtelna wariacja, która niosła ze sobą obietnicę ulgi, choćby tylko dlatego, że wydawało się mało prawdopodobne, by mógł wiecznie utrzymywać się z taką intensywnością. Na nieforemnym skwerze w pobliżu Paddington drzewa zwisały apatycznie nad wyschniętymi rabatami, a gołębie przycupnęły w ich cieniu i przypominały bardziej kamienie niż ptaki. Ledwie poderwały się ciężko w powietrze, kiedy na ulicy zaszczekał pies, a nawet nie drgnęły, gdy ścieżką człapał Jackson Lamb z koszulą wypuszczoną ze spodni i rozwiązany sznurowadłem. Nosił plastikowe okulary przeciwsłoneczne i w ręce trzymał teczkę z szarego papieru zawiązaną różową wstążką. Każdego innego na jego miejscu uznano by za prawnika. Lamb sprawiał wrażenie, jakby właśnie wyjął tę teczkę z kosza na śmieci.

Klapnął ciężko na ławce obok Diany Taverner, która wyglądała jak przybysz z właściwej strony miasta; bluzka świeża, jakby chwilę temu zdjęta z wieszaka, szare płócienne spodnie w nieskazitelnym stanie. Jedyne jej oczy, gdy spojrzała na niego znad okularów przeciwsłonecznych od Gucciego, zdradzały ślady chłodu, który wydawał się nie na miejscu.

– Jackson.

– Nie mogłaś wybrać jakiegoś baru? Z klimatyzacją?

– Wydawało mi się, że lepiej będzie gdzieś, gdzie nikt nas nie podsłucha.

– Czyli dzięki twoim wyrzutom sumienia jestem mokry jak rowek między cyckami jakiejś laluni. – Ciężko opadł na oparcie i powachlował się

teczką. – Jak zrobi się jeszcze goręcej, będę chodzić topless.

Taverner stłumiła dreszcz i odparła:

– No tak. Wygląda na to, że twoja ekipa urządziła sobie wczoraj niezłą imprezkę.

– Wiesz, jak to jest. Świeci słońko, szkoła się skończyła, uznałem, że byłoby szkoda trzymać ich w zamknięciu.

– W naszym obiekcie w pobliżu Hayes zalega sporo ciał.

– Zupełnie jak w moim lokalnym pubie – odparł Lamb. – Sobotnie wieczory są dość gorączkowe.

– Możemy na chwilę spoważnieć?

Wolną ręką Lamb wykonał zamaszysty gest.

– Traynor nie żyje, Donovan to samo. Wygląda na to, że zabrał ze sobą sporo ochroniarzy z Czarnej Strzały i dwóch ludzi Nicka Duffy’ego. Zaś jeśli chodzi o samego Duffy’ego...

– Tak, Cartwright o niego dopytywał. Boli go głowa?

– Uszkodzenie mózgu.

– Ktoś zauważył?

– Pozwoliłeś na małą wojnę, Jackson. Będą pytania.

– Na nic nie pozwalałem. – Wyjął dwa papierosy z kieszeni, jednego wsunął za ucho, a drugiego zapalił. Taverner odgoniła ręką dym. – Ingrid Tearney zatwierdziła wczorajszą wycieczkę i domyślam się, że to ona później zmieniła zdanie i wysłała ludzi – ciągnął Lamb. Pomachał teczką. – Kiedy zrozumiała, o co dokładnie chodziło Donovanowi.

– Nie o Szare Księgi.

– Nie o Szare Księgi. I zanim zaczniesz opowiadać bajki, Diano, zostawiłaś na tym wszystkim mnóstwo śladów. Te żołnierzyki nie dowiedziały się o Slough House z książki telefonicznej. Wszystko, co mieli,

od nazwisk moich ludzi aż po prywatny numer Ingrid Tearney, dostali od kogoś z wewnątrz.

Diana omiotła wzrokiem skwer, być może zastanawiała się, czy Lamb przyprowadził wsparcie. Ale nikt na dłużej nie przykuł jej uwagi. Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Szkoda. Liczyłam, że cię przekonam, że Standish to wszystko zrobiła. Podobało jej się bycie... „porwaną”? Można by pomyśleć, że rzadko ktoś poświęca jej tyle uwagi.

– Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, powiedziałaś mi nawet, gdzie są akta pojebów – stwierdził Lamb. – Chyba trudno o jaśniejsze wskazówki.

– Czyli nie porozmawiamy o pani Standish? W porządku, Jackson, poddaję się. Tiger team był moim pomysłem i to ja sprzedałam go Juddowi. Wciągnęłam w to Donovana, choć sposób stworzenia wakatów w Czarnej Strzale był jego pomysłem, nie moim. Podobnie jak zabicie Monteitha. Takie pojawiają się problemy, kiedy używasz wolnych strzelców. Nie zawsze można utrzymać ich talenty na wodzy.

– Ale musiałaś wziąć kogoś spoza służb, bo potrzebowałaś strony trzeciej, żeby to się wydostało na światło dzienne. – Lamb znów pomachał teczką. – Wszystko, co zawsze chciałaś wiedzieć o wykorzystywaniu przez służby tajnych więzień, ale bałaś się zapytać.

– Nie udawaj, że jesteś zaskoczony.

– Nie jestem, zapewniam.

Równie dobrze mógł nic nie mówić.

– Używamy ich od lat, Lamb. Projekt Szczelność, sposób na deportowanie niepożądanych ludzi bez wszystkich tych męczących prawnych pierdół. I bynajmniej nie jesteśmy w tym odosobnieni wśród innych państw. W starych, dobrych Stanach Zjednoczonych Ameryki robią to od dawna.

– Może i tak – stwierdził Lamb – ale wydawało mi się, że w Zjednoczonym Królestwie Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii Północnej zaprzeczamy, jakobyśmy coś takiego robili.

– W tym właśnie cały szkopuł. Zaprzeczamy, jakobyśmy coś takiego robili. Bardzo kategorycznie i przed komisjami parlamentarnymi. A konkretniej, oboje wiemy, kto dokładnie zaprzeczał, że to robimy.

– Ingrid Tearney – powiedział Lamb.

– Której nazwisko jest do tego stopnia przyklejone do tych papierów, że można by je wziąć za logo. Plany lotów. Zamówienia na przewóz. Paliwo... Nie da się wyczarować międzynarodowego lotu z niczego. A w dodatku formalnie tego wszystkiego jakby nie ma. Poczęstowałbyś mnie jednym?

Lamb sprawdził, czy drugi papieros wciąż tkwi zatknięty za uchem, i odparł:

– Nie.

– I tak jest za gorąco, żeby palić... I nie mówimy tu o zarejestrowanych organizacjach charytatywnych. To prawdziwe więzienia. Albo kiedyś nimi były. Teraz... są do specjalnych celów. I wymagają pieniędzy.

– W zamian za trwałe usunięcie z obiegu różnych szubrawców – stwierdził obojętnie Lamb. Z jego tonu trudno było wywnioskować, czy to pochwała, czy nie.

– Cóż, nie można warunkowo zwolnić kogoś, kto nigdy nie został skazany. – Zaśmiała się gorzko. – Ale nie chcę tego potępiać. Generalnie to ludzie, których naprawdę nie chcielibyśmy na naszych ulicach.

– Generalnie?

Wzruszyła ramionami.

– Krążą plotki, że Tearney wykorzystywała Projekt Szczelność i ludzie znikali z jej osobistych powodów.

– Zalety stanowiska.

– Jestem pewna, że premier też będzie się tak na to zapatrywał.

– Pewnie ją poprosi, żeby z tego skorzystała w stosunku do Judda. I to właśnie o tym ta Dunn dowiedziała się tamtego wieczoru w Nowym Jorku.

– Człowiek, który się z nią skontaktował, był delegatem z... któregoś z tych coś tam... stanów. Jakiś czas wcześniej wynegocjował umowę na wykorzystywanie dwóch obiektów o zaostrzonym rygorze w jego kraju, które położone były w wyjątkowo niedostępnych miejscach... – Przerwała na chwilę. – Ich wersja zaostzonego rygoru nie jest tak zaawansowana technologicznie, jak można by pomyśleć. Sprowadza się głównie do grubych murów i braku kanalizacji.

– Wiem – powiedział Lamb. Zapalił drugiego papierosa od niedopałka pierwszego, tym zaś, wciąż żarzącym się, pstryknął w najbliższego gołębia. Ptak nie zareagował.

– I najwyraźniej kilka lat później olśniło go i poczuł potrzebę, by się z tego zwierzyć. A może po prostu chciał zaimponować kapitan Dunn.

– W efekcie podpisując na nią wyrok śmierci.

– Wszyscy mamy brud pod paznokciami, Lamb. Nie udawaj, że masz czyste ręce.

Nie odpowiedział od razu. Siedzieli, obserwując niedopałek jego papierosa zwęglaający wątle źdźbła trawy, wśród których wylądował. Gdyby tylko dać mu dość czasu, być może mógłby spalić całe miasto.

– I co teraz? – spytał w końcu Lamb.

– Dowody w postaci dokumentów świadczących o istnieniu tego projektu to nie tylko plama na karierze Tearney. Może z tego wyniknąć międzynarodowy incydent. Górze bardzo zależy, żeby to zatuszować. Judd będzie nalegał, żeby przeszła na emeryturę. A wtedy na stanowisku szefowej MI5 pojawi się wakat.

– Który zapełni...?

– Nie mogę tego skomentować.

– A w zamian – ciągnął Lamb – ułatwisz Juddowi przeprowadzkę pod Dziesiątkę. A z twoim dostępem do wszelkich poufnych materiałów, takich jak akta z weryfikacji premiera, to będzie bułka z masłem.

– Jestem pewna, że można mu ufać – rzekła Taverner. – Wczoraj odbyliśmy nawet spotkanie. – Przesunęła dłońmi po udach, napinając materiał. – Zapewnił mnie, że darzy MI5 ogromnym szacunkiem. Że odłoży na półkę wszelkie pomysły, jakie miał odnośnie do restrukturyzacji.

– To pierdolony psychopata – zauważył Lamb.

– Tym więcej mamy powodów, żeby wziąć go do namiotu, wtedy będzie szczać na zewnątrz.

– To Peter Judd – stwierdził Lamb. – Bardziej bym się martwił, że się zesra. A poza tym jedna rzecz ci umknęła. Ty nie masz tych dowodów. Ja je mam... – Znów popukał w teczkę, którą dał mu River Cartwright. – Bo oczywiście – podjął – gdyby to wszystko trafiło do publicznej wiadomości, na przykład, powiedzmy, w ręce „The Guardian”, to byłoby już coś innego, prawda? Publiczny wybuch, a nie kontrolowana detonacja. Tearney i tak polecą, ale podmuch zmiótłby Judda. A bez życzliwego ministra, który pociągnie dla ciebie za odpowiednie sznurki... Jak sądzisz, Diano? Myślisz, że i tak zostałabyś Pierwszym Biurkiem?

– To nie jest ciężarówka, której chciałbyś wejść pod koła, Jackson.

– Och, sam nie wiem. Nie zapominaj, że muszę myśleć o moich ludziach.

– Doprawdy? To coś nowego.

– Darzą mnie naturalnym szacunkiem.

– To nie jest szacunek. To syndrom sztokholmski.

– Jak myślisz, jak by się poczuli, gdybym im powiedział, że to po prostu odpuszczamy? Po tym, jak wszyscy ci ludzie próbowali ich zabić?

Mają prawo wiedzieć, jaka była stawka. – Zmarszczył nos i głośno nim pociągnął. – Może powinniśmy urządzić sobie głosowanie.

– Chyba sobie żartujesz...

Lamb zwrócił na nią ciężkie spojrzenie, jego twarz skryła się na chwilę za chmurą dymu. Potem odparł:

– Jasne, kurwa, że żartuję. Kiedy ktoś do nich strzela, to dla nich szczyt szczęścia.

– Jezu, Lamb.

– I nie pozwoliłbym im głosować nawet nad tym, jakie są ich ulubione płatki śniadaniowe. – Wyciągnął teczkę w jej stronę, lecz nie puścił jej, gdy ją chwyciła. – Ale jeśli chodzi o Judda, to mówię poważnie. Trzymasz za ogon prawdziwego tygrysa.

– Poradzę sobie z nim.

– Jesteś pewna?

– Powiedziałam, że sobie z nim poradzę.

Na te słowa uśmiechnął się szyderczo, ale puścił teczkę. Diana właściwie wyrwała mu ją z ręki.

Lamb wstał i tym razem gołębie się spłoszyły – wszystkie jak jeden niemrawo poderwały się do lotu, przez chwilę krążyły chaotycznie i odleciały w zapomnienie.

– A tak poważnie, co z Catherine Standish? – spytała Taverner. – Nic jej nie jest?

– Najwyraźniej odeszła.

– Przykro mi to słyszeć.

– Wyszło na remis – stwierdził Lamb. – Wczoraj wydawało mi się, że dwoje zwolniłem, ale wygląda na to, że zmienili zdanie.

Odszedł ścieżką, zwałista sylwetka na tle srebrzystobiałego skwaru.

Diana Taverner patrzyła za nim, póki nie zniknął z pola widzenia, co jak na człowieka jego postury udało mu się zaskakująco szybko. Potem rozwiązała wstążkę na teczce, przesuwając ją między palcami przez długą chwilę. Otworzyła teczkę. Pierwsza strona była pusta, z wyjątkiem „W” jak Wergiliusz nabazgranego markerem i numeru katalogowego wybitego pieczętą z czerwonym tuszem. Wyjęła ją.

Pod nią znajdował się egzemplarz jakiegoś tygodnika o wędkarstwie i nic poza tym.

– Och, Jackson – westchnęła. – Ty cholerny głupcze.

Rozejrzała się za gołębiami, ale znikły, zerknęła w niebo, które wciąż było w górze, a potem zajrzała do torebki, by wyjąć telefon.

Peter Judd odebrał po pierwszym sygnale.

– Ten najgorszy możliwy scenariusz, o którym rozmawialiśmy? – powiedziała Diana. – Właśnie się wydarzył.

Na Aldersgate Street zmienia się pogoda. Zmienia się też w innych miejscach, by jak najszybciej zmyć zapach rozgrzanej smoły z londyńskich ulic, ale nad Aldersgate Street ta zmiana wydaje się najgwałtowniejsza i tutaj błękitna godzina ustępuje przedwczesnemu zmrokowi. Słysząc pomruk grzmotu, tak blisko, że równie dobrze może być już tuż-tuż. A jednak nie pada, ale mieszkańcy wieżowców na Barbican stoją przy oknach, licząc na dramatyczne efekty na niebie. Tymczasem piesi na chodnikach – wciąż ubrani na suszę i skwar dzisiejszego ranka – pośpiesznie usiłują znaleźć jakieś schronienie. W uliczce prowadzącej do tylnych drzwi Slough House dziwny podmuch wiatru wzbija rozgrzany kurz i przy dźwiękach ścierających się chmur – co, jak wie każde dziecko, jest prawdziwą przyczyną grzmotu – można usłyszeć szuranie otwieranych drzwi; drzwi, które zacinają się przy każdej pogodzie, nawet tak bliskiej przełomu jak ta... Ale gdyby ktoś wszedł do Slough House, słysząc byłoby

hałasy na klatce schodowej... tymczasem panuje cisza. A z pewnością tylko duch byłby w stanie wspiąć się po tych notorycznie skrzypiących schodach zupełnie bezgłośnie.

Jeśli to rzeczywiście duch, to jest dziwnie dociekliwy i zatrzymuje się na piętrze, by wybadać nastrój. Jak zwykle drzwi tutaj są otwarte i choć w pokojach nikogo nie ma, nawet widmo nie miałoby problemu z ustaleniem, który z nich należy do Rodericka Ho, a który do Marcusa Longridge'a i Shirley Dander. Ten drugi jest dziś wieczorem naznaczony sprzecznymi uczuciami, jakby mężczyzna, który jeszcze niedawno go zajmował, miał pewne refleksje na temat tego, że mimo całego bojowego doświadczenia wczoraj dwa razy ratowano mu tyłek i za każdym razem zrobił to ktoś, kogo uważał za cieniasa. To by było na tyle, jeśli chodzi o przejmowanie kontroli... Jeśli zaś chodzi o kobietę, można wyczuć sugestię, że jej ostatni wysiłek fizyczny, choć tak satysfakcjonujący, na dłuższą metę nie będzie w stanie zastąpić intymności, a na krótszą odracza tylko na później – zamiast zlikwidować – potrzebę osiągnięcia innego rodzaju haju. Można jednak wyczuć także namacalne poczucie ulgi, że wczorajsze zwolnienie wydaje się nieaktualne albo że przynajmniej nie wspomniano o nim podczas przydługiej analizy wydarzeń ubiegłej nocy. Może to dziwactwo czuć ulgę w związku z perspektywą pozostania kulawym koniem, ale jak wie każdy duch, niewiele jest bardziej skomplikowanych istot niż żywi.

Tymczasem w pierwszym z tych pokoi wyjątkowo spostrzegawczy cień mógłby wychwycić fragment rozmowy, słowa: „Autobus? No dobra, to stara szkoła”, wypowiedziane przez Marcusa i przyjęte za dobrą monetę przez Rodericka Ho. Słowa, które Ho powtarzał sobie w myślach, póki nie ustąpiły innej mantrze, równie niewypowiedzianej: „To jak, kotku, masz ochotę na drinka?”. To również wielokrotnie ćwiczył, wypowiadał

bezglóśnie, patrząc w szybę zamiast lustra, a później jeszcze długo po tym, jak osoba, która miała te słowa usłyszeć, pojawiła się na ulicy w dole, opuszczając Slough House, a ten niesamowity Roddy Ho zaraz za nią.

Teraz znowu schody, naprzód i w górę. Na kolejnym piętrze znów dwa puste pokoje, atmosfera wciąż ciężka od niedawnej obecności ich użytkowników. Jednym z nich jest Louisa Guy, do której właśnie odnoszone są aluzje, a która w tej chwili siedzi na barowym stołku i jak zwykle podchodzi do niej jakiś facet z typową gadką. Ale dziś wieczorem Louisa przyłapuje się na tym, że mówi: „Przykro mi, nie jestem zainteresowana”, i w tym momencie powraca do niej urywek wspomnień z wczorajszego wieczoru: nie ludzie, których zastrzeliła, nie biedny zabity Douglas ani nawet dzielny Dunn czy skazany na porażkę Donovan, ale River Cartwright, który pomógł jej wstać, gdy upadła, krótka chwila fizycznego kontaktu, który w jakiś sposób wyklucza możliwość, by dziś poszła z kimkolwiek; uczucie to może przetrwać trzecią wódkę, ale może też jej nie przetrwać. Jeśli chodzi o samego Rivera, to tego dnia w porze lunchu, z powodów, których nie potrafił określić, jeszcze raz pojechał na drugą stronę miasta, by stanąć przy łóżku Spidera Webba, ale na miejscu przekonał się, że pokój jest pusty, łóżko pościelone, a wiecznie piszczące urządzenia zniknęły. Odkrycie to nasunęło mu przyprowadzające o mdłości podejrzenie, że wczorajsza wycieczka do Regent's Park i kłamstwo, które podał jako alibi Dianie Taverner – „gdyby kiedyś podłączyli go do gniazdka i gdyby tylko to trzymało go przy życiu, chciałby, żeby go odłączyć” – doprowadziły do niezamierzonych konsekwencji; na tę myśl tak ścisnął mu się żołądek, że wolał jej nie rozpamiętywać, więc zamiast tego postanowił odwiedzić dziadka, S.D., posłuchać dobrze mu znanych mitów o MI5 oraz legend szpiegowskich i odsunąć od siebie jakiegokolwiek refleksje nad samym sobą.

Znów słychać grzmot, tak blisko, jakby niemal trafił w dach i tym razem – tak! – towarzyszy mu rozbłysk błyskawicy; nagły elektryczny wybuch, który wypełnia pozbawione zasłon pokoje, i gdyby ktoś w nich był, z pewnością teraz stałby się widoczny, ten rozbłysk uchwyciłby go jak na fotografii... Ale nikogo tu nie ma. Nikogo, chyba że ten cień w kącie jest mroczniejszy, gęstszy, bardziej konkretny, niż powinien być... Chyba że porusza się jak duch, który bezgłośnie przemyka po schodach na ostatnie piętro, gdzie pokoje są mniejsze i bliżej nieba...

Pierwszy z nich, równie pusty jak pozostałe, wydaje się dziś wieczorem w jakiś sposób pustszy, jakby jego stan nabrał trwałości; jakby nieobecność Catherine Standish była najnowszą z długiej serii nieobecności, od których Slough House ma się świetnie; jakby ten budynek miał być usatysfakcjonowany dopiero wtedy, gdy przegna ostatniego ze swoich lokatorów. Jakby karmił się stratą. Duch z pewnością umiałby mówić tym językiem. Duch przystanąłby na dłużej na tym progu, delektując się wymarłą atmosferą, porzuconą parasolką na wieszaku na kapelusze, kurzem, który już zaczyna się zbierać na biurku i na parapecie. Jednak ten duch – o ile istnieje jakiś duch i jeśli tu jest – nie wydaje się zainteresowany tym, co pozostało po Catherine Standish. Zamiast tego przystaje na korytarzu pod jedynymi drzwiami w budynku, które w tej chwili są zamknięte i zza których dobiegają odgłosy jak z wiejskiego podwórza; być może jest to pochrapywanie niezadowolonej świni. W górze znów przetacza się grzmot i odbija się echem w tym pokoju na najwyższym piętrze, ale grzmot jest czujny i zdeterminowany, podczas gdy świnia wydaje się pogrążona w głębokim śnie.

W końcu zaczyna padać deszcz, być może przywołany wzmianką o parasolce. Z początku bębnienie gęstych kropel o szyby, potem szybsze, a następnie dobiegające zewsząd; dudnienie o dach, plaskanie o ściany.

Aldersgate Street, podobnie jak reszta Londynu, długo czekało na tę chwilę. Gdyby ulice miasta mogły wzdychać, ta właśnie coś takiego by teraz zrobiła. I oczywiście, że mogą wzdychać, i Aldersgate w tej chwili to robi. Ale deszcz zawsze maskuje ten odgłos, te pełne wdzięczności westchnienia chodników.

Niemniej w Slough House wciąż słychać chrapanie. I chyba granica pomiędzy światami na moment się zaciera, bo duch bez problemu mógłby przejść przez te drzwi – bo te nie stanowią przeszkody dla żadnego cienia godnego tej nazwy – ale zamiast tego na klamce pojawia się dłoń w rękawiczce, przekręca ją cicho, naciska i w ostatnich chwilach czyjegoś życia w końcu widać postać o przylizanych włosach. To człowiek Petera Judda, Seb – duch w maszynie PJ-a – który przyszedł zabrać to, co Jackson Lamb zachował; przyszedł też uciszyć te prostackie odgłosy z wiejskiego podwórza. Lamb może dręczyć swoich podwładnych, ile dusza zapagnie, ale kiedy nadeptnie się na odcisk kogoś potężnego, zawsze trzeba za to zapłacić.

Drzwi otwierają się zaskakująco cicho. Oto Jackson Lamb, zgarbiony za biurkiem, a powietrze nagle pełne jest jego smrodu: starych i nowych pierdnięć, dawnych i ostatnich papierosów, ubrań, które pamiętają lepsze dni, a nawet lepsze tygodnie. Wejście Seba nie zakłóciło ani trochę jego regularnego chrapania i czekające go zadanie byłoby boleśnie proste, nie trudniejsze niż umycie kolejnej butelki, gdyby nie to, że oczy Lamba są otwarte i że w jego ręce tkwi broń.

Ostatnią rzeczą, jakiej Seb dowiaduje się o tym świecie, nim jego duch uleci, jest to, że jeśli otworzysz wystarczająco wiele drzwi, w końcu za którymiś znajdziesz tygrysa.

Lamb przestaje chrapać, chowa broń do szuflady i wyciąga z kieszeni papierosa. Jednak zanim go zapala, sięga po telefon.

Pozbywanie się zwłok to cholerne zawracanie głowy.
Dobrze, że ma kulawe konie, które zrobią to za niego.

Już wkrótce
naszym nakładem
kolejna część serii...



...oraz serial z udziałem
zdobywcy Oscara
Gary'ego Oldmana
w roli Jacksona Lamba!